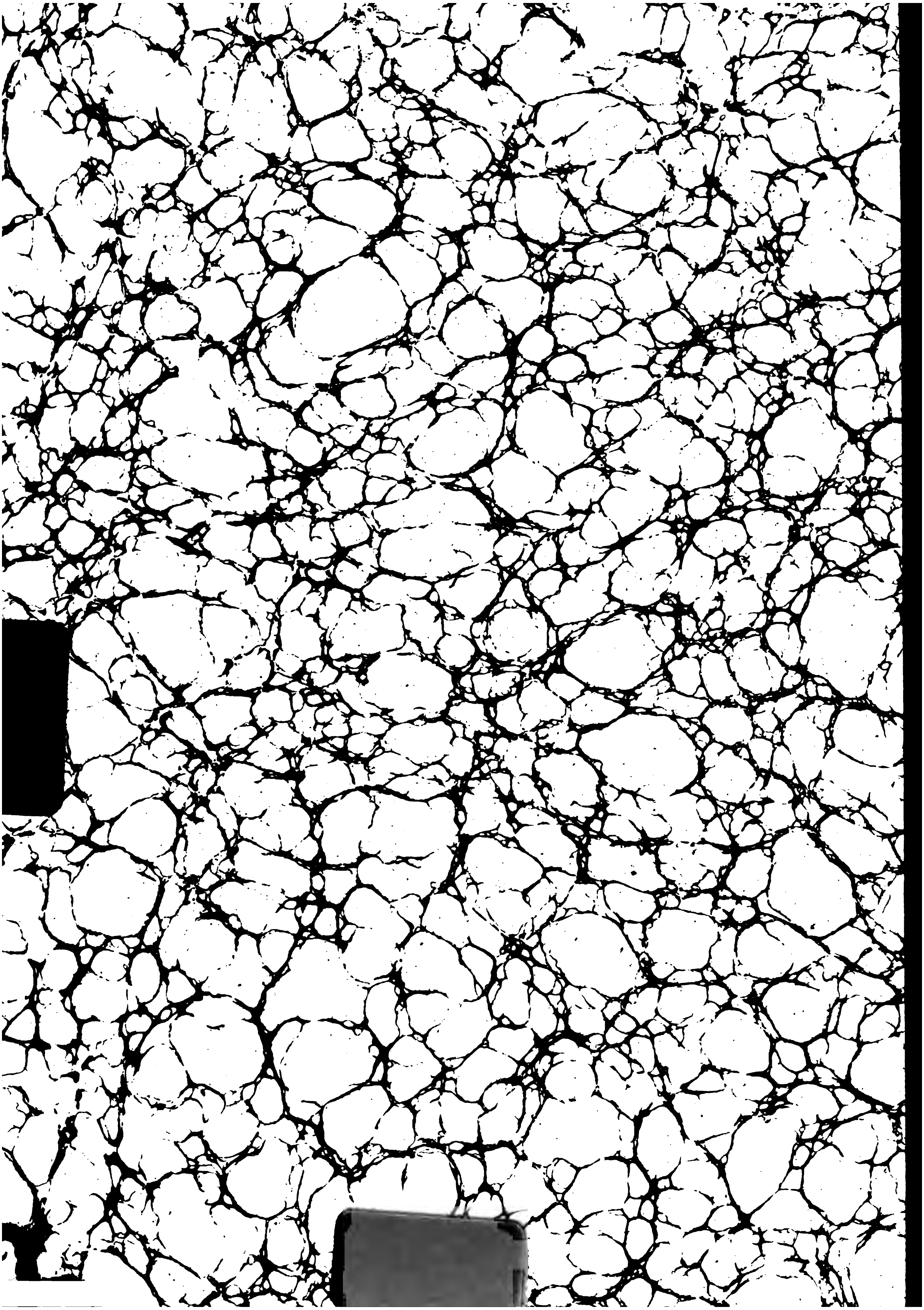
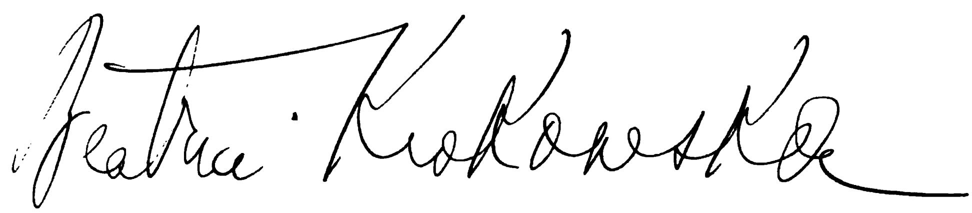




Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego

Zarys Literacki

Piotra Chmielowskiego

Wydanie czwarte, poprawione i powiększone

Z illustracyami



Kraków
Nakładem księgarni L. Zwolińskiego i Spółki
1895.

ACP5557

KOBIETY

MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO I KRASIŃSKIEGO.

KOBIETY

MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO I KRASIŃSKIEGO.

ZARYS LITERACKI

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

WYDANIE CZWARTE, POPRAWIONE I POWIĘKSZONE.

Z illustracyami.

KRAKÓW.
L. ZWOLIŃSKI I SPÓŁKA.
1895.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.

Kolegom Szkolnym

to nowe wydanie pracy młodzieńczej

na pamiątkę

chwil serdecznie przeżytych

poświęca

Autor.

SŁÓWKO WSTĘPNE.

Puszczając w świat drugie wydanie studyum mojego nad postaciami niewieściemi w utworach trzech największych mistrzów poezyi naszej, winienem czytelnikom słówko objaśnienia.

Kiedy praca moja po raz pierwszy szła do druku (r. 1872/73), agitowała się wówczas bardzo gorąco sprawa tak zwanej emancypacyi kobiet; możnaby nawet powiedzieć, że doszła była wówczas kulminacyjnego swego punktu — w teoryi; później bowiem zajęto się nie tyle prawami kobiety, ile praktycznemi zagadnieniami, dotyczącemi jej wykształcenia i zarobkowania. Stąd studyum moje musiało oczywiście odbić w sobie nastrój chwili; stąd taki w niem nacisk na dodatnie charaktery i na ich znaczenie w życiu społecznem. Obok tej barwy wszakże publicystycznej starałem się już i wówczas nadać memu dziełku koloryt psychologiczno-estetyczny nie za pośrednictwem rozpraw i roztrząsań, ale przez uchwycenie jak najwierniejsze rysów, któremi poeci kreślili swe postacie, i przez ich skupione odtworzenie.

Z takiego charakteru pracy wynikło, że w drugiem wydaniu niektóre myśli i zdania, z rozprawami chwili ściśle związane, musiałem opuścić, ale całości, t. j. układu i sposobu przedstawienia rzeczy, zmieniać nie potrzebowałem, gdyż nie znalazłem tu i obecnie, po latach

siedmiu, niezgodności z samemi pomysłami poetów, których komentowałem. Natomiast okazała się potrzeba dopełnień, mianowicie w dziale charakterystyki uczuć wieszczów naszych. Ogłoszono w tym czasie nowe i ciekawe dokumenta, które nie zmieniają wprawdzie z gruntu dawniejszych moich na naturę uczuciowości u poetów naszych poglądu, ale go pod wielu względami rozszerzają i niekiedy modyfikują.

Co do wybranych do rozbioru postaci, to jakkolwiek wiem dobrze, iż możnaby znacznie liczbę ich powiększyć, gdyby się drobiazgowo nad kreacyami poetyckiemi zastanawiało; nie chciałem jednak wchodzić w zbyt wielkie szczegóły i dodałem do poprzednio już zarysowanych jednę tylko postać, postać *Wdowy* z Balladyny Słowackiego. Zwrócił na nią uwagę pan Adam Bełcikowski w swojem studyum nad Balladyną, ślicznie ją scharakteryzował i przemówił do mego przekonania, że panteon postaci kobiecych Słowackiego wzbogacić należy jedną z najudatniejszych jego kreacyj.

To są najważniejsze zmiany, jakie czytelnicy znajdą w obecnem wydaniu; pomniejsze miały na celu usunięcie omyłek faktycznych albo nieścisłości wyrażeń.

Piotr Chmielowski.

Warszawa, 5 lipca 1880 r.

I w tem trzeciem wydaniu ogólny układ zarysu zmianie żadnej nie uległ. Tekst tylko przejrzałem starannie i wprowadziłem sprostowania lub dopełnienia, wywołane świeżo ogłoszonemi materyałami. Szczególniej w tem, co mówię o Mickiewiczu i Krasińskim, znajdą czytelnicy dość znaczne różnice od wydania drugiego. Oprócz zmian w szczegółach życiorysowych, należy tu wymienić wprowadzenie kilku postaci, dawniej nieuwzględnionych. *Żywila*, *Córka Tuhana*, *Karolina* przy-

były do działu poświęconego kreacyom Mickiewicza; *Czarna pani* powiększyła szczupłą liczbę kobiet Krasińskiego.

O poprawność wyrażeń i ścisłość informacyj starałem się jak najusilniej.

Piotr Chmielowski.

Warszawa, 23 kwietnia 1886 r.

W niniejszem czwartem wydaniu uległ rozszerzeniu dział biograficzny co do Mickiewicza i Słowackiego, bardzo mało co do Krasińskiego. Życiorys największego poety naszego, ogłoszony przez jego syna, wydobył na jaw tak znamienne i interesujące szczegóły, że uważałem sobie za miły obowiązek podzielić się niemi z czytelnikami tego szkicu. Słowackim zajęto się też w ostatnich czasach bardzo gorliwie; ustalono kilka dat, sprostowano kilka błędnych, a poprzednio rozpowszechnionych mniemań; a to wszystko uwzględnić wypadło.

W przedstawieniu samych postaci kobiecych wprowadziłem parę drobnych dopełnień; rozszerzyłem obrazek dwu *Ew* Mickiewicza, *Eloi* Słowackiego, i wprowadziłem *Ellenai.*

Oby i to nowe, tym razem illustrowane wydanie, znalazło równie przychylne przyjęcie, jak trzy poprzednie. Starałem się usilnie, ażeby nie było od nich gorsze.

Piotr Chmielowski.

Zakopane, 29 sierpnia 1894 r.

Kobieta w rzeczywistości i w poezyi.

Po raz-to trzeci w XIX wieku kobiety nasze i same głos podniosły w sprawie współudziału swego w życiu społecznem i stały się przedmiotem bardzo licznych, bardzo ożywionych a niekiedy i bardzo namiętnych dyskusyj. Każde z tych wystąpień miało swoje charakterystyczne oznaki i każde starało się posunąć choćby o krok tylko naprzód, zarówno kwestyą usposobień i uzdolnień kobiecych, jak i kwestyą praktycznego ich zastosowania w dziedzinie robót i prac ogółu.

Z początku, w chwili najżywszej i najrozleglejszej działalności Klementyny Tańskiej, kobiety, nie chcąc się bynajmniej wychylać poza obręb domowego ogniska, starały się jedynie pozyskać możność i prawo systematycznego kształcenia się wedle skali jak najskromniejszej, byleby tylko umiały i zdołały kierować rozumnie pierwszemi krokami dzieci, których były naturalnemi wychowawczyniami.

Potem, w chwili rozbudzenia się namiętniejszych i szerszych pragnień, w chwili, gdy Entuzyastki z Narcyzą Żmichowską na czele rozumować i pisać zaczęły, żądały one najprzód podniesienia skali swego wykształcenia, by mogły narówni z silniejszą a brzydszą połową rodu ludzkiego pojmować wszechświat, odczuwać jego piękności, rozkoszować się tem, co praca duchowa ludziom zapewnić może; — a powtóre domagały się pewnych swobód towarzyskich jako panny, pewnej opieki społecznej jako żony.

Nareszcie, gdy w najnowszych już czasach podniesiono napowrót sprawę kobiecą, okazała się potrzeba dopełnienia żądań powyższych jednym z najważniejszych postulatów — postulatem rozszerzenia zakresu pracy kobiecej. Po roku zwłaszcza 1864 nie tylko spostrzeżono, (bo spostrzeżenie takie łatwem było do zrobienia i dawniej), ale — co ważniejsza — odczuto konieczność,

konieczność nieodbitą, żeby kobieta mogła samoistnie na utrzymanie swe zapracować, nie potrzebując się oglądać na pomoc ramienia męskiego. Teraz więc połączyły się razem wszystkie wymagania dawniejszych rzeczniczek emancypacyi czy równouprawnienia, i w głosach tak kobiecych jak męskich (Anastazya Dzieduszycka, Józefa Dobieszewska, Eliza Orzeszkowa, Edward Prądzyński, Aleksander Świętochowski) wymowny wyraz znalazły. A ponieważ teraz postawiono kwestyą prawdziwie na sztychu, mówiąc o samoistności kobiet, trzeba było wejść głęboko w rozsnucie i rozwikłanie wielu nastręczających się zagadnień, które natury umysłu kobiet, ich charakteru i uzdolnienia do takich czy innych rodzajów pracy dotyczą. Pod tym względem siły miejscowe nie mogły wystarczyć w zupełności; trzeba się było zwrócić do narodów praktycznych po radę w przedmiocie pracy kobiecej, a do „narodu myślicieli" po radę w przedmiocie psychicznego stanu niewiast: przekładano więc dzieła Wirginii Penny, Jana Stuarta Milla, Leroy-Beaulieu, Edwarda Reicha, pisano dużo artykułów celem objaśnienia i roztrząśnięcia pytań psychologicznych, z przedmiotem dyskusyi związanych, spierano się o duszę kobiety i polemizowano nieraz bardzo ostro.

Ani myślę twierdzić, jakoby już przedmiot sporu został dokładnie zbadany; sądzę nawet, że dopiero wraz z istotnem wejściem kobiet na pole pracy produkcyjnej i samoistnej nastręczy się możność spostrzeżeń pouczających, doświadczeń mniej-więcej ścisłych, które sprawę umysłowości kobiecej rozwikłają i rozjaśnią. Zdaje mi się jednak, że dla osiągnięcia celu, który sobie w tym wstępnym rozdziale zamierzyłem, nie potrzeba się zapuszczać w subtelne kwestye fizyologiczno-psychologiczne, że nie potrzeba wyczekiwać przyszłych ściślejszych badań, które mogą niejednę szczegółową uwagę sprostować, ale rysów ogólnych, jakiemi dzisiejsza nauka kreśli obraz kobiety rzeczywistej, zmienić już nie potrafią. A o takie właśnie rysy najogólniejsze chodzić nam może w zestawieniu natury kobiety, jaką jest w rzeczywistości i jaką ją przedstawiła poezya nasza, zwłaszcza romantyczna. W zarysie kobiety zarówno rzeczywistej jak i poetyckiej mam oczywiście na uwadze nie tyle różnice i odcienie uwydatniające się w jednostkach, a tak ważne i wpływowe w sądach ogółu o naturze niewieściej, ile raczej te podobieństwa rodzajowe, jakie wśród najróżnorodniejszych nawet temperamentów, uzdolnień i charakterów zawsze i stale dostrzegać się dają.

Kobieta jako człowiek ma lub mieć może te same myśli, te same uczucia, te same popędy, co i mężczyzna — jeżeli oczywiście w tych samych rozwija się warunkach. Od poważnej i świętej matrony, co okiem pełnem spokoju wodzi po dorastającem pokoleniu, do bezwstydnej ulicznicy, co kłamanym uśmiechem wabi do siebie przechodniów — idzie skala wzniesień i upadków moralnych,

uczuć szlachetnych i nikczemnych, pomysłów wielkich i drobnych kaprysów; skala odpowiadająca w zupełności umysłowemu i moralnemu szczeblowaniu u mężczyzn. Jeżeli wielu już powiedziało, że kobieta jest sfinksem, zagadką, tajemnicą; to zdanie podobne należy postawić na równi z tem, które mówi, że serce ludzkie jest niezgłębioną przepaścią. Przyczyna ich powstania jedna: dotąd więcej się zachwycano lub przeklinano, a mniej zastanawiano; więcej powtarzano na wiarę cudzą, mniej ufano własnej samodzielności.

Zachwyt czy oburzenie nie jest rzeczą złą: rozbudza duszę, podnosi ją na wyżyny; ale — przeszkadza jasno myśleć, ściśle rozumować. Kobieta nie jest czemś fenomenalnem, coby się spotykało raz na wieków dziesiątki. Przypatrujemy się jej codzień, co godzina, rozmawiamy z nią, kochamy ją, nienawidzimy lub jesteśmy względem niej obojętni. Czasami (inni twierdzą, że po większej części) nie rozumiemy jej; w znacznej liczbie wypadków dlatego, że sami siebie dobrze nie znamy; w niektórych dlatego, że nas miłość własna zaślepia; w innych wreszcie dlatego, że nas zwodzi forma objawów jej duszy. Dwie pierwsze przyczyny pomijamy: są one zbyt rozległe i zbyt powszechne, ażeby w krótkich słowach naturę ich dokładnie określić można; trzecia natomiast wiąże się ściśle z przedmiotem obecnego studyum — musimy się więc w niej rozejrzeć.

W zwykłym trybie życia niepodobna nam inaczej zbadać głębi duchowej człowieka, jak obserwując zewnętrzne jego objawy w giestach i w mowie. Nie możemy jego serca i głowy jak rękawiczki na obie strony wywrócić. Forma objawów warunkuje się wychowaniem. Inaczej wyraża się dziki, inaczej wykształcony. Dotąd różnica w wychowaniu mężczyzny i kobiety była przepaścista; nic więc dziwnego, że forma objawiania ich uczuć i myśli jest bardzo różna. Co więcej, utrzymuję, że cała różnica (nie mówiąc na teraz o względach fizyologicznych) wewnętrznej ich istoty na tej właśnie różnicy formy polega. Złudzeni pozorem, bierzemy kształty zewnętrzne za treść najistotniejszą. Pomaga w tem sama natura rzeczy. Forma raz przybrana, zamieniona w przyzwyczajenie, w nałóg, wpływa na treść objawów, zaprowadzając w niej modyfikacye, których źródła szukać wypada, nie w głębi duszy, ale pozewnątrz niej. Tworzy się w ten sposób siatka nader misternie spleciona, w której nasz umysł się gubi, nie mogąc pojedyńczych jej oczek rozwikłać. Rozwikłać jednakże można, trzeba się tylko zastanawiać i mieć cierpliwość.

Dla wyjaśnienia rzeczy weźmy najprostszy, codzienny przykład. Miłość uczuwa zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Odmienne atoli wychowanie przyzwyczaiło ich do odmiennego jej objawiania. Mężczyzna mówi o swem uczuciu śmiało, wyznaje je pierwszy, rozrządza niejako i panuje nad sercem ukochanej;

objawy u niego nie są dwuznaczne. Przeciwnie kobieta. Jeżeli kocha, nie może naturalnie stłumić słodkiego porywu do tego stopnia, ażeby żadnym nie zdradzić się znakiem. To też musi wybierać takie, któreby można sobie rozmaicie tłómaczyć. Rumieniec i bladość — jakby u rośliny — oto dwie barwne plamy, przez które dusza kobiety się wyjawia. Rumieniec przecież zmęczeniem, bladość przestrachem da się nader wygodnie wyjaśnić, nie potrzebując się kompromitować wyznaniem miłości. Możnaby stąd zawnioskować, że kobieta wstydzi się własnego swego serca, kiedy do jego popędów przyznać się otwarcie nie pragnie. Znane są nieporozumienia kochanków z powodu tej dwulicowości w zewnętrznej uczuć formie. Wiadomo, że to fałsz. Brak śmiałości, brak inicyatywy jest skutkiem cieplarnianego wychowania kobiety a nie — jej wewnętrznej natury. Wmawiając w nią od dzieciństwa, że jest istotą słabą, niezdolną samoistnie ruszyć krokiem, potrzebującą nieustannej opieki i nadzoru, łatwo wreszcie przemienić ją w piękną — *roślinę*.

Takich fałszów psychicznych jest mnóstwo. One są powodem, że kobietę uważają za kobietę tylko, a nie za człowieka. Stąd to pochodzą owe zawzięte krzyki, chcące powstrzymać rozwój równouprawnienia. Jeżeli zaś przyjmiemy za prawdę to, co powyżej o naturze kobiecej powiedziałem; możemy być pewni, że ze zmianą wychowania zniknie ta przepaść, która odgranicza jednę połowę rodu ludzkiego od drugiej, z tem tylko zastrzeżeniem, że wtedy fizyologiczne różnice muszą otrzymać głos przeważny w sprawie zajęć kobiety, a ściśle z temi różnicami złączone usposobienia duchowe wyznaczą jej właściwy obręb i stopień wykształcenia. W ich zakresie ona do wszystkiego jest zdolna i wszystkiem być może. Wiele przykładów z dzisiejszego i historycznego życia potwierdza ten pogląd. W każdym zaś razie, mamy prawo uważania kobiety za istotę wszechstronną...

Poezya przedstawia ją ułamkowo. Dla niej kobieta jest sercem tylko. Namiętność, ożywiająca poetę, przenosi się na przedmioty jego obrazowania. Oświetlona wybuchem wulkanu, niekiedy obryzgana jego lawą, kobieta olbrzymieje: jest anielicą albo jędzą, Dyaną albo Eumenidą.

Wyrazistość jest koniecznym warunkiem powodzenia poezyi. Zdanie to zamieniło się w pewnik estetyczny. Słowo mniej przyjazne staje się tu ukąszeniem żmii, uśmiech zwykły, pospolity — promieniem słońca, roznoszącym światło po całym wszechświecie... Mówić obojętnie niepodobna; trzeba grzmieć piorunami albo szeptać ciszej od szmeru lilii, gdy głowę swą ku ziemi skłania. Chcąc zrozumieć poetę, musimy oddychać całą piersią, kochać jego miłością, chociażby najszaleńszą, krwawić się jego bólami, rozpaczać całą słabością swej duszy, dobywać z serca, zarówno skarby uczuć najszlachetniejszych, jak i najbardziej

wstrętnych, byle tylko dorównać tej skali natężenia umysłowego, jakiej się od nas piewca domaga...

Kobieta jest punktem środkowym poezyi nowożytnej. Bez kobiety poezya stałaby się bladą jak suchotnica; niktby się o nią nie troszczył. Odgrywając tak ważną rolę, musi się kobieta przedewszystkiem dostroić do kamertonu wymagań poetycznych. Przez łzy rozpatrywana, jest Ofelią ze zwiędłemi kwiaty na głowie; przez różowy pryzmat miłości — Juliettą żegnającą kochanka przy śpiewie słowika; przez powiększające szkło ambicyi — lady Macbeth z ręką skrwawioną, na której czerwona plama wiecznie pozostanie... Czy w sercu kobiety drgają spółcześnie rozmaite struny uczuć, czy w głowie jej są inne kombinacye myśli oprócz tych, które się do przedmiotu jedynego wyłącznego ukochania odnoszą — nie pytajmy: dla niej wszystkiem jest świat, zakreślony wzrokiem ukochanego; w nim żyje, w nim kocha, w nim nienawidzi.

Poezya bierze kobietę nie w zwyczajnych warunkach życia, lecz albo w chwili roślinnie niewinnego rozkwitu, albo też w chwili namiętnego szału. Odrazu stawia ją na wierzchołkowych punktach: kończącej się wegietacyi lub rozwiniętego życia. Przejścia są tu rzeczą małoważną. Kobieta jest wielką, kiedy rozkoszuje się pączkiem pierwszego żywiej rozbudzonego w niej uczucia — bo wtedy kłębek życia się rozsnuwa; i kiedy zawiedziona przeklina i siebie i świat i ukochanego — bo wtedy jest najwymowniejszą, wtedy nabiera głosu *człowieka*. Powabny jest również smutek dumający pod drzew cieniami przy blasku księżyca; — ale nie przejmuje nas zachwytem: jesteśmy melancholiczni, szyderscy lub obojętni. Kobieta wówczas jest echem tylko słów i myśli ukochanego — o samoistności mówić niepodobna.

Dusza w takim kierunku rozbudzona nie może stawiać odmiennych ideałów. W poezyi są sny złote, przejmujące rozkoszą; ale — niepochwytne. Gonimy je okiem, chwytamy dłonią, przywołujemy sercem — napróżno! Marzymy więc dalej.

Kobieta jest służebnicą, żebraczką miłości. Gdy kto jej uczucia podepce, — kamienieje. Odtąd świat przestaje istnieć dla niej: albo myśli swe w szalonym śmiechu zamyka, albo grób sobie kopie za życia. Dopóki jeszcze nie utraci zupełnie nadziei, może się stać nikczemną — ale tylko w miłości. Nic ją nie obchodzi godność własna, gadanina ludzi obojętnych, napomnienia spowiednika, łzy matki, rady przyjaciółek. Heloiza idzie do klasztoru, kiedy jej Abelard rozkaże. Wszystko przebaczy, nawet swoje upodlenie; o wszystkiem zapomni — oprócz o swojem uczuciu. Ono nigdy nie maleje; znika tylko wraz z jej życiem. We wszystkiem, co mówi, jest natchnienie; we wszystkiem, co czuje, jest potęga. Czyny tylko nie od niej zależą. Ona jest cieniem ukochanego; jako

cień, nie może mieć ruchów dowolnych... Razem z nim skacze w przepaść lub wznosi się na wyżyny; szanuje lub pogardza, zawisa na chmurach idealizmu lub tonie w kałuży zmysłowości. Wola jej pozostaje zawsze w stanie zarodkowym. Kieruje nią ten, komu się odda. Sama dla siebie sławy nie pragnie, o zaszczyty się nie ubiega; chce być królową tylko jednego małego kraiku — serca. Ubiega się natomiast o kochanka, który jakimkolwiek sposobem stał się znakomitym: kocha oczywiście — trudno nawet czego innego wymagać — natury poetyczne; rozkoszuje się w wierszach, dla niej pisanych...

Albo — inny obraz. Kobieta cierpi. Cierpienie, męczeństwo jest jej heroizmem. Jedyną jej bronią są łzy. Niekiedy nawet nie płacze. Smutna, zrezygnowana, staje się ofiarą — bez jęku, bez narzekania. Posągowo biała przesuwa się po ziemi, jak zjawisko pozaświatowe. Oczy jej mgłą zasłonięte; w duszy — spokój grobowy. Kobieta umie się poświęcić. Walki, jakie z sobą stacza, po większej części są dla nas niewidzialne: kryją się w sanktuaryum jej serca; na jaw wychodzi już fakt spełniony. Przedstawia się to w sposób bardzo tajemniczy, stokrotnie potęgujący wrażenie. Kobieta chwyta się za serce i pada martwa. Jakaż nas boleść przejmuje na widok tragiedyi bez słów!..

Jeszcze inny obraz. Kobieta została znieważoną w najświętszych uczuciach swoich. Rzuca się wtedy jak pantera (wyrażenie zwykłe w takich razach), chcąc rozszarpać nikczemnika. Sztyletem ze stali lub, co częściej, sztyletem słowa mści się zniewagi; piorunowem spojrzeniem przybija do ziemi... Nic jej wtedy nie powstrzyma — przemieniła się w zemstę. Nieubłagana, nieulękła, z rozwianym włosem, targa pęta zwykłej nieśmiałości. trucizną zaprawia swoje wyrazy, uśmiechem pogardy krzywi swe usta, dokąd wszystkie uczucia się zbiegły, — jest wymowniejszą od najsławniejszych oratorów, wzmiankowanych przez dzieje... Ani jeden odcień namiętności, ani jedno drgnienie serca nie przejdzie napróżno: kobieta je pochwyci i wypowie. Dopóki milczała, łatwo było mniemać, że przebaczy; kiedy myśl swą a raczej uczucie zaczęła objawiać, trzeba się nawet ze sprawiedliwością pożegnać...

Możnaby przytoczyć jeszcze kilkanaście lub kilkadziesiąt podobnych przykładów, podobnych mianowicie w tem, że główną ich cechą byłaby najzupełniejsza przewaga namiętności we wszystkich słowach, poglądach i sposobach postępowania.

Rzecz naturalna, że poezya, cała przejęta uczuciem, musi bardzo silnie oddziaływać na natury uczuciowe, a zatem głównie też na kobiety. Przenikając do głębi ich duszy, potrafi poruszać struny najczulsze, wzbudzać w nich pewne wyobrażenia i pragnienia, któreby choć w części odpowiadały idealnym wizerunkom, odmalowanym przez poetów. W pewnych zwłaszcza epokach rozbudzonego

życia, do którego wprowadzono nowe żywioły, wpływ ten objawia się w sposób bardzo wyraźny. Nastaje naśladownictwo ideałów poetycznych, posunięte do drobiazgów, nawet do śmieszności. Taką epokę stanowi romantyzm nie tylko u nas, ale i w całej Europie. Wówczas młodzież chciała przemienić rzeczywistość na poezyą: zaczynała reformę od siebie; nastrajała się do tonu opiewanych bohaterów i bohaterek, ubierała się fantastycznie, gorzała niewygasłą miłością do urojonych kochanek i t. p. [1]). Potem znów fakta, zebrane z życia rzeczywistego, stawały się tematem poetycznych utworów, nadając barwę prawdy — marzeniom... To wzajemne oddziaływanie życia na poezyą i poezyi na życie wytwarza, naturalnie, pewien stan umysłowy, w którym uwydatniają się dążenia danej chwili. Niepodobna więc lekceważyć owych ideałów poetyckich; owszem należy sumiennie je analizować i wskazywać zarówno dobre strony, które powinny się stać pobudką do odpowiedniego odtwarzania ich w życiu, jak i ujemne, ażeby przed niemi społeczeństwo ochronić. W ten jedynie sposób może się rozwijać zdrowo każdy organizm społeczny, jeżeli nie chcemy, ażeby się rozrósł nad miarę w jednym kierunku, a wykoszlawił w innych.

Zbierając w jednę całość to, cośmy powiedzieli o stanowisku, jakie kobieta zajmuje lub może zająć w rzeczywistości, a jakie naznacza jej powszechnie poezya, przychodzimy do następujących rezultatów:

Ogólne wrażenie, jakiego doznajemy przy odczytywaniu utworów poezyi, zwłaszcza romantycznej, jest takie: Treść kobiety sprowadza się do serca; jest ono jedynym motorem, pobudzającym ją do życia umysłowo-moralnego, jedynym sądem, wydającym ostateczne i niecofnione wyroki we wszelkich sprawach życiowych, jedynym przymiotem, który o chwale lub hańbie kobiety stanowi. Poza sferą serca kobieta staje się łupem prostaczej prozy...

Czy na tem poezya poprzestać może, czy poprzestać powinna? Jeżeli poezya ma być artystycznem odbiciem rzeczywistości; jeżeli ma wchodzić w skład czynników życia społecznego — o czem zapewne nikt nie wątpi: — to musi oczywiście dawać obraz *całkowitej* działalności kobiety, wszystkich dążeń, wszystkich usiłowań, jakie oną przedsiębierze w celu zrównania się z mężczyzną... Uczucie samo, jakkolwiekbyśmy wielki wpływ mu przyznali, nie jest przecież w rzeczywistości całością natury niewieściej — nie powinno nią być i w poezyi. Szerszy i wspanialszy obejmując zakres, poezya stanie się wszechstronniejszą i żywotniejszą, bo przyczyni się do wyrobienia odpowiednich postawionym

---

[1]) Szczegóły zob. u *Błeppońskiego:* „Bigos hultajski" tom IV — u *L. Siemieńskiego:* „Religijność i mistyka w życiu i poezyach Adama Mickiewicza", str. 16.

ideałom charakterów w rzeczywistości i spełni tym sposobem najwznioślejsze swoje posłannictwo, które od samego początku zawsze jej przyświecało.

Jakie stanowisko zajmują trzej najwięksi nasi poeci wobec kwestyj dopieroco poruszonych; jakie ideały kobiece sercem ich władały, zmuszając do wyrzeźbienia ich w czarodziejskiem słowie; o ile ideały te *dzisiaj* nam wystarczają: — oto pytania, które w obecnym komentarzu do znanych i czytanych poematów starałem się, jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniej — bliżej określić.

L. HOROWITZ.



ADAM MICKIEWICZ.

Strona uczuciowa Mickiewicza.

Każdy umysł wielki nie zniża, lecz podnosi ku sobie wszystko, co ukocha. Poeta, w którym wulkany uczuć rozpalają wyobraźnię, z tem większą łatwością może gorętszemi barwami obrzucić wszystkie szczegóły swego życia, a zwłaszcza te chwile, w których dwoje serc zgodnie uderzyło. Kobieta wówczas ubiera się w szaty jego ducha i jak królowa wróżek tęczowemi jaśnieje kolory. Po większej części dzieje się to bezwiednie, wypływając z konieczności organizmu umysłowego; stąd też gdy nadzieje sięgające w niebo zostaną zawiedzione; gdy marzenia rozproszą się jak mgła poranna: poeci zawodzą namiętne skargi i jeszcze namiętniejsze przekleństwa z piersi swych wyrzucają. Serce się krwawi, własne opłakując złudzenia...

Mickiewicz, którego duch rozjaśniony był całą potęgą myśli świadomej, chociaż w twórczości swojej ulegał *bezwiednym* nieraz bodźcom wewnętrznym, znał tę prawdę i jasno ją określał. Zanurzony w marzeniach, których pierwszą przyczyną (jak sam wyznaje) były książki, „młodości niebo i tortury“, roznamiętniony pierwszem budzącem się uczuciem, szukał owej *„boskiej* kochanki“ —

> Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
> Którą tylko *na falach wyobraźnej pianki*
> Wydęło tchnienie zapału,
> A żądza *w swoje własne przystroiła kwiecie*...

Lecz choćby kto nie wiem jak był przekonany, że na ziemi nie znajdzie ucieleśnionego ideału, szukać go jednak nie przestanie. Potrzeba miłości jest tak potężna, że drwi sobie z przestróg zdrowego rozsądku, biegnąc w pogoń na oślep. Zapominamy o wszystkiem, pragniemy tylko zadowolnić własne

serce, choćby świat nawet zburzyć przyszło; łudzimy się długo; mara znika — rozpaczamy...

Przeważającym pierwiastkiem w duszy naszego wieszcza było *uczucie*. Uczucie to okoliczności zewnętrzne w rozmaite kierowały strony. Epoka jego młodości przypada na czas reakcyi religijnej i przeważnego panowania poezyi romantycznej. Po wieku encyklopedystów i rewolucyi francuskiej, kiedy starano się wszelkiemi sposobami wygubić przesądy, kiedy napadano na zepsucie kościoła i nieuctwo duchowieństwa, nastąpiło oddziaływanie w przeciwnym kierunku. Potępiano i wyklinano Woltera, Diderot'a, Volney'a, wolnomularzów, obrzucając ich błotem, nazywając ich — wysłańcami szatana. O ile gwałtownie wyrażała się poprzednio przewaga rozumu, o tyle teraz, działając na serca, roznamiętniano uczucia.

Na szczerej, pobożnej Litwie, w zaściankowych zwłaszcza dworkach, niewiele zapewne wiedziano o Wolterze i Encyklopedyi. W szkołach atoli ks. dominikanów, w Nowogródku, musiał Mickiewicz posłyszeć pierwsze pioruny na materyalizm i wolnomyślność. Duch starej pobożności wyniesiony z domu, wsparty ogólnym prądem ówczesnego nastroju umysłowego, działał silnie na wrażliwe jego serce. Wprawdzie na wsi „na wzgórku“ czytywał „Roussa“ razem z ukochaną; ale mowa tu zapewne o „Nowej Heloizie“, której głównym tematem jest obrona silnego, szalonego uczucia; — przeciwnego „dogmatom“ nic tam się nie znajduje. W dzieciństwie ściśle przestrzegał *postów*, a gdy po raz pierwszy przyjechał do Wilna, ażeby zapisać się na studenta uniwersytetu, „zaszedł najprzód“ (jak sam opowiadał Odyńcowi) „do Ostrej Bramy, wspominając zaś o matce i modląc się *z płaczem*, we łzach tych właśnie znalazł pociechę i jakby poczucie wewnętrzne, że go Najświętsza Matka przyjęła w opiekę“.

Niepodobna, ażeby w uniwersytecie wiara ta nie ostygła. Życie rozrzucone młodzieży, wpływ różnorodnie usposobionych kolegów, kierunek studyów naukowych, wszystko to oddziaływa, wszystko to rozwiewa, zobojętnia uczucia, wyrosłe, jak kwiaty, w cieniu domowego zakątka. Owczesne towarzystwa literacko-naukowe dosyć obojętnie względem religii się zachowywały, dbając tylko o podniesienie moralności i rozszerzenie światła. Na poparcie tego twierdzenia mamy świadectwo w scenie studenckiej w III-ej części „Dziadów“ — jak również w liście Odyńca do Lucyana Siemieńskiego. W każdym jednak razie wiara, jako skierowanie myśli ku Istocie najwyższej, tajemniczej, głęboko się wyryła w umyśle poety, tembardziej, że z drugiej strony uczuciowość wogóle podbudzona została panującą wówczas poezyą romantyczną.

Romantyzm pomiatał rozumem, a zwłaszcza zdrowym rozsądkiem, który uważał za pachołka ludzi płaskich, niewiedzących, co to polot duszy. Serce

było jego kościołem, trybunałem, ostateczną we wszystkiem wyrocznią. Kto popędom jego bezwarunkowo się nie poddawał, był „szkieletem człowieka, kamieniem“. Nauki obrywały skrzydła fantazyi, nie dozwalały rozwijać się przyrodzonemu gieniuszowi — zostawiano je mólom. Romantyzm łączył się chętnie z katolicyzmem, o ile ten nie tamował fantastycznego rozwoju myśli i o ile obrzędami swemi dając karm wyobraźni, mógł służyć za wyborne malownicze tło dla obrazów poetycznych.

Mickiewicz miał z początku zamiar uczęszczać na wydział matematyczny; lecz niebawem uczuł się nie w swoim żywiole wśród znaków algiebraicznych; — przeniósł się więc na wydział literacki. Nie od razu się tu zapoznał z literaturą romantyczną; pierwotnie musiał się łamać z suchemi regułami rutyny klasycznej. Nie odpowiadały one, oczywiście, naturalnemu pociągowi poety, nie zadawalniały jego strony uczuciowej; to też z całym zapałem człowieka, który długo szukał jakiejś prawdy żywotnej, oddał się balladowaniu: uwierzył poetycznie w duchy i upiory, w niezależność i bezwarunkowość wymagań serca, w zbyt szczupłe granice naukowego badania. Przeciwstawiając się kierunkowi fizyczno-matematycznemu, który Jan Śniadecki naówczas w uniwersytecie reprezentował i rozwijał, wystąpił wprost z oświadczeniem odmiennem. Nie eksperyment, nie mikroskop, nie retorta, ale zespolenie się z przyrodą, z ludźmi, może odkryć wielkie prawdy:

Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca *szkiełko i oko*...

Niezadowolnienie z prawd suchych, martwych, matematycznie wykreślonych, wypowiada poeta z siłą, z przesadą nawet, unosząc się w świat fantastyczny. „Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz *cudu*“ [1]) — woła z zapałem do badacza, robiąc alluzyą do Śniadeckiego („Widzisz świat *w proszku, w każdej gwiazd iskierce*...“). Jedyną zasadą, jedynym przewodnikiem po ciemnych zaułkach życia ma być uczucie: „Miej serce i *patrzaj w serce!*“ [2]). W zapale robi porównanie śmiałe, choć może niezupełnie sprawiedliwe: „Jak *wilk* — powiada, zwracając się do ludzi zwykłych, prozaicznych — lub jak *astronom* patrzają na niebo“...

Uczuciowość pod wpływem romantyzmu przemienia się w sentymentalność, którą Mickiewicz ironicznie przedstawił później w *Panu Tadeuszu* (postać hra-

---

[1]) Porównaj słowa Goethego w „Fauście“: *Das Wunder ist des Glaubens liebstes Kind.*

[2]) Porównaj słowa Goethego w „Fauście“:

Doch werdet ihr nie Herz zu Herzen schaffen,
Wenn es euch nicht von Herzen geht.

biego i Telimeny). Stąd w początkowych utworach tyle płaczliwej sielanki, że Mickiewicz w jednym szeregu zestawia trzy osobistości: *pasterza*, *kochanka, poety;* a opisując swój romans z Marylką, opowiada z całą prostotą, ale i z całą naiwnością młodzieniaszka, że z lasów przynosił jej *kwiateczki*, *jagody;* a ona ze zdrojów, stojąc przy nim, „wywabiała wędką srebrnopiórego karpia, pstrąga z krasną cętką“...

Uczuciowość pod wpływem romantyzmu i wiary przemienia się w mistycyzm i zabobon. „Jednakowa nam *gwiazda* świeciła w powiciu“ powiada poeta w IV-tej części Dziadów. Mickiewicz miewał liczne widzenia, silnie wierzył w przeczucia i przepowiednie, marzył o mistycznem dusz połączeniu:

Dwa serca pałające na dwu krańcach ziemi
Rozmawiają, jak gwiazdy promieńmi drżącemi...
W przyrodzeniu, powszechnej ciał i dusz ojczyźnie,
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliźnie;
A tylko serce czułe, z dozgonną tęsknotą,
W rodzinie tworów jedną ma zostać sierotą?
Twórca mi dał to serce. Choć w codziennym tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie,
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnemi lata.
O, gdybyśmy, dzielące rozerwawszy chmury,
Choć przed zgonem tęsknemi spotkali się pióry,
Lub słowem tylko, wzrokiem, dosyć jednej chwili,
Dosyć, by się dowiedzieć tylko, żeśmy żyli...
Bylibyśmy jak lotne tchnienia, co je rosa
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosa,
Lekkie i niewidome; lecz kiedy się zlecą,
Spłoną i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą...

Niepodobna więcej nawet po mistyku wymagać. Tak było z samego początku — i tak się też przy końcu życia przedstawił Mickiewicz. Pośredni atoli okres, w którym najznakomitszy powstał utwór *(Pan Tadeusz),* jest harmonijnem połączeniem wiedzy i uczucia, rozumu i serca. Nie rozwijamy myśli tej bliżej — gdyż jest ona kwestyą odrębną. Wracamy do dalszego określenia strony uczuciowej poety.

Odciąwszy młodzieńcze wybujałości, które nigdy u Mickiewicza *treści* [1]) *większych utworów* nie stanowią, znajdziem w naszym poecie serce czułe, ale nie chorobliwe, więcej zamknięte w sobie aniżeli gadatliwe, raczej dumne niż rozpaczające. Nie konwencyonalna blaga, nie latanie po obłokach, ale szczerość

[1]) Kładę nacisk na *treść,* gdyż pod względem *formy* całe *Dziady* są obrazem wpływu romantyzmu i wiary.

i prawda uczucia — oto najgłówniejsza charakterystyka umysłu Mickiewicza. Przychodził do ludzi z sercem otwartem; mówił, co myślał; — to też srogo się nieraz zawodził. Ukochanej swojej egzotycznych kwiatów do skroni nie przypinał; wieńce jego proste i zwykłe — jak przyroda kraju naszego. Fałszu nie znosił; naciąganiem i przesadą się brzydził. Jeżeli kiedy zadaleko się zapuszczał, to polot ten w dobrej rozpoczynał wierze; serce gorące a spragnione piękna i prawdy nasuwało mu myśli wielkie, szlachetne zawsze, niekiedy tylko dziwaczne.

Nie lubił umieszczać uczuć swoich w dobrze zakorkowanych słoikach, jak lekarstwo w aptece; jeżeli kochał, kochał całą potęgą uczucia; jeżeli nienawidził — przeklinał lawą słów piekących jak rozpalone żelazo. Poddawał się uczuciu całkowicie, bez podziału: nie rozumiał i nie chciał rozumieć strategii kobiecej, nakazującej względy dla wszystkich, byle tylko miły spokój zachować. Nie znał półsłówek; nie zatruwał niemi życia ani sobie ani innym. Potężny w miłości, potężnym był w rozpaczy — duch jego przebiegał całą skalę uczucia.

Oto namiętny głos oburzenia na zwodniczość płci pięknej, a zarazem głos niczem niezwalczonej miłości:

Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto!
   Postaci twojej zazdroszczą anieli,
   A duszę gorszą masz, gorszą niżeli...
Przebóg! tak ciebie zaślepiło złoto
   I honorów świecąca bańka wewnątrz pusta!
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto,
   Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!...
   Ja, gdybym równie był panem wyboru
I najcudniejsza postać dziewicza,
   Jakiej Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza niźli aniołów oblicza,
   Niźli sny moje, niźli poetów zmyślenia,
Niźli ty nawet... oddam ją za ciebie,
   Za słodycz twego jednego spojrzenia!
Ach, i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystko złoto Tagu,
   Gdyby królestwo w niebie:
   Oddałbym ją za ciebie!
Najmniejszych względów nie zyska ode mnie,
   Gdyby za tyle piękności i złota
Prosiła tylko, ażeby jej luby
   Poświęcił małą cząstkę żywota,
Którą dla ciebie całkiem poświęca daremnie;

Gdyby prosiła o rok, o pół roka;
Gdyby jedna z nią pieszczota;
Gdyby jedno mgnienie oka:
Nie chcę! nie! i na takie nie zezwolę śluby!... — —
A ty — sercem oziębłem, obojętną twarzą
Wyrzekłaś słowo mej zguby!...

Uczucie poety, ponieważ jest głębokie i prawdziwe, objawia się nazewnątrz wstydliwością niemal dziewiczą:

Ach! ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek...
I gdy dobranoc daję przy księżyca blasku,
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,
Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię.

Równocześnie atoli z tą wstydliwością łączy się u Mickiewicza silne poczucie dumy męskiej, które nie pozwala mu na wzór wielu płaczliwych kochanków jęczeć tylko i wyrzekać, lecz wkłada mu w usta wyrazy energią brzemienne, zapowiadające, że lubo w poezyi uważa się kochanek za „cienik blady“ swojej ukochanej, w rzeczywistości przecież potrafi przebyć przesilenie miłosne bez ostatecznego szwanku:

Stój, stój, żałośne pisklę! precz, wrzasku niewieści!
Będęż, jak dziecko szczęścia, umierając szlochał?
Wszystko mi, wszystko niebiosa wydarły,
Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!
Żywy, o nic przed nikim nie umiałem żebrać,
Żebrać litości nie będę, umarły...

Zapomnieć o ukochanej nie może, bo pamięć pozostaje na rozkazy głucha; ale nie chce wydawać się zrozpaczonym. Stąd pochodzi prośba, którą Gustaw z IV części „Dziadów“ zanosi do księdza, ażeby nie wyjawiał kochance rzeczywistego powodu jego samobójstwa, lecz wyszukał jakiś pozór, świadczący, że zawiedziony już o niej nie myślał:

Słuchaj ty... Jeśli kiedy obaczy...
I jeśli ciebie zapyta,
Pewna nadludzka dziewica... kobiéta,
Z czego umarłem?... Nie mów, że z rozpaczy,
Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,
Żem ani wspomniał nigdy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjacioły...
Że ta pijatyka... tańce...

Że mi się w tańcu... ot... skręciła noga...
Z tego umarłem...

Z innego rozpatrując punktu, uczuciowość poety jest czysto-ludzka: nie błądzi on po zaczarowanych krainach mrocznego *idealizmu,* który zapomina zupełnie o ziemi; ale też nie pozwala swym myślom tarzać się w kale cynizmu i brudów. Wie o tem, że organizm cielesny jest podstawą naszego bytu; nie gardzi więc szczegółowym opisem nie tylko jego samego, lecz nawet pokrywającego go ubrania. Wzmianki te atoli idealizując, podnosi do sfer wyższych czy to pojedyńczym przymiotnikiem czy całą treścią utworu. Stąd wynikają takie zestawienia, jak: „twarz boska“, „piersi jak jabłuszka mleczne“, „śnieżne piersi“, „lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka“, „piersi twarde jak gruszki a tak małe ich nóżki, że za trzewik dziewczynie swawolnej, często służy kwiat pewny, zwany trepkiem królewny, kwiat nie większy od lilii polnej“ — i t. p.

W rozwinięciu szczegółów i przebiegu miłości, obok rozkoszy czysto duchowych: rozmowy, wspomnienia, nie zapomina również o prawach, któremi nas ziemia do siebie przykuwa. Lubi wystawiać kochanków „zawsze samotnych, zawsze z sobą w parze“, wie, że można „z ustek różanych i z liców rumianych słodycze wysysać“...

„Dobranoc! obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica. — Dobranoc! Chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować! — Dobranoc! — zapięta“... —

woła do kochanki na pożegnanie. Wybornie scharakteryzowana ludzka natura i ludzkie uczucie! Nie jesteśmy aniołami; anielskiego też idealizmu zachować nam niepodobna.

Uczucie zazdrości o lubą silnie w nim przemawia. Chce sam napawać się obecnością kochanki; nie cierpi wizyt, które przerywają chwile upojenia; pragnąłby się ich pozbyć na wszelki sposób:

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiłbym lisie pastki, kolczate okowy,
A jeśli niedość bronią, uciecbym gotowy
Na tamten świat, — stygową zasłonić się tamą.

Zazdrość jego wchodzi w najdrobniejsze szczegóły; bo „drogo każda kupiona pieszczota, na wagę duszy, pokojem żywota“.

Idalizm, ów idealizm opiewany przez Petrarkę, niedbający o to, że jego ukochana jest już podżyłą kobietą, ma męża i cieszy się liczną konsolacyą,

pragnący jedynie harmonii dusz, zgodności serc, wspomnień raz na rok lub na lat kilka; idealizm słowem chorobliwy, choć naturalny, powstaje naówczas, kiedy niema już żadnej nadziei zostania szczęśliwym z kochanką, kiedy zgodzić się musimy na wszystko, co siła nieubłaganych okoliczności na nas wymusza. Jest to chwila, w której lecący w przepaść chwyta się za krzak cierni, nie bacząc, że dłoń sobie rozkrwawi, byle tylko unieść życie. Brak punktu wyjścia przystać nam każe nawet na najuciążliwsze warunki, chociaż w głębi serca zachowamy żal głęboki i to przekonanie, że miłość nasza dostała się w ręce skąpca. Wtedy nazywamy ciało „podłem"; przyznajemy, że nam nic nie obiecywano, nic nie przyrzekano, że sami sobie musimy winę przypisać; prosimy już tylko o wyznanie, że „Bóg poślubił nam duszę" kochanki; — ale pomimo to wszystko, pomimo wyrazów zewnętrznie zupełnie zadowolnionych, dusza nasza oburza się i woła:

Wierzaj, są oświadczenia nawet bez wyznania,
Są obowiązki, nawet bez obowiązania...

Idealizm więc ów u natur silnych, zdrowych jest fazą tylko przejściową; nigdy on nie opanowywa duszy całkowicie, nie pochłania jej działalności. Po przejściu tej fazy albo tępiejemy zupełnie, albo wracamy do warunków normalnych, albo też stajemy się bajronistami. Mickiewicz po napisaniu IV-tej części „Dziadów", w której ów idealizm dochodzi swego apogeum, skierował swą twórczość ku rzeczom realniejszym, mającym za przedmiot, nie jednostkowe, ale ogólne znaczenie („Konrad Wallenrod", „III-cia część Dziadów", Pan Tadeusz").

Tu występuje na nowo owo czysto-ludzkie uczucie w połączeniu i w pokrzyżowaniu z ogólnemi sprawami kraju [1]).

Jeżeli więc weźmiemy na uwagę wpływ czynników takich, jak religia i romantyczność, które na czas pewien zmieniły i nieco chorobliwą uczyniły naturę uczuć Mickiewicza; jeżeli uwzględnimy idealizm, najzupełniej zgodny z przyrodzonym rozwojem naszych namiętności, w takim duchu, w jakim go powyżej przedstawiłem: — to zgodzić się musimy, że największy wieszcz nasz był *realistą*, i to realistą prawdziwym w przedstawianiu tych poruszeń, jakie sercem ludzkiem miotają. Uzasadniając moje twierdzenie, przytoczyłem dowody i w dalszym ciągu pracy niejeden jeszcze się wykaże. A co się tyczy przekonania, czy mroczny, niewiedzący o sobie idealizm lepszym jest od zdrowego, naturalnego realizmu, który traktuje wszystkich, nie jak aniołów, ani jak szatanów, ale jako

[1]) Po bliższe szczegóły odsyłam do następnego rozbioru pojedyńczych postaci.

ludzi: — odzywam się do tych, którzy miłują ludzkość taką, jaką jest, a pragnąc polepszenia, szukają środków zaradczych jedynie na ziemi — i zapytuję ich o wielkość poety, którego kochają i rozumieją...

* * *

Wielcy ludzie mają ten przywilej czy też tę niekorzyść, że każdy uważa się za uprawnionego do badania gruntu ich głowy i serca; że każdy radby wiedzieć, jakie czynniki złożyły się na wytworzenie tego gieniuszu, który podziwiamy. Odnosi się to szczególniej do ich uczuć miłosnych. O poetach zagranicznych popisano pod tym względem całe tomy; o naszym największym mistrzu dopiero w najnowszych czasach dowiedzieliśmy się nieco więcej szczegółów.

Jak wszyscy nasi i nie nasi poeci, był Mickiewicz bardzo wrażliwym na urok piękna niewieściego; znamy kilka kobiet, ku którym serce jego zabiło przyśpieszonem tętnem; ale najpierwszą i na twórczość poetycką największy wpływ wywierającą była ta, co natchnęła wieszcza przepysznemi obrazami zawiedzionej, cierpiącej miłości w *Dziadach*.

* * *

Wszyscyśmy dotąd wiedzieli, że pierwszą miłością 20-letniego studenta uniwersytetu była Marya Wereszczakówna. Tego charakteru nie utraci ona nigdy, to niewątpliwa; lecz że serce młodzieńca żywiej zabiło już przed nią dla innej kobiety, dowiadujemy się z opowiadania Aleksandra Chodźki. Chodźko, jak w młodości wielbicielem, tak później w Paryżu, od czasu zwłaszcza zajęcia się Towiańszczyzną, był serdecznym i zaufanym druhem poety i skrzętnie notował rozmowy z nim prowadzone. Mickiewicz, gdy nie miał przy sobie zbyt dużo osób, chętnie zwracał pogadankę do rzeczy potocznych i lubił odświeżać wspomnienia dawniejsze. Raz, 18 czerwca 1846 r., cały wieczór spędził Chodźko sam na sam z poetą, ktory mu tonem swobodnym, może nawet troszkę żartobliwym, odmalował owo przelotne zajęcie serca swego. Słuchacz spisał to opowiadanie. Ponieważ jest ono jedynem źródłem do tego epizodu z życia Mickiewicza, nic lepszego nie mam do zrobienia, jak je w całości powtórzyć:

„Przed Marylą kochałem Józię: śliczna, świeże usta, białe zęby. W domu ich, małym zaścianku, samo życie i radość. Pamiętam, gdy kładła zauszniki i ubierała się, wychodząc na pole, siostra moja (później Stypułkowska) mawiała: oto, gdyby wszystkie żniwiarki takie ładne były! — Znalazłem ją raz w polu siedzącą na snopie, z gitarą, i śpiewającą silnym, czystym głosem. Przy

niej jakiś komisarz, zapewnie kochanek, płakał bujnemi łzami... Moja miłość do Józi nie miała nic namiętnego; lubiłem siedzieć przy niej: tyle z niej wionęło świeżości i życia. Po kilku latach straciłem ją z oczu i wiedziałem tylko, że wyszła za mąż za krewnego mego, Felicyana Mickiewicza. Będąc na wakacyach, w blizkości, wstępuję do niej. Parobek w brudnej koszuli kłania się w pas. — Czy jest pani Felicyanowa? — A jest, paniczku... Przychodzę; dwoje małych dziatek, a ona ubrana brudno, zżółkła, wychudła, zbrzydła; ledwo przypomniałem sobie, że to Józia. Zaczęła rzewnie szlochać: mój Boże, ja tak poszpetniała! Parobek — był to także mój krewny, chodził do szkół i słynął z dowcipu, ale teraz nie mogłem się dopytać u niego ani słowa; więc mi wstyd było mojego fraka i chustki, żenujących tych poczciwych ludzi".

Z tej relacyi prawdopodobne wolno wyciągnąć przypuszczenie, iż zachwycił się Mickiewicz Józią jeszcze jako uczeń szkół nowogrodzkich, a rozczarował („po kilku latach") jako student uniwersytetu, może tych samych wakacyj 1818 r., kiedy miał poznać Marylę i doświadczyć wzruszeń o wiele silniejszych.

Jeden z uniwersyteckich kolegów Mickiewicza, Tomasz Zan, czuły wielbiciel płci pięknej, ku czci której „promionki" swego ducha w najróżnorodniejsze rymy zestrzeliwał, bawił poprzednich wakacyj u przyjaciela swego Michała Wereszczaki w Tuhanowiczach. Jest to wieś w powiecie nowogródzkim, na południe od Nowogródka, w pobliżu Płużyn i jeziora Świteź. Zan zachwycał się bezwątpienia i pięknością jeziora, ale jeszcze więcej pięknością siostry swego przyjaciela, Maryi, którą przezwał, ówczesnym zwyczajem zdrabniania imion, na wzór sielankowych poetów, Marylą. Pisał on mnóstwo wierszy do niej i o niej, jako o istocie arcy-poetycznej, i opowiadał cuda o tej świteziance. Otóż, jadąc do Tuhanowicz na wakacye w r. 1818, namówił i Mickiewicza, ażeby także odwiedził spólnego kolegę i przyjaciela, Michała Wereszczakę. Nasz Adam nie był w owej porze tak posępny i melancholiczny, jak go sobie czytelnicy *Dziadów* zwykli wyobrażać; owszem lubił być wesołym, kiedy się znajdował ze swoimi, mianowicie z Zanem, Czeczottem, Malewskim, i „dziwnie przyjemnym" był natenczas. Jego piękna twarz, koralowe usta, namiętne oczy, gęsty hebanowy włos, miły dźwięk mowy, pewność siebie bez zarozumiałości i niepospolita bystrość czyniły tego 20-letniego młodzieńca nader miłym towarzyszem wogóle a tembardziej na wsi. Do Tuhanowicz przyjechali Zan i Mickiewicz nad wieczorem w sobotę, a więc w dzień Maryi. Gospodarzy w domu nie było, wyszli bowiem na gospodarską przechadzkę w pole. Zan chciał tymczasem pokazać koledze dom i swój dawny pokoik, w którym mieszkał za pierwszą bytnością. Tu ich zajął widok, którego się nie spodziewali. Na poręczach dwu krzeseł, ustawionych w środku pokoju, leżała deska do prasowania; na niej stos

kołnierzyków, chusteczek kobiecych i szeroka różowa szarfa; wyprasowana zaś już i wyświeżona na niedzielę biała sukienka wisiała u drzwi na zawiasie. W pokoiku nie było nikogo, gdyż prasująca dziewczyna dopiero co poszła właśnie po nową duszę do żelazka... Zan utrzymywał nie na żarty, że Adam, nim obaczył Marylę, którą wracającą z przechadzki na pół drogi wkrótce spotkali, już się naprzód w jej sukience zakochał... Jak silne wrażenie wywarł na 20-letnim studencie ten prosty i tak zwyczajny widok, wiedzą czytelnicy *Pana Tadeusza* zaraz z początku księgi pierwszej tego arcydzieła.

Maryla, będąca o rok młodszą od Adama, już wtedy miała konkurenta w osobie Wawrzyńca Puttkamera [1]), zamożnego obywatela z Lidzkiego. Nie należy go sobie wyobrażać wedle niektórych ustępów w *Dziadach* jako starego bogacza, jako jaśnie pana, który najsłodsze uczucia kochanków goryczą i rozpaczą zatruwał. Jak świadczą znający go zblizka, *Lorens* (tak go w poufałem gronie nazywano) nietylko z powierzchownej urody i wewnętrznego nastroju ducha, ale nawet z całego przebiegu i okoliczności życia, był „najpoetyczniejszym typem naszego szlacheckiego młodzieńca, co przecież w niczem, pod względem moralnym, tak w rodzinnych jak w społecznych stosunkach, nie ubliżało dojrzalszemu typowi obywatela-męża“. Miał on wówczas lat 24 skończonych.

Nietylko zatem ze względu na „dobrą partyą“, ale także zapewne i ze szczerego przywiązania, Marya Wereszczakówna mogła skłaniać swe serce ku Puttkamerowi. Ale wiadomo, jak u nas panny na wydaniu lubią korzystać z czasu, który im do zamążpójścia zostaje, jak lubią rozmarzyć się trochę, zanim przejdą do prozy powszedniej. Maryla żyła w chwili, gdy nawet i do skromnych dworków szlacheckich zachodziły odgłosy usposobienia sentymentalnego, które wówczas wśród wyższych klas towarzyskich panowało. Mając serce miękkie i wrażliwe, czytaniem sielankowych wierszy roztkliwione, rada była zapewne spożytkować czas swojej wolności dziewiczej na zamianę spojrzeń i słów z poetycznym studentem, ani myśląc oczywiście, żeby to mogło ją do czegokolwiek obowiązywać. Była to kobieta wychowana w okresie sentymentalności, oczytana, przywykła używać wyrazów cudzoziemskich i wyrażeń francuskich, ceniąca w utworach poetów czułostkowość przedewszystkiem. Jakiemi urokami umiała Maryla podbić serce poety, nie wiemy. Więcej posiadamy szczegółów o brzozie, zasadzonej jakoby ręką Mickiewicza opodal owej sławnej altany, która była „kolebką i grobem jego szczęścia“, aniżeli o duszy kochanej przezeń kobiety. A przecież

[1]) Dotychczas, opierając się na opowiadaniach Odyńca, utrzymywano powszechnie, iż Maryla była wówczas już zaręczoną; dopiero w końcu r. 1885 syn Maryli, Stanisław hr. Puttkamer, zaprzeczył temu stanowczo w liście do p. W. Belzy, autora szkicu p. n. „Maryla i jej stosunek do Mickiewicza“ (Lwów, 1885).

cokolwiekbądź przypuścimy o ubieraniu kochanek poetów w szaty własnego ich ducha; cokolwiek zechcemy powiedzieć o niewybredności niedoświadczonego, świeżego.i niewinnego serca w 20-tym roku życia: toć głębokie i długotrwałe uczucie, jakiem Mickiewicz przejęty był dla Maryi, musiało mieć źródło, choć nie w przymiotach jej umysłu, to najniezawodniej — serca. Jeżeli dla tych, którzy „zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety", była to zwyczajna sobie szlachcianka („at sobie kobieta"...), wychowana wedle sentymentalnego wzorca w zaciszu wiejskiego dworku; jeżeli pomimo oczytania w literaturze poetyckiej, będącej wtedy w modzie, nie zdołała nawet myślą podążyć za orlim lotem poety: — to musiało tam być coś w charakterze, co braki owe wynagradzało.

Do dziejów tej pierwszej wielkiej i wpływowej miłości mamy obecnie 10 listów Maryli, z których do niedawna dwa tylko maleńkie urywki były znane. Przechował je poeta starannie w osobnej kopercie z napisem: „Listy z Litwy", mieszcząc w niej miniaturowy portrecik Maryli i zeschły liść, tak dobrze znany z „Dudarza" i z „Dziadów". Nie objaśniono nas, czy to liść cyprysowy, czy jodłowy, ale stwierdzono, że nie był on w utworach wieszcza poetyckiem zmyśleniem, lecz istotną pamiątką.

I jeszcze jeden szczegół z „Dziadów" znajduje faktyczne uzasadnienie w liście, a raczej króciutkim bileciku Maryli. Któż nie pamięta owej wstrząsającej sceny pożegnania wśród nocy, w ogrodzie, przy altanie, kiedy odjeżdżający nazajutrz Gustaw błądzi po zaroślach i w rozmyślaniu a modlitwie szuka tej zbroi, którąby „odział serce miękkie z przyrodzenia i wytrzymał ostatni pocisk jej spojrzenia". Noc była „najpiękniejsza!"

Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;
Cała ziemia kroplistą połyskała rosą,
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura grube napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy;
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu.

Wtedy-to, śród tej nocy „najpiękniejszej", cios najboleśniejszy dotknął kochanka-poetę; słowa: bądź zdrów, zapomnij — wymówiono ze łzą w oku, a bladością wielką na licu; wtedy dostał na pamiątkę urwaną przez Marylę gałązkę — wszystko, co im „tu na ziemi" zostawało.

Otóż, pomiędzy listami, z taką czcią przez poetę przechowanemi, znajduje się jeden zwięzłością swoją wymowny, który, jak się zdaje, jest w faktycznym związku z ową sceną. Maryla naznacza stęsknionemu i zbolałemu poecie schadzkę:

„O 12-tej wieczór w tem miejscu, gdzie byłam raniona gałęzią; a jeżeliby coś arcyważnego przeszkodziło, wtenczas na granicy, w piątek o 5tej godzinie“.

Kiedy to było? — liścik nie mówi, gdyż wogóle listy Maryli, jak zwykle korespondencya niewieścia, zwłaszcza dawniejsza, dat ścisłych nie posiadają; czasami oznaczony jest dzień, ale rok nigdy. Prawdopodobnem jest jedynie, że taki bilet mógł powstać chyba tylko w chwili stanowczej, rozstrzygającej, a więc wówczas, gdy Maryla zdecydowała się wyjść za Wawrzyńca Puttkamera. Spotkanie się ówczesne było bolesnem dla obojga rozstaniem się, ale bynajmniej nie zerwaniem wszelkich stosunków. Łatwo przypuścić, że dla obojga poetycznie nastrojonych wystarczała ostatecznie świadomość, iż się dusze ich rozumieją i sobie są poślubione. Wszak słowa księdza w „Dziadach“ o spójni dusz uznaje Gustaw za wyrazy podsłuchane w czasie owej rozmowy:

Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:
Idą ku sobie gwiazdy, choć je mgły zaciemią,
Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi;
Łańcuchy, *tu* wiążące, prysną razem z ziemią,
A tam nad ziemią znowu poznają się swoi.

Czysto duchowa atoli spójnia dusz bez żadnej oznaki materyalnej nie była, w pierwszych mianowicie latach po rozstaniu, możliwą. Zarówno poeta, jak i Maryla, uczuli potrzebę komunikowania się bezpośrednio lub pośrednio, bez najlżejszej zresztą obrazy czci Wawrzyńca Puttkamera, który został mężem Maryli 2 (14) lutego 1821 roku. Z listów przechowanych przez Mickiewicza dwa tylko są wprost do niego zwrócone, inne zaś pisane pod adresem Tomasza Zana, który starał się być pocieszycielem obojga swojemi perswazyami, tak zwanemi przez siebie „rozdziałkami“, w których swoję idealistyczną teoryę miłosną do stanu duszy osób drogich stosował.

Oba listy do Mickiewicza są skreślone w języku francuskim. Używa w nich Maryla formy odpowiedniej temu językowi przemawiania przez drugą osobę liczby mnogiej *(vous)*, raz tylko jeden użyła liczby pojedyńczej *(tu)*, kierując się właściwą niewiastom subtelnością w ocenianiu szczególnej błogości, jaką ten wyraz mężczyznom sprawia, gdy jest bardzo do nich rzadko zwracanym. Oba listy są tkliwe, ale zarazem i rozsądne; widać z nich, że jakkolwiek Maryla silnie kochała poetę, nie czuła przecież w sobie rwącej namiętności, zadawalniała się spokojniejszem rozmarzeniem, czasami nawet przemawiała w charakterze starszej osoby do ukochanego. Skarżyła się, co prawda, na cierpienia moralne i fizyczne: ból oczu, ból głowy i t. p., ale robiła to w tonie łagodnym, chętnie się posługając utartemi ogólnikami.

Opierając się na prawie kojarzenia się wyobrażeń, wedle którego dążą one do odradzania się w takim samym porządku, w jakim następowały wrażenia, można mniemać, że list oznaczony datą 18-go był pisany niebawem po rozstaniu, ale już po ślubie (a więc może 18-go lutego lub 18-go marca) 1821 r.; są w nim bowiem takie same myśli, jakiemi w „Dziadach" kochanka starała się umocnić Gustawa i zachęcić go do życia. Jak tam znajdowała się rada, by zapomniał „o swym proszku", a zważał „na ogrom świata", jak tam wskazane były wyższe cele działalności dla nauki, dla sławy, by zmienić ukochanego w „Atlasa, dźwigającego niebo kamiennem ramieniem"; — tak w liście, rozumie się, w wyrażeniach powszednich, też same myśli poddaje Maryla Mickiewiczowi:

„Cierpisz, mój przyjacielu. Jesteś nieszczęśliwy, nie dbasz o siebie! Powiedz mi, co sprawia cierpienia twoje i jakie na nie lekarstwo? Zapomnij o mnie, mój przyjacielu, jeśli tego potrzeba dla twego szczęścia i spokojności. Gdyby do twego szczęścia trzeba było tylko miłości mojej, byłbyś aż zanadto szczęśliwym. Ale nie. Zamiast przyczyniać się w czemkolwiek do twego szczęścia, ja jestem jedyną przyczyną wszystkich twych nieszczęść. Nie możesz sobie wystawić, ile mię myśl ta trapi.

„Bądźmy rozsądni *(soyons raisonnables)* [1]), mój przyjacielu, nie zaniedbuj swego talentu. Zapomnij o tej miłości, która jest twojem nieszczęściem. Jeżeli potrzeba dla twego spokoju, żebyś mnie już nie widział *(que tu ne me revoies plus)*, zgadzam się na to. Daję ci zupełne pozwolenie na postępowanie według woli, bylebyś był szczęśliwy, zadowolony i spokojny. Zalecam ci tylko dbać o swoje zdrowie. Pomyśl, że jest ono bardzo drogiem dla mnie.

„Bądź wielkim, mój przyjacielu.

„P. Tomasz odjeżdża. Muszę kończyć tę bazgraninę. Na Boga, spal ten list i nie pokazuj go nikomu.

„Raz jeszcze zaklinam cię, żebyś dbał o zdrowie, tak drogie memu sercu.

„Znajdziesz dużo nieładu w tym liście, gdyż po kilka razy do niego siadałam".

W drugim liście do Mickiewicza Maryla powołuje się na znany jego wiersz „Żeglarz", pisany 17 kwietnia 1821 r., widocznie przysłany jej w rękopiśmie; list ten zatem, datowany „w niedzielę, o północy", musiał powstać pod świeżem wrażeniem tej ślicznej poezyi; odznacza się większą żywością uczucia. Pisze w nim Maryla:

„Korzystam z pozoru odesłania ci dziennika, żeby módz nabazgrać *(griffonner)* kilka wierszy. Jest to krok zbyt śmiały z mej strony i może naganny,

[1]) We francuskiem wydaniu Życiorysu (r. 1888) jest: *Soyez raisonnable* (str. 31).

ale w położeniu, w jakiem się znajduję, mogę przytoczyć ustęp z twego wiersza: Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

„Przyjmij milion dziękczynień za boską poezyę, którą łaskawie przesłać raczyłeś. Jest ona śliczna: czytam ją i odczytuję po tysiąc razy, podziwiając ciągle twój geniusz i twoje talenty.

„Wielce zazdroszczę tej bazgraninie, która dojdzie do rąk twoich. Dla czegoż nie jestem na jej miejscu! Miałabym słodką radość widzenia ciebie, mówienia z tobą. A ileżbym miała ci do powiedzenia! Chciałabym bardzo wiedzieć, czy przyjedziesz w lipcu w nasze strony. Kilka razy dopytywałam cię o to, ale zawsze mi odpowiadałeś: nie wiem, z miną obojętną, co dowodzi, że się wahasz. Teraz nie żądam innej odpowiedzi na tę bazgraninę nad proste *tak* w liście Henryka [Uzłowskiego, siostrzeńca Maryli]. Żegnam cię. Muszę kończyć korespondencyę dla braku czasu. Przyślij mi swój adres, bo nie wiem, gdzie teraz mieszkasz.

„O, jakże pragnę zobaczyć cię przed wyjazdem z tych stron. Zamierzam zostać tu jeszcze do 2 lipca. Żegnam cię raz jeszcze. Bądź zdrów i szczęśliwy. Codzień zanoszę błagania za twoje szczęście. Oby Bóg najwyższy wysłuchał modłów moich. Bardzo już późno, wszyscy śpią i tobie życzę snu dobrego i przyjemnych marzeń.

„W całej mocy wyrazu Twoja przyjaciółka [1]).

„Spal ten szpargał. Oczy mnie bolą i prawie nic nie widzę".

Poeta nie spalił tego szpargału, tak samo jak i pierwszego: był dla niego zbyt drogim. Co więcej, listy Maryli pisywane do Tomasza Zana, niewątpliwie z tą myślą, że będą przesyłane Mickiewiczowi, zatrzymywał u siebie i uchronił tym sposobem od zatraty. I one również są wielce ciekawe; najpierw dlatego, że nam dokładnie przedstawiają ten ściśle przyjazny stosunek, w jakim Marya zostawała z gronem druhów Mickiewicza, a powtóre, że nas żywo przenoszą w atmosferę sentymentalnie romantyczną, która była panującą w pierwszej fazie rozwoju nowej doby poezyi naszej.

I listy do Zana nigdzie nie mają oznaczonego roku. Niewielka, co prawda, w tem strata. Chociaż bowiem w rzeczywistości zachodziły pewne zmiany w nastroju korespondentki, były one przecież stosunkowo tak drobne, że nie uwydatniły się w listach, nie nabrały kształtów wyraźniejszych, dających się dokładnie ująć i określić. W każdym razie jednak próba ułożenia ich w pewnym chronologicznym porządku nie będzie zbyteczną. Mianowicie ważną może być rzeczą uchwycenie samego zawiązku korespondencyi. Ośmielam się rzucić domysł, że list, oznaczony datą 6 marca stanowi początek zachowanej korespon-

[1]) Zupełnie tego samego wyrażenia użyła raz Maryla w liście do Zana.

dencyi i został napisany w 1821 roku wkrótce po bytności Zana w Płużynach, skąd Maryla pierwszy wyżej przytoczony list do Mickiewicza przezeń przesłała. Jest on odpowiedzią na list, czy „rozdziałek" Zana, w którym tenże starał się umniejszyć jej cierpienia tą myślą, że są ludzie od niej nieszczęśliwsi, może mając na widoku samego poetę. Maryla, podejmując ten temat, uskarża się, że dotąd nikogo uszczęśliwić nie mogła:

„Drogi pan Tomasz nie zna mnie dopiero tyle, jak dawniej, i nie czuje mnie, jeśli sądzi, że ta myśl może mię zaspokoić, iż są istoty stokroć nieszczęśliwsze ode mnie. Łatwobym się z losem pogodziła, zniosłabym z pokorą wszystkie jego pociski, gdybym widziała resztę ludzi szczęśliwymi i gdybym mogła własnem poświęceniem się przynieść innym ulgę w cierpieniach. Lecz próżne są moje usiłowania; dotąd do niczyjego się szczęścia nie przyłożyłam. Jedna tylko Rozalka, dziewczyna, którą wzięłam ze wsi, powiedziała mi wczoraj, że tak jest jej dobrze u mnie, iż nic więcej nie żąda i mnie kocha nad wszystkich ludzi. Niezmiernie mię to ucieszyło, gdyż ta dziewczyna nie zna jeszcze pochlebstw i sama szczerość zdaje się mówić przez jej usta.

„Nadużywam cierpliwości pana Tomasza, trudząc go tak często moją nudną bazgraniną, lecz tak jest zawsze dobry pan Tomasz; spodziewam się, iż zechce przebaczyć tej, która największą w tem znajduje przyjemność, gdy może choć listownie z nim rozmawiać".

Drugim z kolei listem był niewątpliwie ten, który ma datę 27-go marca, gdyż mieści się w nim wyraźne odwołanie twierdzenia, zawartego w poprzednim, jakoby Zan jej nie znał. Jest on interesujący z dwu względów: maluje gusta literackie Maryli i wspomina o rozstaniu z Mickiewiczem w Tuhanowiczach. Oto najważniejsze ustępy:

„Pan Tomasz łatwo może pojmować, ile mi sprawują przyjemności jego rozdziałki; lecz znalazłam w jego listach łzy i pieprz, który dotąd nigdy za deser nie uchodził; chociażby nim były wszystkie potrawy zaprawione: *pour la bonne bouche* zwykle się zostawują same słodycze.

„Ponieważ pan przedsiębierzesz przetłómaczyć nanowo Wertera, chciejże poprawić w tem dziele wady Goethego, który zepsuł złem zakończeniem najpiękniejszy romans. Nadaj więcej sentymentalności Werterowi, aby ten zakładał swe szczęście na uczuciach serca i był najszczęśliwszym z ludzi, chociaż nie zdawał się nim być w oczach świata. Ja się zgadzam z panem, iż nieszczęścia niektóre są szczęściem, lecz nie dla wszystkich, bo niekażdy jest tego sposobu myślenia, co my...[1]).

[1]) Ustęp ten był znany już dawniej z „Korespondencyi Mickiewicza" (1871), ale został tam podany, jako zwrócony wprost do naszego poety.

„Pierwszy raz byłam zawczora w Tuhanowiczach *po stracie smutnej, którą poniosłam*. Przebiegłam szpalery i wszystkie miejsca miłe, które mi robią drogie przypomnienia.

„Ciągle mieszkam przy mamie w Płużynach, lecz na Wielkanoc jesteśmy inwitowane do Tuhanowicz. Biorę z sobą klacz wierzchową, abym mogła objechać okolicę i góry tuhanowieckie.

„Zostawuję resztę do osobistego widzenia się. Z jakąż niecierpliwością oczekuję tego drogiego momentu. O, gdybym mogła prędzej się jego doczekać, *byłabym więcej jak szczęśliwa*".

W jakiś czas po napisaniu tego listu Marya pojechała do majątku mężowskiego Bolcienniki. Odpisuje stąd na list Zana, otrzymany jeszcze w Płużynach w dzień wyjazdu w owe strony. Dziękuje mu w nim za „śliczną poezyą", którą jej przesłał, a w której łatwo się domyśleć tego „Żeglarza", co-to zań osobnym listem dziękowała samemu poecie. Poezya, prawdopodobnie w połączeniu ze świeżem jeszcze wspomnieniem Tuhanowicz, odżywi'a w niej cierpienia. Tak samo, jak w liście do Mickiewicza, skarży się na „straszny ból oczu" i mówi z tem samem, co tam, ożywieniem:

„Stanęłam więc w Bolciennikach, niedaleko Wilna. Oddycham tem samem powietrzem, co wy, i gdy moja powłoka ziemska przykuta tutaj, to moja dusza niespokojna rwie się ku wam. Cierpienia moralne i fizyczne wciąż gonią za mną, ale pewną ulgę mi przynosi nadzieja zobaczenia wkrótce osób drogich memu sercu. Jeżeli w życiu miewam niektóre chwile przyjemne, zawdzięczam je miłej waszej korespondencyi, panie Tomaszu, bo nie możesz sobie wyobrazić, jaką mi sprawił radość twój list ostatni i śliczna poezya, którą mi uprzejmie przesłałeś. Odczytaliśmy ją z uwielbieniem... Jeżeli pan Zan będzie tak łaskaw odpisać słów kilka, niech to uczyni *con molto di precauzione*".

Z Bolciennik była niewątpliwie Maryla w Wilnie, a potem przejechała do poblizkich Brażelec, ale wybierała się już znowu do Tuhanowicz, zapewne na święta wielkanocne, które miała z braćmi przepędzić. Wtedy pisała do Zana, zalecając mu, ażeby uspokajał Mickiewicza i napominał go o szanowanie zdrowia:

„Dusza moja potrzebuje nowego zasiłku, gdyż już upadam pod ciężarem zgryzot i tęsknoty. Chciej mię znowu wesprzeć swemi radami, mój dobry panie Tomaszu, i pociesz mię, jeżeli masz do tego środki; inaczej, lękam się złych konsekwencyj, bo mi brakuje mocy do wytrwania... Rozdziałek jego kategoryczny zrobił mi wielką przyjemność, odczytałam go po kilka razy, admirując talent dobrego p. Tomasza. Cieszy mię bardzo powolność naszego nowego filozofa; lecz któżby nie słuchał rad dobrego p. Tomasza, który umie wejść w stan duszy człowieka i obok surowości jest często tolerującym. Jeże-

liby prawidła nadane nie były dostateczne do zaspokojenia *jego* umysłu, podaj *mu* nowe środki, lecz nie dozwalaj nigdy się zachwiać filozofii, *która dopiero już wzięła górę*. Nadewszystko proś ode mnie, aby szanował swe zdrowie. Niech Opatrzność najwyższa ma go w swej pieczy".

List ten pisała o drugiej po północy i dziwiła się sobie samej, iż „o tej porze na wsi jeszcze nie śpią i do p. Tomasza piszą".

Po streszczonych lub przytoczonych powyżej listach do Zana nastąpiła przerwa kilkomiesięczna w zachowanym zbiorze, ostatni bowiem w nim list Maryli pochodzi, jak wykazał p. Władysław Mickiewicz, już z r. 1822 (2 lutego wieczorem). Zawiera się w nim ustęp, znany już dawniej, o ustaniu w Maryi „awersyi" do Szubrawców i ich „Wiadomości brukowych" od czasu, gdy w nich znalazła „rozdziałki" Zana. Dowiadujemy się z niego nadto, iż Mickiewicz był w Tuhanowiczach, prawdopodobnie na wakacye r. 1821, i że chorował „po świętach" zapewne Bożego Narodzenia, o czem zresztą wiadomo było już skądinąd. Maryla nie omieszkuje znowuż zalecić, żeby „czuwano nad jego zdrowiem, gdyż bardzo siebie zaniedbuje". Stan duszy swej przedstawia i w tym liście ponuremi barwami, ale je rozjaśnia żartobliwym uśmiechem. Mówi tu ona między innemi:

„W religii samej nie znajduję zaspokojenia. Nigdy więcej przytomność drogiego p. Tomasza nie była mi potrzebną, jak w tym momencie. Panowałeś zawsze nad mym umysłem. Chciej i teraz wesprzeć mię swemi radami, a może mniej więcej mię zaspokoisz.

„Chciałabym się widzieć bardzo z dobrym p. Tomaszem, lecz nie prędzej się spodziewam być w Wilnie, jak na ś. Jerzy (nadto długi przeciąg czasu dla mnie do przetrwania). Teraz się tylko cieszę przypomnieniem drogich momentów przepędzonych w Wilnie. Już się nie spodziewam więcej doznawać podobnych słodyczy. Jakieś mam smutne przeczucia; czarna melancholia napastuje mnie ciągle. Pan Tomasz kochany litowałby się nade mną, gdyby mógł wejść w moje cierpienia.

„Rachuję wiele na przyjaźń dobrego p. Tomasza, dla którego noszę szacunek bez granic. Niech p. Tomasz będzie pewny, że ta przyjaźń, którą czuję dla niego, trwać będzie, aż póki dusza jestestwa mego ożywiać nie przestanie".

W *post-scriptum* dodaje zwrot smętnie żartobliwy:

„Przepraszam bardzo p. Tomasza, że go nudzę moją bazgraniną bez sensu, lecz trudno wymagać porządku w piśmie, gdy go oddawna nie ma już w głowie".

Na wiosnę roku 1822 w Wilnie, gdzie poeta bawił wtedy za urlopem i zajmował się ogłoszeniem swoich ballad i romansów, rozgoryczając w sobie

boleść zawiedzionej miłości czytaniem poezyj namiętnych, znajdowała się także i Maryla. W domu Puttkamerów bywał Mickiewicz dość często, razem z przyjaciółmi swymi Zanem lub Czeczottem. Wówczas-to zapewne zaproszony został przez młodą parę do odwiedzenia jej na wsi, w Bolciennikach. Wybrał się tam na Zielone Świątki i przepędził tydzień jeden i drugi. O tych odwiedzinach i wogóle o stosunku swoim do Maryli pisał wtedy do jednego z serdecznych towarzyszów: „Dziennik mojego życia i zatrudnień arcy-monotonny i krótki: śpię, a częściej nie śpię, chodzę wiele, piszę wiersze i komentarze, a raczej pisałem, bo teraz mniej coraz; czas schodził prędko; widziałem się kilka razy z Maryą, bawiłem z nią dwa tygodnie. Jej widok i rozmowy najwięcej mnie uspokajają. Co dalej będzie, nie wiem!...“

Odjeżdżając z Bolciennik, Mickiewicz obiecał nadesłać drukujący się wtedy pierwszy tomik swoich „Poezyj“, w którym były ballady i romanse. Gdy ich długo nie otrzymywała, zniecierpliwiona, napisała do siostrzeńca swego, Henryka Członowskiego, list, nalegając, żeby się wystarał dla niej o ballady, i robiąc wymówki Mickiewiczowi, iż obietnicy zapomniał, pewna była bowiem, iż słowa jej dojdą jego wiadomości. W tej myśli zamieściła w liście wynurzenia, któremiby w innym razie z siostrzeńcem się nie dzieliła. Pisała tu:

„Od waszego wyjazdu, mój kochany Hendrulku, jeszcze nie widziałam promieni słonecznych. Bóg na mnie zesłał sen letargiczny, który trwał aż do dzisiejszego dnia. Jeżeli mię przebudzał kto, wpadałam wtenczas w złość i w zajadłość wściekłą (większą jeszcze, aniżeli na tym spacerze, na którym przeszkadzano mojej Hurysie przeskakiwać). Ten sen skracał mi czas i razem przynosił mi wiele przyjemności, gdyż miałam marzenia miłe i słodkie, których i na arkuszubym nie opisała. Wszystko przemija, jak sen, z tą różnicą, że *jedni prędko o wszystkiem zapominają*, na drugich większe robi wrażenie i ci pamięci nie tracą.

„Podziękuj p. Adamowi i za obietnicę łaskawą przysłania mi ballad (na które oczekiwałam z wielką niecierpliwością), skutku bowiem nie otrzymałam. *Nie urażam się za jego niepamięć! Jam się tego zawsze spodziewała,* że jak tylko wjedzie w mury Wilna, zapomni o mieszkańcach Bolciennik.

„Jak tylko się z łóżka wydobędę, natychmiast wsiądę na moję Hurysę i pojadę na granicę gubernii. Miło mi będzie oglądać te miejsca, gdzie my tyle razy przejeżdżali. Gdyby mogły się wrócić dla mnie te momenta drogie! Pamięć mi się tylko została.“

Jest także w tym liście niezadowolenie z romansu Goethego „Wilhelm Meister“, który posłany jej był z wyboru Mickiewicza, jak się to okazuje z jego odpowiedzi. Maryla pisała: „Romans przysłany mi odsyłam; nie miałam

cierpliwości przeczytać całego, tak mię pierwszy tom znudził. Intryga brzydka i nudna między komedyantami. Ale, jak mówi przysłowie: *Chacun son goût.*"

Mickiewicz, dostawszy ten list, odpisał z usprawiedliwieniem, starając się utrzymać ton swobodny: „Z listu Pani... dowiadujemy się, iż po naszym odjeździe Pani byłaś nieco chorą. Powtórzyliśmy z tej okoliczności litanią tylekroć śpiewaną w Bolciennikach, iż należałoby więcej szanować zdrowie, drogie tylu osobom... Muszę wytłómaczyć się z nierzetelności, za którą tak prędko zostałem ukarany, nie poczuwając się do winy. *Ballady moje* dawno już byłyby w Bolciennikach, ale dziś ledwo uzyskałem bilet z cenzury. Posyłam tymczasem egzemplarz, jaki mi się nawinął, dla pana Wawrzyńca; inne zaś, przeznaczone dla Pani i dla Tuchanowicz, są jeszcze w oprawie, chyba więc za dni kilka pójdą w drogę. Spodziewam się, iż Panią jeszcze znajdę w Bolciennikach. Przepraszam jeszcze za nudy, których byłem przyczyną, niedobrze wybrawszy książkę do lektury. Dowiedziałem się teraz, iż tłómacz francuski Goethego, oprócz imion, nic w przekładzie nie zostawił, na niego więc spada wina. Tymczasem wdzięczen jestem za grzeczne: *chacun son goût* i, jeśli broszurkę moję [tj. *ballady*] tenże los, co Goethego, spotka, zamawiam sobie też samą ekskuzę... Życzę Pani dobrego zdrowia i wesołości".

W wierszu „Do M..." pochodzącym z tych czasów, pocieszał się poeta tem przeświadczeniem, iż zawsze i wszędzie wspomnienie jego towarzyszyć będzie ukochanej:

Jak cień tem dłuższy, gdy padnie zdaleka,
    Tem szerzej koło żałobne roztoczy;
Tak moja postać, im dalej ucieka,
    Tem grubszym kirem twą pamięć pomroczy.
Na każdem miejscu i o każdej dobie,
    Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
    Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

W tem przekonaniu nie mylił się Adam. Marya i Puttkamer zachowali najprzyjaźniejsze dla niego uczucia, a ulubioną piosnkę białoruską, którą poeta i Maryla śpiewywali razem, zaczynającą się od wierszy:

Da czeres moj dwor, da czeres moj dwor
Da cieciera lacieła...

później wygrywała Marya na fortepianie, sama dorobiwszy nuty, a mąż jej pięknym swym głosem dalsze słowa piosenki wygłaszał:

Nie dau mnie Boh, nie dau mnie Boh,
Kaho ja chacieła!...

Sama kompozytorka nie brała bynajmniej bardzo na seryo całej melancholii tkwiącej w pieśni i zawsze z troskliwością wielką była dla swego męża, który stał się jednym z najgorliwszych wielbicieli talentu Adama, broniąc go wobec Śniadeckich, zarówno w Wilnie, jak w Jaszunach, dopóki wszystkich przyjaciół i znajomych na wiarę swoję nie nawrócił.

Cierpienia jednak poety nie umniejszyły się przez to. Lat parę był w stanie nienormalnym; zdrowie mu nie służyło; próbował się rozerwać. W listach do przyjaciół odzywał się nieraz żartobliwie, ale były to próżne usiłowania; serce jego i cały stan duszy podobny był (wedle wyrażenia Zana) do lasu, w którym pożoga przeszła. I Marya również odczuła chwilowo silne skutki tego potężnego uczucia. Zan, który był pośrednikiem pomiędzy obojgiem i korespondencyą im ułatwiał, pisze do przyjaciół na początku r. 1823, kiedy się drukował drugi tomik poezyj Mickiewicza: „Adam cierpko do mnie piszący niegdyś za myśl w rozdziałku wywiedzioną o niestateczności uczuć człowieka, już zaprzestał korespondencyi ze mną, ma tylko z Janem (Czeczottem) drukarską... Marya czasem pisuje, spuszcza się na moje rady i niektóre usiłuje dopełniać; pocieszam ją i rozrywam rozumniejszemi rozdziałami. Byliśmy z Janem u niej w Bolciennikach całą dobę; jej *stan uniesienia* i uczuć bardzo go zajął; ja surowego przed nią udaję a pobłażenie *(sic)* nieobacznością pokrywam. Nie widzieli się z sobą od listopada, i to na dobro; głuche uspokojenie może do harmonii władze przywiedzie". W maju zaś tego roku donosił: „Usiłowałem i usiłuję uczuciom Adama i Maryi nadać pogodniejsze dążenie; nie jestem pewny skutku zupełnego, zdaje mi się atoli, że ich cierpienia złagodzone. I z nim i z nią w tym widoku koresponduję; ona mię drogim i dobrodziejem nazywa... Czytałeś *Upiora,* przeczytasz *Dziady;* nie wielebym co miał pisać o Adamie; sądzę, że może niewczesne wyjawienie się ze swojemi miłosnemi uczuciami niezbyt pochlebne i przyjemne czyni na wielu wrażenie. W czasie świąt oni byli w Wilnie przez dwa prawie tygodnie; usiłowania moje na uspokojenie poszły w niwecz; nie wiem co dalej, tak to wszystko daleko i nieszczęśliwie zaszło tak, że niegdyś obrońca miłości, ledwobym otwartej przeciwko niej nie wypowiedział wojny".

Z roku 1823 nie mamy korespondencyi Zana z Marylą, lecz posiadamy natomiast 7 listów Czeczotta (od 13 marca do 11 lipca), który, na równi z Tomaszem, starał się o nadanie spokojniejszego kierunku uczuciom kochanków. Nie dotyka w nich Czeczott bezpośrednio tej kwestyi, ale swojem łagodnem, poczciwem, serdecznem gawędzeniem mógł istotnie, przynajmniej chwilowo, pogodniejsze sprowadzić usposobienie. Przesyłał on Maryli dzieła historyczne, mianowicie rewolucyi francuskiej dotyczące, proponował dzieje literatur południowych Sis-

mondego, opierając się na zdaniu „sławnej literatki“ wileńskiej, Bojanusowej, przesyłał śpiewki własne, wybierał romanse, choć się czuł w tej mierze niekompetentnym, strofował żartobliwie Marylę za to, że „lulkę dla rozmaitości pali, przeciwko której tyle tu mówiła“, użalał się, że tym sposobem stracony dla jego wiary apostoł zapowiada wielkie straty w nawracaniu na drogę zbawienia. Najobszerniej rozwodził się nad potrzebą ochraniania zdrowia, gdy Maryla zbyt utrudzające przechadzki przedsiębrała piechotą, jak poprzednio na Hurysie. „Znam przyjemność przechadzek; — pisał — szukanie więc przyjemności prowadzi panią po lasach, gajach i łąkach, ale niech nie prowadzi milę i więcej, niech nie naraża na zimno późnego wieczoru i dnia słotnego, niech nie naraża na ból. zębów i inne dolegliwości, które się z tego odezwać mogą; bo to już nie prawdziwa, nie rzetelna przyjemność, kiedy złe za sobą pociąga skutki i drugim stać się może nieprzyjemnością“.

Najciekawszy atoli z listów Czeczotta jest ten, z którego poznajemy jeden z ulubionych zapewne tematów w ówczesnych literackich towarzystwach: sprzeczność między pięknem a użytecznością. Napadła Maryla na Czeczotta, może w chęci dokuczenia mu za przestrogi o fajce i dalekich przechadzkach, jakoby lekceważył gaiki, a na ich miejsce chciał wszędzie widzieć ogrody owocowe. Serdeczny Jan Czeczott daje wyjaśnienie, skąd taka plotka, ubliżająca jego poetycznemu poczuciu, powstać mogła, i pisze:

„Kiedy chwalono jakieś nowogródzkie ogrody spacerne, mnie się coś smaczne horodziejskie gruszki i potężne jakieś zielone śliwy, które niegdyś darmo raz w życiu jadłem, zakręciły na myśli, i to, że tu na ziemi żyjemy, gdzie nietylko bawić się, spacerować, ale i o tem zapominać nie trzeba, że jeść i pracować potrzeba, i powiedziałem: a ja wolałbym horodziejski ogród! Ale przyszła mi zaraz na myśl Zofiówka i miłe wyobrażenia; zawstydziłem się zbyt gospodarskiego wykrzyknika i jabłecznej myśli, w której, choć się to kryć miało filozoficzne niby principium, ale tak się ukryło, że i sambym go znaleźć nie mógł; a jeszcze mię bardziej zawstydzili, kiedy coś tam powiedzieli, że między sklepami, gdzie pełno po ulicy jabłek, być musi najprzyjemniejszy spacer. Czy to, czy coś inszego w tym guście powiedzieli, ja tylko pamiętam, że nic nie odpowiedziałem, i zawstydziłem się trocha. Otóż cała moja wina i pokuta. Mamże jeszcze za to cierpieć nowe wymówki?... Ja chciałem tam prosić o poświęcenie na moję pamiątkę którego krzaczka. a tu takie zmyślają dziwy, byleby się tylko zemścić i niewinnego potępić“

To opowiadanie, pełne dobrodusznej naturalności, przenosi nas żywo w odległe czasy i czyni nas uczestnikami rozmowy swobodnej ówczesnych zebrań towarzyskich.

W tym samym roku 1823, na wiosnę, kiedy Odyniec przybył do Kowna w odwiedziny, poeta deklamował mu tłómaczenie z Byrona: „Pożegnanie Childe-Harolda“. Słowa: „Czegóż mam płakać, za kim i po kim, kiedy nikt po mnie nie płacze“ — przypomniały mu żywo jego dzieje serdeczne; wzruszony, zbladł jak chusta i upadł na ziemię w omdleniu.

Ogłaszając zaś drugi tomik poezyj swoich tegoż 1823 roku [1]), zwrócił się do Maryi, nazywając ją „siostrą swoją“; przypomniał, że oni pobratani „nie krewnym łańcuchem, ale umysłem i duchem“; prosił ją, „by innem okiem spojrzała w przeminione lata i pamiątki kochanka przyjęła z rąk brata“.

A gdy w roku 1824 miał się na zawsze z Litwy oddalić, przywiódł w jej sztambuchu, pod datą 22 października, znane słowa Dantego, że niema większej boleści nad rozpamiętywanie czasów szczęśliwych wśród nędzy i pod tem mottem skreślił smętny czterowiersz:

Bolesne mnie dni błogich wspomnienie spotyka,
Chociaż mię dziś Marya w swój imionnik przymie;
Bo gdym do swego Maryą wpisał imionnika,
Wpisałem tylko jej imię.

Maryla nie mogła się pożegnać osobiście, kiedy przyszła chwila odjazdu Mickiewicza i jego przyjaciół; przesłała im tylko list w języku francuskim „w sobotę, ze swego buduaru“:

„Przyjm, kochany p. Tomaszu, te słów kilka, jako słaby dowód przyjaźni mojej i bądź przekonany, że nic nie zmieni tych uczuć przyjacielskich, jakie mi natchnąłeś. Pozbawiona jedynego szczęścia widzenia przyjaciół drogich sercu mojemu, gdybym przynajmniej wiedziała, jaka chwila ma nas połączyć i jaka przestrzeń ma nas rozdzielić! Nie zapominaj o mnie, kochany p. Tomaszu; pamiętaj czasami, że istnieje nieszczęśliwa istota, która żyje na to jedynie, aby cierpieć i której dni upływają w ustawicznej nocy. O! jakaż to męczarnia widzieć się rozdzieloną od osób, z któremi chciałoby się życie przepędzić. Życzenia i myśli moje będą ci wszędzie towarzyszyły, ale, na miłość Boga, szanuj zdrowie swoje, kochany panie Tomaszu, które raz postradane nie daje się odzyskać. Po tej małej radzie maminej *(à la maman)* muszę zmierzać ku końcowi, bo się czuję bardzo źle, mam wielką gorączkę ze strasznym bólem głowy; od dwóch dni leżę w łóżku i ruszyć się nie mogę. Żegnam cię więc, kochany panie Tomaszu. Bądź zdrów i spokojny. Gdy słońce się znów ukaże po tem zaćmieniu, wyda się jaśniejszem. Żegnam cię raz jeszcze, nie zapominaj nieobecnej przyjaciółki“.

[1]) W spisie prenumeratorów można było czytać nazwisko: Marya Puttkamer.

Jest to pożegnanie, w którem czuć smutek i cierpienie, ale zarazem i rezygnacyę łagodną. Usposobienie marzycielskie i w gruncie spokojne przebija się w niem dość wymownie. Można być pewnym, że wspomnienie chwil, przeżytych w towarzystwie poety i jego przyjaciół, nazawsze pozostanie w duszy Maryli, jako droga pamiątka; może kiedyniekiedy obudzi żal, że się nie stało inaczej niż w rzeczywistości, ale nie zamąci zresztą życia, nie przeszkodzi w spełnianiu obowiązków, nie zatruje serca goryczą, nie wypali w niem stygmatu, któryby się ciągle odnawiał za każdą wzmianką o osobie ukochanej.

Przed oczyma zaś poety postać Maryi długo, bardzo długo jeszcze się przesuwała: W snach i widzeniach zjawiała się jak niebianka („więcej boska, bo więcej piękną być nie zdoła“); ścigała go wszędzie, czy był w gronie przyjaciół, lub na stepach akermańskich, czy wśród arystokratycznego towarzystwa w Odesie, Moskwie czy Petersburgu, czy wreszcie na szczytach gór Alpejskich... Napróżno starał się rozerwać, napróżno się pocieszał, że, gdy on podniesie bardon, „namiętność w zapomnienia pogrąży się toni“; napróżno przyznawał sam sobie, że ten najnieszczęśliwszy, „kto nie kocha — że kochał, zapomnieć nie zdoła...“

W jedenaście lat po zapoznaniu się z Maryą, wstąpiwszy na górę Splügen w Alpach, 25 września 1829 r., zamarzył o szczęściu, jakiegoby mógł doznawać, będąc tu razem z ukochaną, i nie tyle może z goryczą, ile ze smutkiem, zawołał:

Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem, idziesz za mną w drogę.
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Co więcej, jeszcze 2 stycznia 1832 r., pisząc z Poznania do Ignacego Domejki i wzmiankując o dawniejszym jego „smutnym“ liście, który odebrał w Rzymie, dodaje: „Było tam kilka słów Maryi. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czeczottem i Zanem. Nie będziemy już nigdy widzieć się z sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego *nikt* jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi“.

* * *

Niewątpliwie, nikt nigdy nie usunął Maryli z serca poety, nikt jej w niem nie zastąpił... zajęła ona tutaj właściwe sobie miejsce. Ależ uczucia ludzkie są

wielce różnorodne: właściwie nie ma ani jednego, któreby do innych było zupełnie podobne. Uczucie dla Maryli miało całkiem idealistyczny charakter. Prawem reakcyi duchowej musiało ono chwilowo ustąpić bardziej ziemskiemu, bardziej zmysłowemu.

W roku 1825 Odesie, gdzie poeta według własnego wyrażenia żył „jak basza“, uczucie takie zagościło w jego sercu na kilka miesięcy. Oddalony od przyjaciół i towarzyszów, od swej ukochanej i uwielbionej, młody, namiętny, wpadłszy w wir życia salonowego, które mu się po raz pierwszy w takim blasku i przepychu ukazało, zapłonął gorączkowo do kobiety pełnej powabów, ukształconej, dowcipnej, władającej po mistrzowsku sztuką zalotności. Była nią Karolina z Rzewuskich Sobańska, siostra wsławionego później powieściopisarza, Henryka hr. Rzewuskiego. „Podobać się“ było hasłem całego jej długiego życia. Wabić ku sobie coraz-to nowych wielbicieli, rej wodzić w salonie, mieć pełno odwiedzających, pobudzać zapał jednych przez zazdrość drugich, używać życia bez troski i bez oglądania się na jutro: oto jej pragnienia i zasady postępowania:

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża: wpada galonowy;
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy;
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą...

Dla chwilowych wybrańców była czarującą: nęciła głosem, spojrzeniem, upajała pocałunkiem. Zajęła się 27-letnim poetą, którego imię zaczynała już opromieniać sława, — pociągnęła go ku sobie. Mickiewicz z początku widział tylko wielki przedział, istniejący między wielkoświatową damą a sobą, ubogim poetą, który ma włości tylko „na Parnasie“. To też, wpisując wiersz do albumu Sobańskiej, zakończył go słowami rezygnacyi:

Rozminiem się! I kiedyż w jednę pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz; ja ciebie nie mogę.

Rozminęli się rzeczywiście, ale dopiero po wielu chwilach pełnych upojenia. W erotykach, pisanych w Odesie, mamy odtworzony przebieg tego stosunku, tak gorąco odczutego przez namiętnego młodzieńca. Więc naprzód kontemplacya kochanki i wsłuchiwanie się w słowa pełne czaru, zapewniające o miłości:

Gdy sam na sam z tobą siedzę,
  Nie mam czasu o nic pytać:
Patrzę w oczy, ustek śledzę,
  Chciałbym wszystkie myśli czytać
Wprzód, nim w oczętach zaświecą;
  Chciałbym wszystkie słówka chwytać

Wprzód, nim od ustek odlecą.
I nie potrzeba tłómaczyć,
Co chcę słyszeć, co zobaczyć:
Rzecz nie trudna i nie nowa,
Moja luba! te dwa słowa:
„Kocham ciebie, kocham ciebie!“

Potem słowa już nie wystarczają; żądza domaga się dotykalniejszych dowodów kochania:

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną śród korali:
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować.

Wśród takiego miłosnego szału pragnąłby poeta nie tylko żyć, ale i umierać, zatrzymując na całą wieczność wrażenie pieszczoty:

Do ust twych usta przycisnę, powieki
Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy:
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Z miłością swoją kochankowie taić się musieli; więc najmilszą dla nich porą była szara godzina:

Dobry wieczór! on dla mnie najsłodszem życzeniem;
Nigdy, czy-to przed nocą dzieli nas zapora,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się, nie witam z takiem zachwyceniem,

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem;
Ty nawet, milczeć rada i płonić się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywszem okiem, głośniejszèm rozmawiasz westchnieniem.

Były wśród tego stosunku chwile namiętnego zadowolenia i radości, zaznaczone w sonetach: „Dzieńdobry“, „Dobranoc“, a będące wynikiem spełnionych pragnień i nadziei nowych rozkoszy; ale były również i chwile goryczy. Poeta nie pojmował swego uczucia tak lekko, jak kobieta, gdyż każdą pieszczotę kupował „na wagę duszy“ swojej, „pokojem żywota“, a sądząc kochankę według siebie, mniemał, że luba doznaje dręczących wyrzutów sumienia, i myśl ta zatruwała mu wspomnienie niebiańskich rozkoszy. Starał się więc i ją i siebie uniewinnić powołaniem się na prawa niezwalczonego popędu:

Luba! i cóżeś winna, że twych ocząt groty
Tak palące, że usta śmieją się tak mile?
Zbyt ufałaś mej cnocie, zbyt swej własnej sile,
I nazbyt ognia Stwórca wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.
Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze,
Nie będę mojej żebrać przebaczenia zbrodni:
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze.

Kochanka jednak nie znała, co to wyrzuty sumienia, co to w ogóle cierpienie. Różnica ta, w głębiach duszy grunt swój mająca, bywała powodem nieporozumień, dąsań, gniewów. Kochanka nie mogła zrozumieć nierównego nastroju w poecie; musiał go jej wyjaśniać, musiał ją zapewniać, że w szczęściu zupełnem byłby innym:

Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
Ty, albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem,
Albo lękasz się nudy z żałośnym natrętem.
. . . .

Ale spojrzyj w głąb duszy! Tam znajdziesz skarbnice
Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci
I wyobraźni, która ziemską dolę złoci.
Dziś ich nie możesz dojrzeć. Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wicher zmiesza, kiedy piorun pali:
Czyż widać krasne konchy, perłowe jagody?
Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody!

Poznawszy, że nie zdoła przetworzyć lubej, że nie zdoła przejąć ją takiem usposobieniem, takiemi myślami, takiemi uczuciami, jakie w duszy jego własnej panowały, robi ustępstwa, oświadcza się z gotowością zgadywania jej rozkazów i wypełniania ich jak najściślej. Sam żąda nie wiele, bo czegóż miałby sobie życzyć? — powiada do niej:

. . . Cóż miałbym do rozkazywania?
Abyś raczyła chwilę dłużej ze mną bawić,
Podług mej woli suknię i włosy poprawić;
Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych,
Słuchać starych oświadczeń i piosenek nowych:
Wszystkobyś niewielkiemi dokazała trudy:
Godziną cierpliwości, półgodziną nudy,

Albo chwilką udania. Kiedy będę mniemać,
Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzemać;
Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłómaczyć.

Co więcej, z poddaniem się, z uległością, niezwykłą u niego, składa na ołtarzu tej nowej miłości wszystkie myśli i uczucia, a nawet najdroższe wspomnienia, pod jednym tylko warunkiem: żeby pewnym był stałości kochanki:

W twe ręce powierzywszy moję przyszłą dolę,
Na twem złożyłbym łonie mój rozum i wolę.
Pamiątki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie.

Chwilowo dał się opętać całkowicie siecią czarodziejki, i dopóki miał pewność lub złudzenie wzajemności, żył cały tą jedyną, rozkosznie bolesną godziną, którą samotnie przepędzał z lubą:

Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Iksyon wkoło niej krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem;
Gdy minęła, dzień cały o niej rozmyślałem,
Bawiąc się z mnóstwem drobnych, lecz miłych pamiątek:
Jakie było przyjęcie, rozmowy początek?
Jak się czasem przykremu dało wymknąć słowu?
Po niem niezgoda, po niem milsza zgoda znowu.
Smuciłem się: ty z oczu powody wyśledzasz;
Przychodziłem z prośbami: ty jedne uprzedzasz,
Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkładam,
I znowu jutro nie śmiem; czasem gniewny wpadam:
Rozbrajasz mię uśmiechem! a gdym w gniewie przebrał,
Gniewałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał . . .
Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty i nadzieje i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma!
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy i schnie i oczu nie może nasycić.

Ale pewność wzajemności zachwiewała się, a w końcu i złudzenie nawet musiało się rozwiać wobec niewątpliwych dowodów zmiennego upodobania. Karolina wciąż nowych pożądała hołdów. Już podczas wycieczki do Krymu, w której prócz Karoliny i poety, brał udział jenerał Witt, przyszły drugi mąż Sobańskiej, Mickiewicz zrozumiał, że nie serce, lecz próżność i pragnienie świeżych wrażeń jest kierownikiem usposobienia kochanki. Nie z Karoliną, tylko

z jej bratem Henrykiem, lub też samotnie, zwiedzał góry i doliny, wioski i miasta, co go natchnąć miały cudnemi sonetami.

Za powrotem z podróży, z goryczą rozpamiętywał poeta tak niedawne jeszcze objawy miłości, te upajające sam-na-sam. Teraz w owej godzinie, która tak głęboko się wryła w jego pamięć, kto inny był przy boku Karoliny:

. . . . Ona teraz w czułej pieści dłoni
Cudzą rękę, niewierna! i do cudzej skroni
Usta ciśnie i łza jej na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzej piersi odpowiada:
Dziś, możeby tej nowej pary nie rozdzielił
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Pragnął już teraz poeta stłumić w sobie „ten ogień niegodny“, liczył na czas i „milczącą dumę“; ale czuł jeszcze silnie ponętę szczęścia: zbyt trudno mu było nabrać przekonania, że jest „zawsze omylną“, i gdy owa godzina nadchodziła, odczytywał „zdradne charaktery“ dawnych listów kochanki i „za każdem ruszeniem klamki“ posłańca od niej czekał, lub nawet pomykał już do drzwi —

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żałobę,
Zabłąkawszy się w myślach — niestety, błąd luby! —
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swej zguby,
Bieży: i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił — i zalał się łzami . . .

Przemógł jednak w końcu swą namiętność i przekonawszy się, że jedynie próżność wywołania pochwalnych dla siebie wierszy skłoniła Karolinę do igrania z jego szczęściem i pokojem; przekonawszy się, że lubo osobę posiadał, serca jej nigdy nie miał, — zawołał z dumą:

Nie kupić Muzy! W każdym ślizgałem się rymie,
Gdym szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem.
I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe imię.

A uogólniając swoją pogardę i przenosząc ją na wszystkie lekkomyślne kobiety, które Danaidami nazwał, w takie, sarkazmem tchnące, przemówił do nich słowa:

Danaidy! rzucałem w bezdeń waszej chęci
Dary, pieśni i we łzach roztopioną duszę:
Dziś z hojnego jam skąpy, z czułego — szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę:
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko, — prócz serca.

Przykrym rozdźwiękiem skończył się stosunek z Karoliną, jak każdy stosunek miłosny, nie oparty na wzajemnem szczerem uczuciu. Zaspokojenie zmysłów nie jest zaspokojeniem duszy, „której wszystko mało", jak mówi Sęp Szarzyński.

Do otworzenia oczu Mickiewiczowi na postępowanie Karoliny przyczyniła się prawdopodobnie Bonawenturowa Joanna Zaleska, która pokochała naszego poetę w sposób egzaltowany, nie otrzymując w zamian nic więcej, jak się zdaje, nad dobrą, tkliwą przyjaźń. Z jej-to chyba powodu napisał Mickiewicz wiersz „Niepewność", w którym nie mógł sam sobie rozstrzygnąć wątpliwości: jakiego rodzaju uczucie — przyjaźń czy kochanie — w duszy jego się odzywa. Nie płakał wprawdzie, nie wzdychał, nie tracił zmysłów, gdy nie widział owej osoby, ale gdy jej nie oglądał długo, doznawał tęsknoty, czuł, że czegoś mu braknie. W myśli nie mógł nigdy odtworzyć sobie jej obrazu; czuł jednak mimowoli, że jest on zawsze blizko jego pamięci. Dla jej zdrowia, życia-by nie skąpił, a po jej spokojność poszedłby do piekła, choć nie miał w sercu tej śmiałej żądzy, by dla niej być zdrowiem i pokojem. Mówi do niej:

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakaś spokojność owionie;
Zda się, że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,

Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czyli też kochanie?

W tem spokojnem uczuciu serdecznej przyjaźni przetrwał poeta lat kilka, zawsze dla Zaleskiej zachowując szczere współczucie. Jej-to powierzył odebranie listów swoich od Sobańskiej. W odpowiedzi na to trudne polecenie, odpisała listem, malującym jej nastrój marzycielski: „Obawiam się, aby sam widok częstych moich listów nie rozbudził w tobie oznak niecierpliwości; nużą cię zapewne. Czuję i wiem to, a jednak nie mam odwagi rzucić pióra, kiedy ból zbyt wielki radzi mi szukać pociechy u ciebie. Są chwile, kiedy tęsknota siły przechodzi, gdzie mi łatwiej wyrzec się szczęśliwej przyszłości, niż nie pisać do ciebie. To też tyle a tyle listów zaczynam dla oszukania tego niepokoju i palę je potem. I ten list miałby ten sam los, gdybym nie była ci winna odpowiedzi na twoję prośbę. Widziałam panią S(obańską); starałam się czegoś dowiedzieć, ale nie miała ona listów, a przynajmniej tak mi powiada. Ale musisz mi obiecać, że nie będziesz wszczynał o to procesu; pojmujesz, że nadewszystko pragnę nie narażać ciebie na żadne nieszczęście. Pani S. prosiła mię o pozwolenie, aby malarz Gattorno skopiował dla niej twój portret i widok Nowogródka.

Możesz zrozumieć, ile mię kosztowało zezwolić na to, *ale byłoby mi zbyt przykro, uchodzić za zazdrosną*. Lecz czy to jest zarozumiałość z mej strony, że myślę, iż się dopuściłam profanacyi względem tych świętości? Tak jest! profanacyi, bo jeśli i u mnie nie jest ich właściwe miejsce, to jednak *prawdziwe* uczucie okupuje wszystko. Żyję bardziej sama, niż kiedykolwiek, i to mi trochę pomaga. Tak mi czarno, tak mi czarno w duszy, że tylko samotność grobowa może mi ulżyć. Przez litość, powiedz mi, jakie są twoje projekta podróży, czy i kiedy cię zobaczę tego lata, ponieważ ta nadzieja jedynie zatrzymuje mię tutaj. Żegnam cię, żegnam. Są uczucia, które należą bardziej do nieba, niż do ziemi. Takie właśnie żywię dla ciebie... Muszę koniecznie wiedzieć, czy będę miała pociechę widzieć cię tutaj i kiedy. Błagam o bezzwłoczną odpowiedź".

Prawdopodobnie widziała się jeszcze z poetą Joanna; ona-to przełożyła niektóre jego sonety na język francuski dla czasopisma wychodzącego w Petersburgu p. t.: „Bulletin du nord", a on Zaleskim swego „Konrada Wallenroda" dedykował.

Atoli gdy tę dedykacyę pisał na pamiątkę spólnie przepędzonych miesięcy w r. 1827 w Moskwie, już serce jego zajęte było nowem uczuciem, jakie obudziła w niem Karolina Jaenisch, córka profesora Niemca, późniejsza tłómaczka „Konrada Wallenroda" i „Trzech Budrysów" na język niemiecki, autorka oryginalnych poezyj i powieści w tejże, rodowitej swej, mowie.

Nie wiemy dokładnie daty ich poznania się; mało jest prawdopodobną rzeczą, ażeby znajomość zawiązała się już w r. 1826; natomiast rok następny można uważać za niewątpliwie pod tym względem pewny. Na poetę naszego zwróciły uwagę ukształconego towarzystwa w Moskwie jego sonety, tłómaczone i entuzyastycznie rozbierane w pismach moskiewskich w ciągu roku 1827; niektóre damy chciały się uczyć po polsku; pomiędzy niemi była także 18-letnia, ładna i utalentowana Karolina Jaenisch, która poznała Mickiewicza na jednym z wieczorów u księżny Zeneidy Wołkońskiej. Miała ona niezmierną łatwość uczenia się języków, władała już kilkoma wybornie, w polskim bardzo szybko zrobiła olbrzymie postępy, które — jak się wyrażał Mickiewicz w liście do jej ojca — zadziwiały wszystkich „oprócz osób znających jej nadzwyczajne talenta do wszelkiego rodzaju nauk". Zapalona miłośniczka poezyi, entuzyastka, przejęła się czcią i miłością dla poety i nauczyciela swego. Poeta, który po bolesnym zawodzie, spowodowanym pierwszą wielką miłością, przeszedł już przez upojenie zmysłowe w stosunku do Karoliny Sobańskiej i przez egzaltacyą sentymentalną Joanny Zaleskiej, nie mógł jej odpłacać tem bezpośredniem naiwnem wzruszeniem, jakie znamionowało niewątpliwie młodziutką jego uczennicę; mógł z większą niż dawniej słusznością powtórzyć swój wiersz, iż „nie śmie z prze-

kwitłem sercem iść do stóp anioła", mógł do Karoliny stosować radę, którą dawał poprzednio komu innemu: „młody bluszczu, zielone obwijaj topole, zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny".

Ale serca młodych dziewcząt są uparte w miłości; lubią one właśnie zaglądać do świątyni, „gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją". Tą wytrwałością swoją, nie wymagającą nic więcej, nad przyjazne spojrzenie, nad serdeczny uścisk dłoni, przykuwają do siebie dusze uczuciowe, którym nie idzie o samolubny wyzysk wzruszeń i słabości niewieścich, ale o krzewienie wkoło siebie uczuć dobrych i szlachetnych, o rozrzucanie posiewu idealnego.

Rysem charakteru Mickiewicza, który najdłużej i najtrwalej utkwił w pamięci Karoliny, bo powtórzyła go w 60 lat po rozstaniu się z nim, była nadzwyczajna jego skromność autorska. Wielbiony powszechnie w Moskwie, „nie był świadom — jak się wyraża Karolina — swej wyższości pod każdym względem". Kiedy go pytała, dlaczego z czterech części „Dziadów" ogłosił tylko dwie, odpowiedział jej: „bo odczytawszy dwie drugie, aby je dać do druku, uznałem je za tak liche i nudne, żem rzucił w ogień". Na zapytanie, którą ze swych poezyj lubił szczególniej, odrzekł: „lubię kilka stron z „Wallenroda" i parę sonetów krymskich, zresztą doprawdy nic" [1]). Gdy mu powiedziała, że w ciągu jego pobytu w Petersburgu tłómaczyła „Wallenroda" na język niemiecki, odrzekł: „mogłaś lepszy zrobić użytek z czasu", i potem nigdy już o tem tłómaczeniu nie wspomniał i nie odczytał go z nią razem.

Z przyjaciół naszego poety Karolina poznała Cypryana Daszkiewicza, który zakochał się w niej bez żadnej nadziei, wiedział bowiem, że serce panny jest zajęte, rywalizować zaś ani na chwilę nie pomyślał. Mickiewicz przypuszczał, że jego „szlachetne i nowe serce nie wytrzymało pierwszej namiętności", a miłość nie wywzajemniana zrujnowała mu zdrowie i zgon wczesny sprowadziła. Z Daszkiewiczem mówiła Karolina o swych uczuciach, była wzruszona jego szlachetnością i bezinteresownością, miała dla niego wiele przyjaźni i szacunku.

Gdy Mickiewicz bawił w Petersburgu w końcu 1827 i na początku 1828 w różnych interesach, a mianowicie w celu wydrukowania „Konrada Wallenroda", otrzymał od ojca panny Karoliny list, w którym ten, donosząc mu o sprawach domowych, dopytywał się o powody, zatrzymujące go tak długo w sto-

---

[1]) Dosyć to zgodne z opinią, jaką Mickiewicz wydał o swych utworach w liście do Leonarda Chodźki, 10 lipca 1830: „Gdyby mnie poradzono się, co należało wybrać do tłómaczenia, wskazałbym tylko „Farysa", wyjątki z „Wallenroda", „Sonety krymskie", parę sonetów z pierwszej części; *dwie lub trzy ballady*, i „Dziady": ostatnie nawet lękam się, aby nie nudziły cudzoziemców. Resztę nie warto było tłómaczyć".

licy cesarstwa. Poeta odpisał mu w początkach lutego 1828 r. po francusku i w końcu zamieścił następne słowa odnoszące się do Karoliny: „Jako jej były nauczyciel tego języka, dumny jestem z takiej uczennicy. Ponieważ książki używane w studyach elementarnych łatwo się zużywają, proszę pana wręczyć pannie Karolinie dwa nowe tomiki polskie. *Niech w zamian zechce mi dać książkę, na której nauczyła się czytać po polsku;* będzie ona dla mnie droższa, niż paryskie i londyńskie wydania".

Niebawem po wysłaniu listu, nie doczekawszy się nawet drukowanego egzemplarza „Wallenroda", Mickiewicz przybył do Moskwy i zamieszkał u Cypryana Daszkiewicza. Bawił tam dwa miesiące; zapewne często widywał się z Karoliną, której miłość potęgowała się; wtedy nastąpić musiały wzajemne wyznania. Pod koniec kwietnia r. 1828 opuścił poeta nasz Moskwę, przenosząc się do Petersburga.

Upłynęło dziesięć miesięcy, w ciągu których Karolina nie widziała Mickiewicza i listów od niego nie miała. Rozegzaltowana rozłąką, nie mogła już przenieść na sobie dłużej, ażeby zachowywać milczenie dręczące i pozostawać w niepewności. Zdecydowała się na krok śmiały: pierwsza napisała do poety z przepełnionego serca, pod datą 19 lutego 1829 r., w języku francuskim (mieszając ciągle *vous* i *tu)*, a kończąc i podpisując się po polsku.

„Piszę do ciebie słów kilka błagając, żebyś przybył do Moskwy, skoro tylko będziesz mógł. Widzę, że dłużej nie potrafię znieść tego stanu niepewności, tego ciągłego oczekiwania, tego wiecznego wzburzenia. Los mój rozstrzygnąć się musi w ten czy ów sposób. Byłabym spokojniejsza, gdybym nie miała już nic do stracenia.

„Dziesięć miesięcy upłynęło od twego wyjazdu; dużo rozmyślałam przez te dziesięć miesięcy nieobecności; przekonałam się, że nie mogłabym żyć bez myśli o tobie, przekonałam się, że całe istnienie moje jest ustawicznem jedynie wspominaniem. Mickiewiczu! cokolwiek się stanie, dusza moja do ciebie należy. Jeżeli nie mogę żyć dla ciebie, życie moje skończone, ale i wtedy skarżyć się nie będę. Czyż nie byłam tysiąc razy szczęśliwszą, niż się spodziewać mogłam? Spotkałam cię, poznałam, zrozumiałam — tak jest, mogę to powiedzieć, potęgą miłości mojej zrozumiałam twą duszę! Kochałeś mię — jakież nieszczęście wyrównać może takiej szczęśliwości!...

„Nie śmiem w rzeczywistości wierzyć w przyszłość szczęśliwą; zdaje mi się, że takie szczęście w marzeniu tylko istnieć może. A jednak mam nadzieje prawie pewne i te tak piękne nadzieje wzburzają mię i dręczą. Częstokroć niepodobna mi powstrzymać łez, i płaczę, nie wiedząc dlaczego. Nie szydź z tego dzieciństwa, jest to słabość mimowolna. Wtedy tylko czuję się dobrze, gdy

jestem z tobą sama; wówczas mówię do ciebie w tym ukochanym języku, który jest dla mnie muzyką wzruszającą i rozkoszną; w takich chwilach znam radość — ale radość ta ma prawie zawsze łzy w oczach.

„Odjazd Daszkiewicza zasmuca mię także bardzo... Mówił ci o tem, co zaszło między nami... Żądał mego portretu: nie mogłam mu odmówić tej jedynej prośby; spodziewam się, iż mi nie naganisz tego, żem mu dała. Chciałam tobie posłać drugi, ale niepodobna mi było teraz go narysować; dam ci go, gdy przyjedziesz. Jakże ten czas, który do owej chwili upłynie, będzie smutny dla mnie; z nikim już o tobie mówić nie będę mogła; będę sama z myślami swemi, które często bardzo są smutne.

Żegnam cię; dbaj o swoje zdrowie, nie narażaj go, błagam cię, i przybywaj rychło, na miłość Boga, ażebym wreszcie wiedziała, co mię czeka. Żegnam cię; myśl o tej, która cię kocha nade wszystko w świecie. Wiem teraz, że gdybym musiała wyrzec się tej nadziei, tak niewysłowienie pięknej, jakąś mię natchnął, nie byłoby już szczęścia dla mnie... *Bądź zdrów, kochany!...*

Karolina".

Poeta, wezwany tak gorącemi słowy, przybył do Moskwy, nie zważając na okropne drogi, w marcu r. 1829, i zabawił do połowy kwietnia. Wtedy-to zapewne nastąpiła chwila, którąby mogła się była odbić stanowczo na dalszym biegu życia Mickiewicza. Poeta oświadczył się o rękę Karoliny. Z jakich zrobił to pobudek, domyślać się tylko można. Nie sądzę, ażeby się na to zdecydował pod wpływem wyrzutów sumienia, iż zachowaniem się swojem rozbudził w duszy Karoliny nieziszczalne nadzieje; nie zdaje mi się również, ażeby namiętność silna popchnęła go do tego kroku. Mickiewicz mógł żywić choćby najgłębsze dla Karoliny spółczucie, ale spółczucie tylko; od miłości gwałtownej, namiętnej był dalekim. Sądził więc może, iż w małżeństwie niekonieczną jest silna, obustronna miłość, iż do szczęśliwego pożycia wystarczy z jednej strony namiętne przywiązanie, a z drugiej głęboka sympatya. Wzruszał go stan duszy Karoliny; mógł ją nad wyraz uszczęśliwić: ofiarował jej swą rękę na dalszą drogę życia.

Okoliczności nie dozwoliły spełnić się najgorętszemu życzeniu Karoliny. A może i jej przedewszystkiem i głównie chodziło o upewnienie się, że nie była przedmiotem chwilowego tylko kaprysu, ale takiego uczucia, które poważnym wyraża się zamiarem; otrzymawszy tę pewność, poddała się okolicznościom, nie myśląc z niemi walczyć na przebój. Oto jak opowiada te dzieje serca swego po latach 60-ciu:

„Z wdzięcznością ku Bogu myślę o tym dniu błogim, w którym przedmiot mojej miłości bez granic zapytał: czy chcę zostać jego żoną? Moje najdroższe nadzieje rozchwiały się prędko. Starszy brat mojego ojca, posiadający całe

mienie naszej rodziny, oświadczył, że gdyby przyszło do zawarcia tego związku, wydziedziczy mego ojca. Byłabym skazała go na życie w ciężkiej potrzebie i niedostatku. Ojciec mój byłby zrobił dla mnie to poświęcenie, lecz przyjąć go nie mogłam. Postąpiłam, jak mi nakazywał obowiązek. Ten, co mię kochał, zrozumiał również, że nie było możności wahania się. Spędziliśmy razem jeszcze dni kilka, ostatnie dni spójni duchowej".

Zazwyczaj rozstania podobne zostawiają po sobie w sercach bodaj odrobinę jakiegoś niesmaku, jakiejś nieufności, jakichś nieokreślonych podejrzeń. W stosunku Mickiewicza i Karoliny nic takiego dostrzedz nie można. Świadectwem to jest wielkiej podniosłości duchowej i szlachetności z obu stron. Rozstali się jak serdeczni przyjaciele, zmuszeni rozłączyć się z sobą na zawsze bez możności komunikowania się nawet piśmiennie. Karolina całą swą gorącą a piękną duszę odmalowała w drugim, i ostatnim zarazem, liście, pisanym do Mickiewicza, bawiącego jeszcze w Moskwie. List ten, datowany 5 kwietnia 1829 r., skreślony był w języku niemieckim i jest jednym z najwymowniejszych dokumentów zacności serca ludzkiego:

„Żegnam cię, mój przyjacielu. Raz jeszcze dziękuję ci za wszystko — za twoję przyjaźń — za twoję miłość. Przysięgłam ci zasłużyć na tę miłość, być zupełnie taką, jaką sobie życzysz. Nie wierz nigdy, żebym mogła przysięgę tę złamać: to jedyna moja do ciebie prośba. Słowa te są pewnie ostatniemi, jakie do ciebie zwrócić mogę; wierz im, a kiedy je zapomnisz, odczytaj tę kartę i pomyśl, że obietnica, jaką ci złożyłam, świętą jest dla mnie, i że jej dotrzymam, bo cię kocham. — Przyjacielu! wierzę, iż spełnisz moję ostatnią prośbę, że nigdy nie będziesz sobie robił wyrzutów, kiedy o mnie pomyślisz — nie zechcesz zawieść wiary mojej! Wiedząc, że nigdy o mnie nie zwątpisz, będę spokojną, zadowoloną, szczęśliwą; — jestem taką już teraz, kiedy się rozstać muszę z tobą — może na zawsze. — Wszystko stało się bardzo dobrze, a choćbym nigdy cię już zobaczyć nie miała, zawsze przekonaną będę, że tak lepiej dla nas obojga, gdyż jest to wolą bożą. Życie moje będzie bardzo pięknem, cokolwiek nastąpi. Często dobywać będę z serca swego skarbiec wspomnień i przypatrywać się im, gdyż każde z nich jest czystym dyamentem. Będę się modliła za ciebie do Boga, a kiedy on weźmie cię do siebie, do nieba, podziękuję mu za to, a miłość moja do ciebie stanie się jeszcze piękniejszą!...

„Żegnam cię, mój przyjacielu! nie mam ci nic więcej do powiedzenia w chwili rozstania; bo cobym chciała ci powiedzieć, tego wymówić i zamknąć w słowa nie potrafię. Ale ty mię rozumiesz, ty znasz miłość moję, chociaż jest niemą. A jednak, kiedy pomyślę, że już może nigdy jednego słowa do ciebie nie po-

wiem, to ciężko mi skończyć... Ale muszę — żegnam cię, mój przyjacielu! wiem, że mię kochasz!... Żegnaj!...

Nazajutrz po tym liście, 6 kwietnia, Mickiewicz napisał w albumie Karoliny wiersz, który w jej słowach powyższych ma jasne tłómaczenie:

Przed wichrami i szronem, gdy przelotne ptaki
Uciekając, rozstania nucą pieśń żałosną, —
Nie wiń ich o niestałość! one z każdą wiosną
W jedne strony jednemi powracają szlaki.

Słysząc głos ich, wygnańca wspomnij, przyjaciela!
Ilekroć mu po burzach nadzieja zaświeci,
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela
Znowu na północ, znowu ku tobie uleci . . .

I rozstali się na zawsze. Duch poety, nie na skrzydłach wesela wprawdzie, ale smutku, ulatywał ku Karolinie. Gdy mu doniesiono do Rzymu w r. 1830 o śmierci Cypryana Daszkiewicza, pisał do jednego z przyjaciół: „Przeznaczenie, jeśli mi co udzieli, musi najprzód, jak Harpia, dary swoje zatruć... Chciałem pisać do Karoliny, ale nie wiem, co się po tym okropnym wypadku stało, co ona myśli, i co się z nią dzieje. Jeśli bywasz u niej, napisz mi szczerze i bez ogródki“. Listy jej wraz z miniaturą przechowywał na równi z listami i wizerunkiem Maryli.

Karolina wyszła za powieściopisarza, Mikołaja Pawłowa, w roku 1838, ale nie była z nim szczęśliwą. Pamięć o Mickiewiczu przechowała do późnej starości. W 82 roku życia pisała do syna poety:

„Co mam powiedzieć o moich listach? Nie mogę dziś jeszcze myśleć o nich bez wzruszenia. Tak, kochaliśmy się rzewnie i wspomnienie tej miłości jest do dziś dnia szczęściem dla mnie. Czas, zamiast osłabić, wzmocnił moję miłość. To niezatarte wspomnienie zachowało mi *młodość serca,* która zadziwia mię samę... Mickiewicz nigdy do mnie nie pisał. Znalezienie się jego było wzorowe... Pozawczora, 18 kwietnia, sześćdziesiąt lat ubiegło, jak ujrzałam go po raz ostatni, a jest on jeszcze obecny myśli mojej. Mam przed sobą jego portret, a na moim stole mały garneczek z wypalonej gliny, dany mi przez niego, na palcu noszę pierścionek, który mi darował. Dla mnie żyć on nie przestał. Kocham go dziś, jak kochałam przez tyle lat nieobecności. Jest moim, jak był niegdyś“.

Dotrzymała swej obietnicy i czuła się szczęśliwą samemi wspomnieniami; młodość serca dawała jej szczęście największe, o jakiem zamarzyć można.

* * *

Z późniejszych wzruszeń serdecznych, które biografowie zaznaczyli, wyróżnić tu jeszcze wypada jedno, będące jesiennym jakoby kwiatem miłości. Doznał go nasz poeta w Rzymie, kiedy po wyjeździe z Petersburga dwie zimy tam przepędził (1829—30, 1830—31).

Chwila ta jest nadzwyczaj ważna z kilku różnych powodów. Wówczas-to bowiem umysł Mickiewicza wzbogacił się naocznem oglądaniem wielu krain, znanych mu dotąd jedynie z książek i opowiadania podróżników; wówczas podziwiał poeta zabytki rzeźby, architektury i malarstwa, nagromadzone w kościołach, muzeach i galeryach wielu miast europejskich; wówczas poznał owo włoskie niebo, do którego wzdychały i wzdychają dusze artystyczne; wówczas wszedł w świat salonowy różnorodniejszy i większy, aniżeli były salony Odesy, Moskwy i Petersburga; wówczas wreszcie dokonał się przełom w jego uczuciach religijnych, przełom, który go później do mistycyzmu doprowadził.

Zresztą chwila ta bogata była i skądinąd w przewroty, zarówno zewnętrzne (np. rewolucya lipcowa paryska i inne), jak i wewnętrzne (np. rozwój klerykalizmu, liberalizmu, saint-simonizmu i mnóstwa odcieni różnorodnych przekonań) — co wszystko nie mogło oczywiście przejść bez śladu w umyśle takiego człowieka, jak Mickiewicz.

Nim jednak wielkie wypadki dziejowe zaczęły zajmować wybitniejsze miejsce w duchu poety, rozgrywały się tymczasem w sercu jego niehałaśliwe komedye i dramata, z całkowitym łańcuchem wypadków jego żywota drobnemi, ale silnemi ogniwami związane.

Przypatrzmy się bliżej tym ogniwom, które w języku przywiązania, przyjaźni i miłości mogą być ochrzczone nazwiskami trzech kobiet: księżny Zenejdy Wołkońskiej, Anastazyi Klustin (późniejszej hrabiny Circourt) i Henryety Ewy hrabianki Ankwiczówny.

Pierwsza z nich, księżna Zenejda, była dawną znajomością poety, jeszcze z Moskwy, gdzie bawił w roku 1826 i 1827. Zenejda znacznie przewyższała wiekiem Adama, kochała w poecie człowieka, uznawała jego rozum, podziwiała geniusz. Dom swój i stosunki oddała na jego usługi, błagając go niemal, ażeby w jej pałacu zamieszkał, ze znajomości jej korzystał, w cierpieniach swoich do niej się uciekał. Dla niej-to poeta skreślił wiersz: *Na pokój grecki*. Po opisie wspaniałym rzeźb i malowideł, zdobiących tę starożytną komnatę, po nawiasowem wspomnieniu gwiaździstego wzroku i najpiękniejszego czoła „nimfy-przewodniczki", poeta nie mógł zapomnieć o bożku miłości, Amorze, co uciekłszy z Afrodyty łona, drzemał ssąc rubinowe piersi winogrona, nie mógł o nim zapomnieć i zawołał:

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje.
Niestety! przewodniczka chłodnym rzutem oka,
Jak laską Merkurego, uderza zwysoka
I duszę mą, lecącą w rozkoszy raj błogi,
Wypędza bez litości za nadziei progi.

Cóż opowiem wrócony do śmiertelnych kraju?
Ach, opowiem, że byłem wpół-drogi do raju,
Z duszą na poły tęskną, napoły radośną,
Słyszałem już tę rajską rozmowę wpół-głośną
I widziałem te rajskie pół-światła, pół-cienia
I doznałem, niestety, tylko pół-zbawienia . . .

Wyrażenia wiersza i uczucia w nim wyśpiewane są, z natury poezyi, przesadne nieco i nie dają zapewne prawdziwego obrazu rzeczywistości.

Jaką zaś była rzeczywistość, moglibyśmy wnosić po części z listów wieszcza naszego do księżny Zenejdy, gdyby drukiem były ogłoszone. Na nieszczęście, listów tych wcale nie posiadamy; a pełne czułości i troskliwego opiekowania się losem Mickiewicza wyrażenia księżny, mogą jedynie świadczyć o stanie własnego jej serca.

Bezwątpienia, prawdopodobną jest rzeczą, że nasz poeta, ujęty jej przyjacielskiem postępowaniem, pierwszy raz wszedłszy na dłużej w arystokratyczne sfery, olśniony był na chwilę nowemi dla niego przedmiotami; później atoli nie mógł odpłacać swojej opiekunce uczuciami, któreby w stopniu natężenia nie pozostawały dłużnikami...

Księżna, zachodząc w lata, stawała się wielce pobożną, i to w duchu katolickim. Jeden z przyjaciół poety, Szewyrew, nazywa Zenejdę jego *aniołem,* niewiadomo, czy w przesadnej frazeologii uczuciowej, jaka wówczas była w modzie, czy też (co prawdopodobniejsza) używając wyrazu anioł w znaczeniu anioła stróża, którym przez czas jakiś dla Mickiewicza księżna była rzeczywiście. Poeta nasz przyjmował jej opiekę z uczuciem przyjaźni i umiał być za nią wdzięcznym; z listów jego dowiadujemy się, że jak dawniej w Moskwie, tak i później w Rzymie bywał u niej częstym gościem i korzystał z jej uprzejmości nieraz.

Stosunek z Anastazyą Klustin był całkiem inny. Panna światowa, bogata, myśląca jedynie i wyłącznie o uprzyjemnieniu sobie życia, oczytana zresztą, korespondentka wielu znakomitości, wychowana w atmosferze pochlebstw i komplimentów, dziesiątą muzą nazywana, nie wymagała zapewne ani czułego przywiązania, któreby się jej wydawało zanadto sielankowem, a zatem co najmniej śmiesznem, ani też gorętszego afektu, któryby przełamał ten silny, choć z ni-

czego zbudowany, mur, co się regułą konwenansu nazywa. Z nią potrzeba było być zawsze w dobrym humorze, żartować i dowcipkować, o rzeczach poważnych myśleć niewiele, a przynajmniej nie mówić, — słowem: być *un chevalier servant* w pełnem znaczeniu tego romantyczno-salonowego wyrażenia. Poeta nie potrzebował tu szafować uczuciem, szafował tylko dowcipem.

Można przypuszczać z pewną dozą prawdopodobieństwa, że Mickiewicz, korespondując z dowcipną panną, musiał się wprawiać w ten ton żartobliwo-złośliwy salonów. Zazwyczaj w pismach jego widnieje jasne, serdeczne uczucie, wyrażane słowami prostemi, znanemi z potocznej przyjacielskiej lub uczonej rozmowy; w korespondencyi z panną Klustin, próbował sprocentować zasoby dowcipu żartobliwego, lekkiego i lekkomyślnego, jaki nagromadził w czasie pobytu w Moskwie i Petersburgu. „Podpisany — powiada pisząc z Genewy — kupiec ubogi, ale sumienny, niesłychanie się trudził od jakiegoś czasu, by zapłacić monetą wartościową przesyłki materyałów i spirytuozów, których pani dom bogaty raczył mu codziennie dostarczać. Z naturalnego więc wyniku rzeczy poruszył wszystkie swoje zdolności rzeczywiste i domyślne i przymusił je wyrabiać bez przestanku liczbę wystarczającą komplimentów, podziękowań, dowcipów i innych walorów mających kurs u płci pięknej. Niestety, poznał wreszcie niedostateczność takich operacyj, ponieważ w handlu waszym macie obfity zapas dowcipów, żartów i trafnych odpowiedzi, a on je wyrabia z wielkim trudem i powoli; nie mówię już o improwizowanych konceptach, które kuje z większym jeszcze mozołem. Ostatni ładunek przesłany zastał go nieprzygotowanego; jest więc zmuszony zawiesić wypłaty; by zaś nie został oskarżony o upadłość zbrodniczą, wyznaje i oświadcza, że jest w posiadaniu znacznego zapasu wdzięczności, który należy się tylko pani bez podziału, lecz którego nie może inaczej wypłacić, jak tylko monetą sentymentów i uczuć".

Nie zawadzi tu przypomnieć, że już w tym czasie w duszy Mickiewicza przebywał obraz kobiety, która miała zostawić żywsze i głębsze ślady w jego życiu, aniżeli salonowe przekomarzania się z panną Klustin.

W tym samym czasie pisał z Genewy do pani Ankwiczowej list pełen serdecznej troskliwości o losy i zdrowie całego domu i dodawał: „Opuszczam Genewę w daleko innym humorze, aniżeli do niej przybyłem; większa część przyjemności podróży mojej już zgóry stracona i raczej z nudy niż z ciekawości przedsiębiorę te nowe kursa".

Znajomość tedy i częste bileciki od panny Anastazyi były zdawkową monetą życia, o której się zapomina niemal w tej samej chwili, kiedy wyrazy wypowiedziano, a widywanie się na czas jakiś przerwane zostało. Mickiewicz był wówczas galantem jak rzadko: sypał komplimentami, chciał opiewać rymem

wdzięki panny Anastazyi, którą admirował Thorwaldsen, bawił się drobnostkami, jakby nigdy poważniejszej myśli nie zaznał.

Przy końcu r. 1830 panna Klustin wyszła za mąż, za hr. Circourt, stosunków atoli z poetą nie zerwała; owszem, utrzymywała je ciągle, jak świadczy kilka dochowanych listów poety do niej, z których ostatni nosi domyślną datę 1847 r. W listach tych spotykamy gdzieniegdzie słabe przypomnienie poprzedniego okresu żartów i grzeczności, wogóle jednak więcej w nich mowy o sprawach literackich i artystycznych. Mickiewicz sławi jej gust i znawstwo w rzeczach artyzmu, nie wątpimy więc o jej wykształceniu; dodać wszakże potrzeba, iż miało ono cechy dyletantyzmu salonowogo z silną domieszką wrażliwości na utwory sztuki i względem samychże twórców. Czy po za tem życiem, które z listów Mickiewicza i Odyńca poznajemy, były jakie żywe i głębokie pragnienia; czy w umyśle dowcipnej i artystycznie wykształconej korespondentki falowały prądy wyższego świata? — są to pytania, na które sumiennie odpowiedzieć nie można ani tak, ani nie.

W galeryi pamiątek, duchem poety opromienionej, wybitnieje postać Henryety Ewy Ankwiczówny, z którą Mickiewicz zapoznał się w Rzymie pod koniec 1829 roku. Zaproszony przez hrabiego ojca, bywał bardzo częstym gościem w jego domu na *via Mercede*. Zbierało się tu liczne towarzystwo Polaków, z którymi życie upływało bardzo przyjemnie a nawet pożytecznie. Z całego atoli towarzystwa najwięcej zajmowała poetę 19-letnia hrabianka Henryka, w której zamiłowanie do rzeczy swojskich wzbudziły po raz pierwszy poezye wieszcza z Litwy. Nie była ona właściwie piękną co do rysów, ale miała jakiś poetyczny powab, a co najważniejsza, we wrażeniu ogólnem całej fizyognomii przypominała Marylę. Dusza jej, o ile domyślić się można, czuła, serdeczna, ale hartu i energii nie posiadająca, zaczęła się napawać pięknościami ojczystej twórczości i powoli przychodziła do przekonania, że nietylko zamorskie płody smakować mogą i powinny. Znała dawniej, nietylko z pism, ale i osobiście, Lamartine'a, Châteaubrianda, obecnie poznała Mickiewicza. Nie potrzeba sobie zresztą wystawiać, że literatura pochłaniała wszystkie godziny jej życia. Bynajmniej. Wizyty, rozmowy w salonie, zabawy, przejażdżki wzdłuż i wszerz Włoch, do Pizy, Florencyi, Liworna; zwiedzanie Elby i Korsyki — wypłacały daninę należną arystokratycznemu tonowi i wielkoświatowemu regulaminowi życia. Przejażdżki te i rozmowy nie pozostały oczywiście bez wpływu na 19-letni umysł panienki, która była „przewodniczym dla poety aniołem przez rzymskie bramy, groby i świątnice". Miała błękitne oczy, któremi „odgadywała przeszłość z jednego wyrazu".

W początkach zapoznania się z Mickiewiczem była milczącą, czyli (jak się wyraża poeta) „nie grzeszyła wielomówstwem“; powoli jednakże rozgrzeszyła się i długie prowadziła z poetą rozmowy, nie zaniedbując przytem fortepianu i gry w zielone. „Najniższy i najzieleńszy sługa“ — tak się tytułuje poeta w jednym z listów — „przysięga na wszystko, co jest zielone, od mirtu aż do pokrzywy, że o każdej z dwudziestu czterech godzin panna Henryetta znajdzie u niego kolor nadziei“.

Rozmowy i zabawy połączone były z wycieczkami pieszemi i konnemi po Rzymie i blizkich okolicach. Panna Henryka, która już kilka lat w mieście tem przepędziła i tysiąca archeologicznych dysput się nasłuchała pod kierunkiem Viscontiego, mogła Mickiewiczowi wiele przedmiotów pokazać a nawet objaśnić. Tą okolicznością wywołany był wiersz naszego poety zatytułowany: *Do mego Cicerone w Rzymie,* napisany w r. 1830. Już w tym wierszu, tak miłym i potoczystym, przebija się głęboko ukrywane uczucie, które we wszystkiem miłej dla siebie przepowiedni doszukać się pragnęło:

Mój Cicerone! oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię
Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie;
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala; może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody
I nigdy o nim nic się nie dowiemy.

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej wśród włoskiej krainy
Za cały napis to imię nakréślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką po długiem dumaniu
 Rył go powoli jak nagrobek w skale,
Czy go odchodząc uronił niedbale
Jako samotną łzę przy pożegnaniu?

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twem świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet serca z głazu,
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu;
Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!

Napróżno jednak poeta dopytywał się o przyszłość swoję; ani on znać jej nie mógł, ani też jego cicerone. Cicerone poczuł w sercu silniejsze drgnienia, które oczy jego zwróciły z posągów bóstw starożytnych na żyjącego i geniuszem swoim w sfery boskości wzlatującego poetę... poeta zaś cieszył się całem sercem ze świeżo rozkwitającego życia. Dwoje młodych ludzi miało się dowiedzieć o swej przyszłości z innego źródła, które, dziwnym i niepodobnym do wytłómaczenia zbiegiem okoliczności, zawierało prawdę, jeśli „zwierzeniom Ewuni“ mamy zaufać zupełnie. A było to tak:

Pierwszą wycieczkę po za miasto odbył Mickiewicz w towarzystwie, zaproszonem przez państwo Ankwiczów, do ujścia Tybru w Fiumicino. Cudna ta droga ciągnie się przez Kampanią rzymską. Zwiedzali razem piękny kościół Ave Maria Stella, zbudowany na skale ponad rzeką. Szczególna niespodzianka czekała ich na Isola Sacra. Oglądali gruzy świątyni Jowisza, owej świątyni, z której głosili niegdyś wieszczby starożytni augurowie. Henryka, wraz ze swoją nieodstępną towarzyszką, Marceliną Łempicką, zrywała mirty rosnące na zwaliskach. Mickiewicz poruszony widokiem miejsca zaimprowizował[1]) wśród tych mirtów. Ledwie skończył, pojawia się dziwna postać. Słońce miało się już ku zachodowi; wtem z za ruin świątyni Jowisza występuje nagle cyganka, wysoka, czarna, z włosami w nieładzie, w jakimś czerwonawym łachmanie i wrzaskliwie dopomina się o jałmużnę, ofiarując się przytem przyszłość z ręki wywróżyć. Marcelina ani chce słuchać; ale Henryka porywa gwałtem jej rękę i zarazem swoję podaje; cyganka powiada jej, że będzie miała dwu mężów. Łatwo sobie wyobrazić zmieszanie i wstyd panienki... Przepowiednia ta sprawdziła się w zupełności... lecz wówczas nikt w nią zapewne nie wierzył. Rozwój uczuć poety dla Henryki pozostawał w cieniu, dając znaki życia w symbolach i komplimentach.

Pamiętną też w tej sielance jest wycieczka do Albano. Poranek był prześliczny. Na niebie różowo a przezroczysto, na ziemi zielono a świeżo; wiosna przedstawiłaby się w całej okazałości, gdyby choć jeden skowronek, choć jakikolwiek ptaszek, w całej drodze przyśpiewywał towarzystwu; ależ i drzew nigdzie nie było aż do Frascati. Zato po obu stronach gdzieniegdzie ruiny i pyszne dwa wodociągi, stary i nowy, na wysokich arkadach, które wyglądały jak szereg wspaniałych przysionków: widok zakończony górami. Damy i hr. Ankwicz jechali na osiołkach, reszta zaś towarzystwa, z młodzieży złożona,

---

[1]) Antoni Edward Odyniec powiada, że napastowano zewsząd Adama, aby co zaimprowizował; ale poeta zbywał żartami i nie chciał, chyba że się podoba nazwać improwizacyą jakie z dziesiątek konceptowych dystychów, najwięcej stosowanych do Odyńca, a z których może kilka uszłoby za dewizę karmelkową.

trzymała za cugle te górskie rumaki lub same damy podtrzymywała na siodłach z poręczami nakształt krzesełek. W Tusculum czy też w Albano Odyniec chciał zapisać jakiś szczegół. Henryka podała mu notyskę, którą zawsze ze sobą nosiła, przyczem śrubka odpadła od ołówka; szukano jej napróżno; wtedy Odyniec zaczął pisać wierszyk na ton i miarę piosenki ludowej o pastuszce gęsi, która, włócząc się dzień cały po wsi z bębenkiem: „bębenek zbiła, gąski zgubiła", a potem łamiąc ręce lamentowała: „ach! ja nieszczęsna, com ja zrobiła!..." Z powrotem z Albano Mickiewicz, zachwycony przepysznym zachodem słońca, „prozą improwizował dytyramby"; a wracał w powozie razem z paniami...

Podczas wycieczki do Subiaco w Abruzzach, gdzie droga prowadzi nad brzegami spadzistego Anio, szedł poeta znużony przy płochliwym mule Henryki; gdy panna zwracała jego uwagę na piękne okolice i szumiące kaskady, odpowiedział:

— Co mi tam kaskady, ja wolę patrzeć w błękitne oczy pani!

— Nie mów pan tego — odrzekła Henryka — a któż-to niedawno napisał: „kobieto, puchu marny!"

— Kto pani dał to czytać? — zawołał poeta żywo — za młoda jesteś na to; te rzeczy nie dla ciebie...

Do otwartego jednak ze stron obu wyznania ani teraz ani potem nie przyszło. Kochali się, milcząc. Domyślać się można, że przyczyną milczenia ze strony poety była obawa rekuzy.

Hrabia Ankwicz, któremu żona na stosunek obojga oczy otworzyła, nie zaniedbywał niczego, ażeby Mickiewicza od domu swego odstręczyć. Razu jednego opowiadano o pani Guiccioli, mieszkającej wówczas w Rzymie, jako o byłej kochance Byrona; hrabia się odezwał: „Piękna mi chwała, żeby kto kiedy wytykał palcem moję córkę, jak dziś wszyscy palcem wytykają panią Guiccioli". Zmieniał kilkakrotnie miejsce pobytu rodziny, nie mówiąc nic o tem nikomu obcemu; a gdy Mickiewicz, któremu hrabina sprzyjała, zawsze jakimś sposobem spotkanie do skutku doprowadzał, przyjmował go chłodno. Gdy raz odebrał z Galicyi list od któregoś z sąsiadów, który pisał: „rozchodzi się wieść, że wydajesz córkę za sławnego wieszcza polskiego"; rzucił go z gniewem i rzekł do żony: „a widzisz, nie powiedziałem, do czego to wszystko doprowadzi!.." Ażeby odjąć Mickiewiczowi nadzieję otrzymania ręki Henryki, często powtarzał w jego obecności: „Muszę wracać do kraju, czas wydać za mąż córkę". Wkrótce też zapowiedział wyjazd do Galicyi.

Na pożegnalnym wieczorze, wyprawionym na cześć domu hrabstwa przez zwykłych jego gości, poeta i Henryka zrywali anemony nad jeziorem; on uwił

dla niej wieniec, ona dała mu bukiet róż i laurów, na co Adam odpowiedział: „jedne zapóźno, drugie zawcześnie“.

Poeta darował nazajutrz Henryce dwa tomy swoich utworów, wydania petersburskiego; na okładce napisał: „Ewie A. w dzień odjazdu z Rzymu“, na pierwszej zaś kartce: „W bramie del Popolo: wyjeżdżamy z Rzymu, nie będziemy płakać ani w dzień ani w nocy, będziemy w dobrem zdrowiu; do widzenia“. Działo się to 4 maja 1830 roku.

Równocześnie Mickiewicz z Odyńcem przygotowywali się do podróży na dalsze południe Włoch, do Neapolu. Tu powstał śliczny a powszechnie znany wiersz:

Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa i t. d.

Wiersz ten, naśladowany z pieśni Mignony, pomieszczonej w romansie Goethego: *Wilhelm Meister*, zastosował Mickiewicz do siebie. W pieśni Goethego Mignona mówi o sobie, tęskniąc za przeczuwanem ledwie miejscem urodzenia: u Mickiewicza sam poeta za ulubioną swoją westchnienia posyła: w pierwszych dwu zwrotkach kreśli szczęście spólnego pobytu, w ostatniej mówi o tęsknocie, jaka go po rozstaniu z lubą opanowała.

Nie widzieli się parę miesięcy; nie mieli też o sobie dokładniejszych wiadomości. Z powodu śmierci ojca hrabiny, plan podróży uległ zmianie: Ankwiczowie udali się do Paryża. Wkrótce po ich przybyciu wybuchła tam rewolucya (lipcowa). Mickiewicz, który o tej podróży był uwiadomiony przez hrabinę, mocno się zaniepokoił i napisał do niej list następny (z Genewy 14 sierpnia):

„Od dwóch tygodni co rano wracamy od okna poczty z uczuciem, jakiego nie życzę nieprzyjaciołom moim. Jak tłómaczyć milczenie pani? Mogłażeś pani się nie domyślić, że my tu czytamy gazety, i nie odgadnąć, co się dzieje w mojem sercu przy tem szukaniu? Gdybym przynajmniej wiedział, na której ulicy mieszkaliście państwo, możebym, porównawszy z historyą tych bitew, był spokojniejszy. Mimo całe przekonanie, że cudzoziemcom w podobnych politycznych rozruchach nic złego przytrafić się nie może, bo ich obie partye zwykle szanują, nie mogłem pozbyć się obawy o zdrowie państwa. Po tych smutkach trzebaż jeszcze było wpaść na podobną scenę! Piszesz pani, że panna Henryeta była cierpiącą; kiedyż dowiem się znowu o jej zdrowiu? Jutro opuszczam Genewę i wracam za parę tygodni. W liście do pani Klustin obiecywaliście państwo opuścić Paryż pierwszych dni augusta; od pierwszego już droga była wolna i bezpieczna; gdybyście państwo i później wyruszyli, już dawno bylibyście w Genewie. Obchodziłem codzień procesyą hotele nadaremnie. Uciekam znowu w góry, bo już nie mam cierpliwości czekać, czekać i czekać. Uproszę

u pani odpis? Dałem tu adres i listy dojdą mnie pewnie. Czy odebrałaś pani mój z Florencyi pisany? O odpis na kolanach błagamy".

Odpowiadając na list ten, hrabina doniosła, że z Paryża obrócą drogę na Szwajcaryą i że jesień w Genewie przepędzą. Jakoż wistocie zjechali do Genewy jeszcze w końcu sierpnia, kiedy Mickiewicz wraz z Odyńcem zwiedzali właśnie Most djabli, górę Rigi i inne okolice. Wkrótce jednak, bo w początkach września, przybyli i oni do Genewy i przez miesiąc przeszło bywali codziennymi w domu hrabstwa gośćmi, gdzie wtedy zachodził także młody Zygmunt Krasiński ze swym mentorem Jakubowskim. Wieczorki na *rue de la Corraterie* były weselsze od rzymskich. Polityczne wypadki paryskie rozruszały niezmiernie samego Ankwicza, a „że je Adam — jak mówi Odyniec — przepowiedział prawie dosłownie", podniosły w hrabi wyraźnie respekt i uprzejmość dla wieszcza. Ten miesiąc był może najszczęśliwszym w całej tej sielance miłosnej. Dwoje zakochanych, którym gwar salonowy mniej teraz niż poprzednio przeszkadzał, zbliżyło się do siebie serdecznie, zamieniając wyrazy, spojrzenia a może i westchnienia. Choć chmurne czoło ojca panny zasępiało niekiedy pogodne niebo cichej miłości i drażniło dumę czującego wartość swoję poety: to łagodny uśmiech ukochanej rozpraszał niepokoje, a dumę zmuszał do milczenia.

I powierzchownie nawet poeta nasz więcej niż poprzednio na konkurenta wyglądał. Sprawił sobie nowe ubranie, podług spółczesnej mody skrojone. Czy zmiana ta w garderobie miała swe źródło w chęci przypodobania się arystokratycznej pannie (jak twierdzi Duchińska), czy też była czysto przypadkową (jak utrzymuje Odyniec), trudno oczywiście rozstrzygnąć. Nie ubliżałoby to zapewne pamięci poety, gdyby swej ulubionej chciał okazać nawet powierzchownie chęć podobania się; ale i drugie przypuszczenie, wykreślające z rachuby myśl o pannie Henryce, zgadza się z charakterem i zwyczajami wielkich ludzi, którzy mało na swoję zewnętrzność uwagi zwracają.

Więcej szczegółów z tego czasu nie posiadamy. Z początkiem października Ankwiczowie wyjechali do Medyolanu; za niemi pośpieszył Mickiewicz, rozstawszy się z Odyńcem. W Medyolanie, wśród ciszy domowego ogniska, miała się odbyć gwałtowna scena, którą nam opowiada sama Henryka. Hrabia robił żonie przykre wyrzuty, że pobłażaniem naraziła córkę na niebezpieczeństwo, i żądał, aby wyraźnie oświadczyła Mickiewiczowi, że wszelkie jego starania są daremne. Hrabina oparła się temu i powiedziała, że w połączeniu z poetą widzi zapewnienie szczęścia córki. Mąż miał na to odpowiedzieć: „Wolałbym ją raczej widzieć na marach! niechby ją raczej trupem wyniesiono z mego domu!"

Mimo to stosunki naszego poety z domem Ankwiczów nie zerwały się bynajmniej. W powrocie do Rzymu wyprzedził poeta rodzinę tę i z odwiecznego grodu pisał 4 listopada do pani Ankwiczowej:

„Od kilku dni jestem w Rzymie, po szczęśliwej, chociaż *smutnej dosyć* podróży. Mam nadzieję, że państwo będą mieli też samę, co ja, pogodę, dobre zdrowie i *lepszy humor* w drodze, i że wjeżdżając na *Piazza del Popolo*, przekona się pani raz jeszcze, jak wszystkie przeczucia o ladrach i podmówionych od ladrów weturynach, o złych drogach i złych nowinach były fałszywe. Nie zaniedbałem dowiedzieć się do domu na *via Mercede*. Gospodarz bardzo rad z zapowiedzianego przybycia państwa, ale mu żadnej nie dawałem pewności. Powinienby z ceny ustąpić, bo cudzoziemców bardzo mało w Rzymie i domy stoją pustkami. Gospodarz rozwodził się nad wielkiemi poprawami i upiększeniami dawnego ich mieszkania; ja tylko widziałem nowe obicia. Może też owe pokoje zdały mi się smutne i niepokażne dlatego, że puste. Z Polaków oprócz Garczyńskiego i Gajewskiego, przybył tu jeszcze dawny mój przyjaciel i towarzysz w Krymie i na morzu, Rzewuski, i z nim całe te kilka dni przegadałem i przechodziłem. Jeżelibyście się państwo mieli zatrzymać czas jakiś we Florencyi, proszę mię o tem uwiadomić łaskawie“.

Zimę z roku 1830 na 1831 przepędził Mickiewicz, tak samo jak Ankwiczowie, w odwiecznem mieście.

Wtedy-to dokonała się w duszy poety zmiana, przygotowana już poprzednio wrażeniami w Rzymie odebranemi. Mickiewicz, jakkolwiek w głębi religijny zawsze, ochłódł przecież w uniwersytecie i późniejszem salonowem życiu względem praktyk katolickich. Widok szczerej pobożności Henryki, a zwłaszcza jej towarzyszki Marceliny Łempickiej, którą poeta nasz nazywał „świętą“, oddziaływał nań powoli. Sam wyraz twarzy Marceliny i postać — jak powiada Odyniec — były tego rodzaju, że dodać tylko aureolę i palmę, a możnaby ją było żywcem przenieść na obrazek; jak tysiące innych siłą się okazać, tak ona właśnie starała się ukryć przed ludźmi zarówno pobożność, jako też wysokie wykształcenie, które posiadała. O niej-to napisał Mickiewicz z okoliczności przyjęcia przez nią komunii w Genezzano:

Święta i skromna!... Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie klęczącej przed Barankiem Bożym
Jutrzenka usta modlące się stuli.
Wtedy zlatuje anioł twój obrońca,
Jasny i cichy jak światło miesiąca:
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
A troskliwości pełen i wesela

Z takiem nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swem sennem niemowlęciem.

I odmalowawszy błogie marzenia tak ukochanej i tak strzeżonej duszy, dodaje:

Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jednę tak jak ty przemarzył.

Obcowanie i rozmowy z Henrykiem Rzewuskim, Stanisławem księdzem Chołoniewskim, hrabią Montalembertem, bawiącymi wówczas w Rzymie, ugruntowały poczucie, dały niejako teoretyczną podstawę religijnemu usposobieniu i rozmarzeniu. Zapragnął poeta i sam doznawać tych mistycznych rozkoszy, jakie w wierszu do Marceliny odmalował. Po długoletniem niebywaniu postanowił pójść do spowiedzi.

Nie mówiąc o tem nikomu, w najgłębszej trzymając krok ten tajemnicy, udał się do małego kościółka fuori le mure i zamówił sobie nieznajomego kapłana staruszka na oznaczoną godzinę. Powróciwszy do domu, przebył część nocy na czytaniu książki „O naśladowaniu Chrystusa“, gotując się do uroczystego aktu. Nazajutrz wyspowiadawszy się, wprost z kościoła wstąpił, jak zwykle, do Ankwiczów. Ledwie wszedł, pani domu powitała go słowy:

— Czy pan wiesz, jaki Ewunia miała dzisiejszej nocy sen o panu?

Ewunia słysząc to porwała się z pośpiechem, chcąc zapobiedz dalszemu opowiadaniu matki; ale gdy matka zaczęła obstawać przy swojem, Henryka zarumieniona i zalana łzami opowiedziała poecie ten swój sen: „Około północy śniło mi się, żeśmy tu wszyscy zebrani byli tak jak teraz. Nagle przyszedłeś pan, niosąc ślicznego baranka bieluchnego jak mleko, na różowej wstążce“. Toż widzenie ponowiło się tej samej nocy nad ranem, poczem już Henryka nie spała, ale modliła się, a następnie poszła na pierwszą mszę do poblizkiego kościoła.

Mickiewicz, wysłuchawszy tego opowiadania, zadrżał, pobladł i głosem zmienionym rzekł:

— To sen proroczy!

— Jakto proroczy? Cóż on miał znaczyć? — pytała Henryka.

— To — odrzekł poeta — że właśnie dziś rano przystępowałem do Stołu Pańskiego.

Dla ludzi zwykłych zdarzenie takie byłoby zapewne drobnostką, która w ich pamięci przeżyłaby może dzień albo tydzień jeden; ale dla człowieka skłonnego do marzeń, uczuciowego i wrażliwego, jakim był Mickiewicz zawsze, a szczególniej w tym czasie właśnie, stało się ono jedną z bardzo ważnych pobudek do duchowej przemiany. W rok później, kiedy o tym śnie Odyńcowi

opowiadał, drżał i był blady: „Gdyby piorun spadł u nóg moich — mówił — nie przeraziłby mię tyle...“

Sen ten w rozwoju uczucia dla Henryki miał oczywiście wielkie znaczenie. W trzy dni potem zdarzyło się, co następuje: Dzień 2 lutego, kiedy Henryka miała owo senne widzenie, w historyi Rzymu upamiętnił się tem, że w nim ogłoszono wybór nowego papieża Grzegorza XVI. W trzy dni po obiorze papież wedle zwyczaju zasiadł na ołtarzu w bazylice św. Piotra, na grobie apostoła. i udzielał błogosławieństwa, obracając się ku czterem stronom świata. Na tej uroczystości był też Adam wraz z rodziną Ankwiczów. Znajdowali się na schodkach pod kopułą przy figurze św. Longina. W chwili gdy papież, błogosławiąc obecnych, obrócił się ku temu miejscu, Mickiewicz, który stał poniżej, wszedł żywo na schodki, pochwycił rękę Henryki i trzymał ją, dopóki papież nie odwrócił się w inną stronę; poczem szepnął do niej półgłosem:

— Najwyższy pasterz kościoła razem nas pobłogosławił, patrzył się na nas, a więc połączeni jesteśmy.

Henryka przeraziła się mocno; odtąd uważała się podobno jakby duchowo zaręczoną z Adamem.

Duchowe te atoli zaręczyny nie przemieniły się na trwalszy związek. Trudno dziś powiedzieć napewno, jakie były właściwie przeszkody do urzeczywistnienia najgorętszych życzeń obu stron. Pospolicie twierdzą, że hrabiowska duma Ankwicza nie pozwalała na oddanie ręki córki poecie, chociaż poeta ten był sławny. Tak też kazałaby wnosić opowiedziana powyżej niechęć hrabiego względem Adama; a dalej dwukrotne kategoryczne oświadczenie, że związku córki z poetą bynajmniej sobie nie życzy. A jednakże w parę lat po wyjeździe Adama z wiecznego grodu, hrabia, spotkawszy się w Dreźnie z Antonim Edwardem Odyńcem, mówił mu, że gdyby tenże Odyniec był naówczas w Rzymie, wszystko dałoby się ułatwić, dodając, że każdy ojciec ma przecież prawo, żeby mu się „o córkę kłaniano“. Do żony też i córki mawiał podobno:

— Czemużeście mi o tem nie mówiły? było ze mną szczerze wychodzić.

Zapewnia nas Henryka przez usta Duchińskiej, że słowa te były szczere. gdyż charakter hrabiego miał być samą prawością i prawdą. Ale jakże słowa te pogodzić z wyrzeczeniem, które nam sama Henryka podaje, że hrabia wolałby widzieć córkę na marach aniżeli żoną Mickiewicza? Te dwa przeciwne zdania o tym samym stosunku zbyt kontrastują ze sobą, ażeby mogły być oba razem równie szczeremi i prawdziwemi, a przynajmniej nie *równocześnie*. Trzeba wiedzieć, że owe słowa zgody mówił hrabia dopiero po wyjściu *Pana Tadeusza*, w którym Mickiewicz przedstawił swój stosunek do domu Ankwiczów w historyi Jacka Soplicy, kochającego Horeszkównę Ewę; hrabiego ubódł obraz starego

Horeszki stolnika, który obłudnie względem Jacka postępował. Po fakcie dokonanym, kiedy się Mickiewicz ożenił, nic nie szkodziło hrabiemu powiedzieć kilka popularnych frazesów...

Z drugiej strony powiadają, że i Mickiewicz był w tym razie „niepotrzebnie dumny“, że „względniejsze i miększe postępowanie“ poety mogło było inaczej losem jego pokierować. I tu przecież nasunąć się nam może pewna wątpliwość. Nie wiemy wprawdzie, czy Mickiewicz podczas drugiej zimy w Rzymie spędzonej chciał zerwać z domem Ankwiczów i czy go kto od tego kroku odwodził (jak pierwszej zimy Odyniec); tyle jednakże pewna, że pozostał tam bardzo długo, bo aż do 19 kwietnia 1831, ciągle wstrzymywany jakiemiś przeszkodami: to brakiem pieniędzy, to rozruchami w Romanii; że w domu Ankwiczów bywał; że zatem winić poetę o brak „względnego i miękkiego postępowania“ nietylko trudno, ale prawie niepodobna.

Cokolwiekbądź, druga zima w Rzymie nie była tak miłą dla poety jak pierwsza. Dawniejszą jego swobodę skrępowała myśl poważna o spółczesnych mu wypadkach, które się na szerokiej widowni rozgrywały i jego indywidualnym marzeniom nakładały, że tak powiem, cugle. Dawniejsza jego wesołość, w pewnej harmonii ducha źródło swe mająca, przemieniła się tedy na nieokreślone wprawdzie, ale smutne przeczucia, które mu nic dobrego na przyszłość nie wróżyły. Sam Mickiewicz wyznaje, że zima ta 1831 roku przeszła mu daleko smutniej aniżeli pierwsza, dodając, iż „od trzydziestu lat się przekonywa, że tylko się na biedę urodził“. Wyznanie to z ust poety, nie lubiącego się ze swemi cierpieniami wywnętrzać, jest wyraźnem świadectwem przykrych a nawet bolesnych uczuć, jakie wówczas serce jego zajmowały.

Muzea i wszystkie starożytności rzymskie, pośród których Henryka była mu tak miłym *ciceronem,* straciły teraz swój urok dawniejszy. „Mokry arkusz brudnej niemieckiej gazety“ więcej — jak powiada — zachwycał go wówczas, „aniżeli wszyscy Vinci i Rafaele“. Rozmowy o kwiatach, snach i wróżbach nie mogły teraz być tak częste, bo się znalazł ważniejszy przedmiot do mówienia o sprawach ogólnych, któremi Mickiewicz niewątpliwie całą duszą się przejmował.

Powoli rodacy bawiący w odwiecznym grodzie zaczęli się rozjeżdżać w strony rodzinne. Zostało tylko szczupłe gronko z dawniejszej „rzeczypospolitej mercedeńskiej“ [1]). Mickiewicz uczuł także potrzebę odetchnięcia powietrzem stron bliższych sercu. Czy to straciwszy wszelką nadzieję porozumienia się z hrabią, czy też nie chcąc go już dłużej obecnością swoją drażnić, postanowił wyjechać z Rzymu.

[1]) Ankwiczowie mieszkali, jak wiemy, w pięknym domu przy *Via Mercede.*

Wilią wyjazdu spędził w domu Ankwiczów. Miał ze sobą poezye Byrona. Wśród rozmowy zaczęto z kolei mówić o domysłach co do przyszłości. Mickiewicz miał wtedy zwyczaj wróżenia o jutrze nieznanem albo z biblii otwieranej trafem albo też z innej jakiej książki, którą lubił lub poważał. I teraz, wziąwszy Byrona do ręki, rzekł:

— Niech mi on wywróży przyszłość; zobaczymy, co powie.

Otworzył książkę i znalazł następujące słowa:

— I utracisz je obie.

Był-to frazes z dramatu *Sardanapal.* Mickiewicz umilkł; Henryka zadrżała jak listek.

Poeta podarował tę księgę proroczą na pamiątkę hrabiance.

Odchodząc, uścisnął jej rękę i szepnął:

— Niech cię Bóg błogosławi.

Nazajutrz 19 kwietnia 1831 Mickiewicz odjechał.

Uczuć, jakie w sercach obojga wówczas gościły, opisywać nie będę. Kto ich nie doznał w życiu, na nic mu się opis, choćby najszczegółowszy, nie przyda...

Henryka przyszedłszy do swego pokoju, otworzyła Byrona. Było tu dużo ustępów popodkreślanych; najmocniej zaś podznaczony był wiersz p. n.: *Bądź zdrowa,* który tu przytoczę w przekładzie Seweryny Duchińskiej:

Jeśli ku niebu w rozstania godzinie
Leci modlitwa za drugich zasłana;
Ach! moja pewno w powietrzu nie zginie,
Lecz imię twoje zaniesie do Pana!

Poco mi płakać i wzdychać mi poco?
Nad łzy, nad skargi ja krwawsze znam słowa,
Szaloną bólu wydobyte mocą
Z tajników duszy: bądź zdrowa, bądź zdrowa!

Me usta nieme i suche me oko!
Lecz boleść w mózgu ład myśli roztrąca,
Zgryzota w sercu utkwiła głęboko
I sen mi z powiek zgania myśl trująca.

Choć żal mną miota i rozpacz wre we mnie,
Z ust próżnej skargi nie wybiegną słowa;
Ach! to wiem tylko, żem kochał daremnie,
I tylko szepcę: bądź zdrowa, bądź zdrowa!

Odtąd nigdy się już ze sobą nie widzieli. Historya ich uczuć na tem zakończyć się musi. Gdy Mickiewicz bawił w Paryżu, matka Henryki słała

w r. 1832 list za listem, w których wyrazami pełnemi czci i przyjaźni ożywiała wspomnienia wspólnego w Rzymie pobytu, ale poeta nasz, postanowiwszy stosunek z domem hrabiowskim zerwać, nie odpisywał. Sama wreszcie panna pod datą dnia 11 marca 1833 roku odezwała się listem naiwnie a serdecznie natarczywym:

„Z smutkiem wyznać Panu muszę — pisała — iż nigdy nie spodziewałam się, byś nas Pan tyle chciał martwić milczeniem tak długiem, tak srogiem. Czyż Pan myślisz, że my mniej od niego czucia mamy, i że takie zapomnienie od osoby, od której najmniej spodziewać się go mogliśmy, nie jest nam bardzo przykrem? Ja już inaczej tłómaczyć go nie umiem, jak przez nieregularność poczty, lub też sądzę, że Pan, zajęty swemi interesami, nie chodzisz się na pocztę pytać o listy, gdyż nasze trzy poprzednie koniecznie go powinny do odpisu zmusić. P. Rzewuski przeciwnie chwali się, że Pan do niego pisujesz; więc tak my jedni tylko nie możemy tego szczęścia otrzymać ani od niego listu doczekać się... Jeszcze raz proszę nie zapominać tak zupełnie o tej, którą Pan swą siostrą nazywał".

Pomimo że i ten list pozostał bez odpowiedzi, Ankwiczowa, opuszczając Włochy, by się udać do majątku swego w Galicyi, napisała raz jeszcze, dnia 15 kwietnia 1833 r., do poety, błagając o odpis, a Henryka dodała własnoręcznie słowa cichego wyrzutu: „Czy też choć ta odezwa będzie szczęśliwszą od *tylu innych* i zyska nam od Pana kilka słów odpowiedzi? Nie wiem, ale przyznaję, iż zaczynam o tem wątpić, abyśmy mieli jeszcze kiedy ukontentowanie odebrać od niego list; a jednak smutno bez tej nadziei Włochy opuszczać. Niech jednak jakkolwiekbądź ta nasza wytrwałość w pisaniu do Pana i *te kilka słów* będą mu dowodem najszczerszej przychylności, jaką mu zawsze dochowa Henryeta!"

Gdy i na tę odezwę poeta był głuchym, Ankwiczówna zrozumiała, że już dalej z listami narzucać się mu nie może. Drogi obojga rozeszły się stanowczo. Nie zapomnieli jednak o sobie. Poeta lubił się wypytywać o szczegóły pożycia i szczęścia hrabianki; Henryeta zaś kochała się w pamiątkach, które jej chwile serdecznego rozbudzenia się w życiu przypominały. Gromadziła wydania poezyj Mickiewicza i często je odczytywała. Mickiewicz ożenił się w roku 1834, to jest w trzy lata po rozstaniu się z Henryką; Henryka zaś dwukrotnie wychodziła za mąż, ale szczęścia nie doznawała: pogrzebała ojca, matkę, obu mężów, a wreszcie i jedynego syna. Dla tego syna odesłał jej Mickiewicz pierścionek, który niegdyś dostał był od hrabiny, i prosił Henrykę, ażeby go dała „synowi swemu, gdy dorośnie".

Poeta uwiecznił pamięć ulubionej w dwu utworach. W części III *Dziadów*

wprowadzà dwie panienki: Marcelinę (Łempicką) i *Ewę* (Ankwiczównę), która modli się za uwięzionego autora piosenek:

Te piosenki czytałam: niektóre są piękne...
Jeszcze pójdę przed Matką Najświętszą uklęknę,
Pomodlę się za niego: kto wie, czy w tej chwili
Ma rodziców, żeby się za nim pomodlili.

W *Panu Tadeuszu* widzimy znów *Ewę* jako córkę dumnego stolnika. Oczywiście nie wszystkie szczegóły w poematach są kopią rzeczywistych wypadków; ogólna atoli charakterystyka jest niewątpliwie zgodna z oryginałem, przynajmniej z punktu zapatrywania się samego poety.

Gdy w roku 1855 żona Mickiewicza umarła, Henryka napisała do niego. Nie posiadamy tego listu; mamy natomiast odpowiedź, w której Mickiewicz zawarł w krótkości dzieje uczuć swoich od czasu pożegnania Henryki (z Paryża, na wielkanoc):

„Szczęśliwy dziś jestem, Henryeto, zaczynając w imię twoje miłe pierwszy dzień Zmartwychwstania i wiosny. Tę przyjemność winienem twojemu łaskawemu zgłoszeniu się. Zawsze pełen byłem twoich życzliwych dla mnie uczuć; ale dowód tej życzliwości, który po tylu latach pierwszy raz wprost od ciebie, wprost z ręki twojej odebrałem, przyszedł mi w sam czas i stał mi się wielką pociechą.

„Od roku owego, kiedym ciebie pożegnał w Rzymie, życie moje jest prawie ciągłem grzebaniem kogoś lub czegoś. Z owego pokolenia, z którem żyłem i przywykłem biedować, jedni już nas nazawsze porzucili, drudzy ciągną dni pogrobowe, nie lepsze od śmierci. W ciągu tych lat takich, ilekroć wspomniałem o tobie, starałem się pocieszać tą myślą, że ty, Henryeto, nie należąc do tego smutnego pokolenia i przyszedłszy na świat znacznie później od nas, żyłaś pod inną a więc może pod lepszą gwiazdą. Wszakże znając twoję duszę tkliwą i umysł wysoki, domyślałem się, że i ciebie nieraz musiała dotknąć w tych razach niedola, jeśli nie osobista, to rodzinna i bliźnich.

„Wielką mi sprawisz przyjemność, jeśli zechcesz dać mi wiadomość o twojem teraźniejszem życiu i cokolwiek szczegółów o sobie i swoich. Od lat wielu nie spotkałem nikogo, coby mi o tobie miał co powiedzieć.

„Mnie po długich i różnych wędrówkach zatrzymały okoliczności w Paryżu. Zajmuję się w tej chwili pracami bibliotecznemi. Jestem ojcem licznej rodziny. Starsza moja córka ma rok dziewiętnasty, syn piętnasty; reszta, młodsza, po szkołach uczy się i dorasta“.

Henryka odpisała, odpowiadając na życzliwe, przyjacielskie zapytania. I tego listu nie mamy. Mickiewicz wyjeżdżał właśnie do Konstantynopola;

odpisał Henryce z Marsylii 14 września 1855 roku. Oto są słowa na trzy miesiące przed zgonem przez poetę napisane:

„Nie będziesz mnie miała za natręta, jeżeli w kilka miesięcy odezwę się do ciebie, wielce droga pani. Zgłosiłbym się był dawniej, gdybym miał coś pewnego donieść o sobie. Ale w tych ostatnich miesiącach spadły na mnie nowe i niespodziane kłopoty. Zanosiło się na to, że miałem zmienić miejsce pobytu i przejechać gdzieindziej z całą rodziną. Ten zamiar nie wziął skutku; rodzinę zostawiam, tylko sam puszczam się w podróż. Stało się to wszystko nagle. Odebrałem przed kilku dopiero dniami polecenie naukowe od rządu (francuskiego) tyczące się Wschodu, a dziś już wsiadam na okręt płynący do Stambułu. Jak długo tam zabawię, nie wiem jeszcze. List twój ostatni, pani, mocno mię zasmucił. Nie wiedziałem wcale, iż tylu klęskami byłaś dotkniona osobiście. Nie uwierzysz, jak mi było mile dawniej myśleć o tobie jako o istocie szczęśliwej. Otóż i to złudzenie znikło. Bądź łaskawa od czasu do czasu pisz do mnie“.

I to życzenie nie spełniło się. Zanim Henryka zebrała się na odpowiedź, doniesiono o śmierci naszego poety, zaszłej 26 listopada 1855.

I tak zerwała się nić życia, pełnego złudzeń, marzeń, myśli szlachetnych i wielkich, uczuć potężnych a ognistych i usiłowań prowadzących do czynu, do działania nietylko w dziedzinie umysłowej, ale i na widowni społeczno-politycznej. Opowiedziałem tu malutki epizod z dziejów tego życia, epizod krótko-trwały, na początku którego była wesołość żartobliwa a na końcu — powaga rozmyślania.

Złudzenia, na które uskarża się poeta w ostatnim swym liście do Henryki, prześladowały go istotnie od początku życia. Nigdy prawie nie znalazł w rzeczywistości tego, co zamarzył w chwili podbudzonych pragnień serca. A jednakże Mickiewicz nie stracił wiary ani w ludzkość ani w siebie i stał silnie na straży skarbów krainy duchowej jak bohater ufny w świętość swej sprawy.

Smutniejszy jeszcze los był ukochanej przez poetę Henryki. Przeżywszy rodzinę swoję, przeżyła i tego, który najsilniej zapewne w zaraniu jej bytu do serca przemówił, a przeżyła go o lat 24, umarła bowiem dopiero w r. 1879 jako z drugiego męża hr. Kuczkowska. Długie istnienie na grobie wszystkich marzeń i wszystkich nadziei czyż nie jest najsroższem cierpieniem?.. [1]).

[1]) Jest osobna książka poświęcona jej życiu p. t.: „Ewunia“, napisana przez ks. Jana Siemieńskiego (1888).

* * *

Przypatrzmy się teraz tym postaciom kobiecym, które poeta przed oczyma naszemi przesuwa; zapytajmy o zagadkę ich ducha; zobaczmy, jak kochają, smucą się i rozpaczają; a aureola przeszłości, otaczająca promienne ich głowy, niech nam będzie miłą, najdroższą choćby pamiątką, którą przez życie całe zachowujemy; niech nam atoli nie przeszkadza w sprawiedliwej ocenie tego, co wieszcze podają. Czcijmy i szanujmy; ale nie bądźmy bałwochwalcami...

J. PANKIEWICZ.



MARYLLA.

I.

MARYLA.

Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie...

Postarajmy się zmozajkować postać Maryli z dosyć znacznych urywków, jakie napotykamy w pojedyńczych poezyach, balladach, sonetach i w *Dziadach*. Zastrzegam tylko, że obraz będzie niedokładny, ułamkowy.

Co do postaci zewnętrznej dwa jedynie szczegóły wymienić tu mogę: Maryla miała oczy niebieskie i „złote włosów pierścienie jak zwiędła cyprysu gałązka“. Była piękna, bogata (ojciec „pierwszy urzędnik w powiecie“), „tłumem gardziła bez braku“, „choć jej kto *kocham* mówił po sto razy, nie rzekła nawet i *lubię*“. Jest to rys nadzwyczaj ważny: nie była płochą, zalotną, wyróżniała się od wielkiego ogółu swoich rówienniczek: pozwalała przypuszczać, że za wyższym goni ideałem. Była tak czuła „jako na trawce wiosenne puchy, które lada zefiru zwiewają podmuchy i lada rosa obrywa“; a od cienia smutku ukochanego jej wesołość gasła. Nie składała atoli żadnych przysiąg, nie dawała obietnic; kochanek nawet „przez sen nie miał nadziei“. Wprawdzie Gustaw w przystępie obłąkania nazywa ją „wyrodkiem niewiasty“; wyrzuca jej zaślepienie złotem i „honorów świecącą bańką wewnątrz pustą“; przeklina ją, że „sercem oziębłem, obojętną twarzą, wyrzekła słowo jego zguby“; — ale w chwilach przytomności musi wyznać, że ona była niewinna. Zgrzeszyła może brakiem woli, energii, nie chcąc się sprzeciwiać rozkazowi rodziców; a może też fatalność tylko należałoby obwinić, że ona kochała go jak brata jedynie, jak przyjaciela... Może kochanek ulegał złudzeniu i oburzał się potem na lubą, że go „chce wciągnąć w rozmowy potoczne, wczorajsze, zawczorajsze i zaprzeszłoroczne“...

Maryla wychodzi za mąż. „Dość było wyrazu, — powiada poeta — ażeby postać *godna równać się z niebiany,* zamieniła się w *posąg z lodu uciosany!*“

Są-to słowa strony pokrzywdzonej: przyjmujemy je więc z pewną nieufnością. Chcielibyśmy posłuchać także i Maryli. Niepodobieństwo! — musimy się domyślać. Jesteśmy w ogrodzie. Altana: miejsce pamiętne w dziejach miłości. W oknach pałacu czy dworku światło jarzące. Przemknęło się coś w bieli. To Maryla w sukni ślubnej. A tam dalej oparty o drzewo stoi kochanek blady, zrozpaczony. Ona zrywa gałązkę cyprysu, podaje smutnemu. „To wszystko, co nam tu na ziemi zostaje“ — mówi. Ale tego niedosyć. Potrzeba pocieszyć kochanka. wskazać mu jakiś cel wyższy. „Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy“ — powiada. Pomyśl o kraju, o ludziach, twoich spółbraciach, pracuj dla nich; zapomnij o swojem zmartwieniu; zważ na to, że w życiu masz spełnić wzniosłe zadanie. „Ta myśl wielka *pomniejsze zapały* przystudzi“... Gdy wymawiała te słowa, które jej miłość sprowadzały do znaczenia drobnostki, może łzy zalewały jej gardło, może przeczuwała, że stanie się głazem. Na razie słowa te odzywały się gorzką ironią w sercu kochanka, bo jej „tchnienie rozwiało już owe kształty olbrzymie“, został się „cienik, mara blada“:

Zrobiwszy mię komarem — *mówi* — chce zmienić w Atlasa,
Dźwigającego nieba kamiennem ramieniem!“...

Słowa Maryli wydawały mu się szyderstwem, chłodnemi i pospolitemi ogólnikami, które się wypowiada w braku słów serdecznych, gorących. Przebaczmy mu; „tak prędko przebiegł gościniec tak długi“; zaledwie uśmiechnęło się szczęście, już je musiał opłakiwać; ze szczytu spadł w głębię. Gdy miną pierwsze paroksyzmy bólu, uzna prawdę słów Maryli i stanie się bohaterem narodu — nie Gustawem już, ale Konradem. Wówczas nie będzie „cieniem lubej postaci“; nie zjawi się w noc *Dziadów* na wezwanie guślarza, na prośbę kochanki, która przyjdzie po latach i pytać się oń będzie. Raz tylko rzuci okiem na błonia wspomnień i ukaże wielką ranę na czole... Kobieta pozna wówczas cały ogrom tego, co straciła; zapłacze strasznie i modlić się będzie do Boga, ażeby jej ukochanego po drogach życia prowadził...

Przeklinać jej niepodobna; żałować — można. Jaką będzie w przyszłości — nie wiemy; nie radzibyśmy podzielać gorączkowych przypuszczeń Gustawa:

Niewinna, nieznająca, niewiedząca, głucha,
Jaką będzie? — Wstyd mówić, choć mię nikt nie słucha.

Na wywróżenie atoli pomyślniejszej przepowiedni nie mamy żadnych danych. Za nic ręczyć nie można. W tej dobie życia, w której ją poznajemy, jest ona majowym uśmiechem młodości, który zmroził nagle śnieg spadły niespodziewanie. Przed nią lato całe i jesień życia. W głębi jej ducha odkryliśmy

pewne przymioty, które nie pozwalają na hurtowne zaliczenie jej do gawiedzi bezmyślnej, pustej. Nie chcąc się wdawać w szczegóły domowego ogniska, które poeta w rozdrażnieniu „niecnem“ nazwał, ale które w rzeczywistości zacnem mogło być i serdecznem, wolimy widzieć na skroni Maryli ów wieniec z polnych kwiatów, który kochanek z pieśni nieśmiertelnych uwił, a przy jej sercu ów listek cyprysu, który w wieczorze rozstania wzajem sobie dali, zaprzysięgając wieczne milczenie... Jakkolwiek smutno pomyśleć, że drogi ich rozeszły się w strony przeciwne; toć przecie wspomnienie potomnych połączy te dwa imiona, i być może, z większem mówić o nich będzie spółczuciem i szacunkiem, niż o obojętnie dumnej Laurze i napuszenie czułym Petrarce, niż o poddańczo uległej Heloizie i wstrętnie despotycznym Abelardzie...

II.

ŻYWILA. — CÓRKA TUHANA.

Pierwsza miłość poety nietylko pozostawiła w jego utworach bezpośrednie wspomnienia, ale nadto stała mu się pobudką do przenoszenia marzeń i myśli o niej w postaci kobiece, którym nadaje odrębny, samoistny charakter i każe działać wśród różnorodnych warunków otoczenia i czasu.

Najwcześniejszem wcieleniem myśli o Maryli była postać *Żywili* w powiastce pod tymże napisem ogłoszonej w lutowym zeszycie „Tygodnika Wileńskiego“ z r. 1819. Nietylko imiona tu rymują z sobą, ale i niektóre szczegóły przypominają stosunek Mickiewicza do Wereszczakówny. Bohater nosi nazwę herbową poety, Poraj; jest on w porównaniu z księżniczką Żywilą biednym rycerzem, tak jak szlachcic zaściankowy, Mickiewicz, w porównaniu z możną i bogatą rodziną Wereszczaków. Rzecz się dzieje w rodzinnych stronach poety i Maryli, w Nowogródzkiem. Czas zdarzenia przeniesiony do tej epoki, kiedy Litwa była jeszcze pogańską.

Żywila jest ideałem wiernej miłości, ale zarazem ideałem bohaterstwa i poświęcenia uczuć jednostkowych, kiedy tego dobro ojczyzny wymaga.

W Nowogródku, Słonimie i Lidzie panował niegdyś możny i potężny książę na imię Koryat, który miał córkę jedynaczkę, „arcy-nadobną niewiastę“, będącą „w szczególnem zamiłowaniu u sług i poddanych swoich“, ponieważ rada „ubogie ludzie wspierała“, a srogi umysł ojca łagodziła. Zwano ją Żywilą, „to jest Dyaną; gdyż i gładkością prawie cudną boginiej tej równała się i myślano pospolicie, iż ku małżeńskim ślubom znaczne wstręty miała; bo gdy książęta a pany możne z dalekich stron przysyłali posły, upraszając ją sobie ku małżeństwu, wszystkim stale wzbraniała się; stąd wieść szła, iż w panieńskim stanie do końca żywota być chce“ [1]).

[1]) Cała powiastka pisana jest językiem i stylem, naśladującym polszczyznę wieku XVI-go; dla charakterystyki zachowuję wydatniejsze formy.

Istotnym wszakże powodem tej odpornej postawy księżniczki względem licznych zalotników, była głęboka miłość dla Poraja, „męża z rycerskiem sercem, który przez swe wyśmienite przewagi wojenne mocno był księciu Koryatowi spodobany“ i podczas jego niebytności rząd nad całem państwem sprawował. Z miłością tą jednak ukrywać się musiała Żywila, pewna będąc, że ojciec na związek jej z ubogim rycerzem nie zezwoli. Kochankowie zatem musieli „tajemne schadzki miewać, gdzieby miłości swoje wynurzali i wzajemnie się pocieszali“.

Książę Koryat, wróciwszy z wojny, ujrzał swą córkę wielce zmienioną. „Ony łzy, ony wzdychania, ony bladości, ony lękania się i drżenia ustawiczne przed ojcem, dały mu wszystko, jako było, wyrozumieć“. Dumny, a bezwzględnie surowy książę zgromił swe dziecię, mówiąc: „Córko odrodna! na to cię przywiodła rozpusta a wszeteczność, iż zhańbiłaś na wieki dom ojcowski; idź precz zprzed oblicza mego; i ty i kto cię na tę niecnotę zaprawił, śmiercią okrutną pomrzecie“.

Napróżno jednak obiecywał bogatą nagrodę temu, ktoby imię „gamrata“ księżniczki wykrył; daremne były wszystkie jego „posłuchy i śledzenia“. Sam Poraj „pokątnie nieszczęścia swego płakał“, ale na dworze „w wesołą twarz ubrać się umiał“, tak, iż żadne nań nie padło podejrzenie. Żywila zaś pomimo gróźb ojca statecznie w cierpliwości trwała, nazwiska kochanka wydać nie chcąc. „Ojcze mój — mówiła — znam, iżem winna znacznej winy; karaj mię, otoć jestem; znać, iżem niegodna znaleźć u ciebie miłosierdzie; przedsię drugiej duszy niewinnej gubić z sobą nie mogę, abych cięży jeszcze bogów nie obraziła“. A chociaż ojciec plan zmienił i pochlebstwem, jedwabnemi słowy chciał tajemnicę wydrzeć z serca córki, ona i wtedy wytrwała, milcząc, łzami i szlochaniem tylko odpowiadając. Wówczas książę Koryat, uniesiony gniewem, „kazał jedyną córkę swoję w łańcuchy wsadzić i do lochu pod straż wrzucić, skąd miała być niedługo wywiedziona ku traceniu“.

Wtem Iwan, kniaź ruski, pustosząc Litwę, podciągnął pod Nowogródek, w przeddzień świąt Peruna, kiedy miano tracić Żywilę. Poraj dał wówczas dowód swej dzielności, wroga na głowę poraził, a sądząc, że czas był najstosowniejszy potemu, błagał Koryata o uwolnienie księżniczki i oddanie jej sobie za żonę. Książę skrył swój gniew, bo mu Poraj był jeszcze potrzebny, ale bądźcobądź życzenia rycerza nie spełnił i przemyśliwał nad zgładzeniem Poraja, którego podejrzewał, że chce go stolicy pozbawić. Poraj, przeniknąwszy księcia, idzie do obozu kniazia Iwana, obiecuje mu poddać miasto pod tym wszakże warunkiem, że Żywila żoną jego zostanie. Kniaź Iwan przystał.

Nad ranem w święto Peruna Poraj wybija więzienie i znajduje ulubioną

swą bladą, półżywą, na lichem posłaniu ladajako porzuconą, w ciemnicy. Obaczywszy Poraja, zemdlała. Wyniesiono ją na ulicę, ratowano, „a ona się nie czuła“; zbiegł się lud, powstały krzyki i wołania: ona „przedsię nie czuła“. Nareszcie otworzyła oczy i ze zdziwieniem ujrzała „ciżbę ludu“ i „zbrojne męże nieprzyjacielskie“. Gdy usłyszała od Poraja, że to bojownicy Iwana, „zemściciela“ ich krzywd, znowu o mało nie zemdlała, ale niebawem „nagle miecz od boku Poraja wychwyciwszy, tak silnie sztychem w piersi mu uderzyła, iż naskroś przepadł“, przyczem wołała: „Zdrajco, tak-li u ciebie małą była ojczyzna, iż ją dla trochę tej gładkości zaprzedałeś? Człowieku beze czci, tak-li odpłaciłeś za moje stateczne miłości?... Aza wy, obywatelowie, przecz stoicie, jakoby nie do was mówiono, przecz nie obrócicie na tych oto zbójców gniewu i zemsty waszej?“ Po tych wymownych, a pełnych grozy słowach rzuciła się z mieczem na nieprzyjaciół blizko stojących; a lud wszystek poruszony, „jakoby kto ogniem rzucił“, wziął się do oręża, zaczął gnębić Rusinów, nie spodziewających się napadu.

Wroga odparto, ale Żywila, stargawszy swe siły i w więzieniu i w walce wewnętrznej, którą stoczyć z sobą musiała, ażeby pogardzić kochankiem i zabić go, wreszcie i wysiłkiem w walce z nieprzyjaciółmi, ledwie miała dosyć mocy, by przybiedz do ojca, którego z więzienia wydobyto, i wydać okrzyk miłości dziecinnej i wymówki zarazem: „Ojcze mój“! Poczem „padła bez dusze“. Pochowano ją pod Mendogową górą, kędy kopiec usypano i drzewa na pamiątkę sadzono, przekazując pamięci potomnych imię wybawicielki od hańby.

Toż samo męstwo, co Żywila, ale w objawie biernym, nie zaś czynnym, przedstawia *Córka Tuhana*, którą nam daje poznać poeta w balladzie pod napisem „Świteź“.

I znów jesteśmy w czasach pogańskich i znów car Rusi grozi Litwie zniszczeniem. Książę litewski Mendog wzywa księcia Tuhana, panującego nad Świtezią, miastem bogatem w sławne orężem ramiona i w kraśne twarze, ażeby pośpieszył na obronę stolicy, Nowogródka. Tuhan zebrał mężów pięć tysięcy, już ma wyruszyć, gdy mu bezpieczeństwo własnego miasta, nie mającego innych szańców prócz piersi i mieczy rycerstwa, przyszło na myśl. Ze swem wahaniem zwierzył się córce, o twarzy jasnej, ustach jak korale, dzielnej i ufnej w pomoc bożą. Córka nie wstrzymywała ojca: „Idż — mówiła — kędy sława cię woła; Bóg nas obroni; dziś nad miastem we śnie widziałam jego anioła:

Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry
I rzekł mi: póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy“.

Tuhan ruszył na odsiecz, a w nocy nieprzyjaciel napadł na Świteź. Wszystko, co pozostało w mieście: starcy, kobiety, dziewczęta i dzieci, zbiegło się na zamek, powiadając, że lepiej zabić się samym niż dostać się w moc wroga. Niewiasty zwłaszcza, w których wściekłość zajęła miejsce strachu, zabrały się zaraz do dzieła; zrzucają bogactwa na stosy, przynoszą żagwie, wołając: „Przeklęty będzie, kto się nie dobije!“ Córka Tuhana chciała je powstrzymać od kroku rozpaczliwego, ale napróżno: „klęczą, na progach wyciągają szyje, a drugie przynoszą topór“. Bogobojna księżniczka widzi, że zbrodnia samobójstwa spełnić się może. W głowie jej przemyka się wątpliwość, co lepiej: czy wezwać wroga i podle przyjąć kajdany, czy „bezbożnemi wytępić się mordy“? Wówczas myśl jej, skierowana ku niebu, strzeliła modlitwą, błagającą Boga albo o ratunek, albo o zgon rychły:

Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie“!

Wtem nagle otoczyła ją jakaś białość; zdawało się, że dzień spędza mroki nocy, a gdy spojrzała na dół, nie dojrzała już gruntu pod sobą. Miasto zapadło się w ziemi, pokryte toniami jeziora; mieszkanki Świtezi, uniknąwszy zhańbienia i mordu, przemienione zostały w zioła cudowne.

Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.
Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy;
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

Doświadczył tego car i Rusini; kto tylko zwabiony pięknością kwiecia, ściągnął ramię, by je zerwać, rażony był śmiercią gwałtowną. Stąd w baśniach ludu kwiaty te noszą nazwę „cary“. Córka Tuhana została boginką jeziora, które się na dawnej posadzie miasta rozlało, została Świtezianką.

Trzecie wcielenie ideału mężnej niewiasty i to najpiękniejsze znajdujemy w „Grażynie“.

III.

GRAŻYNA.

Północ. Ciemno; księżyc tylko opromienia ziemię. Ruch jakiś w ponurem zamczysku, które stanowi dla nas przedmiot sennych rozmyślań jak średniowieczna legenda. Było-to przed wieki, śród pogańskiej Litwy. „Na lewem skrzydle zamkowej budowy“ — ukazuje się oblana nie promieniami księżyca, lecz cieniem przez wieżyce rzuconym „córa możnego na Litwie dziedzica, z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica“. Rysów jej dokładnie odróżnić niepodobna; wyniosła tylko postać silnie się odznacza. Musimy się całkiem powierzyć jasnowidzeniu poety. Schodziła ona „pod lat niewieścich *południe*“, łącząc na swej twarzy wdzięki dziewicy i matrony: zadziwia powagą, a nęci świeżością.

...Kwiat młodego nie stracił rumieńca
A razem owoc wnet pełni dorośnie...

Wzrost jej dorównywa wzrostowi małżonka (Litawora), przymiot niezmiernie ważny w czasach przewagi siły brutalnej: nadawał on znaczenie i poważanie tym, którzy go posiadali; prawie był nieodłączny od pojęcia władzy książęcej, czy królewskiej:

Książęca para, kiedy ją okoli
Służebne grono — jak w poziomym lesie
Sąsiednia para dorodnych topoli —
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.

Zgodnie z temi warunkami fizycznemi przedstawia się jej usposobienie moralne. Igłą, wrzecionem, „niewieściemi“ wogóle „zabawami“ gardziła, a silną dłonią chwytała za oręż i harcowała na koniu:

Często — myśliwa — na żmudzkim rumaku
W *szorstkim* ze skóry niedźwiedziej *kirysie,*
Spiąwszy *na czole białe szpony rysie,*
Pośród strzeleckiego hasała orszaku.

W. KIPMAN.



GRAŻYNA.

Ciało silne, zdrowe, znosiło niewygody i nie lękało się dotknięcia twardej zbroi ówczesnej; a duch niepodległy i wielki zwalczał wszystkie trudności. Dla niej nie było nieprzystępnego przedmiotu; wraz z mężem dzieliła naprawdę rządy nad ludem. Nic się bez jej rady obyć nie mogło; owszem, słowo jej było przeważne zarówno w sprawach pokoju jak i wojny. Nie szukała atoli stąd chluby żadnej; nie przechwalała się, wzorem innych niewiast, przewagą, jaką nad umysłem męża posiadała, przekonana, że ubliżałoby to książęcej jego godności.

Rozsądna, trzeźwa w swoich poglądach, zna świat doskonale; rozumie, że niekiedy „lot młodych ludzi“ podnosi ich chęci ponad „słuszność lub możność“, i że wtedy potrzeba czekać, aż „czas i cicha *uwaga*“ rozjaśni myśli, przystudzi zapały... „*Pierzchliwe słowa* niepamięć zagrzebie“ — powiada do starego rycerza, niepokój jego hamując. Umie panować nad sobą; spokoju w głosie i twarzy nie traci nigdy — możnaby nawet powiedzieć, że jest zbyt zimna, zbyt marmurowa.

Nie byłoby to jednak zgodne z prawdą.

Pomimo owych przymiotów męskości, o których mówiłem, jest w niej usposobienie czysto-kobiece, najlepiej wykazujące się w chwili działania. Kiedy przyszło do zatargów pomiędzy synami jednej ziemi, spokrewnionemi ze sobą; gdy krew o kawał gruntu przelewać się miała; gdy mąż wezwał na pomoc nienawistnych krzyżaków: — ona, zgodnie ze swym charakterem, energicznie przeciw tak smutnemu objawowi powstaje, ale w motywach jej postępowania gra rolę po części próżność:

> Nie chcę, *ażeby po Litwie gadano,*
> Że brat na brata następował zdrowie,
> Wziął gardło lub dał *za Grażyny wiano* —

powiada na wieść o mających nastąpić układach z Zakonem, który chrzcił i łupił Litwę... Nie chce, by jej wiano, by ona sama stała się przyczyną krwi rozlewu, ale dlaczego? — ażeby o tem nie mówiono w kraju... Myśl szlachetna — podszyta skrawkiem obrażonej próżności... Rzucając to spostrzeżenie, nie chcemy ubliżyć Grażynie: ściślej ją tylko charakteryzujemy. Grażyna nie jest niebianką, ale — kobietą.

Toż samo i w dalszem postępowaniu. Rachuje ona wiele na swoje wdzięki, na prośbę, na uśmiech — ale rachuje także na zwłokę: jedna chwila nic u niej nie rozstrzyga.

Gdy przyjdzie niebezpieczeństwo stanowcze, nie znajdzie jej przygotowaną. Wydała np. rozkaz, ażeby oddalono posłów krzyżackich, pomimo że mąż na to nie zezwolił; a gdy rozjątrzeni Niemcy byli już blizko miasta, które chcieli

zdobyć szturmem, pyta się giermka: „Kędyż są posłowie?“ — na przypomnienie zaś danego rozkazu, przyznaje mu słuszność i robi uwagę: „jakże to wszystko z głowy mi wypadło...“ Są to rysy natury kobiecej, wybornie pochwycone.

W normalnych warunkach życia była ona „panią swojej postaci“; w dziwnie splątanych okolicznościach, grożących burzą straszną, „pomieszanie, widne w jej osobie, do ust wyrazy nieporządne kładło“. Wprawdzie trwało to chwilę tylko, ale zawsze istniało. Poeta, nie zważający na rzeczywiste fakta życiowe, byłby pominął te chwilowe nawet słabostki, ażeby bohaterkę swoję utrzymać ciągle wśród bengalskiego ognia wielkości; Mickiewicz — realista postąpić tak nie mógł: trzymał się natury.

Czas naglił. Trzeba się było decydować. Grażyna przebiera się w zbroję męża i choć „nierównym stąpa krokiem“; choć „drżąc z rąk giermka bierze łuk i kołczany“; choć „miecz nawet“ wiesza „ponad prawym bokiem“; — staje na czele szyków i idzie na wroga. Walczy mężnie, ale bezskutecznie: „bezwładna szabla po pancerzach dzwoni, albo się zwija, odbita żelazem“; nie umie wydawać rozkazów: „wojsko bez sprawy ladajako puszcza“. Kula ze strzelby komtura trafia ją w piersi. Mąż zapóźno przybiega; pomścił tylko jej śmierć na komturze.

„Przebacz mężu! pierwsza i ostatnia zdrada!“ — takiemi słowy żegna świat i ukochanych.

„Niewiasta z wdzięków — a bohater z ducha!“ — oto pochwała, jaką uczcił mąż płonącą na stosie, starożytnym Litwinów obyczajem. Słowa te atoli za zbyt słabe uważał: nie wypowiadały one wszystkiego; stracił w niej życie swoje — na nic mu się już ono nie zdało.

...bieży na stos, upada na zwłokach;
Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

My bezstronniejszymi być musimy. Poeta ukazał nam Grażynę na chwilę tylko; nie wyśpiewał całej jej duszy; jeden jej czyn opromienił gwiazdami natchnienia...

Podziwiając siłę woli i to niezważanie na przeszkody piętrzące się jak alpejskie lodowiska; ceniąc męskość postanowienia, widzimy w niej przecież zbyt wielkie w sobie zaufanie, zbyt może kapryśny targ z losem ludzi, od niej zależnych. Nie lekceważenie życia, nie mogiła rozpaczliwych usiłowań jest ideałem naszych dążności; lecz rozumne, chociaż serdeczne, rozrządzanie temi środkami, jakich nam przyroda i społeczeństwo do ciągłego rozwoju dostarczają...

IV.

ALDONA.

> Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
> Wszystko rozerwie nienawiść narodów:
> Wszystko rozerwie... lecz serca kochanków
> Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty...

Kto czytał życiorys naszego poety, nie może nie wiedzieć o cudnej dolinie *kowieńskiej,* przezwanej już teraz *doliną Mickiewicza...* Ona była najmilszem miejscem jego samotnych wieczornych przechadzek, na niej usiłował wdziękami cichej i spokojnej przyrody ukołysać to burzliwe serce, co mu gwałtownie pierś rozrywało, pragnąc bić zgodnie z sercem ukochanej Maryli, która była daleko... Trzy lata, całe trzy okropne, rozpaczliwe lata, przepędził Mickiewicz w Kownie, wołając głosem złamanym, który miał być stanowczym; „precz z moich oczu!... precz z mego serca!... precz z mej pamięci!...“ — a zawsze bolejąc i marząc, bo „tego rozkazu moja i twoja pamięć nie posłucha“, gdyż wszędzie poeta „cząstkę swej duszy zostawił“. To też choć „klął swą duszę, że w niej są jeszcze ostatki uczucia“ — pamięć przecież „jak lampa z kryształu“

> „Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
> Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy; —
> Jeżeli świecznik postawią w jej serce,
> *Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,*
> Jeszcze na ścianach pałacu *roztoczy*
> *Kraśne, acz nieco przyćmione kobierce...“*

W pięć lat potem postawił świecznik w serce owej lampy i oddalony od miejsca, w którem przebywał, odmalował świetnemi barwami dzieje swych wspomnień, uwieczniając w potomne pokolenia swą ukochaną dolinę.

Tam dni całe przesiadywała „młoda i piękna jak bóstwo“ córa Kiejstuta — Aldona. „Gdzie poszła? — w dolinę. Skąd powraca? — z doliny. Cóż w tej

dolinie? — Młodzieniec ogród dla niej zasadził". Tam nawet w zimie oczy swe zwraca, by ukochanego zobaczyć: „Szyby obrócone ku Niemnu w zimie lodu nie znają, bo tamtędy Walter przechodzi"... Było tam siedzenie z darni, „gdzie po letnim znoju lubiła spocząć między jaworami"; źródło, skąd Walter czerpał dla niej napój ożywczy; chłodnik suchemi ogrodzony wierzbami, które wyrosły potem na piękne drzewa, puchami młodych kwiatków obsypane, i kamień wyniosły, „który przechadzek był celem".

Czar wspomnień owionął tę dolinę; nikt już nie wydrze jej z naszej pamięci... a dusze kochanków, pieśnią wajdeloty złączone, unosić się nad nią będą — jak duchy smętne...

„Serce i potok ostrzegać daremnie"! — „Pukiel włosa bursztynowy i połysk drobnej, śnieżnej ręki" niezatarte zostawiły ślady w umyśle Waltera, a opowiadania o krajach niemieckich, o przypadkach nieszczęśliwej młodości, o cudach wiary chrześcijańskiej zabiły w Aldonie dawną wesołość i upodobanie w dziecinnych rozrywkach. Gdy towarzyszki, jej rówieśnice, czas na zabawie spędzają, ona siedzi samotna albo z Walterem rozmawia; z rąk igła wypada, nici plątają się w krośnach; kwiatek róży wyszywa zielono a listki — czerwonym jedwabiem. Inaczej też być nie mogło: jej oczy i myśli tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają. Od dzieciństwa już zresztą za czemś nieoznaczonem tęskniła i wzdychała skrycie. Uciekała z „poziomej łąki" i, stanąwszy na najwyższym pagórku, prosiła skowronków, by ze swych skrzydeł dały jej po piórku a ona poleciałaby z niemi daleko i wysoko gdzieś za chmury; pragnęłaby tylko wziąć z owego wzgórza *kwiatek niezabudki*, by jej ciągle strony rodzinne przypominał — i *zniknąć*. Walter zastąpił jej skowronków i skrzydłami orlemi wzniósł do siebie... Były-to już zadatki późniejszej sentymentalności, która bujnie się rozrosła na gruncie nieszczęść i smutku. Bo dopóki miłość nadzieją się cieszy, małe chmurki niepokojących marzeń znikają szybko — w duszy robi się jasno i przezroczo... Aldona była szczęśliwą w miłości — mogła z Walterem wszystkie podzielać chwile; została jego żoną.

Chwilkę to trwało — rok jeden. Napady krzyżaków ponawiały się ciągle: w duszy Waltera powstał groźnie niepokój i zatrwożył Aldonę. Ona go nie odczuwała; nie znała swego męża, nie zmierzyła się z siłą jego ducha. Myśl wściekła, szalona, choć potężna, opanowała umysł Waltera: „wielkie serca są jak ule zbyt wielkie: — powiada on do lubej — *miód* ich zapełnić nie może — *stają się gniazdem jaszczurek*". Gdzież biednej uczuciowej Aldonie zrozumieć te wulkaniczne wybuchy!... Gruchać umie miłośnie; lecz krzyk orła dreszczem ją przejmuje. Grobu chciałaby uniknąć, wieniec z róż kładąc na głowie; łzami zagasić pożar miast i wiosek... Konieczności zrozumieć nie może; sądzi, że

Walter mocen świat cały zwyciężyć, że wrogów zresztą niema, bo „ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca“. Stąd obawy męża stara się uspokoić słowy łatwemi: „straże pilnują okopów“ — więc Waltera nikt zabić nie zdoła. „A jeśli nędznej starości dożyję“? — pyta Walter — „Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek“. — A jeśli Niemcy napadną, żonę zabiją, dzieci uwiozą daleko i nauczą wypuszczać strzały na ojca własnego? — I na to Aldona ma prędką odpowiedź: pojedziemy dalej w Litwę, skryjemy się w lasy i góry... A jeśli nas Niemiec w górach wyśledzi? „Znowu dalej ujedziem“ — mówi niezmieszana małżonka. Dopiero gdy jej Walter objaśnił, że dalej w moc dziczy się dostaną; *ręce załamuje*, płacze i pyta: co począć?... W odpowiedzi słyszy słowa Waltera dzikie, okropne, które serce jej w strzępy, krwią ociekłe, szarpały:

Biada niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice;
Których myśl, jak dymy wiecznie nad dach ulatują;
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć...

Walter patrzył dziko: w tem wejrzeniu Aldona nie znajdowała już dawnej pociechy. Pamiątki, przeszłość, wszystko splątało się tłumnie w jej duszy: o niczem już nie myślała; ale „sercem odgadła, że *niepodobna zapomnieć*“...

Jedno tylko słowo: *jedziesz* — brzmiało w jej uchu; wymawiała je, drżąc cała, nieprzytomna. Jak na twarzy nagle zabitego człowieka pozostaje odcisk ostatnich wrażeń, tak w sercu i na ustach Aldony, jeden, jedyny dźwięk się odzywał.

Zobaczyła klasztor za Niemnem... W białe szaty, jak do ślubu ubrana, tam „znalazła grobowiec za życia“.

Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie —
Została sama z myślami i Bogiem.

Przez okratowane okienko lud dawał jej pożywienie. Sama nigdy nie wyglądała, by się przypatrzyć pogodnemu niebu i poić się świeżym oddechem wiatru. Czasami tylko, gdy z *pruskich* wiosek dzieci igrały „u blizkiej dąbrowy“, stawała u kraty, by się wspomnieniami dzieciństwa i rodzinnego kraju ukołysać. Dziesięć lat takiego grobowego życia zabiły w niej ciało, rozdmuchały lampę wspomnień, rozżarzyły idealne uczucia...

Kiedy Walter (Konrad) powraca i, chcąc zaniechać swego zamiaru, namawia ją do ucieczki, ona nie pragnie go już nawet *zobaczyć;* dla niej dosyć szczęścia, gdy go znajduje żywym, gdy miły głos jego co wieczora słyszy;

a kiedy księżyc żywszem światłem w okno wieży zajrzy, ona kryje się za ściany, by Konrada nie ujrzeć zblizka. Drży o ułudę wspomnień: „Ty może dzisiaj już nie jesteś taki, jakim bywałeś przed laty“ — mówi do kochanka; a i sama lęka się o siebie: „Gdy — powiada — z uniesieniem padnę w twe ramiona — może ty odwrócisz oczy, nie poznasz i zapytasz z trwogą: ten *straszny upiór* jest-że to Aldona?“

Z załamanemi rękoma, wyrzeka się rzeczywistości, byle tylko złudzeń nie stracić. Dla niej są one droższe od skarbów najwyższego szczęścia, jeżeli to jest niepewne. Nie pragnie być na stypie miłości; pragnie tylko *odświeżać wspomnienia*... Chce, żeby Konrad urządził chłodnik koło wieży jak niegdyś w Kownie, żeby wierzby kochane sprowadził — i kwiaty — nawet ów kamień, który obmył łzami...

Grobowej podobna kolumnie, na której wieńce nieśmiertelników wieszają... ma życzenia czysto-idealnej natury, łzami lat dziesięciu oblane, wykarmione oddechem chłodnej, murowanej wieży... Takie natężenie niezwykłe sił ducha, z podeptaniem przyrodzonych praw ciała, wpłynęło zgubnie na cały organizm. Pomyślcie sobie: przez długie lata, ciągle, o każdej dnia i nocy porze rozmyślać o jednem tylko: o dolinie kowieńskiej i o miłości Waltera!... To była cała jej rozrywka, cała przyjemność. A młodość złamana, wątek szczęścia urwany przy samym początku, niepokój o życie ukochanego, który po dalekich gdzieś krajach wywalczał sobie prawa rycerstwa; porzucona rodzina, której blade wspomnienie w bawiących się dzieciach widziała... wreszcie samotność, okropna, zabójcza samotność — wszystko to jakby całunem żywą jeszcze istotę przykrywało. Widziadła jej — pozaświatowe, pragnienia — pozazmysłowe. Dawniej prosiła, by ją sny pocieszały obrazem Waltera, chociaż obraz był niemy; dziś szczęśliwą się czuje, gdy może *płakać* razem...

Jedna chwila bólu — a istnienie takie musiało się z konieczności przerwać. Chwila ta nadeszła. Sądy tajne skazały na śmierć Konrada — zginął. Wtedy o ściany wieży obił się krzyk nagły, przeciągły; — krzyk, z którym ustało życie Aldony. Dotrzymała przysięgi, którą złożyła przy wejściu na próg swego więzienia, że nie zstąpi z wieży, chyba do mogiły... Podanie mówi, że grób jej słynął cudami...

Aldona nie jest postacią historyczną; co więcej, zdaje się nawet, że wśród pogańskiej i barbarzyńskiej Litwy byłaby zjawiskiem nader dziwacznem: prostota obyczajów i prostota uczuć nie pozwalały zapewne kobietom rozsnuwać tkanki sentymentalności, jaka właściwie dopiero z pojawieniem się poezyi romantycznej w społeczeństwach europejskich widzieć się daje. Bo średniowieczna nawet miłość, której obrazki wystawiają nam przedewszystkiem prowansalscy

poeci, była raczej połączeniem poetycznych draperyj z wyszukaną zmysłowością, aniżeli platonicznym idealizmem. O pasterkach zaś i pasterstwie we frakach i perukach XVIII wieku nie potrzebuję zbyt szeroko się rozpisywać, ażeby dowieść, że to była jedynie hipokryzya wyuzdania i rozpusty. Romantyzm dopiero wypowiedział z całą siłą słowa i z całą otwartością przekonania te drzemiące w duszy ludzkiej pierwiastki, powołując do życia i do królowania w świecie takie poetyczne zachwyty, które obywają się bez spojrzenia i bez uścisku... Ale i u poetów *romantycznych* nie wszędzie oczywiście występuje taki pogląd na jaw; owszem w pewnych chwilach twórczości przemaga czysto-ludzkie uczucie, takie jak je w charakterystyce Mickiewicza skreśliliśmy; w innych zaś przewaga zmysłowości, rozkiełznania, rozpuszczenia wszystkich więzów krępujących moralność napotkać się daje, i to nierzadko (n. p. dramata poety niemieckiego, romantyka, Ludwika Tieck'a, albo powieść „Lucynda“ Fryderyka Schlegla).

Aldona powstała w jednej z owych chwil wyidealizowanego uczucia, kiedy miłość dawna istniała już tylko we wspomnieniach oddalonych, a miłości nowej poeta jeszcze nie zaznał. Poeta kochał same wspomnienia; i to, co w kreśleniu uczucia dla Maryli było jednym ustępem tylko — teraz przemienił w kształt skończony.

Aldona jest wierzchołkowym punktem *romantyzmu* Mickiewicza. Smutna, zadumana, marząca o napowietrznej wędrówce wraz z skowronkami, woli *jednę chwilę* uniesienia, szału, niż *ciche życie,* przepędzone w nudzie; pogardza ludźmi, co jako „konchy, tające się w bagnie, raz na rok wypchnięte z mętnej wody, otwierają usta i westchnąwszy ku niebu, wracają napowrót do brudnego mułu“... nie zna i nie lubi półśrodków; na dwie rozdzielona połowy, życiem ascetycznem rozbudziwszy w sobie grę fantazyi, przeklina lub błaga, pod wpływem jednego namiętnego wzruszenia. Myśli jej latają jak błyskawice, pędzone sprzecznych uczuć uraganem. W przeciągu może minuty mówi do Konrada:

> Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej...
> . . . .
> I niech zaginie pamięć tej godziny,
> W której nie miałeś litości nade mną.

I zaraz dodaje, nie czując prawdopodobnie żadnej w znaczeniu słów różnicy:

> ... Ty jesteś aniołem!...

Aldona atoli nie była samem jedynie odbiciem indywidualnych uczuć poety; charakteryzowała ona obok tego pewien prąd ogólniejszy, który, jeżeli

nie rozpowszechniał się na kraj cały, jeżeli nie przenikał do wszystkich warstw społecznych; to w każdym razie wstrząsał tą ich częścią, która się w poezyi spółczesnej europejskiej lubowała. Uczucie nieszczęśliwie się kończy z nader licznych powodów; — a zawsze lubi się osłaniać jakąś tajemniczą zasłoną wstydu czy dumy. Kto nie chce doznać zawodu, niech je tak wysoko umieści, ażeby żadna ludzka ręka dosięgnąć go i rzucić w błoto nie mogła. Najprostszym ku temu środkiem jest idealizowanie... Nikt takiego zidealizowanego uczucia wydrzeć nie zdoła. Taką wydaje mi się *ogólna* społeczna podstawa, na której się wznosi posąg Aldony, osłonięty krepą... Może w ten sposób poeta choć na chwilę ją pojmował; chwila ta byłaby dostateczną do usprawiedliwienia mojego poglądu. Bądź co bądź, Aldona jest obrazem namiętnego serca, zatrutego zbyt wcześnie.

V.

TELIMENA.

Tak chłopiec, kiedy ujrzy cykoryi kwiaty,
Wabiące dłoń miękkiemi, lekkiemi bławaty;
Chce je pieścić; zbliża się, dmuchnie: i z podmuchem
Cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem,
A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy
Nagą łodygę szaro-zielonawej trawy...

W „Panu Tadeuszu" Mickiewicz staje się najzupełniejszym realistą; nie chce tworzyć nowych ideałów; zagląda bacznie w życie i z tej nieprzebranej skarbnicy wydobywa mnóstwo postaci, które dla nas są już wprawdzie tylko obrazem dawno minionych czasów, które jednakże w chwili odtwarzania ich przez poetę były najwierniejszą rzeczywistości kopią, o ile naturalnie wielki wieszcz kopistą być może.

Poeta jest tu spostrzegaczem, spostrzegaczem bezstronnym, nietylko w całości obrazów lub wypadków, ale w drobnych nawet szczegółach. Indywidualność jego znika: wyprowadzone przezeń osobistości przedstawiają się same i mówią każda za siebie. Małostki codziennego życia równie starannie i równie sumiennie są wyśpiewane, jak i sprawy całego narodu. Zewnętrzność, powierzchowność gra tu z natury rzeczy nader ważną rolę: stąd tak częsty opis fizycznej strony osób, ich ubioru, nawyknień, zwyczajów. Duszę o tyle tylko poeta uwydatnia, o ile ona w danych osobistościach rzeczywiście się na jaw wybijała. Obok wzniosłości jest płytkość; obok tragiczności — komizm, obok uczuć serdecznych — papuzia frazeologia... Jesteśmy na jarmarku życiowym: na duszach roztkliwionych sprawia on nieprzyjemne wrażenie; na dusze zdrowe działa podobnie jak zimna, świeża woda na organizm fizyczny. Żyjemy: ruszamy się, interesujemy się wszystkiem: i chołodźcem litewskim i grzybobraniem i kłótnią asesora z rejentem, i mrówkami, i wrzawą szlachty zaściankowej, i mową księdza Robaka, i wzniosłem uczuciem, jakie przejmuje zaimprowizo-

wanych wojowników. Nie potrzebując wydawać sądu, staramy się każdą postać zrozumieć i jak najdokładniej określić; nie szukając wzorów do naśladowania, cieszymy się różnorodnością objawów życia, drgającego w każdej jednostce.

Wszystkie postacie w „Panu Tadeuszu" mają być żywcem niemal wzięte z rzeczywistości, jak zapewnieją biografowie Mickiewicza. Rzecz-to bardzo prawdopodobna; nawet bez tych zapewnień możnaby zrobić takie przypuszczenie na podstawie rozbioru wewnętrznej natury samego poematu.

Tak np. wiemy, że wzorem do obrazu *Telimeny* była jedna z piękności odeskich, w której towarzystwie wieszcz odbywał swoję krymską wycieczkę. W poemacie ukazuje się nam ona z początku w postaci złudnej: błyszczy świeżością; poeta nazywa ją „przystojną, nadobną i młodą", chociaż później przekonywamy się, że miała płeć grubą, piegi koło ust i „lata dojrzałe". Kibicią odznaczała się kształtną, wysmukłą, „piersią powabną, łabędzią"; włosy czarnemi. W opisie stroju niech nas zastąpi poeta:

Suknię (miała) materyalną, *różową*, jedwabną;
Gors wycięty, kołnierzyk z koronek; rękawki
Krótkie; w ręku kręciła wachlarz dla zabawki —
Bo nie było gorąco; — wachlarz pozłocisty,
Powiewając, rozlewał deszcz iskier rzęsisty.
Głowa do włosów; włosy pozwijane w kręgi,
Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,
Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu...

Telimena lubiła się stroić i to zawsze podług najświeższej mody. Sukien miała całe szafy a pachnideł „słoików, flaszeczek, proszków i muszek" zawsze pełno w przesławnem „biurku", o którem mówi przy każdej sposobności. Kiedy się ubrała na wesele, poeta zrozpaczył o swoim talencie. „Chyba pędzel — powiada — skreśliłby te tiule, ptyfenie, blondyny, kaszmiry, perły i kamienie: i oblicze *różane* i żywe wejrzenie". — Wielką nawet wagę przywiązuje do ubioru. Ostatniego swego narzeczonego (rejenta) zmusza „warunkiem intercyzy", żeby zarzucił dawny strój polski i przywdział frak nowomodny.

Sama różuje się, na czem się biedny Tadeusz zbyt późno poznał, kiedy sam „rozmawiając zbyt blizko, omusknął z bielidła *karmin*, lżejszy od pyłków motylego skrzydła". Wtedy „wszędzie już jakiś fałsz wyśledził".

Dwu zębów braknie w ustach; na czole, na skroni
Zmarszczki; *tysiąc zmarszczków* pod brodą się chroni...

„Jak-to niepotrzebnie rzecz piękną nazbyt ściśle zważać!" — dodaje poeta sposobem żartobliwej przestrogi.

Tak w dwulicowości swej przedstawia się Telimena...

Ta dwulicowość fizyczna odbija się i w naturze moralnej. Jedno tylko było niezmienne: chęć złapania sobie męża. Kiedy gdzie na uboczu siedziała „roztargniona, znudzona,“ spozierając dokoła z głową w górę zadartą, złośliwy asesor „równał ją do samicy, która miejsca na gniazdo szuka w okolicy“. Chęć owa jest jedynym regulatorem jej uczuć, zdań i postępowania. Z sentymentalnym hrabią, który nie lubił własnego kraju, potępiała zacofanie prowincyi, unosząc się nad cudami stolicy; a kiedy Tadeusz zaczął wysławiać z zapałem piękności przyrody ojczystej, Telimena zmieniła ton i zaczęła je również chwalić — przytoczyła nawet malarza Orłowskiego, unosząc się nad jego obrazami... Zręcznie manewrując, nie chciałaby urazić żadnego z domniemanych konkurentów. I jak średniowieczne anielice jednego za rękę ściskały, drugiego nóżką pod stołem trącały, a trzeciego zabijały ognistem spojrzeniem; tak Telimena pragnąc ułagodzić smutek hrabiego, podawała mu urwany kwiatek niezabudki, a Tadeusz tymczasem —

...z drugiej strony krzak ziela rozchylał,
Widząc, że się ku niemu tem zielem przewija
Coś białego: była-to rączka jak lilija...

W rączce znalazł klucz i biały papier w trąbkę zwinięty. Poeta robi uwagę, że Telimena patrzała na Tadeusza, hrabiego i asesora:

Jak ptasznik patrzy w sidło, kędy szczygły zwabia,
I razem w pastkę wróbla...

Słowem, Telimena jest kokietką. Łzy, omdlenia, słowa wielkie i emfatyczne ma na zawołanie; rozporządza niemi jak wódz dobrze uorganizowaną armią. Umie przybrać pozę romantyczną: w białych szatach, samotna siada na kamieniu „sama jak kamienna;“ twarz schyloną w otwarte tuli dłonie, a choć płaczu nie słychać, przeczuwasz, że roztapia się we łzach. Takie pozy mają swój urok; wielu niedoświadczonych serce oddaje za nie; niezawsze efekt ich psuje niespodziany napad mrówek — jak to się mniej szczęśliwej zdarzyło Telimenie:

Mrówki, znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,
Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać;
Telimena musiała uciekać, otrząsać,
Nakoniec na murawie siąść i owad łowić.

Jeżeli pozy nie sprawiają już efektu, udaje czułość. Ona tak była tkliwa! Raz, zobaczywszy zadławionego bonończyka, „z wielkiej alteracyi dostała mdło-

ści, spazmów, serca palpitacyi". Ale na człowieka obitego kijami, za tego właśnie psa, patrzała z lekceważeniem i pogardą...

Widząc, że się rwie nić sympatyi, wiążąca jej duszę z sercem Tadeusza; widząc, że wzrok jej „jako księżyc światły a bez ciepła" ślizgał się już tylko po wierzchu duszy upatrzonego; — nie chce mu zagradzać drogi do sławy i szczęścia jego niweczyć; pragnie jedynie usłyszeć raz jeszcze słowo „kocham", by je wyryć w swem sercu i w myśli zapisać, by się przekonać, że ich miłość nie była żartem i rozpustą płochą...

Przebaczę łacniej, chociaż przestaniesz mię kochać,
Pomnąc, jak-eś mię kochał. — *I zaczęła szlochać...*

Był-to oczywiście manewr tylko. Kiedy Tadeusz powtórzył niebacznie słowo „kocham" — posypał się prawdziwy grad romantyczno-miłosnych propozycyj: „pójdę za tobą wszędzie, każdy świata kątek będzie mi z tobą miły, bo miłość z *najdzikszej pustyni* zdoła uczynić ogród rozkoszy"... i t. p. Wzniosłe-to i wielkie słowa, dopóki się dwa serca kochają, dopóki są „harmonijnem ożenione brzmieniem"; ale komicznem echem odbijają się w duszy, która gwiazdy swojej na innem szuka niebie. Tadeusz robi jej chłodną uwagę: — Czyś z rozumu obrana? mam-że włóczyć za sobą *markietankę!...* Telimena znajduje bardzo prędko odpowiedź, która charakteryzuje najlepiej cel jej wszystkich szlochów i czułości: „To my się pobierzem!" Zapewne!...

Dziwna rzecz! wszakżeż ona sama w owe czułości nie wierzy... zachowuje tylko pozory. Kiedy hrabia, chcąc wojennemi czynami na jej miłość zasłużyć, ruszał z wojskiem, obdarza go kokardą oddartą od sukni, na piersiach mu ją „przyszpila" i napomina, żeby, wstąpiwszy w wojenne zapasy, obracał *czułe spojrzenie* na kolor *kochanki:*

Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,
Na kopije błyszczące i deszcze siarczyste.
A kiedy się rozsławisz walecznemi czyny,
I gdy nieśmiertelnemi przesłonisz wawrzyny
Skrwawiony szyszak i hełm twój, zwycięstwem hardy:
I wtenczas jeszcze *oko zwróć do tej kokardy,*
Wspomnij, *czyja ten kolor przyszpiliła ręka...*

Ale w tejże samej uroczystej chwili, kiedy hrabia, *przyklęknąwszy,* całuje podaną sobie rękę —

Telimena *zbliżyła do oka*
Chustkę, *a drugiem okiem pogląda z wysoka*
Na hrabię, który żegnał ją, mocno wzruszony:
Ona wzdychała — *ale ruszyła ramiony...*

Podczas nieobecności hrabiego zaręczyła się z *rejentem,* nie pomnąc ani o kolorze kokardy, ani o łzie, którą chustką niby ocierała. Bo i pocóż? Ona chciała *jak najprędzej* wyjść za maż. Zaczęła od młodego Tadeusza, skończyła na starym rejencie. I jego przecież nie kocha. Hrabia powraca; ona, ubrana już do ślubu, szepce mu, że rejent nie wziął jej jeszcze za żonę, że jeżeli hrabia sprzeciwia się jej zamęściu, niech odpowie „zaraz, krótko, węzłowato:“ czy ją kocha, czy gotów *dziś*, koniecznie dziś, z nią się ożenić... Na uwagę hrabiego, że ziemia dąży do słońca, że wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą biegną ku sobie, a przecież nie mogą się zbliżyć, — zrzuca maskę sentymentalną i mówi bardzo prozaicznie:

...Dość już tego; nie jestem planetą
Z łaski Bożej; dość, hrabio; ja jestem kobietą.
Już wiem resztę, *przestań mi pleść ni to ni owo...*

Pozowanie, czułość, romantyzm jest dla Telimeny środkiem jedynie. Takim samym środkiem jest ogłada, wykształcenie, dystyngowane maniery. Mówiła biegle po *francusku* o tańcach, o literaturze, o muzyce, a nawet o malarstwie i rzeźbiarstwie; umiała bawić rozmową lekką, anegdotkami i rozmową poważną; z uszanowaniem mówiła o dostojnikach państwa, o blaskach stolicy. Wszystkich zadziwiała swoją nauką: Tadeusz się zdumiewał. Owe nabytki cywilizacyi utworzyły na jej duszy rodzaj pokładów geologicznych; w gruncie atoli pozostała krzepką i prostą Litwinką... Gdy fale namiętności podmyły owe złociste warstwy, ukazuje się zwyczajna glina, z której według podania powstał ród ludzki. Znamy dwie takie powodzie.

Raz kiedy Tadeusz powiedział jej bez ogródki, żeby sobie wyperswadowała miłość i ożenienie, ona powstała straszna „jak Meduzy głowa“. Blada, bez tchu, bez ruchu wyciągnęła rękę i palce skierowała „prosto w Tadeusza oczy“ Namiętność się wzburzyła: zapomniała o konwenansach, o swej naiwności. Na wzmiankę, że miłość taka jest grzechem, — wybucha gorzką ironią: „Grzechem!“ — powtarza szyderczo — „niewiniątko! baranek!...“ — Nie przebiera w słowach: „ha, języku smoczy, serce jaszczurcze!“ — przyznaje się do swoich planów: „To nic, żem, tobą zajęta, wzgardziła asesora, hrabię i rejenta!...“ Obrażona kłamstwem, do którego sama zmusiła (prosząc o wymówienie raz jeszcze słowa „kocham“), nazywa Tadeusza podłym, gardzi nim, przeklina go, chce *wydać światu jego bezeceństwa,* ażeby „sztuki“ jego nie zwiodły innych, jak ją zwiodły...

Drugi raz znowu, kiedy nie uzyskała od hrabiego stanowczej odpowiedzi; kiedy nadrwiła z jego *planetarnej* miłości, kiedy już raz przecie pragnęła zostać żoną; daje mu ostrzeżenie pełne groźby, a pozbawione wszelkiej dystynkcyi:

...Jeśli *piśniesz* jedno słowo,
Ażeby ślub mój zerwać, to, jak Bóg na niebie,
Że *z temi pazznogciami* przyskoczę do ciebie
I — *zdrapię ci policzki i oczy ci wydrę!*[1])

W tych namiętnych wybuchach pokazuje się natura pierwotna, że nie powiem dzika; wtedy wracają wyobrażenia zaściankowe, nieogładzone wdziękiem sfer wyższych; nieufność, nienawiść nawet do tak zwanego „rodu męskiego".

Dobrze mi tak, wiedziałam, kto jesteś, — mężczyzna!...

Ale też ukazuje się zarazem i serce *dobre* naprawdę, nie chorobliwe jakieś, książkowe, lecz czysto ludzkie. Kiedy Tadeusz, znieważony przez nią, pobiegł nad rzekę, by jakimkolwiek sposobem rozplątać powikłane stosunki życia; ona, przelękła, leci w ślad za nim, wstrzymuje go i mówi:

Stój, *głupstwo*, kochaj czy nie, żeń się sobie,
Czy jedź — tylko stój.

Ona „chciała go skarać, *ale nie myślała zgubić*". W takich chwilach, lakier sentymentalizmu i arystokratycznych nawyknień ściera się, zostaje tylko serce kobiety. Kochamy ją naówczas i chętnie przebaczamy jej błędy.

Telimena ze wszystkich postaci kobiecych Mickiewicza najstaranniej została wycieniowana; widzimy ją wśród różnych okoliczności, słyszymy jej słowa, przypatrujemy się postępowaniu. Nie jest ona istotą zupełnie bierną: owszem w szczupłym zakresie swojej działalności (poszukiwanie męża) rozwija niepospolitą ruchliwość; słaba fizycznie, zna całą potęgę swojej słabości i umie się do niej odwoływać: w krytycznych wypadkach, kiedy nie wie, co zrobić — mdleje. Rozmowna, gadatliwa nawet, nie pragnie nikogo przekonać — usiłuje jedynie olśnić i podbić! Jest-to jeden z typów kobiecych, które najczęściej może napotykamy w życiu...

[1]) Ostatni wiersz jest *odmianką*.

T. MALESZEWSKI.



ZOSIA.

VI.

ZOSIA.

Nieuczona twa postać, niewymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska:
A każdy rad cię ujrzeć, rad posłyszeć z blizka;
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Słońce ostatnich kresów nieba dochodzi. Na pagórku, omdlewającemi jego promieniami ozłoconym, nad brzegiem ruczaju stał na podmurowaniu dworek drewniany, okolony laskiem brzozowym. Zdaleka już świeciły się pobielane ściany. Aleja, wysadzona topolami, które broniły „od wiatrów jesieni," wprowadza nas na dziedziniec dworku. Cisza, pusto wokoło. Swobodnie możemy się przechadzać po pokojach; nikt nam nie przeszkodzi. Ośmieleni, rozzuchwaleni nawet, wdzieramy się do panieńskiego przybytku. Fortepian; na nim nuty i książki, niedbale porzucone: „nieporządek miły! nie stare były rączki, co je tak rzuciły" — robimy sobie w duchu uwagę. Na oknach doniczki z gieranium, lewkonią, astrami i fiołkami — kwiatki proste, zwyczajne... Wejrzawszy dalej, widzimy mały płotek drewniany, powiązany w cyfrę, połyskujący „wstążkami jaskrawych stokrotek;" a za nim ogródek z grzędami świeżo polanemi, na których pełno było „bukietów, trawy angielskiej i mięty".

Przypatrzmy się lepiej: a toż najwyraźniejsze, chociaż leciutkie ślady drobnych nóżek — nie trzewiczków, ale nóżek prawdziwych... Chwileczka cierpliwości a zobaczymy i ich właścicielkę:

...Na parkanie
Stała młoda dziewczyna. — Białe jej ubranie
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.
. . . .
(A) choć świadka nie miała, założyła ręce
Na piersiach, przydawając zasłony sukience:

Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
Dziwnie ozdabiał głowę: bo od słońca blasku
Świecił się jak korona na świętych obrazku...

Później widzimy ją znowu w „ogrodzie na ogórki“ ubraną „w bieliznę“, jak tonęła po kolana w majowej zieloności:

Z grząd zniżając się w brózdy, zdała się nie stąpać,
Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.

Głowę osłaniała kapeluszem słomianym; od skroni powiewały dwie wstążki różowe i kilka puklów „*świattych,* rozwitych warkoczy.“ W lewej ręce trzymała koszyk a prawą podniosła niby do chwytania:

Jako dziewczę, *gdy rybki w kąpieli ugania,*
Bawiące się z jej nóżką; tak ona co chwila
Z rękami i koszykiem po owoc się schyla...

Pasterka — a jednak królowa!... Twarzy jej dotąd nie widzieliśmy, tylko postać „świecącą, cichą i lekką jak światłość miesiąca.“ Śpioch Tadeusz szczęścia tego dozna: ujrzy dwoje jasnych oczu, szeroko otworzonych, błękitnych jak bratki i małą rączkę, jak perła białą, niby wachlarz, z boku nadstawioną ku słońcu, i palce drobne, zwrócone na światło różowe, które jak rubin nawskroś się czerwieniły, i usta ciekawe, roztulone nieco, i ząbki świecące jak perły śród koralów — i lica, co choć zasłonione od słońca dłonią różową, przecież same płoną jak róże... Pączek, roztulający listki ku słońcu, jutrzenka i obłok....

Wychowana „w stolicy,“ już od *dwu* lat żyła w zaciszu wiejskiem, pomiędzy „kurami i indykami,“ chociaż, jak twierdziła ciocia Telimena, nie zapomniała jeszcze całkiem „Peterburka“. Codziennie z sitem w ręku rzucała domowemu ptastwu „grad perłowy krup jęczmiennych,“ które wykradała z szafy ochmistrzyni. Drugiem jej zajęciem było bawienie się z dziećmi: wziąwszy do ręki szarą kitkę, „podobną do piór strusich pęku, oganiała główki niemowlęce od złotego motylów deszczu:“ — w drugiej ręce miała coś złocistego, co „zbliżała dzieciom do ust po kolei“, a co „miało kształt złotego rogu Amaltei;“ — była to poprostu marchewka. Jedyną zaś zabawę jej stanowiła swawola z ptastwem, kiedy —

...kręcąc sito, jako tanecznica
Bębenek, i w takt bijąc, swawolna dziewica
Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury.
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,
Zdawała się najwyżej bujać między niemi;

Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
Leciały, jak przed wozem bogini rozkoszy...

Prosta, naiwna była — ale śmiała. Kiedy ją hrabia zeszedł niespodzianie wśród dzieci i ptastwa, z początku zaczęła uciekać, lecz wkrótce uczuła, jak jest nieroztropnie małą dziatwę samę zostawiać. Przybiegła więc bawić się z najkrzykliwszem dziecięciem; siadła przy niem na ziemi, wzięła je na łono, a inne głaskała ręką i uspokajała pieszczotliwą mową. Patetycznej deklamacyi hrabiego słuchała z uwagą i ze zdziwieniem:

Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe
I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
Nim rozezna ich watość; tak się słuch jej pieści
Dźwięcznemi słowy, *których nie pojęła treści*...

Odpowiada więc prostem zapytaniem: Skąd tu pan przychodzi i czego tu po grzędach szuka pan dobrodziéj?“ A spostrzegłszy zmieszanie na twarzy hrabiego, nie rozumie go; a może i rozumie, tylko (przebiegła dziewczyna!) chce zmieszać jeszcze więcej, robi mu propozycyą:

...Czy też pan nie może
Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?...

W zapytaniu tem dźwięczała odrobina złośliwości.

Dziewczyna już zaczynała pojmować świat inny i życie gorętsze. Pragnęłaby poznać ludzi; już jej troszeczkę nudno siedzieć samej w alkowie. Ciocia Telimena nie pokazywała jej gościom, bo była najmocniej przekonana, że *kto rośnie na widoku* ludzi, to, choć „piękny i rozumny“, żadnego nie sprawi *efektu*;— potrzeba „nagle, ni stąd ni zowąd zabłysnąć.“ A kiedy już raz wejdzie w modę młoda dziewica, „każdy chwalić ją musi,“ chociaż mu do gustu nie przypadnie. Zresztą, zdaniem cioci, komuż ją było pokazywać, kiedy w domu sędziego bawiło samo „plugastwo,“ to jest „pleban, co pacierze mruczał, i palestra z fajkami.“ Zosia więc „z nudy“ lubiła „ptastwo paść i dzieci niańczyć“ i zapomniała o przepisach salonowych: nogi rozszerzała jak chłopiec, okiem rzucała naprawo i nalewo „jak rozwódka.“ Ale koniec końcem chciałaby już zobaczyć kogoś, bo od dwu lat jedynym gościem, jakiego widziała, był „gołąb dziki.“ Na poparcie swojego życzenia przytacza bardzo słuszne zdanie sędziego, „że to żle na zdrowie“ tak siedzieć zamkniętej. Nie zastrasza się wcale zapomnieniem dystyngowanych ruchów; ufa w swoję młodość a może i główkę:

Ale poczekaj, ciociu, niechno się pobawię
Trochę z ludźmi, obaczysz, jak się ja poprawię.

Weszła więc w świat i zwyciężyła... Tadeusza, który „stojąc przed nią niemy, to płonął, to bladnął.“ Ujrzawszy hrabiego, zrazu zarumieniła się i spuszczała oczki; lecz ujęta jego uprzejmością zaczęła się śmiać, wspominając o owem spotkaniu w ogrodzie...

Ale na tem wszystko się kończy. Pobożna, tkliwa w miarę, gospodarna, ciekawa — nie występuje jako istota samodzielna. Przewyższając inne rówieśniczki swoje, co to „wszystkie zacnie zrodzone, każda młoda, ładna“ — posiadała ich przymioty i wady; kiedy był hałas, zamieszanie, nieład; kiedy zagrażało domowi jakieś nieszczęście: całą jej broń stanowiły: „prośby, płacz i jęki.“ Nigdy nie wymówiła energicznego słowa; wobec ważnych wypadków zachowywała się całkiem *biernie:*

Umilkła i spuściła głowę; oczki modre
Ledwie stuliła; z rzęsów pobiegły łzy szczodre.
A Zosia z zamkniętemi stojąc powiekami,
Milczała, sypiąc łzami jako brylantami...

W postępowaniu nie posiada stanowczości; poeta przedstawia ją zawsze jak dziecko:

Zofia, *z opuszczonem ku ziemi* wejrzeniem,
Zapłoniwszy się, gości witała *dygnieniem*,
Od Telimeny *pięknie dygać* wyuczona...

Nic dziwnego — miała wtedy lat piętnaście.

Posłyszawszy „przez szczelinę“ drzwi z ust Tadeusza „wielką i dziwną nowość, że była kochana,“ i zarazem, że on sam odjeżdża może na długo, wyjęła z domowego ołtarzyka obrazek św. Genowefy i relikwiarzyk z suknią św. Józefa — patrona zaręczonej młodzi — i z tem wyszła na pożegnanie. Uczucie swoje zawarła w kilku zaledwie słowach: („Pan odjeżdżasz, tak prędko?“), w których wyraziła żal za odjeżdżającym i poddanie się woli losów. Na drogę daje mu podarunek i przestrogę:

Niechaj pan zawsze z sobą relikwie nosi
I ten obrazek...

Ale nie zapomina i o sobie: „a niech pan pamięta o Zosi....“ Ostatnie wyrazy jej pożegnania, bardzo proste, powtarzają powszechnie przyjętą formułę:

Niech pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi,
I niech prędko, szczęśliwie do nas odprowadzi...

Zaręczona z Tadeuszem, patrzy mu w oczy *nieśmiało;* zawsze zgadza się „z wolą nieba i starszych;“ a że jej mówiono, iż musi pójść za Tadeusza, nie

robiła żadnych trudności — może dlatego, że to i z *jej wolą* nie było sprzeczne... Cóż głównie przemówiło do jej duszy? Łzy Tadeusza, kiedy odjeżdżał. Te łzy „wpadły jej aż do serca;“ od tej chwili wierzyła, że jest kochaną. Ilekroć mówiła pacierz za powodzenie Tadeusza, stawał on zawsze przed jej oczyma „z temi dużemi błyszczącemi łzami...“ Odtąd wszystko pojmowała tylko w duchu swego ukochanego. Tęskniła zawsze do tego pokoiku, gdzie on ujrzał ją po raz pierwszy; pamięć o nim, „jak rosada, w jesieni zasiana, przez całą zimę krzewiła się w jej sercu;“ jakieś przeczucie mówiło jej, że znowu w owym pokoiku się spotkają — co się też i stało. Takie żywiąc myśli, często też miała na ustach imię Tadeusza. Pojechawszy do Wilna na zapusty, nie bawiła się wcale, tęskniła do Soplicowa; często siedziała zamyślona; panny, widząc jej usposobienie, mówiły, że zakochana.

„Jużci — powiada Zosia — jeżeli kocham, to już chyba pana“.

Sama zresztą czuje i rozumie swoję rolę bierną.

„Jestem kobietą — rządy nie należą do mnie,“ — odpowiada Tadeuszowi, gdy jej zaproponował uwłaszczenie włościan — „ja do rady młoda; co pan urządzisz, na to całem sercem zgoda.“ Drzemią w niej piękne uczucia; potrzeba je tylko potrącić, sama na wypowiedzenie ich jeszcze się nie zdobędzie:

Jeśli włość uwalniając, zostaniesz uboższy,
To, Tadeuszu, będziesz sercu memu droższy:
O moim rodzie mało wiem i *nie dbam o to;*
Wsi nie lękam się...
Pracy też nie lękam się, bom *młoda i zdrowa,*
Umiem chodzić około domu, *nosić klucze;*
Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!

Jej dalsze rozumowanie wysnuwa się całe z poważnej myśli, rzuconej przez Tadeusza — już nie lubi miasta, nie lubi zabaw; utrzymuje, że ją więcej bawiły koguty i kurki aniżeli świecidła stołeczne, chociaż widzieliśmy, że się z temi „kogutkami i kurkami“ zajmowała „z nudy.“ Sama, więcej dla siebie niż dla Tadeusza, daje wyjaśnienie, wytłómaczenie się:

Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi —
To *z dzieciństwa...*

Ach, teraz już dorosła panna — za parę godzin narzeczona!...

W tym dniu zaręczyn dopuściła się jednego, jedynego samowolnego czynu — w zakresie strojów... tak, że przez Telimenę po raz pierwszy w życiu *za upór* została złajana. Nie chciała wziąć na siebie modnych sukni — wypłakała sobie „ubranie prostacze.“ Choćby dla tego jedynego *czynu* warto poznać, jak wyglądała Zosia w owem „ubraniu prostaczem:“

Spódniczkę miała białą, długą; suknię krótką
Z zielonego kamlotu — z różową obwódką,
Gorset także zielony, różowami wstęgi
Od łona aż do szyi sznurowany w pręgi,
Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.
Od ramion świecą białe rękawy koszuli,
Jako skrzydła motyle do lotu wydęte,
U dłoni skarbowane i wstążką opięte.
Szyja także koszulką obciśniona wązką;
Kołnierzyk zadzierzgniony różową zawiązką,
Zauszniczki wyrznięte sztucznie z pestek wiszni,
Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni.
Były tam dwa serduszka z grotem i płomykiem
Dane dla Zosi, gdy Sak był jej zalotnikiem.
Na kołnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu;
Na skroniach zielonego wianek rozmarynu.
Wstążki warkoczów Zosia rzuciła na barki,
A na czoło włożyła, zwyczajem żniwiarki,
Sierp krzywy, świeżem żęciem traw oszlifowany,
Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyany...

Pożegnamy już to urocze zjawisko, które we wspomnieniach naszych wesołością swoją i blaskiem opromieniało chwile smutku i zniechęcenia... Rzeczywistość przedstawia nam nieraz takie wiosenne pączki zerwane burzą i zaniesione daleko od rodzinnego gaiku; nurzają się one we krwi lub błocie, zmienione do niepoznania...

Na jarmarku życiowym przypatrujemy się często licytacyi ideałów; kurs ich obniża się albo podwyższa stosownie do ilości popytu i zaofiarowania. Życie, choć jest wspaniałe, jest i okrutne. Spokój i trwałość — to nie jego przymioty. Niechże więc przynajmniej kreacya poety pozostanie w pamięci naszej nienaruszona i czysta, jasna i promienna, naiwna i rozsądna, wesoła i kochająca, zadowolniona i kochana...

VII.

KAROLINA.

Karolina to postać, którą wytworzyły nieszczęśliwe stosunki krajowe. W pomysłach poezyi naszej jej podobne znajdujemy rzadko, ale w życiu istniały one i zapewne istnieją.

Świetna z pozoru, ale w gruncie smutna i przygnębiająca otacza je atmosfera. Lekceważone i poniżane przez swoich, jeżeli interes jakikolwiek, majątkowy, rodzinny, patryotyczny, nie przymusza im pochlebiać, — nie mogą obudzać szacunku i poważania u obcych, lubo grzeczności z ich strony doznają dużo, gdy są piękne i zręczne.

Jesteśmy w czasach konfederacyi barskiej, w przededniu pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. Samoistność polityczna istnieje już tylko pozornie; król ulega rozkazom jenerał-gubernatora; garstka konfederatów, z Pułaskim i księdzem Markiem, walczy rozpaczliwie w obronie wolności i niezależności.

Karolina jest córką wojewody, jednego z tych oligarchów, którzy kochali kraj gorąco, ale pod warunkiem, że ich skinieniom będzie posłuszny. Wydana za mąż dzieckiem prawie, za człowieka nieokrzesanych obyczajów, pijaka, zbrzydziła go sobie; gdy się rozwinęła na kobietę, porzuciła go, podawszy się do rozwodu, pierwszym w rodzinie swojej przykładem; a gdy krewni chcieli ją zamknąć w klasztorze jeszcze przed przybyciem jej ojca, który objeżdżał Europę jako poseł, uciekła się pod opiekę jenerał-gubernatora. Był to człowiek gładki, polorem wieku XVIII oszlifowany; pełnił obowiązki swoje jako służbista surowo i nieubłaganie, ale zresztą przywykłszy do form życia salonowego, żądny zabaw i rozrywek, okrutnym nie był, a względem dam polskich okazywał się nadzwyczaj ugrzecznionym. Pokochał on Karolinę i gotów był z nią się ożenić. I Karolinie podobał się jenerał-gubernator, jako przeciwieństwo tego charakteru, który w swym mężu poznała. Mając w perspektywie przyszłe małżeństwo, pozwoliła się uważać za jego kochankę, zamieszkała w tym samym co on domu. Rodzina nią wzgardziła; ojciec o niej słyszeć nie chciał,

lubo ją kochał głęboko; jeden tylko brat Adolf, znając jej dobroć, odwiedza ją potajemnie. Przed nim usprawiedliwia swoje uczucie słowami: „któraż religia, które prawo nie pozwala być z cudzoziemcem w związkach przyjacielskich?“ To zdanie nie znajduje wszakże uznania ani w oczach krewnych, ani też w opinii patryotów. Na pewnem zebraniu stary Litwin, bez ręki, smutny, którego Karolina wyprosiła od powieszenia, na zapytanie jej: „Czy pan się ze mną nawet nie przywitasz, czy nie poznajesz pan mnie?“ — odpowiedział: „Pani, nie mam czem cię witać, jestem bez ręki; Pani przyjaciele odcięli mi ją.“

Takiego upokorzenia doznaje wszędzie, gdzie opinia nie jest skrępowana względami osobistemi. Ono ją rani boleśnie. Karolina bowiem pozostała w głębi duszy Polką; narzeka ona na współrodaków, ale tylko słownie; w czynie, gdy tylko może, pomaga im jaknajchętniej. Do niej przychodzą „polskie łzy i prośby tylko.“ Jak ona tęskni za słowem serdecznem, za uczuciami rodzinnemi, jak się wzrusza na wiadomość o tym, z którym się wychowywała w dzieciństwie, który ją pierwszy pokochał bez nadziei, gdy był biednym chłopcem, o Pułaskim!... Nie chce się przyznać głośno, ale to uczucie z czasów dzieciństwa jeszcze pochodzące, stanowi najjaśniejszy promień w słońcu jej wspomnień. Jaką troskliwość okazuje, by się Pułaski na niebezpieczeństwo nie naraził; jak gorąco przestrzega brata, który jej doniósł, że Pułaski żyje, ale nie chciał wyjawić miejsca jego pobytu:

Nie mów!
Nikomu nie mów! Mogłoby niemądre
Echo powtórzyć, mógłby kto podsłuchać.
Słuchaj, Adolfie! napisz ty do niego;
Napisz do niego, żeby w jak najdalsze
Uchodził strony...
Generał, gdyby dostał go w swe ręce,
Najniezawodniej kazałby powiesić
Albo rozstrzelać. Głowa to jedyna,
Której ocalić niktby nie potrafił;
Jabym nie śmiała nawet mówić za nim.

Kto wie, może to uczucie zdoła Karolinę wyrwać z dwuznacznego położenia, w jakiem pozostaje, może ją pogodzi z rodziną i ze współziomkami... Bo ona nie pragnie ani blasku ani bogactw; używa ich, bo do nich przywykła; ale tęskni za uczuciem, za sercem bratniem. W razie danym uczucie to w połączeniu z głęboko wpojonem przywiązaniem do kraju, może ją uczynić bohaterką [1]).

---

[1]) Postać tę znamy ułamkowo tylko, gdyż dramat Mickiewicza, napisany po francusku p. n. „Konfederaci Barscy“, dochował się jedynie w dwu aktach. Przytoczenia brałem z przekładu T. Olizarowskiego.

VIII.

DWIE EWY.— ROLLISONOWA.— KLARA.

Po muzeum wspomnień przesuwa się jeszcze kilka postaci niewieścich: dwie córki asesora (w *Panu Tadeuszu)*, zwyczajne szlachcianki, trochę brzydkie, trochę zazdrosne; dwie Ewy (jedna w *Panu Tadeuszu*, druga w III części *Dziadów)*, Marcelina i. t. p. Nie przedstawiają one nic wybitnego: słabość fizyczna, bierność moralna, pobożność, płacz i. t. d. — oto ich charakterystyka.

Ewa w *Panu Tadeuszu*, arystokratka z urodzenia, kochała szlachetkę, Jacka Soplicę; ale ojciec stanowczo jej tego zabronił. Naturalnie, uległa. Nie chciała rozgniewać ojca, chociaż „lice jej bledniało.“

A był to taki piękny gołąbek, łagodny — mówi Jacek przy śmierci —
I wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny,
Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem
Odwagi zagniewać jej, zatrwożyć...

Słaba, lękliwa, „robaczek motyli — wiosenna gąsienica“ — jak ją nazywa Jacek. „Dotknąć ją zbrojną ręką — byłoby ją zabić!...“ Taka istota nie mogła się wystawiać na przykrości ucieczki, na grzech nieposłuszeństwa. Szczęku broni słuchać nie potrafiła. Biedna ona — tak ją rodzice pieścili...

Ewę w *Dziadach* widzimy klęczącą przed obrazem Matki Boskiej i proszącą łaski i zlitowania dla nieszczęśliwych wogóle a poety wszczególności. Po modlitwie zasypia, a aniołowie kołyszą ją snami czystemi i niewinnemi, jak lilia biała. Prześliczny *kwiatek,* marzący o kwiatach w sennem widzeniu:

Poznałam — kwiatki moje — sama polewałam,
W moim ogródku wczora nazbierałam
I uwieńczyłam Matki Boskiej skronie,
Tam nad łóżkiem na obrazku.

Widzę — to Matka Boska — cudowny blasku!
Pogląda na mnie, bierze wianek w dłonie,
Podaje Jezusowi, a Jezus dziecię
Z uśmiechem rzuca na mnie kwiecie.
Jak wypiękniały kwiatki — jak ich wiele — krocie...
I same plotą się w wianki...
Niech mię nazawsze ten wianek otoczy,
Niech zasnę, umrę, patrząc w te róże,
W te białe narcyzu oczy...

Kobietą matką jest *Rollisonowa* (w *Dziadach).* Syn jej w więzieniu — od rana do północy siedzi matka pod ratuszem; może głos dziecka posłyszy, może ktoś jej szepnie jakieś słówko o nim, może się cud stanie i nieszczęśliwą pocieszy — połączy z synem. Biedna, niewidoma, naraża się na żarty i urągania: nic jej od zamiaru odwieść nie może... Jasnowidzeniem ducha przeczuwa męki swego syna; chciałaby uwierzyć nawet w niewinność czarta, byle tylko ulżyć cierpieniu dziecka. Ale serdeczne słowa w kamiennem sercu nie znajdują echa — wybucha całą potęgą macierzyńskiego uczucia, czuje w sobie siły olbrzymie, wydobywa z głębi duszy wulkany wyrazów:

Ja go znajdę tu, tego pijaka, tyrana!...

To nie są wyrazy sentymentalne — to mowa głęboko zranionego serca.

Klara (we fragmencie dramatu: „Jakób Jasiński“) to przedstawicielka Polek przed wtargnięciem poloru francuskiego do kraju. Poznajemy ją głównie ze słów, jakie o niej wypowiada stary szlachcic teorbanista, Stanisław Romba:

Województwa aniołem szlachta ją ogłasza,
I w rzeczy samej jest to osoba pobożna,
Dobra, jak tylko dobrą na ziemi być można;
Cnota w niej każdodzienne odnosi wiktorye.
Przytem umie na pamięć wszystkie me historye:
Więc umie ich niemało. Że nie umie skakać
Wysoko i szeroko, w onych tam sposobie,
Że nie umie dziesięciu językami gdakać:
To snać nieboszczyk książę nie życzył mieć sobie
Z swej córki podobieństwa do wieży babelskiej,
Ni do komedyantki jakiej tam dyabelskiej [1]).

Ale oprócz konturu ogólnego, dokładniej rysów jej duchowych ni zewnętrznych nie znamy.

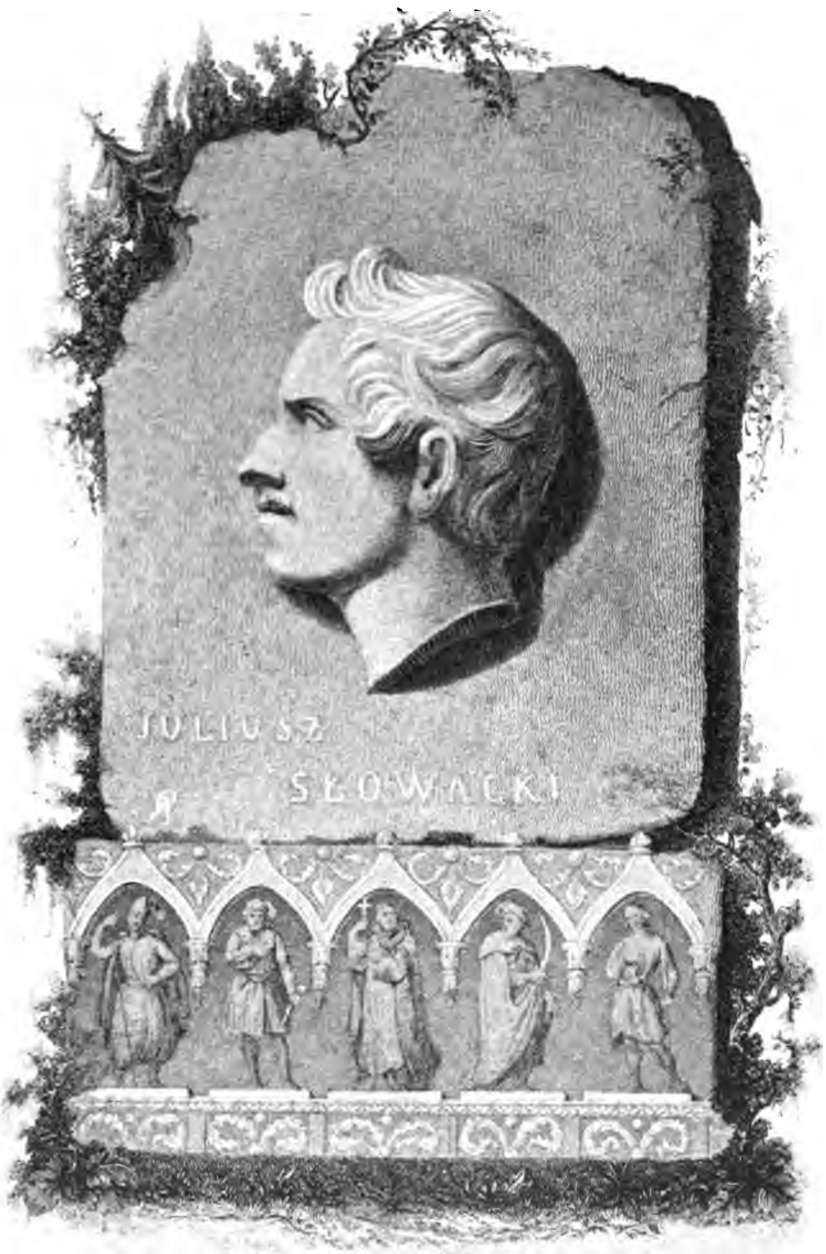
[1]) Przekład Tomasza Olizarowskiego.

Rozstajemy się z Mickiewiczem. Z całą czcią dla największego u nas geniuszu poetyckiego, wyznać jednak musimy, że nie przedstawił on nam obrazu kobiety-obywatelki w całej pełni rozwoju i we wszystkich ważniejszych momentach życia. Maryla i Zosia — to nierozkwitłe pączki, w których nie wiadomo, czy wszystkie listki się rozwiną, czy większa część opadnie, czy też zwiędną wszystkie przed czasem... Aldona — to bujny kwiat egzotyczny, w cieplarni idealnych uczuć i chorobliwego sentymentalizmu zbyt szybko rozwinięty, nie przedstawiający też żadnej nadziei długiego trwania: pierwszy lepszy wietrzyk zimniejszy zwarzy jej listeczki słabiuchne, nie posiadające zdrowych pierwiastków życia... Telimena — to kwiat cykoryi, rozwiewający się w puch za podmuchem swawolnego chłopca, to podżyła pannica, w której widzimy jednę tylko niechęć: obchodzenia uroczystości św. Katarzyny.

Żywila, Córka Tuhana, a przedewszystkiem Grażyna mogłyby służyć za typy kobiet-obywatelek, gdyby okoliczności zbyt wyjątkowe nie postawiły ich na stanowisku zbyt odosobnionem i gdyby poeta szerzej je był narysował. Jedna chwila naprężenia duchowego, które się wyraziło w poświęceniu własnego życia, czy-to dla odparcia wroga, czy dla uniknięcia hańby, czy dla zgody wśród braci, nie wystarcza jeszcze, aby im naznaczyć miejsce w panteonie tych kobiet, które są natchnieniem i życiem społeczeństwa... Rollisonowej słusznie należy się to miejsce — ale tylko na zasadzie domysłów. Jest to drobny, chociaż cenny, fragment pośród kreacyj poety. Marzenie czytelnika może go wypełnić — lecz nigdy nie zastąpi poetycznej rzeczywistości. Karolina — to wytwór nienormalnych stosunków narodowych. Klara — to zabytek dawno minionej przeszłości.

Lucyan Siemieński powiedział, że „autor Grażyny mniej szczęśliwy w kreśleniu niewieścich typów“ [1]). Jest to wielka nieścisłość wyrażenia. Widzieliśmy, że Mickiewicz dał nam kilka ślicznie skreślonych postaci czysto-ludzkich, prawdziwie kobiecych — zapomniał tylko o jednej: o kobiecie rozwiniętej, żyjącej w społeczeństwie jako dodatni czynnik jego rozwoju. Jedynie z tem wyjaśnieniem zdanie Lucyana Siemieńskiego będzie miało słuszność za sobą.

[1]) Wieczornice, III, 159.


JULIUSZ
SŁOWACKI

Juliusz Słowacki i miłość.

I wiecznie w tłumu zanurzony fali,
Nie mogłem czoła wznieść nad tłum — cierpiałem.
. . . .
Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,
Patrzyć, jak cierpią, i śmiać się szalenie!
. . . .
Miłoście moje jako próchna świecą;
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali!...

Charakterystykę miłości trudniej nieporównanie skreślić u Słowackiego aniżeli u Mickiewicza. Nie był-to gieniusz jednolity; różne przechodził fazy i w różnych — czasem zupełnie odmiennych — ukazuje się nam kształtach. Smutny, gonił za ideałem i sam śmiał się z pogoni. Z początku sceptyk, uwierzył potem w mamidła towiańszczyzny. Inny był proces tworzenia „Maryi Stuart“, inny — „Snu srebrnego Salomei“; inny — „Złotej czaszki“. Nie zamierzam faz tych tłómaczyć — wymagałoby to osobnego studyum; obecnie rzucę parę tylko uwag ogólniejszej natury.

Gorycz zmieszaną ze łzami, jaka się przebija we wszystkich niemal tworach Słowackiego, trudno sobie objaśnić okolicznościami jego życia; więcej trzeba zważać na temperament, na naturę fizyczną i na wpływ poezyi jemu spółczesnej. Gdy matka poszła drugi raz za mąż, kilkoletni Juliusz znalazł się w domu zamożnym doktora Augusta Becu, gdzie go pieszczono i uwielbiano. Wychowany w towarzystwie kobiecem — dwu córek doktora — przyswoił sobie miękkość i delikatność niewieściego obejścia się, a może po części i jego kaprysy. O niedostatku nigdy nawet nie posłyszał, nauki miał ułatwione. Muzyka, malarstwo, nauka języków — przyczyniały się do rozwoju uczucia i fantazyi z zaniedbaniem rozwagi.

Nieszczęścia żadnego nie zaznał. Był dumnym i samowolnym, o ile ta samowola w drobnych wypadkach dziecinnego życia objawić się mogła. Był niesłychanie wrażliwym: wszystko w jego oczach olbrzymiało. W kółku domowem uważany za bóstwo, sądził, że wszędzie i zawsze rolę tę wszyscy mu przyznają; a kiedy później nie spotkał odrazu należnego uznania; kiedy naród patrzał z uwielbieniem tylko na Mickiewicza; kiedy w czasopismach było o nim głucho: — zabolał strasznie, zgorzkniał, znienawidził swego starszego rywala, którego o osobistą do siebie niechęć posądzał, i coraz więcej w smutne marzenia się pogrążał. Usposobienie żywe, gorączkowe, marzące, unosiło go daleko od ziemi, kazało przekształcać rzeczywistość — nie zaś stosować się do niej.

Był słabowity. To może najwięcej wpłynęło na rozwinięcie w nim skłonności do bolesnych marzeń, nasuwając fantazyi w gorączce obrazy niezbyt pocieszające, może okropne niekiedy. Zapewnienie bytu materyalnego, nawet w dość wysokim stopniu, jakie posiadał Słowacki, zostawiało mu więcej czasu do rozmyślań, do nieokreślonej jakiejś tęsknoty. Od dzieciństwa gorąco pragnął zostać poetą. W jednym z późniejszych listów pisał do matki (z Paryża): „Droga moja! ja 8 lat mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, a za to za grobem o wszystko się upomnę“. — W takich-to wyrazach kreślił żądzę uwieńczenia głowy swojej laurem poetyckim.

Lubił samotne przechadzki wśród fantastycznych cieni nocy; w dzieciństwie odczytywał Iliadę. Epopeja greckiego narodu, wyolbrzymiająca rzeczywiste kształty i siły ludzkie do potęgi nadprzyrodzonej, zrodziła w nim chęć dorównania jej w praktyce. Juliusz był w pismach i w życiu prawdziwym poetą w tem znaczeniu, jakie od czasów Platona „istocie lekkiej, skrzydlatej i świętej“ nadano: — brał rozbrat ze światem realnym. W chwilach zastanowienia się sam to doskonale odczuwał. Mając lat 23, pisał do matki (z Paryża): „Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, *abym nie był podobnym do ludzi;* a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka“. Jeszcze później, pod koniec życia pisał: „Wstyd mi wielu melancholij byrońskich; strach, aby one nie zaraziły innych“.

Był samolubnym, w sobie zamkniętym; wszystko do siebie tylko odnosił. W r. 1832, kiedy wychodziły pierwsze 2 tomiki jego poezyj, umarł wielki poeta Goethe. W listach Słowackiego z tego czasu znajdujemy wyznanie, które doskonale charakteryzuje jego uczucia: „Dowiedziawszy się — powiada — o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, że Bóg go wziął z tego świata, ażeby *dla mnie,* wydającego poezye, *zrobił miejsce na świecie“.* Miał wówczas rok 23-ci.

Taki sam nastrój panuje u niego i pod względem miłości. Dla niego

wszystko istnieć, wszystko ruszać się musiało, ażeby mu byt na padole płaczu znośniejszym uczynić...

Słowacki kochał się kilka razy, potrzebował miłości i dziwił się, gdy mu czas jakiś bez niej upłynął. W jednym z listów do matki pisał: „Dziwna jakaś czcza melancholia dręczy mię; *chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim*... Jest to jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia... Otóż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham: co to będzie? Poznałem tu ładną jak anioł Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostygłego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Niagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem chwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągła wesołość, ciągły prawie uśmiech na rozkwitłych ustach; włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne“...

Najpierw kilkunastoletnie serce Juliusza zabiło do starszej kobiety — ale panny. Była nią Ludwika Śniadecka (córka Jędrzeja, potem żona znanego z wielu względów Michała Czajkowskiego), o której opowiada nam sam poeta w „Godzinie myśli“. Była-to twarz miła i świeża — jak opisuje p. Małecki — pełna wyrazu i życia, *o czarnych oczach*, płci białej i delikatnej; lecz zresztą jak wiele innych. Pod względem atoli duchowym posiadała wiele przymiotów, znamionujących naturę głębszą: tkliwa, czuła, wykształcona starannie, trochę nawet „sawantka“; gorliwa czytelniczka pism pani Staël, miała wyobraźnię ruchliwą i pewną skłonność do poetyckich zachwytów, które niekiedy dochodziły skali ekscentrycznych uniesień. Przeczuła ona w Juliuszu gieniusz poetyczny, może także zabiło w niej serce; ale nierówność wieku — Słowacki był prawie dzieckiem — nie pozwalała rozwinąć się uczuciu:

Więc odwracała oczy — a wtenczas łzy lała,
Myśląc o dziecka życiu.
Przyszłość mu nieszczęśliwą, jak wróżka, odgadła.

W „dębowej ulicy“, kiedy „księżyc płynął samotny“ a „las szumiał daleko“ — wyznał Juliusz swą miłość i został odepchnięty. Duma w nim zawrzała; bo chociaż dziecko, miał dumę człowieka... Miłość ta, która „pierwszą i ostatnią była“ — jak zapewniał 23-letni poeta — długo jeszcze we wspomnieniu Juliusza przetrwała, odtwarzając się w „Godzinie myśli“, w „Kordyanie“ (Laura); przerywając „uczące czytanie“ w „Podróży na Wschód“:

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Niezabudkami rzeczułkę — przy zdroju
Miejsce kładkową przeskoczone deską;

Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki,
Było kąpielą gwiazd i mej kochanki...
(Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie).

W rozmyślaniu chciał „z głębi wody ślad srebrzysty dostać i czekał, czy biała i powiewna postać może z pod wielkiej jarzębiny wstanie i wyjdzie"...

A nietylko w poematach, gdzie takie wspomnienia przyczynić się mogą do zwiększenia uroku poetyckiego, ale w pamiętniku swoim i w listach wszędzie o tej miłości wspomina, ciągle przez lat kilka o Ludwisi swej myśli, o nią się dopytuje, szczegółami jej życia interesuje się wielce. W urywkach „Pamiętnika", ogłoszonych przez Gasztowta, czytamy: „Początek roku 1826 był dla mnie nadzwyczaj smutny, ale nareszcie przywykłem do życia pustego i pozbawionego wypadków serca... Z Ludką w mieście byłem zupełnie inaczej niż na wsi... byliśmy zawsze grzecznie, aleśmy się tylko przy ludziach widywali... tak, że tylko trzy razy jeździłem z nią konno do Zakretu" [1]. Szczegół ten przywodzi na pamięć scenę 2 z I aktu „Kordyana", gdy bohater poematu wraz z Laurą zsiadają z koni i wchodzą do alei lipowej.

Wspominając o samobójstwie Ludwika Spitznagla i rozmyślając nad wierszami jego, w sztambuchu dziecinnym zapisanemi, które później w „*Godzinie myśli*" dosłownie powtórzył, dodaje: „Jaki posępny dźwięk tych wierszy: czytając je, cały nachylam się w przeszłość i chcę uchem łowić dźwięk przeszłości i słucham zamyślony... I *ona* także jak przeszłość nie wróci".

Gdy jechał do Krzemieńca na wakacye, wyrywał się duszą do Jaszun, gdzie przy stryju, Śniadeckim Janie, była jego ukochana: „Ale przejeżdżając przez Jaszuny, kiedy widziałem drogę do wsi, gdzie mieszkała Ludwika, drogę, którą ona przejeżdżała niedawno, serce moje ścisnęło się, wszystkobym poświęcił, gdyby mnie tylko pozwolono pojechać tą drogą. Ale nie byłem sam, jechałem z Grocholskim; inaczej możeby mnie był Kamieniec nie obaczył"...

Scenę stanowczą w dziejach tej dziecięcej niemal miłości tak Słowacki przedstawił w „Pamiętniku";

„Do Wilna wróciwszy, zachorowałem. Widać, że krew moja rozruszana z trudnością do stanu spokojnego przejść mogła... Olesia (Becu) odwiedziła mnie... Wkrótce mogłem już sam wyjść i poszedłem prosto do Lud... ale miasto zawsze robiło mnie etykietalnym; inaczej z nią się bawiłem niż na wsi, rozmowy były zimniejsze... Wiedziałem, że się mocniej kochać zaczęła w W., który był w Wilnie... Dręczyło mnie to tem bardziej, kiedy Lud. pierwszy

[1]) Miejscowość pod Wilnem, z pięknym parkiem.

raz jednego wieczoru mówiąc do mnie, zamiast Julkiem, jak dotychczas, nazwała mnie panem. Wtenczas zbliżyłem się do Olesi i powiedziałem: proś Lud., żeby mnie jeszcze przez kilka miesięcy nazywała Julkiem, wszak za kilka miesięcy ja odjadę... na zawsze. Prośba moja najprzód była przyjęta, lecz potem zabijające mnie słowo *pan* wróciło... Zacząłem bywać rzadziej. Gdy Teofil (Januszewski) przyjechał do Wilna i mówił mnie, dlaczego tak rzadko bywam u Śn., odpowiedziałem, że zajęty jestem egzaminami. Jakoż egzamina się zbliżały i przepowiadano powszechnie w uniwersytecie, że wezmę praemium.

„W dniu, kiedy przysądzano praemium, zdarzyło się tak, że Lud... z ojcem już na wieś na całe lato odjeżdżała. Zostawiłem więc myśl o praemium, którego przysądzenia pewny byłem, i poszedłem ją pożegnać... Dzień ten był dla mnie dniem piekielnym, zapewne w życiu drugiego takiego nie będzie... Przyszedłem o trzeciej po południu do Śn., zastałem ją razem z innemi osobami. Powiedziałem sobie, że na twarzy żadnego wzruszenia nie okażę. Pamiętam, jak dano lody. Z filiżanką w ręku oboje staliśmy w oknie. Wszyscy byli daleko... Milcząc oboje patrzaliśmy na ulicę... potem kilka słów obojętnych... Chciała mi wmówić, że się zobaczymy... I już zajechały powozy... pocałowałem ją lekko w rękę, powiedziałem: nie zobaczymy się nigdy może i czułem, że zachwiałem się na nogach... Wkrótce odzyskałem zmysły, rozsądek, dumę i nie podałem jej nawet ręki, kiedy wsiadała do kocza. Konie ruszyły, wyszedłem na ulicę i patrzałem za odchodzącym powozem. Widziałem jeszcze voile od jej kapelusza, potem powóz się na chwilę zatrzymał, zapewne dla poprawienia uprzęży... i znowu ruszył dalej... zniknął... i wszystko".

Wracał ponury; po drodze dowiedział się, że praemium uniwersyteckie, którego był pewny, ominęło go, że dostał tylko accessit. Przyszedłszy do domu, zamknął się w pokoju, płakał i przysiągł, że nigdy już do Wilna nie przyjedzie. „Lecz może dobrze — dodaje w Pamiętniku — że to drugie nieszczęście uwagę moję nieco od pierwszego odwróciło. Inaczej... możebym był nie został na świecie, ale myśl, że śmierć moję przypisanoby zawiedzionej nadziei szkolnej, wstrzymała mnie".

W kilka dni potem wyjechał wraz z doktorem Beaupré do Krzemieńca. W Jaszunach zastał tylko Michała Balińskiego (żonatego z siostrą Ludwiki, Zofią) i Jana Śniadeckiego. Juliusza cieszyło, że Śniadecki traktował go już jako człowieka i że u stołu jemu pierwszemu dawano półmiski. Jest-to rzecz mało znacząca — dodaje — ale to tak charakteryzowało moje wyjście z dzieciństwa, że mi się wraziło w pamięć". „Lecz te Jaszuny, ten sam stół — pisze dalej — gdzie miesiącami trzema wprzód przy *niej* siedziałem, teraz pusty i tylko przy nim nas czterech... było to tak smutne... Oglądałem się mimo-

wolnie na ściany; potem wszedłem do pokoju, gdzieśmy z nią tyle razy gadali lub czytali... Usiadłem na tej samej białej sofie. Potem wróciłem do ludzi. Pożegnałem się czule z Janem Śniadeckim i z Balińskim i pojechaliśmy. Każdy idzie w swoję drogę... jak mówi Mickiewicz; moja otwierała się przede mną smutna i pozbawiona wszystkiego".

W pięć lat potem, kiedy „Pamiętnik" swój spisywać zaczął, Słowacki, który — jak sam powiada — żył przez ten czas w świecie poezyi tylko, streścił swoje wrażenia z przeszłości i swój stan w słowach pełnych melancholii:

„Pamiętnik ten tak mi wszystkie obrazy przeszłości wywiódł na pamięć, że zdaje mi się, że *ją* raz drugi porzucam. Obcy, czytając te karty, znajdzie je może zapełnione błahemi wypadkami dzieciństwa, ale dla mnie słowo tam jedno napisane przywodzi na myśl cały obraz: karty te są teraz dla mnie talizmanem chroniącym od rozpaczy, będę je odczytywał i może jeszcze łzy dziecinne powrócą... Lecz myśl o niej jest rozdzierającą... Obłąkana wpadła w czarną melancholią, nikt ją nie przywiązuje do świata... Ona może teraz w ciemnym pokoju z oczyma zwróconemi na jedno miejsce z obłąkaniem szuka nadaremnie obrazów przeszłości [1]). Gdybym mógł tak stanąć przed nią, blady i milczący, przycisnąłbym ją do serca i może mój głos obudziłby w niej jakie milsze wspomnienie. O, gdyby ona wyjechała za granicę... Szedłbym za nią jak cień, jak anioł strzegący ją od nieszczęścia, a jeżeliby chciała, nigdybym się jej nie pokazał... Byłaby zawsze dla mnie jak święty obraz wspomnień.

„Nie, ja skazany jestem żyć już bez uczuć, skazany, abym przez całe życie czekał sławy, która może przyjdzie pierwszego dnia mojej śmierci. Pamiętam, że będąc małem dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz: o Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w mojem życiu. Tak się modliłem; przekonany jestem, że zły duch pochwycił moje przymierze. To co ma być w życiu, już się spełnia... to co ma być po śmierci, być musi... Czuję, że ja wiecznie umrzeć nie mogę. Jestem posągiem Memnona, postawionym na grobie mojej ojczyzny i długo, długo dźwięk mój będzie budził niknących na tej ziemi Polaków i może jeszcze ostatni Polak, co będzie umiał swój język narodowy, obleje łzami moje karty i przedsięweźmie pielgrzymkę do popiołów spoczywających w dalekiej ziemi... *My epitaph shall be my name alone*".

Wydawszy w r. 1832 pierwszy tom poezyj swoich i posyłając kilka ich egzemplarzy matce, nie zapomina dodać: „Mamo moja, choćbyś miała dwa egzem-

[1]) Jest-to alluzya do strasznego smutku, jakiego doświadczała Ludwika Śniadecka po śmierci syna jenerał-gubernatora Korsakowa pod Warną 1828. W synu tym kochała się Ludwika; udała się do Warny i założyła tu szpital na pamiątkę ukochanego.

plarze tylko, to jeden poślij Ludwisi koniecznie". Spodziewał się może, iż Ludwisia odezwie się do niego, ale nie doczekawszy się, sam się do niej zgłosił, o czem tak donosił matce: „Kochana mamo, napisałem do Ludwiki S. Odeślij ten list, moja mamo, ale tak, żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała... o, gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się... tylko co napisałem list ten i dlatego widzisz tu, mamo, przerywane frazesa; pióro rozkołysało się, smutno mi, ale co robić!"... Jeszcze parę razy wspomina o tym liście i powiada, że odpowiedzi chce koniecznie. Nareszcie odpowiedź tak pożądana przyszła. Słowacki opisuje tę okoliczność w liście do matki: „Przynoszą mi list; spojrzałem na kopertę, list był zdaleka, ze stron, gdzie się wychowałem, z czarną pieczątką, na której cyfra L. S. Nie możecie sobie wystawić, jak się przeraziłem, mimowolnie list konwulsyjnie zgniotłem tak, że się pieczątka rozsypała. Wtenczas otworzyłem list okropny. Płakałem z takiem łkaniem jak dawniej, kiedy byłem dzieckiem, bo też list ten nanowo dzieckiem mię zrobił. Smutne nadzwyczaj wrażenie uczyniło na mnie opisanie jednej sceny. Antosia czytała *Mnicha* i *Araba* dla Zosi (Balińskiej); Julka patrzała, jak Ludwisia wyszywała kwiaty do ołtarza na grób matki. Ludwisia spytała Julki, czy pamięta Julka Słowackiego. Powiedziała, że pamięta, że on był blady, miał czarne włosy i bawił się z dziećmi... Świat ten, w którym starsi zapominają, a dzieci pamiętają, *c'est une farce un peu trop lourde*... Te dwa dni były dla mnie prawdziwą szkołą uczuć i smutku, a kiedy wychodziłem z domu, to mnie coś tak korciło wrócić do tych dwu listów (drugi był od matki), jak gdyby czekał na mnie w domu przyjaciel, co zwykł gorzkie, ale zbawienne mówić prawdy. I tak całe dnie były zapełnione odczytywaniem tych dwu listów, że nie przeczytałem słowa z książek interesujących, które leżą na moim stoliku. Te dwa dni tak dalece odepchnęły wszystkie inne, że nie wiem, co o nich mam pisać; posyłam list do Ludwisi; ostatni to będzie — i już dosyć tego"... Gdy matka ciekawa, co też było w liście Ludwiki, prosiła syna o przysłanie go w kopii, Juliusz odpisał: „Długiegoby tu miejsca potrzebował ten list, a nic w nim niema szczególnego. Ciekawy jestem, czy mi drugi raz odpisze i czy mi przyśle miniaturę swoję, o którą ją prosiłem w ostatnim liście. Ile z listu sądzić mogę, nie gniewa się za pamięć moję, owszem gniewa się za *mało pamięci o niej w książkach;* oto są słowa listu: „Miło mi było w mojej cichej samotności przebiegać te odcienie myśli i uczuć znajomej mnie duszy. W tych tworach poetę tylko widać, chował się człowiek, nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam. Żadnej już nie czytam książki, ale poezye pana jak przyjaciela dawnego nie jak książki przyjęłam i tak zostaną u mnie, póki ja jeszcze cierpieć muszę na ziemi".

Krótka ta korespondencya, odżywiająca dawne wspomnienia, zakończyła

się pewnem rozczarowaniem a przynajmniej goryczą, doznaną przez poetę. W listopadzie 1832 r. pisze do matki: „Mamo moja, przysłany mi przez ciebie list Ludwisi przykrość mi zrobił, bo ona do mnie zupełnie inaczej pisała; — szalona! chciałaby być poetyczną istotą a jest śmieszną; smutek ją pewnie nie zabije, zdaje mi się, że się trochę gniewa, że w moich poezyach nic o sobie a zatem o niej nie pisałem; poznała mnie jednak czasem, pisze to sama, a ja się domyślam, że poznać musiała w scenach między Rizzio i Maryą Stuart, zwłaszcza w ostatniej scenie aktu drugiego. Po odebraniu listu do mamy pisanego, żałowałem, żem do niej drugi raz pisał, choć wprawdzie dosyć dumnie... Smutek zdradzający się tylko mimowolnie a nie smutek okazywany łzy wyciska; dowodem tego jest list Ludwisi. Po większej części wszystkie kobiety dobrze grają, ale mężczyźni są szkaradnymi aktorami“... Warto przypomnieć, że w tym czasie została napisaną „*Godzina myśli*“...

Teraz już Ludwika sama zwracać się musiała do poety. Na początku roku 1833, gdy Słowacki był w Genewie, odebrał od niej list „długi, ogromny“, z którego dowiedział się, że dewotką została. „Pisze do mnie — powiada Juliusz — radząc mi się nawrócić; z tej strony niewielki list odniósł skutek; znalazłem w nim jednak wiele uczucia i wiele pokarmu dla mej duszy. Obiecała mi z Odessy, gdzie na wiosnę jechać zamierza, przysłać swój portret; napisz więc jej, kochana mamo, ale nie wyszczególniając powodów, gdzie się ja teraz znajduję, i daj jej mój adres, bo mi pisać zakazała. List ten był wypadkiem w mojem wiejskiem życiu“.

Na tem prawie urywają się wzmianki w listach o Ludwice. Dopytuje się wprawdzie poeta, co się z nią dzieje, czy jedzie do Odessy, czy o przyrzeczeniu swojem pamięta; a gdy z siatką na motyle uwijał się nad jeziorem genewskiem, zaraz nasuwały mu się wspomnienia „Mickun, Wilenki, lasów sosnowych i jeszcze kogoś;“ ale już te przygodne pytania i przypomnienia nie mających cech melancholijnych, jakiemi dawniejsze się odznaczały.

W poematach dłużej o niej pamiętał, a wybierając się w podróż na Wschód, przypomniał sobie w Neapolu Ludwisię i „jarzębinę, co kładła koralowe wianki na jej włosy“ i wołał: „Ludko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!“ W *Beniowskim* (1841 r.) jeszcze poświęca kilka prześlicznych strof rozkosznym wspomnieniom młodości, żegna się z Ludką na zawsze i pożegnać nie może...

Patrzaj, powracam bez serca i sławy
  Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
O nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
  I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! głos mój wśród wichru i wrzawy

Słyszałaś w równej zawsze strojny mierze;
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
  Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
  Które daleka odnosi kraina.
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,
  A więcej kocha ludzi niż przeklina;
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną,
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nade mną trwa. O! ileż razy
  Na skałach i nad morzami bez końca
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy;
  A miłość twoję miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
  Na moich piersiach spał — łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła,
Twa dusza znała to — i przechodziła...
. . . .
Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę
  Wołające mię duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
  I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
  Wyrok stawiący mnie między stracone.
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne —
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
  Martwy odemknie ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz do zbielałej róży
  Podobna, zasnąć. — Dosyć!... Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży.
  Róże uwiędły, czara wychylona
I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa...
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

Pisząc atoli „Podróż do ziemi Świętej z Neapolu“ nie pominął sposobności do szyderskiej wzmianki o poszukiwaniu przez Ludwikę ciała zabitego pod Warną Korsakowa:

A niech wie każda poetyczna Laura,
  Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura

W starożytności zwała się Leukadą,
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę, wsławioną biednej Safo skokiem.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę bardzo podobną do greckiej;
Ta się nieszczęściem kochała w .....
A M..... zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“
— „Jakie?“ rzekł gruby emir bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*...

„Wróćcie mi, wróćcie!“ i znowu zamilka,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę.

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednej strunie cały płaczu kwartet...
Ale powróćmy do naszej bogini:
Chciała z rozpaczy umrzeć *broken-hearted*;[1])
Więc wiodła ciągle z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skało Leukady, tykająca nieba!
Śmiej się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigułek z chleba!
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą...
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.

. . . .

Te same gwiazdy i ta sama skała,

---

[1]) *broken-hearted* = z sercem rozdartem.

To samo morze! Lecz gdzież na tej skale
Postać kochanki pogardzonej biała
Jak drugi księżyc? gdzie?...

Chwilowy ten wybuch szyderstwa trwał krótko. Wspomnienie pierwszej miłości wciąż się odnawiało i oto w roku 1842 zapisuje w liście do matki poetycki sen o niej: „Dziękuję ci, droga, za wiadomość o Ludce. Imię to ma dla mnie dotąd czar dziwny. Niedawno miałem o niej sen śliczny: zdawało mi się, żeśmy się spotkali u stóp wielkich, olbrzymich schodów, w przysionku jakiegoś pałacu. Wiedziałem, że ją tam spotkam; zebrawszy więc całą moc i energię, przystępowałem do niej i spojrzawszy na twarz jej, niestety już zmienioną, założyłem ręce i chciałem do niej mówić. Ale zaledwie pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z serca płacz gwałtowny i padłem na schody, jak Dante przed Franczeską. Wtenczas ona, stojąc nade mną z litością, ręką zdjęła ze swej twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmieniła, i piękniejsza niż dawniej, przez kilka chwil patrzyła na mnie. Potem zaczęła iść po schodach zwolna, i słyszałem echo jej chodu coraz wyżej niknące, aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten giest, którym ona z twarzy swojej zdjęła odmianę całą lat i smutków, był zadziwiającej piękności. Tak sen jest czasem cudownym malarzem i moralistą“...

Wspomnienia wszakże nie stawały bynajmniej na zawadzie wrażeniom chwili bieżącej, która zawsze nastręczała Słowackiemu możność robienia sercowych podbojów.

Dnia 21 lutego 1832 r., Juliusz odebrawszy od matki 3000 franków, postanowił wydać pierwsze tomy poezyj swoich; udał się więc do drukarni Pinard'ów, która już poprzednio drukowała pisma Mickiewicza i innych Polaków. „Zastałem tam — pisze do matki — bardzo ładną pannę Pinard, której narzeczony zawiaduje drukarnią; ten narzeczony był bardzo grzecznym dla mnie. Ułożyłem się o druk: dwa tomy będą kosztować nie tak wiele, jakem się spodziewał; potem zostałem z panną Pinard i z tą długo gadaliśmy; biedny narzeczony musi panienki słuchać, musiał *ze łzami w oczach* na obiad mię zaprosić; pewny jestem, iż mnie na niczem nie oszukają. Chodźko (Leonard) mówił mi, iż ode mnie o trzecią część biorą taniej, niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze się poznawać z panienkami, dobrze się zostać przy kominku i o czem innem niż o interesach pogadać“.

Oprócz tej narzeczonej były jeszcze dwie siostry, które w marcu zaprosiły Juliusza na obiad. „Zastałem tam Chodźkę; średnia z panien nazywa się Kora, śliczna, zupełnie taka, jak sobie wystawiamy Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczę-

śliwy więcej daleko podobałem się pannie Pinard najstarszej, która coś na sawantkę zakrawa, a ponieważ mam dobre uszy, podsłuchałem jej rozmowę z Chodźką; mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem, a on jej na to odpowiedział: *mais, les Polonais ne sont pas bêtes*. Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi... Po obiedzie zostałem sam z pannami i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypominały mi się ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajutrz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem. Po obiedzie a raczej po wieczorze u panien, poszedłem na wieczór do księżnej Czartoryskiej. Jaki kontrast! tak mi było nudno! Nic dziw! nie było tu czarnych, wymownych ocząt panny Kory, tylko królewska niemal powaga“.

W kwietniu wybuchła w Paryżu cholera. W zakładzie panien Pinard umarł chłopak drukarski; kiedy ten nieszczęśliwy konał, kiedy nikt nie ośmielił się dotknąć chorego, Kora sama otwierała mu usta i dawała lekarstwo. „Gdym się o tem dowiedział — pisze Słowacki — chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i pocałować; szczęściem, że rozwaga przyszła mi w porę“.

Od tej chwili jest prawie codziennym gościem u panien Pinard i bardzo często o nich w listach wspomina. Chociaż druk poezyj już się skończył, bywać nie przestał, zaczął owszem uczyć Korę po polsku: „Dziwne prawdziwie moje lekcye — pisze do matki. — Starsza siostra bardzo z tego kontenta; przypominam sobie, że raz, kiedy jej mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny bardzo się kształcą; chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała; bardzo dobrze, zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób. Panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem; dziwna dziewczyna; mówiłem wam, że Hiszpanki ma krój“.

W maju, czy w czerwcu nastąpiła pewnego rodzaju katastrofa, o której tak opowiada Słowacki: „Gniewasz się na mnie, kochana mamo, że nic o pannie Korze nic piszę; milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał; ale wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się wam wydam. *Przez grzeczność* kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham: ona mi się także przyznała, że mnie kocha, a wtedy zapytałem ją, co zrobi, jak ją kochać przestanę; odpowiedziała mi, że się otruje albo utopi, a z tej odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jej, że się nie zabije, ani nie utopi, chociaż ją kochać przestanę; więc zacząłem kaprysić, przyprowadzałem ją do gniewu, dawałem uczuć, że jeszcze dziecko. Nie wiem z jakiej przyczyny, ale wpadła w gorączkę, w gorączce miała delirium, a z tego siostry musiały się tajemnicy jej serca dowiedzieć.

Widząc, że nadto zły byłem w mojem postępowaniu, postanowiłem. żeby mnie zapomniała; powiedziałem jej to i przez miesiąc nie poszedłem do nich".

Zerwany stosunek zawiązał się nanowo w lipcu. Słowacki spotkał Korę wraz z siostrami w ogrodzie tuileryjskim; ukłonił się i chciał przejść, ale zamężna już siostra, pani Barateau, posłała kuzyna, aby go sprowadził. Wrócił więc i rozmawiał z wesołą twarzą przez godzinę. „Panna Kora czerwieniła się i bladła; potem damy powstały; musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most Królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała siostry, z którego to mostu *la duchesse de Guiche* rzuciła się w Sekwanę? Uczułem, że to zapomnienie było delikatnem przypomnieniem mojej niestałości, i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która znała kiedyś *duchesse de Guiche,* zaczęła długo na pytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie; siadam czasem przy nich na kwadrans".

Ostatnie dni lipca obfitowały w wyraźne dowody poufałego między obojgiem stosunku. 20 lipca zapisuje poeta w „Pamiętniku" swoim: „Wracam z wieczoru muzykalnego od panien Pinard; bardzo mnie tam dobrze wszyscy uważają; widziałem, że będące tam panienki patrzały na mnie z ciekawością tak, jakby już im kto o mnie uprzednio gadał. Najwięcej rozmawiałem z Korą; siedzieliśmy przez największą część wieczoru trochę opodal od koła, bliżej fortepianu. W ciągu jednej aryi obróciła się do mnie i powiedziała: Przyjdź we czwartek. — Dlaczego we czwartek? zapytałem ciekawie... Zarumieniła się i potem dodała: będę samą... Nelly jedzie na lekcyą śpiewania... a potem zapytała: czy przyjdziesz? Tak mnie zdziwiło to rendez-vous, na które się młoda dziewczynka odważyła, że odpowiedziałem jej obojętnie: nie wiem; potem przyrzekłem przyjść. Biedna dziewczynka nie chciała mnie pocałować, kiedym był raz ostatni, i teraz tego żałuje... Widzę, że o jej miłości wszyscy domowi i nawet obcy wiedzą". 25 znów lipca czytamy w tymże „Pamiętniku:" „W ogrodzie spotkałem panny Pinard, siadłem przy nich, ale daleko od Kory. Potem przyszła jakaś dama z bratem i usiadła. Słyszałem, jak panna Anais powiedziała do niej: *c'est un poète polonais, très-célèbre, qui est asssis derrière votre chaise* i na te słowa dama odwróciła się spojrzeć na mnie, a ja umyślnie odwróciłem oczy, żeby się dobrze dziwnemu zwierzowi przypatrzyć mogła. Potem podałem rękę pannie Anais i przeszliśmy przez ogród; potem odprowadziłem je do domu i wszedłem na chwilę do nich. Pan Barateau wrócił był właśnie z jakiegoś wesela i opowiadał z przycinkami złośliwemi cały obraz 40-letniego doktora żeniącego się z 19-letnią panną. Kora zdawała się go słuchać z uwagą; i gryzłem wargi, że tak mało na mnie siedzącego przy niej

uważała. Wtem słyszę ją cicho mówiącą: *Ne venez pas demain.* — *Non, je ne viendrai pas* — odpowiedziałem i potem usłyszałem ją mówiącą znów cicho: *Venez vendredi soir.* Schyliłem głowę... zaśmiałem się... Potem zaczęła wypytywać się pana Barateau o różne szczegóły i kiedy ten jej odpowiadał, rzekła znów cicho do mnie: *L'hiver vous viendrez aveç nous aux bals, n'est ce pas?* — *Qu'est ce que j'y ferai?* — odpowiedziałem — *je ne danse pas la contredanse.* — *Q'est ce que cela fait?*"

Nie wadzi zanotować, że tego samego dnia, kiedy Słowacki napisał pierwszy swój list do Ludwisi, i kiedy mu było smutno, donosił matce: „Pójdę do Kory; może kiedy zacznie mi patrzyć w oczy i uśmiechać się, może ten smutek rozproszy, choć dalibóg nie kocham jej". To zapieranie się wszakże przed samym sobą dowodziło, że serce jego doznawało wzruszeń, które ukołysać pragnął. W sierpniu, kiedy oczekiwał odpowiedzi od Ludki, chodził z Korą na przechadzki „przy księżycu pod pomarańczowemi drzewami Tuilleries ogrodu", dawał jej wiersze do sztambucha, które panienkę zachwycały... We wrześniu pisał: „Oszalałem; nowa ta Fornarina oczarowała mnie"... Ale już w październiku donosi matce: „Z Korą rozstaliśmy się; nie gada do mnie; nie kochałem jej; spostrzegła to i widać, że dumna dziewczyna, ale widzę ją czasami, a zawsze coraz bardziej blada. Szczęście, że zima nadchodzi, będzie więc tańcować a ma lat tylko 16 i ładna, więc zapomni". Ani on jednak, ani ona nie zapomnieli. Juliusz znowu pogodziwszy się zupełnie ze swoją „młodą dziewczynką" spotykał się z nią w umówionych miejscach, lubo niezawsze ją zastawał, popadając czasami w kłopot. Oto jedna z mniej pomyślnych przygód: „Obiecałem — pisze poeta — że pewnej niedzieli przyjdę do kościoła, do którego ona sama ze służącą chodzi. W niedzielę więc bardzo rano wchodzę do jednego z dalekich kościołów, widzę zdaleka jej ubiór, postać, zbliżam się; ona się odwraca — i poznaję w niej starszą siostrę; musiała zrozumieć, o co rzecz chodzi, gdyż pośród rozmowy głośno zapytałem niegdyś mej belli, czy chodzi do kościoła, a ta mi z najskromniejszą minką powiedziała, do którego i o której godzinie. Widzę więc, że starszej siostrze próżno oczy mydlić; nie przekonałem jej nawet, mówiąc, że od pewnego czasu zwiedzam kościoły, aby się przypatrzyć obrazom"... W grudniu, wyjeżdżając z Paryża, poszedł Juliusz pożegnać się z pannami: „Kora płakała; z drugiego pokoju słychać było łkanie, a kiedy weszła do salonu, czerwone tak miała oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przedemną, że ma mocny katar mózgowy, nad czem bardzo ubolewałem".

Poeta, który lubił „kruszyć serca i patrzyć, jak cierpią", z przyjemnością zapisywał w listach do matki wieści, jakie odbierał o Korze. W lutym 1833 notował: „Doniesiono mi z Paryża, że mię Kora zawsze wspomina. Druk mego

Lambro przypomni jej, jak niegdyś drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny; będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie przed oczyma“... A w roku 1835: „Otrzymałem list z Paryża, z którego zaczynam wierzyć w cuda, a cudem jest, że panna Kora pamięta o mnie. Trzy blizko lat pamięci! O! o! o! — z takim jękiem konają osoby w moich tragedyach...“

I znowuż kwiaty tych wspomnień zraszał wodą świeżych wrażeń, bo „glina, z której go Bóg ulepił, nabrała jakiegoś mągnetycznego pociągu, który wiązał do niego serca panien“. Pobyt w Szwajcaryi był urozmaicony wzruszeniami, które poeta poczytywał jedynie za „ułamki, okruszyny uczuć,“ ale które w sercu Elizy a zwłaszcza 30-letniej Eglantyny Patteg bardzo silne zostawiły ślady. Panny otaczały go staraniami i troskliwością, pochlebiały mu, interesowały się wszystkiem, czem on się choć na chwilę zajął, robiły mu miłe niespodzianki i milsze jeszcze wyznania, smuciły się, tęskniły, płakały. Poeta przyjmował to wszystko jako hołd sobie należny po królewsku, obojętnie, czasami darząc uśmiechem, czasami szyderstwem, niekiedy melancholicznem usposobieniem; — i pisał do matki: „w moich uczuciach nic niema wielkiego oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkiemi zmysłami“.

Serdecznem, szczerem, pełnem siostrzanej troskliwości uczuciem darzyła go Eglantyna, córka gospodyni pensyonu, w którym poeta nasz podczas pobytu w Genewie, przebył półtrzecia roku. Pensyon ten, dawniej w samem mieście będący, za czasów Słowackiego, mieścił się o kwadrans drogi od Genewy, w wiosce Paquis. Dom trzypiętrowy stał w ogrodzie, a raczej parku z jodeł głównie i sosen złożonym. Z okien widać było jezioro genewskie. Pokoik Juliusza „bardo ładny, zupełnie wiejski, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe“, mieścił w sobie ogromny fotel aksamitny, w którym gdy zasiadł poeta, to go nie było widać. Okna „jak zwyczajnie w Szwajcaryi“ z małemi szybami; z nich dostrzegało się dwa świerki, sosnę, dąb stary, wiele krzewów, murawę zieloną i klomb z róż.

Właścicielki pensyonatu wywarły na Juliusza miłe wrażenie. „Pani Patteg — są jego słowa — jest to stara kobieta przyjemnej twarzy i niezmiernie dobra. Przeczuwam, że gdybym kiedy zachorował, w jej domu nie byłbym jak obcy. Córka jej, panna Eglantyna Patteg, wszystkiem w domu się trudni. Jest to panna mająca około lat 30; ładną być dawniej musiała, teraz pokazują się w niej wady starej panny. Z tem wszystkiem bardzo przyjemna w konwersacyi i dobrze gada o wszystkich znajomych... Najprzyjemniejsza część dnia dla mnie jest ta, którą przepędzam w domu. Jestem zupełnie na wsi; z rana po

śniadaniu wychodzę z panną Eglantyną do ogrodu. Czas tak mamy śliczny, że dzisiaj (10 lutego) chodząc w surducie, spotniałem. Ogród zawsze zielony, pełny sosen i jodeł, niebo błękitne, a na horyzoncie wysoko wznosi się Mont Blanc śnieżny, lekko jak chmura skreślony, czasem wiankiem białej chmury okryty. Chodząc tak z rana, często pannie Eglantynie opowiadam różne wypadki mojego życia i zbieramy fijołki, które się już pokazują... Kilka dni temu pani Patteg umyślnie dla mnie dała wieczór i kilku Polaków zaprosiła i kilka było dam ładnych. Bawiłem towarzystwo, jak mogłem, nauczyłem mazura, z trudnością przypomniałem sobie z dziesiątek figur, i bardzo były panny kontente. Potem ustawiłem wszystkie do angleza i znów im różne figle pokazywałem. Kręciłem wszystkich w długiego gęsiora i tak się rozhasałem, żem im wszystkie tańce pokazał, aż do kozaka... W głębi duszy jednak czułem nadzwyczajny smutek: wspomnienia tłumem cisnęły się do głowy i napełniały puste serce... Już teraz rozmowa moja łatwiejsza, dosyć mię w salonie w dobrem świetle wystawia. Pomaga mi w tem rodzaj małej sławy, która rzuca jakiś urok na moje rozmowy, a przynajmniej dobrze ludzi o mnie uprzedza i często wybaczy mi milczenie nawet, które zgubiłoby w opinii innych; i sam nie czując się w potrzebie ciągłego gadania, gadam więcej, bo nie doświadczam żadnego przymusu".

W domu p. Patteg czuł się jakby w kole rodzinnem; dogadzano mu, starano się go zabawić, pieszczono. Rozmowa o wspólnych znajomych, którzy dawniej u p. Patteg mieszkali (Grocholski, Kościelski, Ilkiewicz), a którzy dobrze tu byli wspominani, umilała poecie oddalenie od kraju, przenosząc go do niego na skrzydłach wyobraźni i serdecznej pamięci. Panna Eglantyna, poznawszy głębokie przywiązanie Juliusza do matki, często mu o niej mówiła w sposób rozrzewniający. Kiedy go list jaki zasmucił, jaka zła wiadomość zgryzła, ona w twarzy jego umiała wyczytać smutek; on musiał się jej zawsze wyspowiadać, a po spowiedzi takiej lżej mu było. To też nabierał nawet przyzwyczajeń pieszczonego dziecka. Sam siebie nazwał „Lulli", mówiąc o sobie w 3-ej osobie z pochwałą lub też z ubolewaniem: *bon Lulli, pauvre Lulli*, i ta nazwa się przyjęła; dzieci, a nawet panna Eglantyna tak nań wołali. Przypisywała się też panna w listach Juliusza do matki i odbierała od niej odpowiedzi. Juliusz miał też dla niej, jeżeli nie miłość, to szczerą wdzięczność i jej wpływowi chętnie ulegał. Gdy się na dłuższy czas oddaliła, brak mu jej było, tęsknił po niej. Pisywali wtedy do siebie długie listy w tonie uczuciowym i tak skracali sobie czas oddalenia. Raz powiedziała, że gdyby Juliusz umarł, ona-by serce jego w urnie srebrnej piechotą do kraju poniosła...

W czasie wyjazdu Eglantyny do Lyonu na wiosnę r. 1833 miał przynaj-

mniej niejakie jej zastępstwo w panience „stokroć ładniejszej“, w Elizie, która często zachodziła do pensyonu w ciągu nieobecności Eglantyny. „Eliza — pisał poeta do matki — jest to osóbka mała; ma czarne oczy, pełne iskier, wiele dowcipu i miłości, w mówieniu wiele prostoty i ma tak około 24 lat. Dawniej bywała u nas rzadko, tylko na wieczorach; wtenczas podobała mi się bardzo, ubierałem ją zawsze, gdy wychodziła, a dlatego ją ubierałem, że podobał mi się jej kapelusz. Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych, z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się *calèche* i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz ten panny Elizy, chociaż do wszystkich podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką, spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży, rozkwitłej na oknie gotyckiem; więc dlatego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała. Matka jej jest wdową, ma córkę przy sobie i syna ładnego w Paryżu. Życie jej matki jest teraz bardzo piękne. Gdy widzi gdzie dom jaki osierocony śmiercią, dom, od którego wszyscy weseli odbiegli, tam najczęściej z córką przepędza wieczory, u starych, u chorych. Eliza musiała nauczyć się bostona, aby grywać w takich domach ze starcami i z nieszczęśliwymi; dlatego twarz jej nosi wyraz dobroci i spokojności. Często chodząc z Elizą po ogrodzie, obrywamy po listku margerytki. Raz gdy nie przyszła przez dni cztery, chciałem jej dać do zrozumienia, że mi tęskno bez niej; więc wstałem rano, poszedłem do miasta, kupiłem śliczne dwa bukiety kwiatów; wróciwszy do domu, ułożyłem je, naśladując twój gust, mamo, w układaniu bukietów, a potem w ogrodzie zerwałem dwie margerytki małe i wśród ogromnego bukietu włożyłem. Bukiet ten posłałem Elizie, ale od pani Patteg. Nie zawiodłem się; przypomnienie było skuteczne; przyszła z mamą wieczorem i mówiła mi, że złą była na margerytki naszego ogrodu, że jej nieprzychylny dały wyrok. Widzisz, mamo, że znalazła te dwa małe kwiatki, choć były w tysiącu ukryte. Ja zawsze mnóstwo mam po niej słów cichych, łagodnych i smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mię kocha? Bo mówiła mi, że była smutna przez cztery dni, a ja nie pytałem, dlaczego. Gdy chciałem wiedzieć, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: Tak mi było smutno, że położyłam się o godzine 10 i czytałam. — Jaką książkę? zapytałem. — Nowy Testament; kiedy jestem smutna, nic innego czytać nie mogę — i mówiła dalej: Dziś rano, obudziwszy się, zdziwiłam się, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy. — W tym dniu odebrała bukiet i chodziliśmy wieczorem po ogrodzie; kochana mamo, zdaje mi się, że powiesz na nią: dobra dziewczynka“.

Lecz tej „dobrej dziewczynki“ nie było widocznie podczas drugiego wy-

jazdu Eglantyny na czas dłuższy do Paryża. To też poeta więcej niż kiedykolwiek odczuł brak Eglantyny i w liście do matki napisał o niej ustęp, najbardziej zapewne odczuty, jaki w stosunku do tej panny w korespondencyi jego znajdujemy: „Nie uwierzysz, mamo, jak smutny mi był ranek jej wyjazdu. Miała odjechać o godzinie 4-ej zrana, przyrzekłem więc, że ją o 3-ej obudzę: jakoż nie położyłem się spać i czytałem leżąc na kanapie do godziny 3-ej. Srebrne jakieś światło porankowe oblało drzewa i murawy ogrodu; przeszedłem przez pokoje i stukaniem do jej drzwi obudziłem ją. Ty wiesz, mamo, jaką posępność ma w sobie chwila odjazdu. Ubrała się; wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród; wschód słońca blaskiem złocił się; ptaszki śpiewały i zimno poranku przejmowało jakiemś dziwnem, elektrycznem drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórku, na którym staliśmy, czekając powozu. Z tego wzgórka widać było całe błękitne jezioro, za niem śnieżne góry, nad któremi wstawał ze snu biały Mont Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię; ja byłem takim, jakim mię często mama widziałaś, z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia, każda chwila smutku teraz jest jakoby zwierciadłem, w którem całe moje smutne życie widzę w zmieszanych kolorach. Zaszedł wreszcie powóz; wsiadła do niego; a ja zostałem sam jeden, jak słup na zielonej murawie, patrząc na ozłocone niebo. W kilka chwil potem wzeszło słońce; naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się, przelewały, aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie 5-ej wróciłem do siebie, pozamykałem okiennice i dziwnie posępnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą przedtem czytałem i które porzuciłem, idąc zbudzić pannę Eglantynę. Zdaje mi się, mamo kochana, że ty pojmiesz, co było smutnego w tym powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin. Po wyjeździe Eglantyny smutno mi było bardzo. Ona miała nademną jakąś panującą władzę siostry“...

I znowuż „długie i miłe listy“ Eglantyny urozmaicały mu trochę jednostajność życia. W godzinę nadejścia poczty oczekiwał czegoś, gniewał się, gdy pocztylion z pustemi rękoma przeszedł koło domu i nadzieją jutra się cieszył. Nie przyznawał wprawdzie, ażeby te listy przynosiły mu jakieś „nadzwyczajne szczęście“; twierdził, że każdego z nich oczekiwał tylko jak „małej nowości“ a przecież gdy po pięciotygodniowem oddaleniu miała wrócić, wyjechał na jej spotkanie o pół mili do wioski, w której mieszkała znajoma jego dawniejsza panna Lina Morin, i nie chciał początkowo jej odwiedzić. Kazał woźnicy schronić się do oberży a sam siadłszy na trawie zapalił cygaro i rozłożył dzieło Herszla o naukach przyrodniczych. „Niestety! — powiada — ledwom zaczął czytać, los czy bies sprowadził w stronę, gdzie byłem, żonę i córkę doktora.

Musiałem się różnemi sposobami wykręcać z zarzutu, dlaczego będąc w ich wiosce, wolałem dzieło o fizyce niż ich towarzystwo, i nakoniec ze spuszczoną głową udałem się z nimi do domu. W drodze spostrzegłem żeńców zbierających zboże, to mi tak mój kraj przypomniało, że mi się łzy zakręciły w oczach; rzadko tu bowiem widać zbierających zboże; wszędzie winnice okrywają wzgórki a pejzaże tracą na tem bardzo wiele; nic nudniejszego dla wzroku jak winnice... Widok żeńców przypomniał mi jakiś tłum obrazów... żeńce, chociaż porządniej trochę ubrani, podobni byli naszym, toż samo mieli zajęcie, takież kapelusze słomiane; ekonoma tylko strzegącego nie było, ani beczki z piwem ze dworu, ani dworskiego panicza na koniku... Wkrótce potem nadjechała panna Eglantyna i galopem odwiozłem ją do domu matce... Przywiozła mi z Paryża ładny kryształowy kielich; moda tu jest bowiem, aby każdy miał przy stole swoję ulubioną i różniącą się od innych szklankę; ja wolę jednak ten kielich napełniony kwiatami trzymać w moim pokoju, bo lubię kwiaty tak jak ty, mamo; tak jak ty jeszcze powziąłem zwyczaj długiego chodzenia w kółko po pokoju; śmieją się nieraz domowi, widząc mię krążącego jak gwiazdę około marmurowego stołu. Jedni myślą, że agitacyi używam dla zdrowia, inni, że wiersze układam i komponuję, a to jest tylko familijny mój nałóg. Tak chodząc, najczęściej nie myślę o niczem, dogadzam tylko niespokojności nerwów moich".

Pisząc to, znał już Słowacki inną panienkę, która ważniejsze od Eglantyny miała zająć w sercu jego miejsce i natchnąć prześlicznym poematem „W Szwajcaryi". Była to Marya Wodzińska [1]).

Matka Maryi osiadła w Genewie r. 1832 i przemieszkała tu blizko trzy lata, w towarzystwie trzech synów i trzech córek, z których najstarszą była właśnie Marya, urodzona r. 1819. Zajmowała ona dom przy ulicy Beauregard i w salonie swoim niebawem zgromadziła zarówno towarzystwo polskie, jak i przedniejsze rodziny genewskie. Bywali tu: Klaudyna z Działyńskich Potocka, pani z Chodkiewiczów Ossolińska, generał Gruszewski, bracia Miączyńscy, książę Ludwik Napoleon, małomówny, nadzwyczaj uprzejmy i namiętnie tańczący, a dalej hr. de Montigny, który dwukrotnie o rękę Maryi się oświadczał. Marya, chociaż w r. 1833 piętnasty rok dopiero liczyła, uważaną była za pannę dorosłą, brała udział w zabawach, ale nauk i sztuk zwłaszcza malarstwa i muzyki nie zaniedbywała. T. Field udzielał jej lekcyj muzyki, Basclop uczył an-

[1]). Zob. artykuł dr. Henryka Biegeleisena: „Juliusz Słowacki i Marya Wodzińska" w Bibl. Warsz. 1893, IV, 201—220. Znajduje się tu list samej Maryi (z męża Orpiszewskiej) i jej kuzyna Antoniego Wodzińskiego.

gielszczyzny: prócz tego przy młodszych siostrach były dwie guwernantki, panna Wagner Angielka odznaczająca się niezwykłą pięknością, i panna Mallet Francuzka. Marya, jak sama w starości opowiada, była obarczona lekcyami i nie miała czasu zastanawiać się nad życiem, ani tembardziej nie myślała o wywieraniu wpływu jakiegokolwiek. Wzrostu słusznego, smukłej kibici, miała cerę matowo-bladą, oczy czarne, „pełne ognia i powabu zarazem", uśmiech „czarujący", głos nadzwyczaj dźwięczny, włosy krucze spadające „do samych jej stóp". Patrząc na nią, zapominano „o nieklasyczności rysów, o linii nosa zbyt ostro zarysowanej". Całą jej postać otaczał „jakiś niepojęty czar". Zachwycała się wszystkiem, co piękne; grą na fortepianie „entuzyazmowała" słuchaczy.

Z domem Wodzińskich zaznajomił się nasz poeta w listopadzie r. 1833. Pierwsze wrażenie miało idealny, czysto duchowy charakter. Juliusz uznał pannę Maryę za „bardzo brzydką", ale „śliczna" jej gra na fortepianie podobała mu się bardzo. Pannie wydał się Juliusz „troszkę śmiesznym i zarozumiałym, że chciał się mierzyć z Mickiewiczem". Otoczenie panny widziało w nim pretensyonalność, zmienność humoru, to wymuszoność, to znów ckliwość, słowem brak naturalności.

Nie zawiązały się tedy narazie między poetą a domem Wodzińskich ściślejsze stosunki. Bywał u nich kiedy niekiedy, zapraszano go na większe wieczory i na tem znajomość się ograniczała. Przez ośm miesięcy od czasu przedstawienia się Słowacki zaledwie raz jeden wspomniał w listach do matki swoję bytność u Wodzińskich i to dla doniesienia jej, że w domu tym chciano koniecznie mieć na stole babkę, ale zrobić ciasta nie umiano. Przez zimę 1833/4 siedział przeważnie w domu „jak wilk w norze". Dopiero wspólna wycieczka w góry Szwajcaryi, trzy tygodnie trwająca, sprowadziła bliższe stosunki, lubo i wycieczki tej nie można bynajmniej wyobrażać sobie w tym duchu, w jakim ją maluje poemat: „W Szwajcaryi". Słowacki rozmarzył się zapewne już wtedy względem panny nieładnej, ale ta pozostała jak dotąd obojętna, a jego strój podróżny wywołał w niej uczucie śmieszności.

W każdym razie wycieczka owa jest jednym z ważniejszych wypadków w dziejach serca i myśli poety, wpłynęła ona, jak powiadał, na wewnętrznego w nim anioła, odmłodziła jego duszę. Warto więc zapoznać się z nią wedle jego własnego opowiadania w liście do matki z d. 21 sierpnia 1834 roku.

„Pani Wodzińska, wyjeżdżając z familią, namówiła mię, abym jej towarzyszył. Nie mogłem oprzeć się pokusie. Kochane gospodynie moje (tj. pani i panna Patteg) przydały do mojej wypróżnionej kasy potrzebne pieniądze, i wziąwszy mantelzak na plecy, ostatniego dnia zeszłego miesiąca siadłem na statek parowy i ruszyłem przez błękitne jezioro.

„Abyś mię sobie, mamo, dobrze wystawić mogła, muszę ci opisać mój fantastyczny ubiór; miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem czy też włóczką, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć nizki, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką; do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij wyższy ode mnie, biały z żelaznym kolcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano lat 15 wieku.

„Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki (panna Maryanna — młoda, ale nieładna, dosyć jednak miła i mnóstwo mająca talentów; druga córka — jeszcze dziecko); przy pannach była guwernantka Francuzka, panna Mallet, trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką; — trzech synów pani Wodzińskiej, jeszcze jeden młody Żmudzin i ja[1]). Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne; owszem różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonią. Najmłodszy z synów p. Wodzińskiej był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak.

„Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Paquis — i Paquis zniknęło. Koleją wysnuwały się z jeziora: Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, potem Lausanne, za Lausanne — Vevay, z drugiej zaś strony skały Meilleries sławne, skąd kochanek Heloizy najpiękniejsze listy pisał. Przepłynęliśmy koło sławnego zamku Chillon i nakoniec wylądowaliśmy w Villeneuve. Tam najęty powóz zawiózł nas do Bec, miasteczka sławnego solną fabryką i minami. Nazajutrz zwiedzaliśmy miny solne; pół mili prawie szliśmy podziemnemi drogami, niosąc w rękach lampy żelazne. Było w tej podziemnej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyą, zwłaszcza prochem rozsadzanie skały...

„Trzeciego dnia naszej podróży wędrowaliśmy do klasztoru Św. Bernarda. Wszyscy mężczyzni szliśmy pieszo dzień cały drogą przez Napoleona wykutą; z obu stron ogromne góry; rzeka płynie przepaścią pod nogami: chaty nędzne, ludzie ubodzy. O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb biednego człowieka. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz stanowili cały orszak, a śpiew

[1]) P. Antoni Wodziński wymienia jeszcze: drugą guwernantkę, pana Basclop, nieodstępnego jenerała Gruszewskiego i braci Miączyńskich, ale Żmudzina żadnego nie wzmiankuje.

ogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Mamo moja. jak mi ludzie wydawali się mrówkami! O godzinie 5-ej wieczorem wjechałem na mule w krainę śniegów, potem między skałami w ciemnem mglistem powietrzu ukazał się klasztor. Ksiądz gwardyan w czarnym habicie stał na ganku; pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty, za klasztorem błyszczało oprawione w skalistym brzegu czarno ołowianego koloru jezioro. Klasztor ten, gdyby nie był przez mnichów zamieszkały, byłby prawdziwie zachwycający. Niestety! ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania. Ksiądz gwardyan świecki i światowy uśmiecha się do dam, a ujęcie jego nie źle-by się wydawało nawet na dworze Ludwika XIV. Spaliśmy w celach zimnych, jak lodownie. Refektarz wygląda jak salon światowy, a siedzące towarzystwo koło kominka śmiechem, żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smutną. Blizko klasztoru stoi mały domek, gdzie składają się znalezione w śniegach trupy. Okropny to widok. W różnych pozycyach zmarli siedzą, leżą, jedni do szkieletów podobni, drudzy czarną skórą powleczeni..... okropny widok, mamo moja. Stamtąd weszliśmy znowu w uśmiechającą się krainę wiosny. Po dwóch dniach podróży stanęliśmy u stóp góry Gemmi. Trzy godziny jechać na nią trzeba na mułach a tak jest sterczącą, że nie do góry, lecz do muru gładkiego jest podobna; droga w zygzak wykuta ciągle wisi nad przepaścią. Kto na tę górę nie wszedł, to stojąc u jej stóp wierzyć nie może, aby wejść można było. Na zielonej równinie pod tą górą leży miasteczko sławne wodami Louèche; żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które poniżej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach...

„I znowu po trzech godzinach drogi stąpaliśmy po gołych skałach, gdzieniegdzie śniegami pokrytych... I znów nic nie widać było tylko skały, śnieg, czarne jezioro i niebo. Po zejściu z tej góry na drugiej stronie znaleźliśmy jeszcze piękniejszą okolicę, jeszcze piękniejsze drzewa i kwiaty i kaskady srebrne, z gór spadające i prześliczne szalety.

„Po trudach pierwszej podróży przyjemnie nam było siąść do łódki i przepłynąć jeziora Thun. Brienz, do sławnej Giessbach; patrząc na nią, przychodziła mi na myśl Zofijówka, a potem łańcuch myśli i rozciągał się dalej do Wierzchówki [1], byłem w Julinkach i chciałem głośno wołać zmarłych po imieniu. Po odwiedzeniu kaskady Giessbach, damy nasze zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach rzuciły nas i pojechały inną drogą do Luzerny; my zaś, chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli

[1]) Wieś na Podolu, znana Słowackiemu z czasów młodocianych.

z odzyskanej wolności, poszliśmy pieszo przez góry; tu dopiero wojaż nasz zachwycającemi nas zaczął karmić dolinami; Lauterbrunn i Gründelwald nic podobnego nie mogą mieć w naturze. W Lauterbrunn spada ze skał wysoka na osiemset stóp kaskada Staubbach; woda jej nigdzie się prawie o skały nie odbija, ale przez sam lot z takiej wysokości zamienia się na wstęgę mgły białej i leci na dolinę. Góra Jungfrau, śniegiem pokryta, stoi jak olbrzym biały. Druga dolina Gründelwald jeszcze piękniejsza, bo do niej wpływają dwie rzeki lodów; lody te aż do jej głębi dochodzą i promienna ich białość ślicznie odbija wpośród muraw, drzew i kwiatów. Nigdy mi się nic podobnego nie śniło; tam widziałem z gór spadające awalansze. Huk podobny do pioruna rozlega się po dolinie, ile razy bryła lodu oderwie się z czoła gór. Matko moja, wystaw sobie, że najpiękniejsze słońce oświecało to wszystko, że wstawaliśmy o wschodzie, że oddychaliśmy wonią zroszonych kwiatów.

„Weszliśmy na Faulhorn, gdzie jeszcze mało było podróżnych. Oberża na tej górze jest najwyższem mieszkaniem w Europie. Wojażerowie, chcąc patrzyć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci; mróz nam dopiekał, ale też jaki widok!... O wschodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu, słońce czerwone było od nas niżej na niebie, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami z mgły wychodził ogromny szereg gór śniegowych; niktby w godzinie nie obliczył ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste. Nocowaliśmy w oberży i zrana widzieliśmy wschód słońca, czysty, żadnej mgły; przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya pod nami, widna, jasna, a jaka cichość! Taki sam widok mieliśmy jeszcze z góry Rigi. Na tę górę wchodzą wszyscy podróżni; widok z niej rozleglejszy, ale mniej piękny; góry śniegowe w oddaleniu nie przerażają wielkością swoją rozumu, a nawet imaginacyi człowieka; można z niej patrzyć na Szwajcaryą bez przerażenia; a ja patrząc o wschodzie słońca mimowolnie płakałem, nie wiem dlaczego, ale mi żal było ludzi...

„Z góry Faulhorn przechodziliśmy znowu do czarujących dolin Oberhassli; byłem w Rosculanen, prześliczne widziałem *glaciers,* byłem w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu, u nóg moich ogromne przepaści i potok lody podrywał, ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze.

„Jak to smutno pomyśleć, że ty, mamo, z tych krótkich opisów nie będziesz sobie mogła wystawić miejsc, gdzie twój syn był, gdzie myślał o tobie. Obrazy, które sobie twoja imaginacya utworzy, będą może piękne, ale nie będą temi samemi obrazami, które teraz ja widzę we wspomnieniach. Czyż ludzie nie

wynajdą kiedy jakiego środka, któryby lepiej niż pismo i malarstwo wystawiał przedmioty!

„Byłem po raz czwarty jeszcze na śniegach Grimsel, po raz czwarty nocowałem w zimnej oberży, przechodziłem śliczną drogę Św. Gotarda, widziałem na niej sławny most Dyabła, nareszcie po dziewięcio-dniowej podróży przybyliśmy do Luzerny, gdzie na nas nasze damy od siedmiu dni czekały, a przyszliśmy tam przez najpiękniejsze jezioro Czterech kantonów.

„Byłem w kaplicy Wilhelma Tella; łódka nasza zatrzymała się na skale, z której bohater wyskoczył, Gesslera na jezioro odepchnąwszy; kaplica ta tylekroć odrestaurowywana, znajomą ci, mamo, być musi...

„Wreszcie przez Bern wróciłem do domu, zastałem tam mnóstwo cudzoziemców i może to z tej przyczyny wojaż zostawił mi jakiś ponury smutek i tęsknotę, bo z ciszy gór wszedłem nagle w gwar ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie, gwar zimny, nie bawiący, nie dowcipny, nie rozumny, ale ów zwyczajny gwar świata. Jedna panna Eglantyna tylko obaczyła mię i powitała z radością; jej matka także mię po macierzyńsku uściskała; więc prawdziwie jest za co dziękować Bogu, że w mojej drodze nie rzucił mi wszystkich serc z kamienia".

Czy w tem wyrażeniu „jedna panna Eglantyna tylko" i w tem pocieszaniu się, że na drodze swojej nie spotykał „wszystkich serc z kamienia", nie można odczuć cichej skargi, że ta, o której marzył niewątpliwie w ciągu wycieczki, że „nie ładna, dosyć jednak miła" Marya nie zwracała nań dostatecznej uwagi, nie wyróżniała go niczem wobec innych spółwędrowców? Jeżeli zważymy, że w listach po tej wycieczce pisanych znajdują się wspomnienia serdeczne o Eglantynie i że poeta nasz nie często w tym czasie widywał się z towarzyszami podróży, jak to sam donosił matce; to przypuszczenie powyższe może się wielce prawdopodobnem wydać. Szczegóły, które z bytności u Wodzińskich donosił, nie mają zgoła cechy erotycznej, mimo to widać, że o nich pisać lubi, bo się ubocznie wiązały z osobą, która coraz bardziej myśli jego zajmowała.

I tak we wrześniu pisze Juliusz do matki: „Pani Wodzińska zaprosiła nas raz na podwieczorek do swojej małej córeczki, za miasto; tam ułożyliśmy, że kiedyś, jeżeli wszyscy razem będziemy w Warszawie, pani Wodzińska wyda bal kostiumowy, na który każdy z nas przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube trzewiki, w których łaził po skałach; projekt ten bardzo mi się podoba. Jakieby-to było smutne i zachwycające uczucie, po 10 lub 20 latach ubrać się tak, jak się człowiek ubierał za młodu, będąc na obcej ziemi; jak miłoby było powinszować sobie wtenczas przebytych bied i młodym ludziom o przeszłości rozpowiadać. I ty, mamo moja, przyjdziesz na ten bal kostiumowy

i dasz mi czerwoną wstążkę do mego słomianego kapelusza, bo ta, którą nosiłem po górach, zblakowała od słońca i deszczu"...

W tymże liście, w dopisku z 30 września pisze o wizycie syna pani Wodzińskiej, który przyszedł zaprosić poetę na wieczór, gdzie miały być wszystkie damy polskie przebywające w Genewie, a jedna z nich — sławna nieszczęściami. „Poznam więc je wszystkie — dodaje Juliusz, układając plany na przyszłość najbliższą; — jeżeli ich towarzystwo jest przyjemne, to rozszerzę koło moich znajomości i przez tę zimę nie będę siedział jak wilk w norze. Ty mi, moja mamo, zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję z ludźmi; czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić: zaczynam robić wizyty i znów popadam w dawny grzech samotności; widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie. Szczęściem to dla ludzi, że nie jestem niczem".

Starał się rzeczywiście z wady zamiłowania samotności wyleczyć. Na owym wieczorze u p. Wodzińskiej zrobiono mu komplement — a „bardzo ładne i różowe usta" go wypowiedziały: — „Znać, że pan z Wołynia Wołynianin, bo po wołyńsku tańcujesz mazurka". Poeta nie chciał „Wołyniowi ujmować sławy", jaką z jego tańca odnosił, i ukłoniwszy się, powiedział: „Ha, prawda, że my Wołyniacy to dziarskie chłopcy!" „Trzeba widzieć teraz moję cienką postawę — dodaje poeta jako ironiczny komentarz do tej odpowiedzi — aby sobie wystawić, jak mi te junackie słowa były do twarzy".

Postanowienie jednak zachwiane znów zostało przypływem pomysłów poetyckich, które zdramatyzowania się domagały, tak że dopiero w karnawale r. 1835 częściej nieco zaglądał do towarzystw a także do domu p. Wodzińskiej, o którym w lutym tak pisał: „Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; córka jej niełądna, ale także ma wiele wdzięku i dobrego serca. Zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi to zaniedbanie, które jako w towarzyszu podróży po górach było dosyć niegrzeczne i dziwne. Lecz ja zawsze w takich razach tłomaczę się chorobą splinu i wolę uchodzić za dziwaka mglistego, niż za niegrzecznego". Na tym wieczorze, na którym robiono mu te miłe wymówki, bawił się, jak powiada, bardzo dobrze i przytacza też swoje żartobliwe wycieczki. Bawiono się w szarady, przyodziewając się dziwnie w różne szale i kapelusze. W jednej z takich szarad żywych — mówi Słowacki — wystawiałem Czas czyli Saturna; kij z kijem związany, jeżeli nie kosę, to cep przewybornie udawał; w zębach trzymałem ogromną lalkę i pożerałem jej głowę; jeżeli nie do Saturna, to do Ugolino byłem podobny, bo lalka była ogromna i straszliwa. Nareszcie chciałem skosić razem stojących w kącie trzech głupców

towarzystwa, mówiąc im bardzo grzecznie, że są nadzieją przyszłości, ale że Czas na nic, nawet na rozum nie ma względu; — przyjęli ten komplement z grzecznym uśmiechem".

W tym samym wszakże liście, w którym te wesołe zabawy towarzyskie u Wodzińskich i w innych domach opisuje, czytamy wyrazy bolesnego utyskiwania na brak uczuć serdeczniejszych. „Teraz — pisze — nie mam nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił, nikogo, coby mię przyjaźnie w rękę ścisnął; wina-to mego odludnego życia, wina miejsca, w którem żyję; nakoniec mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego i znaleźć nie mogę. Bóg mi przeznaczył miejsce w jakim cichym klasztorze; dlaczegoż nie dał mi tej mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłbym się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności?... O, gdybym raz jeszcze usłyszał dziadunia mego śpiewającego prostą kolendę w dzień Bożego Narodzenia razem ze służącymi domu, zdaje mi się, żebym do dziecinnej wiary przeszłości mojej powrócił, bo czuję koło siebie jakąś dźwięczność i samotność... Musiałem uspokoić i zatrzymać pióro, bo zaczęło pisać łzami, a może tobie te słowa, zimno przeczytane, wydadzą się jakąś nienaturalną egzaltacyą".

Zdaje się, że nieodwzajemniane uczucie względem Maryi było jedną z głównych przyczyn owego zapadania w smutek, choć nie wyrażał tego słowami. Dopiero w marcu 1835 roku okazał Słowacki, co się w sercu jego może oddawna już działo. Rzecz tę tak opowiada swej matce: „Panna Wodzińska zaatakowała mnie niedawno, abym jej w sztambuchu kartkę białą zabazgrał; zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem mojej towarzyszce podróży po alpejskich górach:

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu sosen bożym strzeżone napisem
Stoją białe szalety wiązane cyprysem,
Gdzie w łąkach smutnie biją kóz zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali,
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.
A po latach wróconym ojczyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta,
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół — są wszyscy, są wszyscy.
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych,
A wczoraj tak dalecy a dzisiaj tak blizcy,

I nie braknie nikogo oprócz zapomnianych.
Młoda Marya do tańca każe stroić lutnie
I usiadła, spoczywa — nagle do sąsiada
Rzekła: „ach, kogoś braknie!“ Tu podkówka utnie
W takt mazurka. „On umarł“ — sąsiad odpowiada;
Cichoż na jego grobie! Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze...

Tą melancholiczną skargą zamknął poeta swoje ciche i niewyraźne wyznanie. Nie mogło ono oczywiście pociągnąć za sobą żadnych konsekwencyj. Stosunki bliższymi się stały dopiero od chwili zamieszkania państwa Wodzińskich w pensyonie pani Patteg. Dnia 1 kwietnia 1835 donosił poeta matce: „Już u nas prawdziwa wiosna. Wczoraj cały dzień kopałem i sadziłem kwiaty. Przypomniało mi to twoje ulubione zatrudnienie niegdyś. Robimy z panną Eglantyną w ogrodzie małą altankę i ubieramy ją w piękne kwiaty. Podczas upałów tam będę czytał i myślał o was. Będę was widział, jak maleńkie biedne mrówki, wędrujące po tej obszernej ziemi, pomiędzy aktorami grającymi smutną i głupią komedyę życia. W domu, gdzie mieszkam, będzie mieszkała cała rodzina Wodzińskich, będę więc miał nieco roztargnienia i huku nad głową“ [1]).

Gdy Wodzińscy się sprowadzili i zajęli pierwsze piętro, Słowacki stał się uczestnikiem codziennego życia w tej rodzinie. Parę godzin przepędzał tutaj, czytując wieczorami swoje utwory. Głos podobno miał „głuchy, nieco przytłumiony“, „deklamował z emfazą“. Podczas czytania „podnosił oczy, śledząc wrażenie na twarzach słuchaczy i jakby oczekując ich oklasków lub objawów podziwu“.

Ale i w ciągu tych częstych stosunków, które około trzech miesięcy trwały, nie przyszło do wyznań gorętszych. Poeta wyrażał swe uczucie twarzą lub cichym co najwyżej hołdem. Raz zebrało się u Wodzińskich dosyć liczne towarzystwo, a ponieważ dzień był pogodny, goście rozproszyli się po ogrodzie lub zasiedli pod cieniem werandy. Z drzwi otwartego salonu dolatywały dźwięki muzyki: Marya grała na fortepianie. Wtem wpada do salonu Słowacki, szybkim krokiem zbliża się do grającej, przyklęka, składa pocałunek na rąbku jej szaty, poczem drugiemi drzwiami opuszcza natychmiast pokój.

W miłości tej więc nie było ani pocałunków i schadzek jak w stosunku z Korą, ani też siostrzanej troskliwości i tyle łez sentymentalnych, jakiemi Eglantyna darzyła poetę, dramat (jeżeli to tylko było dramatem) rozgrywał się

[1]) List, z którego jest wzięty powyższy wyjątek, ogłoszony został z rękopismu dopiero w r. 1892 („Ateneum“ t. II.) przez Leopolda Méyeta.

nie na powierzchni, nie zewnętrznie, lecz w głębi duszy — i to duszy samego poety głównie, jeśli nie jedynie. Słowacki czuł się wszakże chwilami zadowolonym, lubo, jak zwykle u niego, radość była krótkotrwała i przy pierwszej lepszej sposobności przemieniała się w melancholijne rozmarzenie.

„Dobrze mi dosyć na świecie — pisał do matki w końcu czerwca; — jestem w domu pełnym dźwięku mojej rodzinnej mowy; jeżeli sercami nie lgną do mego serca, jeżeli nie znajduję pomiędzy nimi takiego towarzystwa, jakiegobym duszą żądał, to przynajmniej często znajduję roztargnienie i cichą wesołość: słucham ładnej muzyki i słuchając, kryję się do muszli serca mego jak ślimak, odbywam powoli jak ślimak moję drogę w krainie myśli i staram się jak ślimak oślinić łzami ślad jakiś na ziemi, któryby po mnie pozostał“.

„Zabawy nasze są teraz dosyć rozmaite: raz przejechaliśmy wszyscy czółnami na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski; całe towarzystwo ziomków moich zasiadło pod wielkimi platanami u drewnianego stołu i ja z nimi. Sami widzieliśmy i wybieraliśmy w sadzawce żywe szczupaki i te przez nas zostawały skazywane na śmierć, na autodafe ogniste; przywiezione w butelkach wino ciekło jak w Kanie Galilejskiej. Kamyki płaskie, ciskane naszemi dłoniami, skakały wesoło po jeziorze; graliśmy w zająca, jak dzieci, w obliczu dam porzucawszy surduty i fraki; a kiedy przyszło do powrotu, niebo okryło się chmurami, jezioro kołysane burzą starało się nas ukołysać i zadowolnić jak dzieci, błyskawice wężami biegały po śnieżnych górach, a kropla nie śmiała nas uderzyć i zmoczyć; słowem, ładny był spacer, wesoły dzień, nikt nie zasmucił się i nie stetryczał bólem głowy, jak się to często zdarza, nikt nie lękał się gromu Boga; wszyscy byli razem aż do wieczora. Szczęśliwi ludzie, jeśli w teraźniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora“...

Zaraz bezpośrednio po opisie tej zabawy, donosił smętnie o zamierzonym wyjeździe państwa Wodzińskich z Genewy. „Szczęśliwi! wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście, żenić synów, wydawać za mąż córki, zasadzać ogrody, siać zboże, budować i przebudowywać domy, patrzyć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasu na herbatę z przyjaciołmi, z wiejskiem sąsiedztwem..... Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza, bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć jak Luter patrząc na groby w Worms: *invideo, quia quiescunt* [zazdroszczę, bo spoczywają...]. Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilij wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Li-

lia wodna niech się tobie zamieni w jaka miłą, spokojną i cichą dzieweczkę, a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o!... z takiemi wykrzyknikami konają osoby w moich tragedyach, z takiem długiem westchieniem kona moja nadzieja!... Byłem u panny Lenormand [sławnej wróżbiarki], obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny i dotąd nic nie wiem, co mię na świecie czeka"...

Smutno mu było; żył „w atmosferze imaginacyi, na wyspie ideału, przerzniętej rzeką łez"; ale i jego ukochana nie była wolną od rozmarzenia — tak mu się przynajmniej zdawało. „Panna Marya Wodzińska — pisze on — także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczem nie marzy jak o pustelniczym domku nad rzeką, o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach szumiących nad pustelnią i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja *en personne,* nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzy w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem napomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności"...

Wtem nagle wyjeżdża do Veytoux nad Lemanem, gdzie obrał sobie śliczny pokoik: z okna widać było winnicę, za winnicą jezioro jak pół nieba wywróconego na ziemię, za jeziorem góry Meilleries sławne z Heloizy Roussa; jaskółki przylatywały do pokoju i tłukły się czasem piersią o zwierciadło. Gdy go się matka dopytywała, dlaczego się wyniósł z Genewy, odpowiedział jej w te słowa: „Długo byłoby pisać, co i jak przeniosło mię w dzikie strony; ludzie różnie o tem sądzą: jedni mówią, żem się był szalenie zakochał w pannie Wodzińskiej i uciekłem; niema w tem za grosz prawdy; ponieważ z tobą, najdroższa matko, mówię otwarcie, otóż wyznam ci, że uciekłem, a to dlatego, że biedna córka domu (tj. Eglantyna), widząc mię dosyć zajętego panienką, młodszą od niej, i widząc tę panienkę dosyć mi przyjazną, poczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała, a matka domyślała się, o co rzecz idzie; więc musiałem postąpić sumiennie, to jest odjechać, choć żal mi było domu, gdzie przez dwa i pół roku mieszkałem, gdzie mi nawet w ostatnie dni było wesoło bardzo"...

W końcu sierpnia 1835 roku panna Wodzińska wraz z rodziną wyjechała do Drezna. Eglantyna Patteg umyślnie ją odprowadziła, ażeby potem odwiedzić w Veytoux Juliusza i namówić go, by się znów przeniósł do Paquis. „Była u mnie — pisze do matki — i płakała i tysiąc próśb, abym wrócił, i matka jej ciągle

mię zaklinała; ale tak mi znudniało to, com porzucił, że wolę samotność nad jeziorem. Muszę jednak odwiedzić moich dobrych ludzi, co mię karmili i kochali przez dwa lata i dlatego jutro wyjeżdżam, a przyjazd do nich bardzo łatwy i krótki... Ze smutkiem jadę. Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło. Nudzi mię dom, gdzie mieszkałem, i zasmuca mię ta myśl, że ten dom ma mi być obcym. Znów szukać nowych ludzi, oswajać się z nowemi twarzami — a tam byłem jak synem; płakałem, wyjeżdzając, płakany"...

Ze słów tych odgadnąć można bolesny zamęt w duszy poety. Dwa miemiesiące samotnie w Veytoux spędzone na rozpamiętywaniu przeszłości dawniejszej i dopiero co minionej, nie przyczyniły się bynajmniej do rozjaśnienia przed nim samym ciemnej i zmąconej mieszaniny uczuć, lecz pogłębiły tylko melancholijny nastrój, uolbrzymiając doznane zawody. Poeta dramatyzował wszystkie wrażenia i wzruszenia swoje i w miarę zagłębiania się w swe wnętrze, coraz silniejsze z niego tony wydobywał. Rzadko mu wtedy nasuwały się jaśniejsze obrazki, jak zabawa w obrywanie płatków „Stokrotek"; zazwyczaj zaś żal, smutek bezbrzeżny, nienawiść, rozpacz szarpały jego serce i wypowiadały się w przepysznych wierszach. W „Rozłączeniu" panuje żal tylko za niepowrotnie znikłemi stosunkami i ta pociecha, że się one w pamięci serca na zawsze utrwalą:

Rozłączeni, lecz jedno o drugiem pamięta;
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem...

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którą-m wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
  Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora;
  Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem,
  Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
  Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem...

W wierszu „Przekleństwo" nie tyle zdaje się miał poeta na widoku określone ściśle osoby — Eglantynę i Maryę — ile wogóle tę fatalność, co sprawiła, że marzenia jego zostały rozwiane:

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta!
Każdy mój jęk zna ciebie, każda łza pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
  Abyś mi nieco dała przyjaźni i ciszy;
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
  I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. — Dziś samotny jestem;
  Lecz wiedz, że w samotności, okryty żałobą,
Oczy błędne obracam za każdym szelestem:
  Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

Tej czekam omamiony, tej samotny płaczę,
  Która mi była siostrą na wygnania ziemi.
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
  Tę, co w dusze oczyma patrzy anielskiemi.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
  A tak się ze mną sercem i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
  Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

A ty, a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
  Skoro się otwierała serca mego rana,
O, gorzej niż przeklęta — widmo tajemnicze
  Złej przeszłości — przeklęta bądź i... zapomniana!

W „Ostatniem wspomnieniu do Laury", napisanem 30 lipca 1835 r. najjaskrawiej oświetlił poeta rozpaczliwy — chwilowo — stan swej duszy:

Burza żywota nad nami mija,
  Przeminie, lecz głowę zegnie;
Śmiech nie pociesza, ból nie zabija,
  Pamięć i rozum odbiegnie.

Cicha spokojność nigdy nie wróci,
  Zniszczenia wicher nie wionie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
  Cieniami śmierć nie pochłonie...

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
  Ogniami czoło mam sine,
A jakąś dumą drży moja warga,
  Że w tych płomieniach nię ginę.

Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
  Nie biegnę szczęśliwych śladem;
Przeklinam ciebie ogniami czoła,
  Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mię prędko chmury czarnemi
  Porywa wicher nicości,
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
  Wszystko — z aniołem przeszłości...

Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
  I falą powraca ciemną,
Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,
  Nic za mną i nic przedemną...

Po wypowiedzeniu się, uczucie rozpaczy znacznie się uspokoiło, ale czczość i nuda nie opuściły poety, zwłaszcza że nie przychodziły mu nowe pomysły poetyckie do głowy, więc był zmuszony zajmować się „nudną rzeczywistością". W październiku r. 1835 wrócił do pensyonu pani Patteg, od której wciąż doznawał dowodów wielkiej życzliwości. Z panną Eglantyną był w dawnem dobrem porozumieniu. Gdy z powodu złego stanu funduszów swoich zamierzał opuścić Genewę jako zbyt drogą i przenieść się do tańszego kraju, nie myślał przed nią ukrywać powodów. „Wczoraj wieczorem — pisał 30 listopada do matki — gadałem do pierwszej godziny w nocy z panną Eglantyną otwarcie o mojem przedsięwzięciu wyjechania do Brukselli; płakała, płakała i płakała. Widzisz, droga, że ja mam teraz dosyć rozsądku i nie wstydzę się powiedzieć ludziom, że muszę się oszczędzać i szukać tańszego miejsca pobytu. Co przewidziałem, nastąpiło: chciała koniecznie, abym za połowę ceny teraz płaconej żył w ich domu; odpowiedziałem stale i z uporem, że się na to nie zgodzę, że nie

jestem przyprowadzony do tego, ażebym nadużywał przyjaźni biednej wdowy, która pracuje na kawałek chleba i z takim go zarabia kłopotem. Nieprawdaż, moja najdroższa, że ty sama nie zechcesz po mnie takiego egoizmu?...“

Nie porzucił jednakże pensyonu. Doczekał sie tej upragnionej od dawna chwili, żeby módz zwiedzić Włochy. Nie znamy szczegółów rozstania z Eglantyną, gdyż listów Słowackiego z tego czasu brak nam zupełnie. Ale rozstanie się było niewątpliwie przyjazne i serdeczne, gdyż stosunek listowy z Eglantyną utrzymywał Słowacki bardzo długo i wspominał o niej w swych listach często. Do niej też najprawdopodobniej wystosowany był niedokończony wiersz biały, pisany w końcu r. 1836 p. t. „Z Nilu do ***“[1]):

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domu... i długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem — dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej.
Nie wiem, czyś ją znalazła beze mnie... czy jeszcze
Smutną pod płaczącemi wierzbami zastaje
Biały księżyc. O, moja miła siostro duszy,
Jak ci zimno być musi... we wrześniowych nocach
Oświeconej czerwonem światełkiem komina,
W którym wilgotne płaczą gałęzie... W Szwajcarów
Ziemi łuk dawny Tella jaśniejszy niż słońce
Przez sześć miesięcy roku... Jam się bardzo zręcznie
Zimie sypiącej za mną śniegami wywinął.
Słońce błyszczy mi złote... mógłbym tobie podać
Zamiast zwiędłej rozmowy pod palącem słońcem
Róże dziś rozwinięte i świeże... myślące...
Lecz na co tobie róże? Ty, co kwiaty wdowie
Rwierz na łąkach i niemi ubierasz słomiany
Kapelusz...

Dochował też nam Słowacki urywek z listu Eglantyny do siebie pisanego w chwili, gdy wraz z matką porzuciły dom w Paquis. Z słów tu zawartych widnieje serce czułe i namiętnie do pamiątek przywiązane. „Opuściliśmy Paquis — pisała Eglantyna w r. 1838 — ażeby już tam nigdy nie wrócić; od tygodnia mieszkamy w mieście (Genewie), od dwu tygodni pożegnałam się na zawsze z tym domem i z tym ogrodem, w którym za kilka róż zerwałam całe krzaki

[1]) Wydrukowany on został z rękopismu przez dr. Biegeleisena w „Bibl. Warsz.“ r. 1893, t. IV.

cierni. Mieszkałam w pańskim pokoju aż do ostatniej chwili i spaliłam pańską kotarę, ażeby nikt inny nie szukał za nią cienia i zabrałam przewiercień zasadzony przez pana; rozliścia się obecnie w pełni i zdobi wraz z innemi doniczkami ładny taras na wierzchu domu, w którym teraz mieszkamy“...

Przytoczywszy ten urywek, dodaje poeta, pisząc do matki: „Droga moja, nie wiem, czy ty pojmiesz, jaka mię od tych kiku słów napadła tęsknota! Więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdziem sobie przez trzy lata marzył, zamiast odpocząć w pokoiku, gdziem przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholii, jakąby mię przeniknął widok miejsc, gdziem latał po murawach z młodziutką Maryą, która mię kochała krótko, ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczęta kochają; zamiast tego wszystkiego, znajdę dom w mieście czarnem i posępnem. Ogród mój dawny przez sztachety żelaznej bramy zobaczę napełniony innemi dziećmi może, co będą, jak ja dawniej, odsyłały sobie wolanta po błękitnem powietrzu. To smutne. O, nie wrócę do Genewy, a nawet na krótko wrócić smutno mi będzie; ja chciałbym, latając, ażeby się wszystkie miejsca zasuszały, kamieniały w takiej postaci, jak-em je zostawił, a kiedyś drugą podróż mógł rozpocząć pełną pamiątek, lecz niestety, wszystko się odmienia!..“

Widział się jednak z Eglantyną i w Genewie i póżniej w Paryżu. Naturalnie, innemi uczuciami w ciągu lat kilku zajęty, obojętniał względem niej coraz bardziej, a w końcu znudził się zupełnie, gdy dłużej zabawiła w Paryżu i chciała mieć go wciąż przy sobie. Oto, co pisał w tym względzie do matki 24 września 1842 roku: „Z Eglantyną nareszcie my się rozeszli; chciano koniecznie, abym po całych dniach, stosując sie do parafiańskiej ciekawości, do nienasyconej ciekawości, wodził ichmościankę po ulicach, sklepach, galeryach, właził po kręconych schodach na kolumny, wieże i inne belwedery, o ósmej już zrana był na usługach, a kładł się spać aż po odbytym teatrze, niekiedy zaś wyjeżdżał za miasto na cały dzień dla zwiedzania okolic, które dla mnie nie są wcale ciekawe. Całej mi mocy trzeba było, abym się temu wszystkiemu oparł i wszystkie spacery do trzechkrotnych na tydzień spacerów zredukował. Tak się jednak stało, że nie uchybiwszy w niczem imości, oddałem jej tylko te usługi i grzeczności, które się należały, i bardzośmy się dobrze rozstali. Został mi tylko brat jej na karku — bardzo ograniczona figura, kupiec, ale dosyć dobry chłopiec, z którym żyłbym, gdybym miał choć jeden ton duszy wspólny, choć dwie myśli podobne — a jednak i tak żyję...“

Eglantyna wyszła w póżnym wieku za mąż za wysłużonego oficera francuskiego, pana de Louppé, podobno hrabiego. Do końca życia przechowała święcie wspomnienie swej miłości dla Juliusza, świadcząc dobrze każdemu spot-

kanemu Polakowi. Gdy jedno z dzieci najlepszych jej przyjaciół wyjeżdżało z domu rodzicielskiego daleko i na długo, dostało od Eglantyny egzemplarz Raju Miltona z podpisem Słowackiego; przyczem staruszka powiedziała: „Weż to na pamiątkę, to jedna z najdroższych rzeczy, jakie mam.“

Marya Wodzińska natomiast lekceważyła sobie znajomość swoją a może i krótkie rozmarzenie z poetą. On ją za to wspominał, czasem z goryczą. Nazywał ją „swoją“ Maryą, wzmiankował ją często, imię jej obok swojego pisał na piasku pustyni. Ale gdy próżność jego zadraśniętą została, gotów był szydzić...

W kwietniu roku 1838 pisze Juliusz do matki: „Mówią, że się Szopen z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą ożenił;[1]) może poszła za niego *trochę z przyjaźni dla mnie*, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się *pierwszą miłością kochało*; stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takiem zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się anioł jeden po śmierci... Ale w tym przypadku niech Marysia *na mnie nie liczy*; wolę się do innej jakiej świaťlej istoty w niebie przylepić; *dla niej dosyć* Orfeusza; skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki. Miło mi, że tylko nie zapomniała mojego walca; dopiero po odebraniu twego listu, droga, gdzie piszesz, jak-eś uścisnęła Chudobę, przypomniałem sobie o tym walcu i wnet też zagrałem go na fortepianie, aby grać to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie“. Takim ciętym sarkazmem i takiem tęsknem przypomnieniem zakończył poeta dzieje jednego z głębszych swych uczuć.

Cały poemat, jak powiedzieliśmy, poświęcony jest wspomnieniom tej miłości. Wnioskować stąd można, że wywarła ona wpływ znaczny nietylko na usposobienie, ale i na rodzaj twórczości poety. Dla zaznajomienia się ze sposobem pojmowania miłości przez Słowackiego musimy się trochę zatrzymać nad tym poematem.

Co nas w nim uderza najwięcej, to owa fantastyczna, urojona draperya, w jaką odziewa poeta wszystkie szczegóły swego otoczenia. Słowacki nie zachwyca się ani pięknością ciała, ani duszy ubóstwianej kobiety, zwraca tylko uwagę na zewnętrzne warunki, w których ona żyje. Promienie księżyca, tęczowe kolory, szum kaskady, piękność melancholijna krajobrazu — oto przedmioty, jakie przed wszystkiemi innemi zaprzątają jego umysł. Słowacki nie

---

[1] Chopin nie ożenił się wprawdzie z Maryą — była to tylko fałszywa pogłoska — ale obudził w jej sercu młodocianem pierwsze głębokie i prawdziwe uczucie.

kocha osoby — kocha jej otoczenie. Pierwiastek fantastyczny, jak w innych rzeczach tak i w miłości, zajmuje u niego miejsce najwydatniejsze. Oto np. poznanie się kochanków:

Widzisz tę tęczę *na burzy* w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza;
Nic jej nie zburzy i nic jej nie zmiesza;
A czasem tylko jakie *białe jagnię*
Przez tęczę idzie na skrajne doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! — i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca!
Tak jasną była od promieni słońca,
Tak pełna w sobie anielskiego świtu,
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!

Gdyby nie tęcza, słońce, jagnięta i gołębie — możeby się poeta nie zakochał. Podobnie wyraża się jeden z bohaterów Słowackiego, w którym poeta siebie uosobił (Szczęsny w *Horsztyńskim*): „Wczoraj, kiedyś *wypłynęła z Wilii* na brzeg ogrodowy — do *jaśminowej altany* — słowiki śpiewały — księżyc świecił — *wczoraj byłaś ładna*". Słowiki, księżyc, jaśminowa altana były częścią tej kobiety — bohater ją kochał. Gdy te znikły, zaczął się nudzić!...

Tę samę skłonność widzieć można i w listach poety, nie przeznaczonych do druku, pisanych do matki. Przypomnijmy sobie np. powód jego sympatyi dla Elizy, że w kapeluszu „podobna była do świeżej róży, *rozkwitłej na oknie gotyckiem*"; albo opis pożegnania z Eglantyną, który przemienił się na opis widoku natury i wogóle tego, co poetę otaczało; o samej osobie, co go tak rzewnie żegnała, znalazła się w końcu dopiero krótka jakby z litości rzucona wzmianka.

Najwięcej działają na poetę wrażenia wzrokowe. „W Szwajcaryi" czytamy:

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, *co kochać przymusza,*
Poszło i serce, a za sercem — dusza.

W innem miejscu (w jednym z dramatów) powiada: „Kto chce serce pozyskać kobiety, ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie oczy — a reszta pójdzie bardzo łatwo". Jest to zastosowanie powyższego spostrzeżenia naodwrót.

A oto w jakim stroju wydała mu się zakochana najpiękniejszą:

Motyla miała czarnego na głowie.
Ten alabastrów od smagłości strzeże,
I przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnej gazy patrzały ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony...
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
Siadł i na lewe przechylił się ramię...
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!...

Otoczenie, w którem miłość ma królować, musi być niezwykłe:

Łąka i szalet i wiśnie w parowie,
W takim parowie. że stróż-anioł biały
Rozwijał skrzydło od skały do skały
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet i róże i nas i słowiki.

Słowiki jęczą i fontanna płynie — oto wspomnienia, które serce pęty rozdzierają i zmuszają go do modlitwy rozpaczliwej o śmierć prędką: „I co dnia budząc mię, fontanny płaczą!“ Wszystko się interesuje tą miłością: i niespokojne o kochanków gołębice i zadumane o nich w łąkach trzody.

Nic prawie ziemskiego nie napotykamy w kreśleniu szczegółów miłości; są wprawdzie czasem pocałunki, ale to takie jakieś eteryczne, jakby się nimfy leśne całowały; rumieniec zamienia niekiedy twarz kochanki „w róże“; ale to chyba dla rozmaitości tylko kolorów, ażeby nie zawsze wyglądała jak lilia biała. Wszak wszystkiemu winny tu kwiaty i woda. Jeżeli poeta spłoszył myjącą się kochankę, to przyczyną tego była lilia, którą ona w biegu potrąciła; jeżeli się pocałowali, to „fala, niewierna fala, a tak wierna“ to sprawiła. Owa fala

I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa *nasze obrazy*
I przybliżyła łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy,
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni!...

Wyznanie miłości musi się odbyć wśród uroczego, niezwykłego otoczenia. gdyż inaczej straciłoby powab swój cały. Więc też, choćby przyszło nagiąć

swobodnie stosunki rzeczywiste, poeta nie zawaha się ani na chwilę i popuści fantazyi wodze:

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia, gdzie mówiąc do siebie
Wbite do wody trzymaliśmy oczy...
. . . .
Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle,
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek...

Nie możemy tu przytaczać wszystkich szczegółów, bo musielibyśmy przepisać cały poemat. To, co zacytowałem, wystarczyć powinno do bliższego określenia charakteru miłości u Juliusza: jest to miłość, w której główną rolę grają draperye poetyczne, otoczenie, wrażenia wzrokowe, fantastyczność obrazów — serce bardzo niewielki ma tu udział. Tej szczerej, czysto-ludzkiej miłości jak u Mickiewicza, nie znajdujemy wcale w tym i większej części innych poematów: pojawia się ona tylko wyjątkowo.

Miłość u Słowackiego nie jest-to miłość człowieka zwykłego, złożonego z ciała i duszy; ale — poety, szukającego pomysłów do swoich przyszłych utworów. Głos serca zamiera — króluje fantazya. W nadobłocznych krainach marzenia występują postacie po większej części rozwiewne, mroczne, smętne jak grobowe cyprysy, „marmurowo blade", na chwilę zaledwie uróżowione wzruszeniem. Rumianej, zdrowej cery poeta nie cierpi, brzydzi się nią, uważając ją za coś prostaczego.

Z tą bladością łączy się prawie powszechna chorobliwość usposobień kobiecych, którym brak zupełny szczęścia, rozkoszy życia, powiewu świeżej i orze-

żwiającej przyrody. „Błękitne uczucia“ rozwijają się w nich epidemicznie; okrywa je mgła, zasłaniając zarówno zewnętrzność jak i treść duchową w całej jej pełni; rzadkie przebłyski widm tęczowych odsłaniają zaledwie kontury i drobne cząsteczki. Rysy rozrzucone po całych poematach potrzeba zbierać skrzętnie, chciwie niemal, chcąc jako tako nakreślić postać kobiecą, o której myślał poeta.... Charakterów realnych, rzeczywistych jest bardzo niewiele; zarówno w kreśleniu natur łagodnych jak i demonicznych Słowacki przekracza granice życia codziennego i to nietylko w tym stopniu, jaki zwyczajnie poetom się przynaje, ale w stokroć powiększonym. Nadludzkość ta i nadzmysłowość jeszcze silniej się uwydatniła pod wpływem mistycyzmu. Postacie kobiece w „Księdzu Marku“ — Judyta; w „Śnie srebrnym Salomei“ — Salomea i Księżniczka — są już poprostu ideałami, którym poeta słów użyczył, nie zaś kobietami, chodzącemi po ziemi, że już nic nie wspomnę o ich historyczności....

Dla wyjaśnienia atoli wszystkich objawów erotycznej muzy Słowackiego, wspomnieć jeszcze należy o jednej miłości — prawie ostatniej, o jakiej mamy szczegółowsze wieści.

W roku 1838 Słowacki bawiąc we Florencyi poznał pannę Anielę Moszczyńską z Podola. Była-to dziewica nie tyle piękna, ile miła i kształtna. Bardzo starannie wychowana i myśląca, „ale strasznie popsuta, albowiem była-to pani domu, samowładnie rządząca ojcem i matką“. Zdaje się, że ta natura energiczna, dzielna, silnie wpłynęła na umysł poety, który dotąd napotykał zazwyczaj istoty słabe, czułe, łatwo poddające się wpływom, rozkochane w nim od samego początku, co naturalnie musiało zmniejszać i ostudzać jego uczucia bardzo prędko. Aniela przeciwnie — ulegać nie chciała; owszem pragnęła, ażeby poeta spokorniał. Ten upór stawiany woli Słowackiego podbudził w nim zapał i prawdopodobnie poddał mu myśl, może na chwilę tylko o... roli konkurenta.

Posłuchajmy, jak sam poeta stosunek ten przedstawia. W listach do matki nie pisał o tej swojej miłości tak samo, jak unikał poprzednio przyznania się do serdeczniejszych uczuć względem Maryi Wodzińskiej. W roku 1838 przesłał matce krótką tylko wiadomość o ludziach, którzy go „lubią, kochają i chcieli zatrzymać“. Byli to kuzyni Zenona Brzozowskiego, z którym się Słowacki zaprzyjaźnił, a który dostał od panienki rekuzę, co go „w melancholią i w dalekie kraje zagnała“. Sam stary Moszczyński — pisze nasz poeta do matki — „dobry i wiele gadający człowiek — wielki komplimencista — do tyla mi robił grzeczności, że wreszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaił mię do tego, że co wieczora prawie z nim na gawędzie czas tracę. Żona jego dla interesów pojechała na Ukrainę i chciała bardzo być w Krzemieńcu, aby ciebie poznać i o mnie tobie mówić; czy jej droga przez nasze miasteczko wypadnie,

nie wiem, ale jeszcze kilka dni temu Moszczyński mówił mi, że od ciebie, droga' spodziewa się upoważnienia, aby wziął nade mną opiekę i rząd samowładny. Jeżeli więc będziesz widzieć panią Moszczyńską, bądź, moja droga, dla niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mię mają za bardzo dobre stworzenie, a nawet pani Moszczyńska, dla wszystkich dosyć zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzę: słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartemi rękami przyjmują".

Tyle tylko donosił matce na razie. Dopiero w rok przeszło potem, gdy się już wszystko rozchwiało, gdy panna Aniela już umarła, opowiadał Juliusz swej matce w liście z Paryża 1839 r. co następuje: „Przyjmowany byłem w domu Moszczyńskich i przyjście moje każde sprowadzało rumieniec na lica panny, niełądnej, ale dość kształtnej i uczonej.... Nie zwracałem na to uwagi, pojąć nie mogąc, aby ja biedny chłopiec bez grosza mógł się posunąć tam, gdzie dwu ładnych chłopców i bogatych otrzymało arbuzy; nie myślałem więc o tem i wyjeżdżać miałem... Trzema dniami przed wyjazdem wpada Zeidler (artysta-malarz) do mnie z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono mi propozycyą, abym się zatrzymał i aspirował do tej panny. Zdziwiłem się i nie wierząc wcale, żeby to być mogło prawdą, postanowiłem wszakże zatrzymać się, abym kiedyś nie miał na sumieniu mojem, żem się po szczęście, w ludzkiem rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy na drodze leżało. Tego samego dnia odwiedził mię ojciec panny i rozmowa jego, choć zgrabnie bardzo prowadzona, dała mi do zrozumienia, że zatrzymanie moje we Florencyi miłem mu będzie. Zatrzymałem się więc, a bywając często w domu mojej belli, w domu egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota, przechodziłem przez wszystkie niepewności *kokietowanego* człowieka, tak, że wreszcie udręczyło mię to, zwłaszcza, że serce moje było przytem zupełnie zimne i wszystkie wady widziało. Może to był sen i przywidzenie z mojej strony, ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna płonęła, a ja nie wiedziałem, co myśleć. *Na nieszczęście moje* wmieszali się i inni ludzie do tego, a niedyskretność osoby użytej do pierwszych propozycyj była przyczyną, iż się ci ludzie wmieszali.... Potem wszystko oziębło; potem dowiedziawszy się o ambarasach twoich, musiałem wyjeżdżać, nie chcąc, aby sądzono, że będąc w biedzie, biedę moję chcę zataić ożenieniem się. Pożegnanie moje było zimne, a cała *ta awantura* zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, *czy się nie urągano ze mnie*. Może z mojej strony było nadto dumy, która się tej panience mogła opie-

szałością wydawać; gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby, dlaczego tak nie natarczywie starałem się o nią. Ale to już przeszło; ona mię teraz widzi z nieba, bo już nie żyje. Choroby, z której ona umarła, nie zrozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiałym, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał; może być jednak, że ta, która tylu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, żem się nie oświadczył; a jednak *pewny jestem, że byłaby mię odrzuciła;* wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, *cierpiałem.* Bo choćby to było w niej chwilową myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać *litośnego anioła*, a śmierć jej dopełniła obrazu. Ileż razy teraz chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszczając oczy przedemną pyta się: dlaczegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach".

Sam sposób opowiadania poety o tej miłości różni się znacznie od poprzednich relacyj: niema tu już tylu fantastycznych kwiatów, ozdóbek, niema tego, coby się romansowością melancholijną nazwać godziło, coby było pozowaniem, dramatyzowaniem cierpień własnych. Z niektórych wyrażeń („jam nie mógł nic dać nawzajem, nawet serca") możnaby zawnioskować, że poeta istotnie jej nie kochał, i wpaść na przypuszczenie, jakoby ożenić się zamierzał dla pieniędzy; ale kto wpatrzy się pilniej w tok opowiadania, ujrzy, że w rok po całem zdarzeniu Słowacki nie panuje jeszcze nad swemi myślami, nie rządzi niemi, lecz przeciwnie one nim kierują i stosownie do chwilowych a ciągle zmieniających się wzruszeń nasuwają wyrażenia ze sobą pogodzić się nie dające. Dusza Słowackiego drży jeszcze na wspomnienie tej istoty, która już spoczęła na wieki.... Ważną jest cechą tego opowiadania, że niema w niem ani śladu sarkazmu; jest tylko pewne przygnębienie, pochodzące stąd, że duma jego cierpi a przecież szydzić swoim zwyczajem nie może, bo jakieś serdeczniejsze uczucie, choć tylko już we wspomnieniu, stoi temu zwyczajowi na przeszkodzie.

W utworach poety uczucie to również zostawiło ślady.

Najprzód pod bezpośrednim wpływem rozgoryczenia powstały w październiku r. 1838 dwa przecudne sonety „Do Anieli M.", w której zraniona dusza poety w całej ukazuje się pełni:

I.

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,

Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niem jeszcze jest pancerz stalony
A ono jeszcze głębiej — w trumnie leży.

II.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem!
A ty myślałaś , że ja z tem ognistem
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?...

O! pierwej piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało,
I niż całować twe usta rozumne

I twoje białe marmurowe ciało,
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą
Jaka ty jesteś, zimną — lepiej w trumnę!

Z czasem jednakże rozgoryczenie minęło i w wyobraźni poety postać Anieli w szlachetnym i dziwnym ukazywać się zaczęła charakterze.

W „Beniowskim" występuje *Aniela* — dziewica zupełnie odmienna od mnóstwa innych kreacyj Słowackiego, a wielce znów zbliżona do *Dyany* w „Niepoprawnych". Zauważyć potrzeba, że oba te utwory powstały jednocześnie — około r. 1841. Temu również wpływowi przypisać należy, choć w części, zwrot do *realizmu,* jaki się spostrzegać daje w utworach dramatycznych, powstałych pomiędzy rokiem 1840—1842 np. *Złota czaszka*, *Wallenrod (*i *Walter Stadyon), Jan Kazimierz* i t. p. Rzecz bowiem naturalna, że kobieta silna, energiczna, nie bujająca po sferach marzenia; kobieta, którą poeta kochał, musiała go na chwilę przynajmniej pogodzić z rzeczywistością, musiała zwrócić jego uwagę na szczegóły życia realnego, które z taką dosadnością odmalował mianowicie w „Złotej czaszce". Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, ażeby inne spół-

czesne czynniki nie przykładały się do zmiany nawyknień Słowackiego, np. pojawienie się „Pamiątek Soplicy“ (1839), które bardzo nawet silnie na kierunek jego twórczości podziałały; — ale w rozbiorze strony uczuciowej nie mogłem pominąć tego ważnego momentu w rozwoju duchowym poety. Zresztą prawda przyznać nakazuje, że chwila zwrotu do realizmu trwała u Słowackiego bardzo krótko. Mistycyzm pochłonął go później całego. W każdym atoli razie pozostała mu większa niż dawniej *plastyczność* obrazów np. w takim „Królu Duchu“ — przymiot, którego bez owego zwrotu niepodobnaby sobie wytłómaczyć.

Czuję, że wiele, bardzo wiele szczegółów opuściłem w tej ogólnej charakterystyce — wykażą się one później przy rozbiorze pojedyńczych postaci; tam również odnieść jestem zmuszony kwestyą „zmysłowości“ w utworach Słowackiego, kwestyą dotąd nietykaną, gdyż na określenie jej zbyt mało zauważono rysów; kwestyą jednakże, którą *zaznaczyć* przynajmniej wypada. Jest ona konieczną, jeżeli chcemy poznać poetę naszego w całości, a nie ułamkowo — jeżeli działalność jego sprawiedliwie ocenić pragniemy.

I.

KSENI.

Dziewic oczy wprawne w miłości — choć obłąkane.

Zaczynamy od smutku. W głosie poety drga zawsze łza melancholii; duch jego lubi się błąkać po cmentarzach, „zostawiony gdzieś na mogił straży...“ W cieniach nocy lub przy uroczej tęsknicy zachodu ukazuje nam swoje postaci, które tem fantastyczniej się przedstawiają, że ich konturów dobrze nie odróżniamy.

Zachód był *krwawy,* ponury — o brzegi Dniepru bije spieniona fala — na smutnem *mogił* wybrzeżu wznoszą się trzech cerkwi *posępne* wieże. Wśród takiego otoczenia ukazuje się widmo *Kseni* Goszczyńskiego (w *Zamku Kaniowskim*) — tylko nie tak potworne i przerażające. Duch poety wybielił jej postać, nic z fantastycznych jej kształtów nie ujmując. „Płaczka siczowych wyspiarzy“ „*posępna* mogił dziewica“ twarz ma wybladłą a włosy czarne, — to dosyć. Nie można jej bliżej określić. Stała na wieku spróchniałej trumny; na głowie miała wieniec ze srebrnych piołunów i róż „lśniących od rosy.“ Zmysły obłąkane — oczy we łzach. To pierwszy widok.

Idzie z hetmanem Żmiją do cerkwi. „Przez otwarte dachu szczeliny wyglądały z kwiatem drżące kaliny“ — mówi poeta. Zdjęła lampę z ołtarza — weszli w lochy podziemne. Trumny; a na nich całuny „gęsto splamione łzami gromnicy.“ Kseni podnosi jeden z całunów: widać „dziecię piękne i żywe.“ Kseni upada do nóg Żmii i mówi:

Luby! niech pop nas połączy skrycie...
Gdy plotę z polnej róży zawoje,
Wnet drżące liście padają z kwiatu;
Wszystko usycha — wszystko, co moje!...

Hetman nie słuchał i wyszedł. „Ja nieszczęśliwa!“ — krzyknęła Kseni i „śmiech obłąkania połknęła w ziemi cisza grobowa...“

Takie postacie wymykają się z pod rozbioru. Któż ścigać zechce cienie?... Zawiedziona, opuszczona, wzgardzona znika w poemacie — nad grobem znów ją zobaczymy. Znowu oblana złotem słońca promieni — jak cień niepewna. Chce krew z rany u Żmii płynącą zatamować „rąbkiem warkoczy.“ Hetman ostatni raz spojrzał — poznał — lecz nie rzekł ni słowa. Ona ściga „zgasłe wejrzenie Żmii“... Cisza stepowa, przerywana łzami i łkaniem smutnej dziewicy... Znowu słyszymy śmiech dziki. Straszna była z tym śmiechem:

Ojciec mój skonał pośród płomieni,
Syn mój jak świeża rośnie kalina...
... Syna w grób zakopię
I krwią mogiłę ojca pokropię.“

I tak zrobiła. Podczas pogrzebu hetmana, chodziła ze łzawnicą łzy zbierając, ale kto tam zajrzał, krew zobaczył. I krew „do grobu wylała cieśni...“ Padła... skonała...

II.

ELOE.

Otom zobaczył anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

Drugą płaczką, późniejszą „piastunką grobowców,“ tylko o wiele łagodniejszą, z twarzą wyanieloną, duszą jak śnieg białą — chociaż równie fantastyczną i daleką od rzeczywistości, jest *Eloe*, urodzona „ze łzy Chrystusowej, tej łzy, która na Golgocie wylaną była nad narodami.“ Zgrzeszyła ona „ulitowawszy się nad męką ciemnych cherubinów, i umiłowała jednego z nich i poleciała za nim w ciemność.“ Zostawszy wygnanką, „ukochała mogiły“ i mówiła kościom: „nie skarżcie się, lecz śpijcie;“ odpędzała reny, kiedy te przychodziły „mech wyciągać zpod głowy trupów“ . . .

Smutna, choć spokojna spokojem grobów, nad któremi opiekę rozciąga, nie doznaje żadnych przypadków, bo życie jej upływa w kraju ułudy.

Szaman mówi do Anhellego o tym smutnym aniele na cmentarzu: „Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.“

Rozciągnęła nad Anhellim opiekę, a gdy on rozstał się z tym światem, usiadła nad ciałem zmarłego „z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach“ i strzegła, by go nikt ze snu wiekuistego nie obudził. I oto raz wśród ciemności, która po zgonie jego zapanowała, „rozwidniła się wielka zorza i pożar chmur, a księżyc znużony spuszczał się w płomieniu niebios, jakoby gołąb biały spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.“ Wtem nagle „z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały i leciał z okropnym tętentem: śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią, a w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się. I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmią-

cym głosem: tu był żołnierz, niech wstanie! Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza tam, gdzie się rozweseli w ogniu... Oto lud przeważa... Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych...“ A wówczas piastunka grobowców, co ukochała mogiły, powstawszy rzekła: „Rycerzu, nie budź go, bo śpi. On był przeznaczony na ofiarę serca... Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste, jak dyamentowe źródło, i tak wonne, jak lilie wiosenne. To ciało do mnie należy i to serce mojem było. Rycerzu, koń twój tętni, leć dalej!“ Rycerz popędził, „z szumem jakoby burzy wielkiej“, a Eloe znów usiadła nad ciałem martwego i uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i „że już spoczywał...“

Gdy przechadzać się będziesz po cmentarzu, przypomnisz sobie tę postać białą, w szatach powłóczystych, z jasną gwiazdą na czole i powiesz: to siostra tych wszystkich, których trumną i całunem jest lawina śniegu albo cuchnące lochy podziemne — to piastunka grobowców...

III.

ELLENAI.

Wszystko jest snem smutnym.

To zbrodniarka, która niegdyś krwią miała zmazane ręce, a potem pokutą i miłością wyszlachetniona, stała się towarzyszką szlachetnych. W godzinę śmierci Szamana, kiedy był odepchnięty i raniony śmiertelnie przez tych, którym dobrze czynił, ona jedna spośród całej zgrai łotrów, dopomogła Anhellemu do wyniesienia starca na jedną z mogił i wówczas „owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie“. Więc za ten dowód miłości umierającemu, on ją polecił Anhellemu jako siostrę. Anhelli, pochowawszy proroka-czarodzieja w śniegu, rzekł do niewiasty: „chcesz-li mnie wziąć za brata?“ A ta mu do nóg upadła, mówiąc: „aniele mój!“ Podniósł ją z ziemi Anhelli i udali się oboje na daleką pustynię północną, a znalazłszy chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej. Ellenai stała się sługą, uścielała łoże liśćmi i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę. „Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei — i wypiękniało na niej ciało: oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu, a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.“ Anhelli przyzwyczaił się do niej i siostrą ją nazywał, dziwił się jej spokojowi i dziwił się, że „skarga jej była maleńką i skarżącą się jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.“ Lękała się zmazać słowy nieczystemi i mówiła: „oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy, to nie opuści nas.“

Smutek długi i tęsknoty bezbrzeżne przyprawiły o śmierć biedną Ellenai. Położywszy się na łożu z liści, pomiędzy renami swoimi, obróciła ku Anhellemu

szafirowe oczy zalane łzami wielkiemi, i rzekła: „Umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam. Czemże ja będę po śmierci? Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pająączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym. Jam się przywiązała do ciebie, jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy. Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu. Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją — i nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja... A oto patrzaj, nad łożem mojem ta szyba lodu słońcem czerwonem z dwoma skrzydłami promieni: nie jest-że to anioł złoty stojący nademną? Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc... biedne reny moje, żegnam was".

Umierająca zaczęła mówić litanię do Matki Boskiej, i gdy wymówiła: „Różo złota!" — skonała. I oto upadła róża żywa na białe piersi umarłej... O północy „chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: naszą jest!" Atoli róża owa cudowna, leżąca na piersiach zmarłej, „dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę" i spojrzała na owe ciemne twarze „oczyma niewinnego aniołka". Duchy ciemności odleciały ze smutnemi przekleństwami — i znów zapanowała cisza głęboka. A w trzy godziny po północy zastukała do chaty Eloe i rzekła do Anhellego, gdy wyszedł do niej: „Wynieś tu umarłą twoję siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie: moją jest." Gdy Anhelli wyniósł umarłą i złożył ją na śniegu, Eloe „uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą. I z pełnemi trupa skrzydłami, wstawszy, na księżyc odeszła. Wrócił więc Anhelli do jamy pustej, i spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było..."

Zbrodniarka niegdyś, doznała za życia czystej miłości szlachetnego marzyciela, a po zgonie — opieki anioła litości...

*

* *

Te trzy fantastyczne postaci, do których przydaćby można jeszcze *Zarę* i owę *ukochaną Solima,* który krwią jej żył a ona szczęśliwa „była jak w niebie, że Solim jeszcze żyje jej życiem" — dają pewną miarę, jak Słowacki w początkach już swojej twórczości ulatywał daleko od ziemi i marzycielstwem

zarówno smutnem, jak ponętnem pierś swoich tworów napełniał. Były-to bezwątpienia kreacye bardzo ułamkowe, niknące: poeta przeszedł następnie na tor realniejszy, nie pozbył się atoli nigdy tego kierunku myśli, owszem w czasach omamienia towiańszczyzną stworzył postać, mającą wszystkie cechy plastyczności, jakkolwiek bardziej podobną do figur ze świętéj legendy aniżeli do ludzi, chodzących po naszym zwykłym biednym świecie. Ale postać ta należy już do zupełnie innego okresu w duchowych dziejach Słowackiego i dlatego pomijamy ją obecnie, przechodząc, mniej więcej zgodnie z chronologią, do innych kobiet, które poeta w bogatym swym panteonie umieścił.

IV.

ANNA.

I wszystko można odróżnić w tej ciszy
Słuchom *anioła* i myślą *anioła!*

Więcej rzeczywistości uidealizowanej przedstawia spółczesna a nawet wcześniejsza trochę podobno od Kseni — *Anna* w „Janie Bieleckim.“ Ale i jej „cała postać powiewna i drżąca“ i jej dusza „smutna,“ i to bez powodu. Poeta, chcąc jej smutek i zamyślenie wyjaśnić, szuka analogii w świecie roślinnym: „Lilia wodna może przeczuć burze. Kwiat czuje — *ona miała czucie kwiatu.*“ Przeczucie jej nie zawodzi. Miała zostać szczęśliwą żoną ukochanego Jana, śniła błogo — a po śnie został jej płacz i — pierścionek. Szła do ślubu przystrojona wspaniale, stosownie do obyczajów wieku (XVI):

Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona —
Bo takie było herbu męża pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb: srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni — szkarłatowa
I herb dziewicy, szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.

Wprawdzie zapłakana — ale to łzy szczęścia, drży dłoń — ale ze wzruszenia. Śnieżne jej łono „westchnieniem odtrąca tę młodą różę, co wpółwychylona, *aksamitnego* dotknęła się łona...“ A potem? Potem dom spalony, a miejsce po nim zaorane i bolesna z mężem rozłąka i posępne suknie żałoby. Została pociecha w wierze. Widzimy tu obraz przypominający Maryą Malczewskiego; role tylko zmienione. Stary ojciec otwiera „świętych poważne żywoty“ —

a Anna słucha... Spokojność wiary zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty, łzy w płacze nieszkodliwe.“

Coś automatycznego widzimy w Annie. Zawsze ona „blada, strasznie blada,“ ruchu jej prawie żadnego nie znać, dopiero w chwili ostatniej, kiedy krzyż z mogiły wyrywa i grób kopie. Zawsze załzawiona, często omdlewa. Na balu maskowym, posłyszawszy głos Tatara (Jana), „zadrżała, padła na głaz, jak nieżywa“ — w jego ręku „była jak martwa.“ Przyszedłszy do przytomności i zapytawszy: „Tyż-to mój luby? zdejm zawoje z głowy — niech zobaczę rysy twego czoła,“ omdlewa napowrót, gdy Bielecki zdjął turban muślinowy. Nie znamy rysów jej twarzy, jej oczu i włosów; kiedy poeta wspomina o włosach, mówi tylko o „słodkiej ich woni“ i o ich długości: „rozwiany (włos) spływał aż do stóp Tatara“; kiedy wspomina o oczach, widzi tylko „suchą żrenicę i ogień gorączki.“ Chcąc wrócić do przytomności omdlałego podług jej mniemania a umarłego już męża, rzuca nań „kwiaty wonnemi.“ Widząc jego milczenie, prosi go, żeby „odpowiedział łzami.“

Słaba istota, chociaż *anielsko* miła, nie miała dawniej odwagi postąpić na krok samodzielnie. Na propozycyą męża, żeby uchodzili: „Mój ojciec! — woła. — On cię przeklnie!“ — Dopiero po śmierci ukochanego, którego *wszyscy* opuścili, nawet ksiądz, co przed chwilą mówił o miłosierdziu boskiem, „głębszem nad morza;“ — ona zdobywa się na coś stanowczego: „Luby nie zaśniesz na rozstajnej drodze — sama w święconej pochowam cię ziemi.“ Wysiłek ten kosztował jej życie. Kiedy księżyc zapłoniony topił się we mgłach, niewiasta blada na kamiennym progu cerkwi usnęła — zapewne usnęła na wieki...

Anna ma wiele rysów prawdziwej kobiecości: słaba, lękliwa, nieznająca i niemogąca ocenić skali możliwości i dlatego rzucająca się na przedsięwzięcie, które ją zabija. Kocha stale i czule swego męża — ale nie chciałaby także przykrością zasmucić oblicza ojca. Nadzwyczajne wypadki, w które jest wmieszana, fantastyczne otoczenie, z którem zharmonizować się nie może — są to warunki dość rzadko zdarzające się w życiu, ażeby kobieta potrafiła w nich rozwinąć wszystkie swoje właściwości duchowe. Zresztą Anna pojawia się w poemacie i tak już krótkim bardzo rzadko, mówi nader mało; z jej słów jeden tylko rzewny wniosek wyciągnąć można: *że kocha*... W tem słowie wiele się niewątpliwie zawiera: może nawet cała psychologia kobiecego serca; ale stosownie do różnych okoliczności życia, to ciemniejsze, to barwniejsze, to głębsze, to płytsze wyłania ono z siebie uczucia i myśli. Okoliczności owych Anna nie zna, a te, które zna, są mniej więcej podobne, jednostajne. Stąd też i jednostajność jej uczuć — brak myśli.

V.

ALDONA.

..... Głęboko oczy dziewic toną
I przenikają głazy i zbroje stalowe..

To nasza Ofelia; tylko nie z winy Hamleta — lecz losu. Kiedy była „kapłanką wiosny," jej czoło wieńczyły świeżych róż kwiaty; a ona przy cichym szumie jodeł, przy blasku srebrnego księżyca, sama lub otoczona tłumem wiejskich dziewic — marzyła, modliła się. Senna jej dusza ocknęła się zapewne na miły głos Dowmunta; lecz gdy jej Mindowe wydarł ukochanego, jeszcze w większą senność popadła. „Jak mara obłąkana kończę życia drogę" — mówi o sobie. Twarz jej *blada*, czasem na twarzy rozmarzone gorączki kolory; oczy ożywione posępnie szklistym blaskiem, albo okryte zasłoną łez ciągłych; mgła ciemna mroczy dla nich wszystkie przedmioty, i zaledwie z łez oschną, znowu we łzach toną. Myśl o śmierci bezustannie jej towarzyszy: „Wkrótce mię całą cichość grobowa otoczy" — powiada. A i teraz otacza ją głęboka cisza, która ją „osłoniła świętością mogiły." To też gdy mówią do niej służebne, głos zniżają i łzami kończą swe słowa. Stała w miłości dla męża, nie słucha ani próśb, ani przekleństw Mindowy. Żyje cała w przeszłości, o niej marzy na jawie i we śnie:

W gronie moich dziewic, przy lampy płomieniu,
Widzę, jak wkoło srebrne toczą się przędziwa,
Słyszę pieśń rodzinną w ich łagodnem pieniu,
Widząc, jak kwiat pod igły dotknięciem rozkwita [1]).

---

[1]). Porównaj Aldonę Mickiewicza:
Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach,
Sama nie widzi, co robi...
Wczoraj postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.

Kocha Dowmunta, ale gdy ten się zjawia (przebrany), ona nie chce go poznać, ażeby życia jego nie narazić. Śliczna jest scena wahania się. „Boże! niechaj nie przychodzi!“ — mówi w obawie o Dowmunta i zaraz dodaje: „Smutno mi, że nie przyjdzie, że go nie zobaczę; chciałam go widzieć.“ Słuch ma wytężony: chwyta każdy szelest: „Boże! słyszę odgłos kroków... O nie! — to źródła szumią w zamkowym ogrodzie...“ Wreszcie Dowmunt przychodzi. Aldona wita go słowy: „Módl się, oto różaniec widzę przy puklerzu, módl się i wyjdź. Nie, ja nie znam ciebie. Nie, nie! nie przypominam — może — tu tak ciemno!“ — Walka była okropna! Usta jej rwały się pewnie do pocałunku, a ona zmuszona powtarzać ciągle jakby dla przekonania samej siebie, że go nie zna, znać nie może. Dopiero kiedy Dowmunt zawiedziony, zrozpaczony, chce się zabić, Aldona woła: „Dowmuncie, ach Dowmuncie! znam ciebie, kocham!“ Zapomniała o ostrożności, myśli tylko o chwili szczęścia, której się już nie spodziewała. Pragnęła być piękną, wesołą. Na uwagę Dowmunta, że jest bladą, odpowiada: „Nie! to bladszy niż zwykle blask księżyca twarz mi dzisiaj ociemnił“. Słysząc kroki zbrojnych, prosi go o różę z hełmu, może ona zmysły orzeźwi, bo jej w oczach ciemno i płakać nie zdoła. Śmieje się już tylko; śmieje się straszliwie:

... Cha, cha! luby, drogi!
Śmiech mi straszliwy łamie na ustach wyrazy...
Cha, cha, cha! niech tu przyjdą, niech przestąpią progi.

Pada omdlona. Dla niej świat rzeczywisty już istnieć przestał. I słońce, kwiaty i łąki i góry — wszystko już grobowe. Jakaś postać znikoma, choć do niej podobna, oddziela się od niej; przy tej postaci zostały czucia i myśli. Aldona jest już jakby głazem. „Ja bez czucia zostanę!!!“ — woła w rozpaczy.

... Serce się nie pali,
Ostygło — zapominam — pamięć słabo kreśli;
Mówię — a słowa moje nie są wątkiem myśli;
Myślę — a myśli moje nie są wątkiem serca.

Są to właściwie słowa poety — gdyż takiej świadomości swego stanu w obłąkanej przypuszczać niepodobna; zanadto są oderwane od wspomnień życiowych, od owej miłości do Dowmunta, która ją całą przejmuje. Tak jest, o wszystkiem zapomniała, o niczem wiedzieć nie chce, a zapewne i nie może, oprócz o swojej miłości. Na pytanie krzyżaka (Heidenricha) „Jesteś ty chrześcijanką?“ — odpowiada: „Jestem nieszczęśliwa!“ [1]). Marzy tylko o ostatniej

[1]) Przypominamy podobne pytanie w IV części „Dziadów.“ Ksiądz pyta: — Znasz ty Ewangelią? — *Gustaw:* A znasz ty nieszczęście?

chwili rozstania. Chodząc, kogoś niby prowadzi za sobą; słyszymy słowa: Chodź tu za mną, Dowmuncie — w tej sali tak głucho! — Powtarza ostatnie wyrazy, jakie do siebie przemówili. „Aldono, tyś pobladła — Aldono, co tobie? — Nic, mój luby, bywaj zdrów na wieki.“ Śpiewa piosenki jak Ofelia:

Oto złotą osnową
Winie mi się wrzeciono,
A ja śpiewam dziecinie: —
Jeśli się nić uwinie,
Uwieńczona koroną
Będziesz kiedyś królową.
Jeśli się przerwie — pieśń ci zaśpiewam grobową.

Ale Dowmunt ocalał. Powraca i pyta ukochanej jak przedtem: „Czy ty mię znasz, Aldono?“ Lecz Aldona teraz już nie udaje; nie może udawać... Słowa jej są prawdziwe, ale jakże okropne! „Tak, myśmy się znali we śnie. Tyle mi twarzy na świecie się śniło. Któż sny pamięta?“ Po tej melancholijnej uwadze oddaje się wesołości, przesyconej oddechem grobowym. „Ach, jak mi wesoło! — powiada. Idę do ślubu; wianek zawieszę na czoło.“ Smutek, rozpacz — i zachwyt, szczęście następują po sobie kolejno. „Patrzaj! — mówi — oto poranek blade niebo złoci... i tak mi słabo, tak mi w oczach ciemno“. A w chwilę potem: „Cha, cha, ten śmiech mi łamie na ustach wyrazy i ból. Niech go uczuję głębiej. Och, rozdziera — rozdziera mi wnętrzności... Już widmo ciemne myśli obumiera.“ I wszystko przeszło...

W opisie strony psychicznej Aldony, jako obłąkanej, poszedł widocznie Słowacki za Szekspirem. Majaczenia z lat dziecinnych, z okresu gorącej miłości, zamiłowanie w kwiatach, w piosnkach; wypowiadanie myśli dziwnych, po większej części nie będących w związku z zapytaniem i okolicznościami zewnętrznemi — oto główne tło, na którem rysuje się kilka wybitniejszych szczegółów. Uznając taki sposób przedstawienia rzeczy za dosyć naturalny tj. odpowiadający duchowemu stanowi obłąkanych, zrobiłbym tylko jednę uwagę co do Aldony. Wiemy, że w ostatniej chwili, oddzielającej ją od pomieszania, żądała od Dowmunda *róży* z hełmu; Dowmunt spełnił jej życzenie; ale kiedy już leżała w omdleniu, chciał różę wyrwać, „ażeby go nic nie przypominało“. Kwiat wprawdzie zerwał, ale łodyga w ręku Aldony została. Sądziłbym, że to *ostatnie świadome wrażenie* Aldony musiało silnie występować w czasie obłąkania. Poeta tego nie uwydatnił. O ile wiem, znajduje się jedna tylko wzmianka („Jeden kwiat *polnej róży* i dużo rozmarynu“), i to w formie raczej *zwykłego* przypomnienia sobie obrzędów weselnych, nie zaś osobistej, a nader ważnej pamiątki.

VI.

ROGNEDA.

> Tak mi ciemno... wsypałam trucizny ostatki,
> Dla mnie nic nie zostało...

Stare pojęcia zanikają. Bogowie pogańskiej Litwy obracają się w nicość. Duma książęca pragnie królewskiej korony i każe sojuszem się łączyć z najzawziętszym wrogiem ojczyzny. Wszędzie zamęt straszny. Matka książęcego rodu widzi z boleścią, że syn jej własny przeniewierza się dawnym, świętym obyczajom dla kawałka złotej obręczy. Smutek łamie jej siły, ciemnota oczu tem sroższe zadaje jej męki, że nie dozwala niewiernych spiorunować wejrzeniem. Nigdy nie widziała krzyża — jak on strasznym być musi... Imię papieża podnosi ją jak sprężyna. Marzy tylko o wielkości Litwy i tem uczuciem wiedziona zaklina Mindowę, ażeby chrystyanizmu nie przyjmował. Nie usłuchał. Ona wypowiada wieszczą groźbę:

> Ta wiara — wiara ciemna, przez ciebie przejęta,
> Połączy cię z narodem, co Litwę pochłonie...
> Siedzisz na tronie — z tobą i papież na tronie!

Ta dusza, pogrążona w wiecznych ciemnościach, wszystko w najczarniejszych widzi kolorach: dzieci Mindowy — to morderce. „Idź, zabij je w kołysce — powiada — urodziłam gadzinę, ty rodzisz gadziny“.

Jednakże oprócz wyobrazicielki świętej tradycyi i przeszłości litewskiej jest w niej i matka. Wprawdzie to macierzyńskie uczucie w fantastyczny przedstawia się sposób, w każdym razie istnieje. Chce zabić własnego syna, ażeby wraz z nim zabić wiarę chrześcijańską, która podług niej ma zniszczyć Litwy potęgę; ale chce mu zarazem śmierć osłodzić:

> Ja go zabiję z płaczem — powiada —
> Ja go łzami obmyję, na stosie położę;
> Zaśpiewam pieśń — grobową uczczę go posługą.

Nie jest-to ironia — to dziwny przejaw uczucia. Łza upadła do zatrutego wina. „Może *łza matki* zniszczy skutek trucizny?“ — pyta się sama siebie Rogneda. Przeklinając syna, boi się spełnienia słów swoich, a kiedy Mindowe powiada, że nikt go nie kochał, ona wybucha wymówką: „Słyszysz tego serca bicie? kochałam cię“. — A jednak przeklęłaś... dodaje Mindowe — „Nie masz ty serca, synu! On mi przypomina! Przekleństwo zapomniane“...

Ale w chwili działania ona jest silna. „Nigdy się nie chwiałam“ — powiada o sobie. Gdy Mindowe rozbił puhar z trucizną, nie usiłuje się uniewinnić: „Nie chciałam cię urazić — jam cię zabić chciała!“ — oto cała jej odpowiedź na gorzkie wyrzuty syna.

Kiedy Mindowe zrywa z Krzyżakami, nowy duch w nią wstępuje. Widzimy ją w świątyni pogańskiej, jak sypie bogom kadzidła: „dla bogini wiosny — ten kwiat, co rozkwita; dla boga zimy — ten kwiat, co usycha; dla boga piekieł — brylant z krzyża mnicha“... Pyta się o przyszłość syna, niespokojna, czy przekleństwo, które nań poprzednio rzuciła, nie zaszkodzi mu w życiu. Z sercem gwałtownie bijącem, które własnym modłom nie dowierza, bez tchu, bo jej braknie wyrazu na zaklęcie bogów — oczekuje odpowiedzi. Odpowiedź brzmiała: „Mindowe zginie od ręki rycerza, który poległ zabity z Mindowy rozkazu“. Uspokojona wyrocznią, ulegając obłąkaniu, które już zdawna ją nawiedzało, śni o minionej przeszłości, o czasach dzieciństwa, o mężu swoim, o grobie; pyta się męża: „Czy przyjmiesz mię do grobu, czy przyjmiesz?“ A ostatnie jej słowa, jakie słyszymy, odnoszą się do syna:

> Nie lękaj się, nie zginiesz od Trojnata dłoni!
> Siła wyroczni ciebie od zgonu zasłoni;
> Chyba umarli wstaną, chyba Dowmunt wstanie!

Wymawia je właśnie wtedy, gdy Trojnat wyszedł ze skrwawioną ręką, wołając: „Spełnione twe chęci!“ Rogneda nie słyszy, bo już od kilku chwil stała się „blada — nieruchoma — skościała — zimna“...

Szczegóły obłąkania Rognedy są prawie też same co i Aldony. Przeczucie śmierci — marzenia o kołowrotku, wrzecionach, to jest o tych zajęciach, jakie w dzieciństwie i młodości całą jej uwagę pochłaniały — wreszcie ostatnie *widzenie* męża — oto są główniejsze jego rysy.

Jako przedstawicielce starego porządku rzeczy, kapłance narodu, brakuje jej siły słowa, energii czynów. Poeta nie zdołał się jeszcze postawić dość silnie na stanowisku zupełnie niezależnem; i to, z czem sympatyzować nie mógł, przedstawiał mniej stanowczo, mniej obrazowo. Rogneda stoi osamotniona; nie ma

żadnej partyi w narodzie; jeden Trojnat w widokach własnej pomyślności pragnąłby spełnić jej życzenia; ale skutki jego czynów okazują się dopiero po śmierci Rognedy. Wieszczka — nie włada piorunami, nie może uprosić kary bogów, którym myśli swe powierza. Stąd wypływają: jej smutek i przygnębienie, ustępując jaśniejszym chwilom tylko na bardzo krótki przeciąg czasu. Zupełnie inaczej przedstawia się podobna — późniejsza postać *Rozy Wenedy*.

VII.

MARYA STUART.

Wierzaj mi, źle, kto wrogom ukrytym zawierza.

To nie królowa, lecz kobieta — dziecię piękne i kapryśne, fantastyczne i uczuciowe, uważające wszystko i wszystkich za cacko, do któregoby się zawsze uśmiechać powinno. Marya powielekroć przypomina sobie, że jest królową: powtarza ten wyraz z upodobaniem, może z dumą nawet; ale tak, jakby z usunięciem *tego wyrazu* zmieniała się także i istota rzeczy. Nigdy zapomnieć nie może, że niedawno jeszcze w „kraju Franków" kochała wszystkich „równo od wszystkich kochana;" że „z dziecinnym śmiechem" nowe przywdziewała klejnoty; że „z dziecinnym śmiechem" cichych westchnień słuchała; że z „uśmiechem" trefiła przed zwierciadłem *włos złoty*, przeplatając różami „trefione pierścienie!..." Pieszczona i uwielbiana, nie doznawała najmniejszej przykrości. A teraz złota korona i kłopoty rządów usuwają zprzed niej krajobraz świeżej zieloności, narzucając za to widoki ochrypłych purytańskich jęków śród trupiarni wesela i radości... Smutna też jest i przygnębiona, czas jej upływa pomału, nudzi się i szuka *rozrywki* w uczuciu. Uczucie to jest przemienne, jednodniowe; nie gruntuje się na zadowolnieniu jakichś potężnych pragnień serca — ale na miłych wrażeniach, działających na wyobraźnią. Lubi i sopran pazia i tenorowy głos Rizzia i baryton Bothwella. Wszystko u niej zależy od wrażenia chwili, od podrażnienia jej próżności. Jeżeli Rizzio udaje obojętność, Marya staje się czulsza, pyta się głosem miękkim, łagodnym: „Rizzio, czemu tak zbladłeś? — Rizzio, tyś jak dziecko słaby!" Ale niedługo potem, jak tylko Rizzio gorętszem odezwał się zaklęciem, mówi mu *zimno:* „Kiedy będziesz w Rzymie, proś ode mnie papieża, żeby mi przysłał chleb ze stołu pańskiego, w złoto zamknięty".

Silnie na nią działają zewnętrzne okoliczności. Cóż ją skłoniło do poko-

chania Bothwella? Oto urok jego „posępnej twarzy“, „mrok zamyślenia“ i „uśmiech goryczy“. Wzrusza ją opowiadanie pazia, że Bothwell popłynął po *różę,* która wypadła z jej włosów — odczuwa już wewnętrzy stan duszy Bothwella: „O niewinne dziecię! Ja łatwo ją pojmuję — dzika myśl szaleńca.“ Kiedy ma się z nim widzieć, zdejmuje koronę, która jej czołu ciężyła, a połyskiem swym zgubnym „wielu od królowej odstręczałą;“ zdejmuje pierścionek ślubny, żeby *być wolną* od wszelkich więzów. Wówczas mniema, że nikt nie ma prawa jej sądzić — bo ludzie są u jej stóp, a Bóg w niebie. Wtedy woła:

Teraz przybądź do mnie, przybądź tu, Bothwellu,
Przybądź, już nie mam korony i nie mam pierścienia!
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy!...

Gdy u stóp jej zabito Rizzia; gdy widziała męża, co patrzył obojętnie na krew harfiarza; i gdy właśnie wtedy zjawił się Bothwell: — ona bez żadnej trudności rzuca się w jego objęcia, pragnąc jedynie, by „światła i pochodnie pogasły“, dla osłonięcia jej wstydu... „Nie jest-to czas ukrywać uczucia — powiada — rzucam się na twe łono — już jestem zgubiona“. Wszystkie okoliczności składały się na rozgorączkowanie jej wyobraźni, na zniweczenie w niej poczucia moralnego.

Jest pobożna — ale pobożność ta łączy się ściśle z obłudą. Rizzio zastaje ją bez korony — to go ośmiela: „Rizzio, chciej mówić z *królową* — przestrzega go — rozmawiałeś z kim innym“. Myśl jej już całuje blade czoło Bothwella. Usprawiedliwia się przed Rizziem: „Wszak wiesz, że ja się zwykłam *modlić* bez korony — i teraz się modliłam“. Obłuda weszła już w jej naturę. Kiedy ma zanieść usypiający napój mężowi, nie wierzy, że mu poda truciznę, przytaczając na poparcie swej niewiary spokój Bothwella, gdy jej podawał czarę: „Bo któż się nie wzruszy — powiada — powierzając kochance narzędzia otrucia?...“ Przymila się Henrykowi... na wspomnienie zabójstwa Rizzia mówi jak najnaiwniej: „Ja nie wiedziałam o tem; cóż mię to obchodzi? — śmierci Rizzia jużem zapomniała“. A jednakże wie o tem, że człowiek, z którym rozmawia, „może jutra, jutra nie zobaczy“. Kiedy wlewała napój, ręka jej zadrżała... Przeraża ją krucyfiks: „Zdaje mi się, że *zbladło* to *czoło* z hebanu“. Nie zbrodnia sama ją krwawi, ale jej formy; nie gniew boży ją straszy, lecz chmura na czole bóstwa... Kiedy Bothwell, wziąwszy lampę z ołtarza, wychodził, ona woła: „Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam“ — niby go wstrzymuje, „czując, że *mogła* wstrzymać“, lecz nie chciała.

„Czarne moje serce!“ — to wyznanie, które siła wypadków z jej piersi wyrywa, dostatecznym jest dowodem, że Marya wie o zbrodni, czuje jej wa-

żność — ale przeszkodzić jej nie ma odwagi czy chęci! Słaba trzcina ugina się pod wiatru powiewem...

Wolę jej ktoś zawsze *uprzedzić* musi: nie wypowiada jej jasno i stanowczo. Z początku daje się powodować Rizziowi — on pisze rozkaz uwięzienia ubliżających królowej; od niego zasięga rady, czy na rozkazie ma podpisać imię męża czy nie. Myśli jej są chwiejne: „Nie pisz imienia króla — ja jestem królową. Rizzio, co myślisz? nie wiem, może się obrazi!" — oto jej słowa w przeciągu jednej minuty. Ostatecznie Rizzio sam się rozrządza — każe wołać Duglasa. W tak ważnych sprawach ona nic nie decyduje. Co innego w kwestyi galanteryi i rycerstwa! Marya rozkazuje Rizziowi, żeby odrzucił rękawicę Duglasa... Ona jest królową... ale tylko igrzysk kwiatowych (jeux de fleurs).

Ten sam brak woli w innej okoliczności. Paź nasuwa jej na myśl Bothwella, Marya rozmyśla: „Miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę. Długo ją usypiałam. Będę widzieć Bothwella — *oddalę ze dworu*". To jej pierwsza myśl — jakże odmienna od następnej... Ona nawet nie kocha Bothwella, wie, że on nie jest „aniołem"; tylko wypadki jej go narzuciły; gdyby ktoś inny — o Bothwella-by nie dbała. W pewnych chwilach opanowywa ją gorączka, przerywają się wszystkie tamy: „Dalej, dalej iść trzeba — nie wiem, gdzie zajdę!" Życzy sobie śmierci męża; ale nie śmie tego wypowiedzieć głośno, gniewa się na myśli własne. Atoli nie było już teraz przy jej boku usłużnego Rizzia — niewzruszony Bothwell domaga się rozkazu. Jakże powstała pierwsza myśl o zabójstwie? „Połączę z tobą dłonie — mówi do Bothwella — lecz nie, *ta ręka z krwawą* ręką powiązana — *on żyje jeszcze!*" I zaraz się reflektuje: „Boże, cóżem wymówiła!" Ze snu ukojenia w modlitwie budzi ją szatan — Bothwell. Marya pokazuje mu portret męża: „Nie zniosę tej twarzy! Patrz, za mną się obraca, wzrokiem mię przenika". Bothwell odpowiada spokojnie: „Zniszczę ten obraz". A Marya przytłumiając westchnienie, powtarza głosem echowym: „obraz!.." „Chciej mię zrozumieć — mówi dalej — błagam! czyliż duszy skrytość mam wyjawić słowami? Powinien zginąć — Kto? — On!! — Kto? — Król! — Zginie!" [1]). Gdy już Bothwell *wydarł* z piersi Maryi wyraz stanowczy, ona powiada: „zapomnij o snach moich, nie zwierz ich nikomu". Wie bardzo dobrze, że słowa te żadnego nie mają znaczenia. To też gdy Bothwell, stwierdzając poprzednie słowo, powiada, że król *„dziś* zginie!", Marya się nie dziwi, dodaje tylko: „Dziś — to nadto wcześnie". Okropny-to stan duszy — owo rozdarcie jej na

[1]) Zwracam uwagę na podobieństwo tej sceny z 11 sceną aktu IV *„Maryi Stuart"* Schillera, gdzie *Davison* pragnie koniecznie usłyszeć z ust Elżbiety jasno i dobitnie wypowiedziany rozkaz wykonania wyroku na Maryi.

dwie sprzeczne z sobą połowy. Podobna ona jest wtedy do zwiędłych liści, któremi wicher zamiata ulice pełne błota... Nic już dla nas naówczas nie pozostaje jak, przysłoniwszy sobie oczy sofizmatami, iść ciągle dalej naoślep, nie oglądając się. Ze strasznemi widziadłami w wyobraźni błąkać się musimy poprzez życie, niepewni ni siebie, ni jutra. I Marya cierpi; widzi mury więzienia i obcą kobietę na szkockim tronie i salę tronową „w żałobne ubraną cyprysy". Chce się oderwać od losów Bothwella („Precz ode mnie, zbójco, z tem wybladłem czołem"); ale zapóżno...

Serca zbrodnią skalane zbrodni się nie boją;
Słuchaj: otrułaś króla — jesteś moją! —

odpowiada jej Bothwell. Daremne szamotanie się i żal daremny...

Wśród kreacyj Słowackiego, Marya może posiada najwięcej szczegółów wyjaśniających jej wewnętrzne właściwości; ale szczegóły te nie mogą jej zjednać naszej sympatyi. Jeżeli bowiem słaba jej natura jest pewnego rodzaju wymówką dla występków; jeżeli wołanie do Boga: „na cóżeś moje czoło uwieńczył koroną" każe się domyślać, że w innych warunkach życia zachowałaby czystość moralną; — to świadomość popełnianych zbrodni i owe charakterystyczne słowa: „I przez tę noc straszliwą żaden z mych poddanych nie będzie równie podłym i występnym" zmuszają nas do surowej oceny jej czynów. Cierpienia Maryi przejmują nas litością — ale spółczucia nie budzą. Fałsz. obłuda, pozorna pobożność a istotna przewrotność każą się domyślać w jej duszy — gangreny moralnej, wyniesionej z lekkomyślnego życia na dworze francuskim. Swoje własne smutki, swoje osamotnienie i nudy gorzko wyrzuca Bogu i światu — cudzych zaś zrozumieć nie chce, a skarżącym się odpowiada komunałami: „Wszyscy losem jesteśmy miotani" i t. p. Popełnia zbrodnię z tem przekonaniem, że jedno słowo modlitwy wszystko zagładzić może. Oto najfałszywsze pojęcie cnoty, jakie powierzchowna pobożność w ludziach wyrobić zdołała!...

VIII.

LAURA.

Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

Jest-to wspomnienie pierwszej miłości, z której się wyspowiadał poeta w „Godzinie myśli". Powróciło ono później, ale już zbladłe, ułamkowe, bo przedzielała je przestrzeń lat *kilku*. Kilka lat w życiu takiego człowieka jak Słowacki — to wiek cały. Uczucia przeróżne falowały w jego duszy po kilkakroć; wrażenia z jaskrawych stawały się szaremi; wyobrażenia z powikłanych i chaotycznych — jaśniejszemi. Poeta się zmienił. Ale pierwsze silniejsze uczucie zbyt wielką potęgę w sercach ludzkich posiada, ażeby zupełnie zniknąć mogło. Pierwszej miłości zapomnieć niepodobna...

Laura była starszą, doświadczeńszą od młodego Kordyana. Nawet trochę szyderstwa ukazywało w niej niekiedy swój żmijowy języczek. Ale tam w głębi duszy chochlik uczucia głębszego wyprawia swawolne swe figle. Umie pochlebiać, podoba się jej poezya: „W imionniku wiersze znalazłam — powiada — poznałam rękę, pióro — o nie! raczej duszę!" Lubi się bawić w astrologię miłosną; „Któż z nas pierwszy zobaczy gwiazdę dobrze znaną?" — a więc marzycielka jeszcze!... Wypytuje Kordyana jak siostra starsza, pobłażająca rojeniom kochanego braciszka: „Kordyan ma piękną przyszłość — cieszy go — talenta, zdolności", na co biedny poeta odpowiada z goryczą:

. . . Tak, gdy mię spalą męczarnie,
To będę świecił ludziom próchnem moich kości.
Talenta są to w ręku szalonych latarnie,
Ze światłem idą prosto topić się do rzeki;
Lepiej światło zagasić i zamknąć powieki,
Albo kupić rozsądku, zimnych wyobrażeń,
Zapłacić za ten towar całym skarbem marzeń.

Laura — jakby na wspomnienie swej sławnej imienniczki — kocha się w dawnych zwyczajach rycerskich: lubi słuchać śpiewu trubadura u nóg swoich. Ale i rozważna... zbyt wybuchowego zapału nie znosi. Daje Kordyanowi przestrogi: „Źle, jeśli się pan będzie *marzeniem zapalał;* — prawdziwie nie pojmuję, co mu jest; — więc pan mi przyrzeka, że będzie spokojniejszy?“ Ach! rozsądna kobieto! chciałabyś, żeby wulkan płynął cicho i spokojnie jak rzeczułka w końcu twej wioski!... Napróżno! musisz się cofnąć, musisz udać zagniewaną, odejść bez pożegnania, ażeby później żałować słów swoich.

Laura nie przemawia ani jednego szczerszego, ognistszego słowa do Kordyana, chociaż widziała rozpacz jego bezdenną, tylko może pojąć nie zdołała! Jednakże żal jej, że się tak z nim rozstała. W późną noc czuwa jeszcze; budzi się w niej zgryzota, nasłuchuje, czy Kordyan nie wraca. „Gdybym to *dziecię* płochem szyderstwem zabiła?“ — pyta się sama siebie z obawą: „dmucham w różę, co słońcem palona opada“. Zna więc stan duszy Kordyana; lubuje się w jego słowach, odczytuje powielekroć wiersz wpisany do jej sztambucha; ale żadnych nad nim uwag nie robi. Czy poeta umyślnie tak postąpił? Chciałże przez to pokazać, że umysł Laury był zbyt płytki, ażeby się mógł zdobyć na jakąkolwiek ocenę myśli gienialnego dziecka?... Na Laurę działają więcej wrażenia zewnętrzne: „Słyszę tętent — powiada — to Kordyan — więc okno otworzę“. Ale natychmiast myśl czulsza została zepchnięta na dno serca — występuje kobieta światowa: „Nie! — robi uwagę — możebym zazbytnią troskliwość wydała“. Jednakże bądź co bądź okno otwiera — *w tej chwili* kochała Kordyana: — „Boże, wielki Boże! Koń przeleciał bez jeźdźca. Drżę cała“.

Jeżeli z tak szczupłych rysów można odgadnąć całość postaci z pewnem prawdopodobieństwem odtworzenia rzeczywistości, to powiedziałbym, że Laura była kobietą zwyczajną, czułą, zbyt już starą, ażeby mogła sympatyzować z wybujałemi mrzonkami młodocianego umysłu, zbyt trzeźwą i pozytywną, ażeby podzielać jego bezzasadne rozpacze i melancholijne smutki. Pochlebiało to jej *próżności*, że chłopiec zdolny, poeta, poczuł dla niej głębokie uczucie, że jego radość i boleść miała w skinieniu swego dziewiczego czoła... Wstyd przecież było przyznać się jej głośno do miłości dla dzieciaka... Czuła była czułością kwiatu — woli nie posiadała.

VIII.

VIOLETTA.

Ach, ach! ja nieszczęśliwa! zabrał mi klejnoty..

Pierwsza-to, zdaje się, dama kameliowa w naszej poezyi. Nie była ona przecież taką, jak przyszła bohaterka Dumasa. Handlarka rozkoszy, łzy i uśmiechy sprzedawała po tyle a po tyle.... Szlachetności, poświęcenia nie zna i nie rozumie. Oczy „jasne, skrzące, czarne"; białka oczu — jak perły — śnieżysto-błękitne. Charakter wyjątkowo u Słowackiego — zmysłowy, jakkolwiek i tu nie poznajemy istotnego upojenia zmysłów, lecz tylko udanie. Słowa Kordyana są gorące, wschodnie; lecz serce zimne, obojętne, pogardliwe:

Gdy rzucasz wzrok omdlony, padam, słabnę, mdleję —
Tak na przesłodkiej róży mrą złote motyle;
A gdy spojrzysz iskrami twych oczu — szaleję
I ożywam na całą pocałunku chwilę.

Violetta zapewnia go o swej miłości nad życie. „Wszak *lorda* i Boga porzuciłam dla ciebie — powiada — czyż wątpisz, szalony?" Ale w tejże samej chwili *żałuje* pereł, kupionych przez Kordyana „za zamek ojców". „Perły — mówi Kordyan — takie zimne na płomiennem łonie — rozerwij perły — czekaj — rozgryzę nić". „Szkoda!" — odpowiada Violetta, zapewniając zarazem, że u szaty jego wisi jak kropla rosy: „strząśniesz — rozpryśnie się cała..."

Zaczyna się dramat. Kordyan chce z głębi serca Violetty wydobyć jasne słońce prawdy — nie spali go ono. Niby marzy:

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty,
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała;
Skoro ostygła, snycerz kształt jej nadał drogi —
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą...

Ale tak głębokie porównanie nie może wejść do płytkiej duszy Violetty. Dla niej potrzeba rzeczy dotykalnych. „Luba — powiada Kordyan — dawniej dawałem ci brylanty, dziś sercem się dzielę, bo z majątku mego — ruina, a wierzyciele stoją u drzwi moich". Ten właśnie środek może zmusić Violettę do zrzucenia maski. „Ach, brylanty! — woła — gdzie klucze?!" Brylanty przegrane: — „Przegrałeś moje serce razem z klejnotami" — mówi Violetta z płaczem i gniewem. „Nędza, nędza mię czeka". „Mnie zaś koń mój czeka" — odpowiada Kordyan chłodno. „Jedź z djabłem" — ot, i po górnolotnych już słowach... Szyderstwo Kordyana sięga jeszcze dalej: „Ale koń — powiada — ma złote podkowy, za cztery podkowy, uczt wyprawię cztery. *Pani*, czy jedziesz ze mną?... — „*Luby*, jadę z tobą". Niepodobna było *krócej* scharakteryzować olbrzymiej przemiany w sercu Violetty. Tymczasem pokazuje się, że koń zgubił podkowy. „Wężu Adamowy!" — woła rozwścieczona. „Ewo moja, Adama zastąpią ci drudzy". Furya Violetty nie ma już granic. „Niech ludzie z pistoletu kule ci wykradną, niechaj cię głód zabije, zapali pragnienie!" — woła, odbiegając w ślad za zgubionemi podkowami. Kordyan żegna ją z goryczą:

> Prawdziwie, ta kobieta kocha mię szalenie;
> Poszła, szukając śladów *kochanka* po drodze...
> Dalej, mój koniu! leć, gdzie zechcesz — puszczam wodze.

I my dla Violetty nie zdobędziemy się na inne słowa pożegnania. Fałsz moralny, obleczony cudną karnacyą, zasługuje na bezwarunkową pogardę, cokolwiekby mówili płaczliwi zwolennicy bezgranicznej miłości, nie zważający na duchową stronę kobiety... Zwodnicze majaki życia ukazują się tylko wśród posuchy serca w tych głowach, które zamiast mózgu mają „piaszczyste płaszczyzny..." Żegnaj, Violetto, i ukazuj się nam — jak najrzadziej...

IX.

GRAFINI (Dyana[1]).

Po ukraińskich stepach syczą żmije...

Znowuż mamy przed sobą postać fantastyczną, owianą tchnieniem czarów, okopconą dymem zbrodni. Dawniej niewolnica grecka, dzisiaj pani wszechwładna, posłuszna jest brutalnym rozkazom głupca, a zuchwała względem męża-starca, którego umysł obłokiem nieszczęść zakryty... Zabobonna jak wieśniaczka, nie ma może siły dostatecznej do spełnienia haniebnych czynów; ale w sercu jej gnieżdżą się gadziny. Mężowi przyprawia lekarstwa z pomocą czarów. Nieraz *blada* z lampą w ręku przysłuchuje się, co śpiący mówi o niej w majaczeniach. A nieraz „jej ręka słucha, czy się serce w chorym nie pęka".

Ze zbrodniczą miłością nie kryje się, ale otwarcie „z bezwstydem na czole" sadza kochanka przy swoim boku. Kochanek to pierwszy lepszy, jakiego w tłumie spotkała. Grek nazywa ją „polską Hekatą", boginią piekieł. Piękna była pięknością szatańską. Co mąż czuł i cierpiał — tego ona nie odczuwała; a co dobrego w jego sercu zmartwychwstało — struła.

Widzimy ją dwa razy. Dowiaduje się o otruciu męża. Obłuda jej posuwa się prawie do granic niemożliwości. Poeta, malując tę scenę, powiada, że:

Ktoby w jej usta już nie *koralowe*,
Ale pobladłe, otwarte, surowe,
Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,
Jak przez *te usta serce w niej oddycha;*
Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem
I z *obwinieniem*, co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy;
Ktoby w tej chwili nie zalane łezką,

---

[1]) W rzeczywistości Greczynka *Zofia*, trzecia żona Szczęsnego Potockiego, kochanka i męża sławnej „Maryi" Malczewskiego (Giertrudy Komorowskiej).

Ale pięknością jasne nadniebieską
Widział jej oczy, gdy je w *gwiazdach* trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma: —
Tenby ją całkiem miał *niepotępioną*,
Zepsutą była, niewierną — *lecz żoną*...

Takie-to ułudne umiała przybierać postaci!...

W drugiej scenie spotykamy ją przygnębioną, złamaną. Do komnaty, w której się gach znajdował, wchodzi jej mąż „ze szmatą czerwoną na głowie". Gach oniemiał. Grafini skamieniała:

O marmur czoło uderzyło, jękło,
Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła
Przed same nogi groźnego widziadła....

Oto i wszystko, co nam poeta o swej Grafini opowiada. Prosta, nieokrzesana, ulegająca zwierzęcym popędom kobieta, demonizmem Byrona nacechowana, wstaje przed nami jak cień cmentarny — groźny a niewyraźny, fantastyczny. W piekło jej duszy nie zajrzeliśmy jeszcze do gruntu, nie odróżniliśmy jeszcze pojedyńczych szczegółów; — ale obecność jej trucizną zaraża powietrze, będąc zwiastunką postaci jeszcze okropniejszych, które jawnemi czynami pochodzenie swoje udowodnią.

Słowacki przez dwa lata (około 1834) zajmował się pilnem odczytywaniem utworów Szekspira i Dantego. Duch tych wieszczów silnie podziałał na wrażliwą fantazyą naszego poety, który wprawdzie niewolniczo nie naśladował, ale w każdym razie na wrażenia odbierane za pośrednictwem książek był bardzo czuły. Wiedźmy Szekspira, potępione dusze Dantego nie dawały mu spokoju: musiał je we własnym duchu przerobić i czytelnikom (bardzo jeszcze wówczas nielicznym) przedstawić. W roku 1834 napisał *Balladynę*, — w 1837 — *Poemat Piasta Dantyszka o piekle*. W tym ostatnim znajduje się postać „Maryi" (Malczewskiego), łącząca tym sposobem poemat „Wacław", gdzie występuje Grafini, ze wspomnieniem pierwszej miłości opiewanego przez siebie bohatera. Zbyt atoli ułamkowe są rysy, ażebyśmy cośkolwiek o tej postaci mogli powiedzieć. Zaznaczając tylko jej istnienie, nadmienić muszę dla uniknienia nieporozumień, że poemat „Wacław", jakkolwiek wydrukowany w tymże samym roku, co Balladyna (1839), napisany był później (Ball. 1834. Wacław 1837). Umieściłem atoli „Grafinię" w tem miejscu, ażeby fragmentarne postaci nie przerywały nam wrażenia, gdy mówić będę o kreacyach, na obszerniejszą skalę pomyślanych.

H. PIĄTKOWSKI.



BALLADYNA.

X.

BALLADYNA.

Gdzie ty mój grzebień podziałaś, Alino?

Usposobienia ludzi moralnie skażonych mają zawsze coś demonicznego w sobie. Wynosząc się niby nad poziomą naturę ludzką, wszystkie uczucia, które dla innych są rozkoszą, obryzgują krwią i kałem; u stóp swoich kładą serca i plwają na nie jak na rzecz obrzydliwą; na głowie mają dyadem, cierniami obrócony nazewnątrz... Zadowolnienie próżności i dumy trwa minutę; popęd do deptania ciał i dusz ludzkich budzi się potem z coraz bardziej olbrzymiejącą siłą. Jak węże zmieniają skórę, tak one — upodobania; — cała różnica polega na dłuższym lub krótszym przeciągu czasu. Zwyczaje ich nie są ludzkie: pragnienie gaszą krwią, głód nasycają ciałem. Gniewne i mordercze, widzą zdala majaki uspokojenia: zbliżają się z chciwością, której skala wraz z wiekiem się wznosi, i — zastają piasek suchy, żółty, błyszczący od ciągłych upałów. Nie przeczuwając, same sobie kopią mogiłę: suchym piaskiem nakarmić się niepodobna. Pogardziwszy uczuciem, wyśmiawszy miłość, pozrywawszy wszystkie sympatyczne węzły, jakie ich z resztą ludzi łączyły, przymuszone są żyć wśród okropnego wrzasku własnej duszy, której prawa ośmieliły się podeptać. Nienawistne same sobie, drżące w ciemności, kiedy nie widzą nic, czemuby głowę strzaskać można, we własnych słowach noszą jady, któremi zatruwają nietylko innych, ale i siebie... To też gdy nadejdzie wreszcie i dla nich — nie są bowiem nieśmiertelne — chwila rozpaczy, z której niema żadnego punktu wyjścia, snują się jak przeklęte mary tego świata: jeżeli kto do nich przemówi — to szyderstwem; jeżeli kto się ukłoni — to z urąganiem; jeżeli wreszcie kto zabije — to z obrzydzeniem. Po większej części atoli posoka ich nie ma żadnego powabu dla zwykłych śmiertelników. Zgnębione osamotnieniem śród gwaru; strawione jadem śród wykwintnych potraw; stoczone zgnilizną za życia; odwracają kolce dyademu w stronę własnych skroni, przyciskają je mocno, ażeby jeszcze w tej ostatniej godzinie nie stracić uroku blasku, i... giną.

Taką się nam przedstawia Balladyna — naturalnie z domieszką kobiecej próżności. Zawładnąwszy sercem biednej „siwej“ matki, wywalczyła sobie stanowisko, z którego płynęło potokiem samowładztwo i nieomylność. Wszystkie jej słowa były święte, wszystkie jej uczucia — szlachetne; wszystkie postępki — wielkie. Nawet naganę matka przyjmuje jako prawdę niezawodną, z dobrego serca, a szczególnie z mądrej głowy płynącą. Zarozumiała i dumna, rad nie przyjmowała od nikogo; zmysłowa — prowadziła pokątne miłostki z Grabcem, opojem i leniuchem. Żądna wyniesienia, nie chciała na nie zapracować — chociażby zbieraniem malin; wolała wziąć nóż zawczasu, w przekonaniu, że siostra jej, zakochana, dobra i czysta, wprzód od niej zbierze pełny dzbanek, który za pośrednictwem jednego pchnięcia przejdzie w jej ręce. Przy tej pierwszej zbrodni widzimy jeszcze najwięcej wahania, najwięcej skrytej bojaźni; ale po jej spełnieniu — niema w niej żalu, za nic w świecie nie chciałaby, ażeby jej siostra zmartwychwstała. Na pytanie Goplany: czyby zabiła Alinę po raz drugi, Balladyna mówi tylko te proste słowa: „Zgubiłam mój nóż!“ A później, kiedy pustelnik chce wskrzesić Alinę, ta okropnica powiada w gwałtownem uniesieniu:

Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdej twarzy trzy straszniejsze plamy;
Wolę je nosić aż do Boga sądu....
Niż przywrócić do życia zabitą.

Dla niej wyrzuty sumienia nie istnieją; straszą ją tylko oznaki zewnętrzne; dla niej szczęście byłoby już zupełne, gdyby z ręki krew otarła. Ale ręką dotknęła czoła i pozostawiła na niem plamę czerwoną. Ta plama okropna będzie jej wiecznem udręczeniem tak samo jak dla *lady Macbeth:* ona sprowadzi przed jej oczy widmo, które przytomnością swoją oka jej zamknąć nie pozwoli; ona będzie szpiegiem jej postępowania; donosicielem zbrodni; zdrajcą przeszłości.

Nie kocha Kirkora — chce jedynie jeździć w złotej karecie, mieć liczną służbę, którejby rozkazami mogła karki zginać aż do ziemi. Nie kocha matki; gdy już została wielką panią, kazała ją zamknąć do ciemnej izdebki, ażeby jej wstydu prostaczą mową swoją nie przynosiła; potem, gdy matka wydarła się zpod zamknięcia i córkę chciała uściskać, nazwała ją waryatką i kazała wygnać z pałacu „w noc i pioruny i w burzę i jeszcze głodną“. Nie kocha Kostryna: łańcuch zbrodni tylko silnie skuwa ich z sobą; przy pierwszej sposobności użyje go jedynie za szczebel do wzniesienia się wyżej; gdy się już na wierzch dostanie, szczebel złamie. Przez cały dramat nie widzimy nikogo, żeby do niego serce Balladyny uczuciem zabiło: jedna myśl ją opanowała, niemiłosierna, pustosząca wszystko na drodze swego pochodu. Posiąść koronę, panować, precz

odrzucić przeszłość jak jednę połowę jabłka zgniłą, „którą ośliniła żmija“; rozgnieść cierpienia jak robaka u nóg pełzającego; nowemi zbrodniami spokój okupić — oto program jej życia, któremu brakowało tylko pieczęci szatana. Zabójczyni, trucicielka, biegła w sprawach krwawych, umie dawać wielkie rady swoim podwładnym:

> Jeżeliś pełen męstwa i zapału;
> Jeśli chcesz kiesy po wierzch pełnej srebra:
> Idź na ten wzgórek, niech ci trupie żebra
> Będą drabiną, postronkami włosy;
> Idź i zabijaj!....

Mając serce przepełnione okrucieństwem, nie zna litości; wszystkich, co przeciw niej walczą, wieszać każe, a jeżeli śmierci nie pragnie, w karze wymyślna jest jak żarłok w potrawach. „Na wasze prośby — powiada raz do posłów — ułaskawiam obu: Wybić im zęby i wyłamać szczęki! — niechaj nie walczą!“ W takiej atmosferze nie rozwijają się kwiaty uczuć łagodnych. Wszystko, co ludzkie, co kobiece, zabiła w sobie. Jedna wstydliwość tylko pozostała. Idąc zabić Grabca, by dostać koronę, powiada:

> Nie mogłam spać, nóż leżał przy mnie, wzięłam
> *W koszuli* — wstyd! — gdyby cię kto zobaczył
> W koszuli z nożem w ręku!...

Okropne zestawienie, straszna ironia! Ona się wstydzi, że w koszuli idzie zabijać. Rozpustnica, kochanka Grabca, ma skromność dziewiczą!... Sądzimy, że ten rys został niewłaściwie przez poetę wybrany. Wśród nocy krwawych hallucynacyj jaśniejszy ten promień zbyt fantastycznie odbija, przyczepiając skrawek ludzkiego uczucia do płaszcza demona. Gdy burza wstrząsa drzew wierzchołki, łamiąc gałęzie i zarzucając niemi ziemię, widzimy tylko jaskrawe błyskawic węże; ale kielicha lilii białej trudno nam dojrzeć!... Nie przypuszczamy, ażeby ten jeden-jedyny rys jasny, zresztą zupełnie przypadkowy, miał ratować ludzką naturę Balladyny... osłabia tylko wrażenie, jakiem ponura jej postać napełnia umysł czytelnika.

Usprawiedliwioną jest zato zupełnie obawa Balladyny przed widziadłami osób, przez nią zamordowanych. Plama, niestarta nigdy, jest bezustannem *memento* pierwszej, okropnej zbrodni, dokonanej na siostrze. Ta siostra nieszczęśliwa prześladuje ją ciągle; wśród snu i na jawie, w ciszy i wśród gwaru uczty; gdy rozmyśla o nowej zbrodni i gdy czarę z napojem do ust przytyka. Obawa owa trzęsie jej serce tylko do pewnego czasu; kiedy już „rozum przywykł“ do śmierci, ukazuje się niezachwianą. Fałsz, obłudę, krzywoprzysięstwo popełnia

spokojnie, z bladem, ale wyniosłem czołem. Scena sądu, w ktorej wszystkie jej czyny w widomych występują kształtach, jest najwyższym szczeblem demonicznej doskonałości. Wydaje wyroki srogie (choć zgodne z prawem) na siebie samę, z zupełną świadomością rzeczy. Gdy matkę „blizką już trumny", ślepą, biorą na tortury, ażeby wyznała imię córki, która ją bezlitośnie wygnała, by piorun wypalił jej oczy: każe sobie tylko podać wody... Waha się wprawdzie z ogłoszeniem wyroku, lecz wreszcie wypowiada spokojnie: „winna śmierci!" — Wówczas spada piorun i zabija Balladynę. Stała się sprawiedliwość. Kanclerz, zamiast w koronacyjne, każe„ bić w pogrzebu dzwony..." Nie była człowiekiem — nie ludzie ją karzą.

Balladyna, sama w sobie wzięta, w wielu szczegółach przypomina lady Macbeth; wraz z otoczeniem (starą, ślepą, oszalałą matką i siostrą Aliną), może stanąć obok jednej ze złych córek króla Leara. Wpływ studyów nad Szekspirem widoczny. Krasiński powiedział, że Balladyna jest dziełem, „które w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził"; — ale — dodać potrzeba — porodził ją całkowitą, w uzbrojeniu jak grecką Atenę; nie mozajkowana-to postać, nie składana z pojedyńczych cząstek. Żywioł fantastyczny, otaczający Balladynę (Goplana, Chochlik, Skierka), jest wynikiem również studyów nad Szekspirem *(Sen nocy letniej)*. Doprowadzenie atoli do ostatecznych granic zarówno fantastyczności jak i zbrodni; spotęgowanie wszystkich środków poetycznych jest już najzupełniejszą własnością naszego poety.

XI.

WDOWA.

O! nie widać! lecz matce wiadomo.

Przesunęła się już wprawdzie przed nami postać matki Balladyny, ale zasługuje ona na bliższe przyjrzenie się, gdyż należy do tych kreacyj Słowackiego, które najwięcej pierwiastków czysto-ludzkich w sobie mieszczą. Miłość macierzyńska, ślepa lecz potężna, stanowi grunt charakteru Wdowy. Ukochała ona obie swe córki, ale Balladyna jest przedmiotem szczególnej jej troskliwości, przedmiotem przywiązania z pewną czcią połączonego. Już pierwsze jej słowa dają nam poznać tę jej ślepą, bezwarunkową miłość dla córki:

Zakończony dzień pracy. Moja Balladyno,
Twoje rączki od słońca całe się rozpłyną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku dożniemy ostatka;
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą.

W marzeniach o przyszłem zamęściu córek na plan pierwszy występuje zawsze Balladyna.

A może
Już o was słychać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
Jaki królewic — niech i kuchta dworu,
Albo koniuszy, zajeżdża karetą...
I mówi do mnie: podściwa kobieto,
Daj mi za żonę jednę z córek. Panie!
Weź Balladynę, piękna jak dziewanna —
Tobie się także, Alino, dostanie
Rycerz za męża — ale starsza panna
Powinna prędzej zostać panną młodą. —
W rzeczułkach woda goni się za wodą,
Mój królewiczu, żeń się z Balladyną...

A nawet nietylko w marzeniach. Kiedy Kirkor prosi o rękę jednej z córek, Wdowa odpowiada: „Ja dwie mam córki; ale Balladyna...“ poczciwe jednak serce matki, wymieniwszy swoję pieszczotkę, nie chce przecież zrobić krzywdy i drugiemu dziecku; więc dodaje ...„a młodsza Alina także jak anioł“. Tylko znowu kiedy serdeczna Alina bardziej jakoś do serca Kirkorowi przemówiła, o matce „siwej“ pamiętając, Wdowa, przestraszona, żeby brak tej cnoty nie zaszkodził Balladynie, dodaje skwapliwie:

Lecz Balladyna to samo mówiła
W sercu i w myśli... Wierzaj mi, rycerzu,
I Balladyna kocha matkę starą.

Gdy wreszcie ukochana jej córka została żoną grafa, Wdowa ani na chwilę o jej sercu nie wątpi, ani na chwilę nie przypuszcza, ażeby córka zaprzeć się jej miała, ażeby jej nie dozwoliła mieszkać razem z sobą; bo ona jest próżną i dla swych córek pragnęła wywyższenia, ażeby i sama podnieść się mogła; więc jej idzie o to wielce, by we wspaniałym mieszkać pałacu. Ten rys próżności, bardzo umiejętnie przez poetę zużytkowany, czyni Wdowę istotą prawdziwą, rzeczywistą, a nie wcieleniem idealnej tylko miłości macierzyńskiej. Ten rys zarazem nie pozwala jej widzieć z początku niechęci córki względem niej, gdy kazała wóz drabiniasty z przyjeżdżającą w odwiedziny przyjaciółką odprawić i kiedy jej radziła, żeby „tą klatką“ i sama się zabrała, jeśli się jej zamek sprzykrzył. Zastosowując się do położenia grafini, Wdowa przyznaje jej słuszność:

Prawda, córko moja,
Gdyby przyjmować, toby tu jak z roja
Sypało chłopstwo. Niechaj nas kochają
Zdaleka — prawda? córki rozum mają;
Ty nie głupiutka; kiedy zaczniesz prawić,
To księdza nawet nie zrozumie głowa...

Niebawem atoli miała doświadczyć na sobie donośności tej maksymy, którą wypowiedziała: „niech nas kochają zdaleka“... Córka chce ją także kochać tylko zdaleka; najprzód oddala ją od swego towarzystwa, pomieszcza w „ciupie“ samotną i daje jeść i pić „jak ptaszkowi“; potem gdy Wdowa znudzona tem życiem klasztornem, a raczej więziennem, przywykła niegdyś do ruchu i swobody, a przytem głodna, wydziera się ze swej wieży, i zjawia na uczcie; Balladyna powiada już wprost: „ja ciebie nie znam“. Wtedy dopiero matka rozumieć zaczyna serce córki, lecz sądzi, że dosyć ją wyłajać, ażeby znowu dobrą została; a gdy córka każe ją na deszcz i pioruny za drzwi wyrzucić, odzywa się w niej przedewszystkiem instynkt zachowawczy: obawia się

zimna i głodu, zaczyna błagać córkę — okropnicę; stara się ją zmiękczyć obrazem niewygód i cierpień:

O córko! pomyśl... ale tam na dworze
Ciemno, deszcz pada, a piorun pod chmurką
Czeka na siwy mój włos, by uderzył.
Patrzaj przez okno... grom nie będzie wierzył,
Jak mię zobaczy samę w taką burzę,
Że ja nie jestem jaką zabójczynią,
Co się po nocy błąka...

Kiedy wszakże i prośby nie pomogły, wybucha oburzeniem i przekleństwem na widok sług, co ją na znak Balladyny wypychali.

Powiem chmurze,
Niech bije w zamek gromem! Nie targajcie,
Ja pójdę sama... Świat teraz pustynią
Dla starej matki...
O! nie targajcie, bo i tak podarta
Sukienka moja... wiatr się będzie bawił
Z łachmanem starej matki. O! to czarta
Córka, nie moja! nie moja! nie moja!...

Gniew atoli, oburzenie, zawziętość niedługo w sercu jej goszczą i ustępują miejsca uczuciom miększym, jakiemuś rozłzawionemu usposobieniu, które się skarży na swoję niedolę, ale córki oskarżać nie chce, bo nie chce jej hańby. Jakże bolesne, jak wzruszające są te skargi biednej siwej matki, która próbuje umrzeć, by zapomnieć o wszystkiem, a nie może:

Wiesz ty, za szkaplerza sznurki
Wieszałam się na sośnie skrzypiącej za gardło;
Drzewo się ułamało...
Głupia, ślepa, wybrałaś gałązkę umarłą,
Gałązkę, córkę drzewa... Żelazna gadzino,
Nie zlitowałaś się ty matki wdowy?
A jabym żyła chleba okruszyną
W twoich pałacach! Niechby twoja ręka,
Sypiąc gołąbkom w trawę żer perłowy,
Nie odganiała od pszenic ziarenka
Zgłodniałej matki — Wygnać w las na burze!
Wypędzić matkę!... Upadłam w kałużę
I grom czerwony wyjadł z powiek oczy,
Wyjadł do szczętu...

I wtedy jednak kocha swą córkę: „Ach, gdybyś ty mię z grobu chciał ocucić, wołaj Bladina!...“ Nietylko jednak słowem, ale i czynem da dowód

tej nieograniczonej, przepaścistej miłości, która nie zważa na nic, ani na sprawiedliwość, ani na upokorzenie, ani na zbrodnie ukochanej; bo ona tak już zapełniła serce, że nic się w niem więcej pomieścić nie zdoła.

Wdowa zasłyszała coś o tem, że na tronie zasiadła młoda i piękna królowa; a że już dawniej z naiwnością dziecka chciała się udać do króla, ażeby miłość córce nakazał, więc teraz udaje się tem ochotniej do kobiety, przypuszczając, że ona lepiej jej serce, jej cierpienia zrozumie i życzeniu jej uczyni zadość. Staje przed królową, przed własną swą córką, właśnie w chwili, gdy się odbywały sądy. Nie poznając naturalnie swej córki, zanosi skargę zarówno na Alinę, która według kłamliwej wieści przyniesionej matce przez Balladynę „uciekła zpod matczynej strzechy“, jak i na Balladynę samę, że ją „na wichry i deszcze, w noc i w pioruny i w burzę i jeszcze głodną“ wypędzić kazała. Zawziętość nią nie kieruje; ona pragnęłaby jedynie, żeby serce córki do niej wróciło; w samem oskarżeniu błaga Boga o przebaczenie dla występnej...

Ale nadeszła chwila, w której biedna, próżna, ciemna kobieta wyrasta na prawdziwą bohaterkę.

Powiadają jej, że ustawa Lechitów przepisuje śmierć na niewdzięczne dzieci: wówczas Wdowa woła w przerażeniu:

Co? śmierć na córkę?... Panie, bądź mi zdrowy,
Żegnaj, królowo, ja wracam do boru,
Będę żyć rosą...

Nie chce już, wyrzeka się sprawiedliwości, nie pragnie nawet odzyskać serca córki, bo przez to na śmierć-by ją wydała... Pragnie więc dalej pędzić samotne, opłakane życie nędzy. Ale prawa na to nie pozwalają. Kto zaniósł skargę, odstąpić od niej nie może. Kanclerz najprzód perswazyą a potem groźbą tortury chce wymusić wyznanie; Wdowa uparcie odpowiada: nie! nie! nie!... Kanclerz każe ją wziąć na tortury; we Wdowie odzywa się znowuż instynkt zachowawczy; prosi królowę o litość:

Jabym być mogła matką twoją... Boże!
Ty nic nie mówisz? Nic?... To jakaś mara
Straszna na tronie...

Gdy królowa milczała, przychodzi w pomoc Wdowie rezygnacya, silne postanowienie wytrwania:

Więc ja się położę
Na tych żelazach i skonam, a w niebie
Bóg wam odpuści.

I dotrzymała słowa. Na torturach słychać było jęk. Balladyna powiedziała sobie w duchu: „z mego teraz ciała kat zrobił sercu torturę... rozciąga:“ ale najmniejszem skinieniem nie przeszkodziła spełnieniu okropnej zbrodni, bo się o swoję władzę lękała; zdawało jej się, że to ostatnia już zbrodnia, że nowe dni dla niej się zaczną... Po jęku nastąpiło milczenie. Na pytanie Balladyny, czy Wdowa powiedziała co w bólach, słyszy odpowiedź: „Umarła:“

Jak ją kat położył
Na tortur kleszczach, to oczy zawarła;
A patrząc na nią, ktoby się pobożył,
Że to kościany Chrystus był bez ducha.
Każda kosteczka wywiędła i sucha
Przez rozciągniętą skórę wyglądała,
Prosząc o litość.
Umarła cicho... A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana
I w obu dołkach stoją łzy...

Taka to była dusza wielka w swojej prostocie, bezbrzeżnem choć ślepem uczuciem do wyżyn heroizmu podniesiona.

XII.

ROZA WENEDA.

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.

„Nieszczęśliwa wróżka“ z wężowemi sploty na głowie jak starohelleńska Eumenida, krwią brwi swoje farbująca, wielka i potężna jak głos rozpaczy, surowa, okrutna jak człowiek, który poświęcił szczęście życia całego na dokonanie czynu, strącającego w przepaść i jego i wielu, wielu innych. Raz tylko jeden powiada, że „ma serce“ — ale my wierzymy jej stokroć więcej, niż gdyby Balladyna np. zapewniała nas o tem co minuta...

W duszy jej ogień się pali i płomieniem wybucha, kiedy zniedołężniałych do męstwa zagrzewa. Jakaż ją boleść przejmuje okropna, kiedy „warząc kość na polu i gotując mózg w czaszkach człowieczych“ przekonała się o nicości moralnej swego narodu, którego była ostatnią kapłanką!... „Sześć tysięcy — powiada — bez ducha upadło, jakby je kto struł. Nadeszłam z nożem — otworzyłam jeden tułów trupowy i znalazłam, że w nim *serce zbladło* i tak trzęsło się jak liść olchowy: więc plunęłam temu sercu w usta i rozcięłam drugą pierś dla ptaków, lecz znalazłam w niej *kłębek robaków* zamiast serca. I pierś trzecią rozdarłam i spojrzałam w nią — lecz była pusta!“ Nic już nie uratuje tych nikczemnych: ni pioruny, które włosami swemi niebiosom wydziera, ni błyskawice, któremi czoło swe opasuje, ni harfa z ciała ludzkiego — z siostry ukochanej, której warkocze za struny służyć miały... nic, nic!... Nad grobami stoi straszna pokutnica: słowa swoje zamienia na miecze, wbijając je w struchlałą pierś narodu — i czasem tylko jęknie, kiedy boleść jak nóż anatomiczny zaciśnięte zęby roztworzy — wtedy jękiem krwi pluje...

A gdy już wszystko przeminęło; gdy ojciec martwy spłonął na stosie; gdy jeden brat żywy zaciągnął brata-trupa na popioły ojca, wzywając piorunów, by spaliły ostatnie okruchy życia; gdy siostra „biała i niewinna“ skonała

napróżno, by dostać harfę czarodziejską: — Roza siadła na zgliszczach smutna, milcząca, zadumana. „Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie; teraz dwanaście tych pustych kamieni (na których stali harfiarze). I tak na wieki już i tak na wieki!“ W niej już odzywa się chór pieśni grobowych; tęskni za słowem ludzkiem: „I cóż nie mówisz do mnie nic — Polelum?“ W pytaniu tem jest skarga i westchnienie. Życie ubiegło — rozkoszy miłości nie zaznała — widziała upodlenie narodu — rozdarła serce najdroższym, poniosła krwawe ofiary — i — stanęła nad kupą popiołów... Idzie na stos, na którym zebrało się wszystko, co kochała, wyciąga łańcuch, którym skuci byli Lelum i Polelum, rzuca go pod stopy zwycięscy Lecha i mówi:

Patrz, co zostało z twoich niewolników!

To wymowa dumnego nieszczęścia!... Ona wiedziała, że lud, którego serce puste gotowem było dla robaków gniazdem, nie mógł żyć długo; pragnęła jego śmierci. Nikt się śmierci nie uląkł. Dym z ofiar ludzkich olbrzymim słupem wzbił się ku niebu... Roza przeniosła wszystkie bóle ludu, zamknięte w swem sercu; nie ugięła się pod ich ciężarem, nie zerwała samowolnie z życiem, które jej same nieszczęścia przynosiło — ale wytrwała do końca...

XIII.

LILLA WENEDA.

Ja braci moich, ojca mego zbawię.

Obok tej posągowo-groźnej postaci, wśród otoczenia z czarnych, ołowianych chmur, błyskawic i piorunów, ukazuje się biała, niewinna Lilla. Przerażona gromami nieba i gromami słów swej siostry, drży biedna i radaby zakląć smutną zniszczenia wieszczkę tchnieniem swej duszy anielskiej. Ona, zrodzona do wesołości, do cichych szeptów miłosnych, całująca się z bratem poprzez złote struny harfy ojcowskiej, znalazła się w okropnej chwili nieszczęścia. Więc próżno już teraz śpiewać i marzyć; próżno kwiatki zrywać i wieńce splatać; próżno się poić róż oddechem i wonią jaśminów... Nielitościwa konieczność z pieśni szydzi, wieńce krwią rumieni, kwiatami groby posypuje. Umrzeć ty musisz, Lillo, jak wszyscy — jak wszyscy!... Ufasz w potęgę swej duszy — tem lepiej: nawet gdy ginąć będziesz, nie stracisz nadziei. Córo łagodnej natury, kochanko kwiatów i gołębi, co białe jak ty za siostrę cię swoję uważają, wiarę swoję rozłamałaś na dwie części: usta swe Chrystusem uzbroiłaś, a serce — przebiegłością. Wszystko, co jest zewnątrz ciebie, da ci słów próżne dzbany, któremi nie ukoisz pragnienia; sercem własnem musisz wszystkich nakarmić... Siostra wyprorokuje ci zgubę, może z rozkrwawionem sercem, ale z twarzą spokojną, złowieszcze słowa wypowiadając. Czystą jesteś Lillo,

> Jak po moczarach białe konwalije,
> Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają
> I brudnej ziemi nie widzą i — giną. —

ale krew z wyłupionych oczu ojca płynąca strugą purpurową włosy twoje obryzga...

Wesoła niegdyś, teraz „za łez strumieniem“ słońca nie widzi. Bez skargi, choć z płaczem, poddaje się losowi. Rozśpiewana, musi teraz kalać swe usta pochlebstwem; z oczu swoich „robić zwierciadła“, w którychby ohyda i podłość

M. E. ANDRIOLLI.



ROZA WENEDA.

widziała się „piękną, wesołą, dobrą i pełną litości"; z gołębicami w powietrzu szybując, musi teraz pełzać u nóg okrutnej, bezwstydnej szatanicy.

Boleść jej jednak nie przygnębia — owszem bogaci umysł w zbawienne środki ocalenia ojca od haniebnej śmierci. Wyzywa Gwinonę do walki: trzy razy wyratować ojca obiecuje. Sercu milczeć nakazując, sama namawia brata, by (jak drugi Tell) rzucił topór i odciął ojca zawieszonego na drzewie; myślała, że to będzie dość dla twardego serca królowej. Lecz wola srogiej kobiety — niezłomna, a zemsta — nieunikniona. Kazała rzucić Derwida na pożarcie wężom. Lilla i na to w swem kochającem sercu sposób znalazła.

Przy wieży, biała księżycem dziewica
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej
W krąg stoją węże, tak wyprostowane
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną!
Ona te węże czarodziejską pieśnią
Zaczarowane trzyma i spokojne....

Włócząca się do stóp błagalnica i po raz trzeci ojca wybawia. Karmi go zgłodniałego w więzieniu liliami, któremi skroń swą i głowę uwieńczyła. A teraz smutna ją spotyka nagroda. Ojciec albo jej albo harfy wyrzec się musi. Jakież uczucia przebiegały po sercu tej czystej, kiedy widziała wahanie się ojca; jak stara się wmówić w siebie i zapewnić innych, że ojciec ją kocha, chociaż harfę wybierze, harfę, która do zbawienia narodu potrzebna... A kiedy Derwid porywa harfę z chciwością i chce uciekać, ona zapłakała gorzko, ale wszystkich przekonać pragnie, że to łzy wesela, przypomnienia doznanych niegdyś od ojca czułości...

Wymowna, gdy szło o ocalenie ojca, staje się milczącą choć zrozpaczoną, gdy sama paść ma ofiarą. Harfa została — wracać po nią musi. Znikła wszelka nadzieja. Nie ma nic do oddania w zamian. Musi się poświęcić. Więc idzie. Klęka przed ojcem i mówi mu, że lutnię mu przyśle.

A jeśli jaka struna z najmaleńszych
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń tryumfu:
Pomyśl, że struna ci ta przypomina
Najmłodsze dziecko; — i uderz je ręką,
Niechaj nie płacze!

I po tych słowach wszystko się skończyło... Życie marzeń przecięte; sny złote przerwane i tylko cicha jej postać „w srebrną bieliznę" przybrana z wieńcem bławatków i narcyzów na głowie — podsunęła się pod palce niewidomego ojca, który chciał z niej wydobyć tony jak z harfy. Napróżno!... Skonał.

Nie potrzebuję objaśniać tej postaci. Wyobraźnia poety podbudzona na-

pisem śmiertelnym Julii Alpinuli, która ojca „od śmierci wyprosić nie mogła“, przypominając sobie błota pińskie i lilie służące za pokarm dla wieśniaków, — kwiat w kobietę przemienić zapragnęła. Słowy miękkiemi i uczuciem łagodnem uposażył poeta lilię, przeniósł ją w krainę poezyi, cichego męczeństwa opromienił ją blaskiem, na łąkach kwietnych i w śpiewnem powietrzu poszukał dla niej przyjaciół — i stworzył Lillę Wenedę — smętną *rusałkę,* zmuszoną żyć wśród szczęku oręża. Postać jej powiewna jak mgła się rozpływa i — niknie.

J. BOGUSKA.



AMELIA.

XV.

AMELIA.

Z wszystkich nędz — najstraszniejsze ludzkie zapomnienie.

Jest-to Lilla Weneda przeniesiona na grunt bardziej rzeczywisty, wśród ludzi historycznych, nie zaś fantastycznych, legendowych postaci. Taż sama bladość, taż sama prostota w ubraniu i toż samo zamiłowanie lilii; smutek trawiący duszę przeznaczoną do szczęścia i śmierć okropna, której nie poniosła dla zgładzenia swej winy, lecz dla spełnienia srogich losu wyroków.

Tak była cicha i skromna, że wszyscy ją za „dzieciątko niewinne" poczytywali. Ubiór głowy skromny „bez żadnego fiocha"; trzewiczki miała „ze skrzydeł motyla" — jak się wyraża jedna z osób dramatu. Tyle o jej powierzchowności. Wnętrze jej ducha smutne, bolesne, cierpiące „bez jęku, boz głosu". Żadnej nadziei na przyszłość — ciemna noc pokrywa nazawsze marzenia o szczęściu. Za obronę ma łzy tylko i pogardę. Zapewne, nie mając w duszy błogiego spokoju, szukała w krainie fantazyi zadowolenia swych pragnień. Tę stronę jej duszy — marzycielską, błędną — uwydatnił najlepiej poeta w rozmowie z królem, kiedy opowiada napad Mazepy na „wązkiej kładce". Młody pazik domagał się pocałunku; ukląkł; zaczął mówić, że ją poznał „po róż zapachu..." Amelia tak się tłómaczy:

Musiałam oczy spuścić i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę...

Jednakże gdy rzeczywistość po raz drugi ją dotknie; gdy nowa spotka ją obelga: już nie będzie wzywała na pomoc ani rybek, ani słowików... sama z podniesioną dumnie głową obroni swoję godność kobiecą ostrem i dotkliwem słowem. Umie-bo ona używać wyrazów dobitnych, z lawy ostygłej wyrzeźbionych... „Powiedz mu — mówi do króla o Mazepie —

... Że ja pogardzam i zapomnę o nim:
Że choćbym nierządnicą była — nie skorzysta,
Bo jeszcze ja dłań będę za dumna, za czysta!...

A gdy rozpustny król, niezrażony temi słowy, chciał, podobnie jak pazik, ust jej dotknąć, mówiąc:

O, dumna — raz niechętne dałaś całowanie
Czołu pazia — lecz teraz spotkasz...

Amelia uprzedza go wyrazami:

Już mi widne
Król: Czoło w koronie... *Am.* Zimne... *Kr.* Dokończ...
Am. I bezwstydne...

Potęga w niej była utajona — pokonywała ją w sobie...

Amelia kocha swego pasierba -- Zbigniewa; — ale to nie miłość starożytnej Fedry, lecąca na oślep, rozrywająca wszystkie pęta moralne, byle zadowolnić wzburzoną namiętność: — to miłość chrześcijańska, zrezygnowana, lękająca się wyznania nawet sama przed sobą. Żyje tylko dusz połączeniem i łzami. „Bóg z tobą — mówi do Zbigniewa — ja waćpanu nie mogę nic prócz łez... *ja sama cierpię!*“ Oto cała jej skarga; chociaż i tej się przelękła: „jaka plama dla mojej czystej duszy tak z waćpanem gadać!...“ Jedyna ucieczka w Bogu, w modlitwie; tam znajdzie spokojność. Jednak idzie Amelii o to, ażeby Zbigniew pamiętał o niej, żeby pamiętał jej łzy... Ciężkoby jej przyszło obejść się bez tego wspomnienia. Wreszcie, chcąc niby zupełnie spokojną pozostać i nie mieć wyrzutów sumienia, kończy wyznanie temi słowy, co tak wybornie malują kobietę: „To, co teraz mówię, *mówię nieprzytomnie*“. Kłopocze się o ów spokój, bo jest pobożną, zabobonną nawet. Opowiada Zbigniewowi, że jej turkusowa szpileczka, którą miała po matce, złamała się; to rzecz mała — dodaje — „lecz na okładce książki od nabożeństwa zapisałam sobie ten dzień *jak zły dzień!...*“ Dusza przeczuć pełna a zawsze złowróżbnych... nigdy uspokoić się nie mogła; niewyznana miłość trawiła ją gorzej od rozpalonego żelaza; pragnęła wyznania, a lękała się tej chwili, w której ono pojawić się mogło; tęskniła za miłością — i odpędzała jej cień jak dręczącą we śnie marę.

Zbiegiem fatalnych okoliczności posądzona przez męża i przez pasierba o tajne miłostki z Mazepą, upada pod brzemieniem hańby. W tej atoli chwili jeszcze myśli o swym ukochanym i nie męża zapewnia, że „w alkowie niema nikogo,“ lecz Zbigniewa. Wycierpieć wtedy musi wszystkie obelgi, wszyskie

okropności wyrazów, wszystkie posądzenia zjadliwe... wysłuchać musi, jak Zbigniew, chcący przebić się nożem, mówi głosem zimnym, szyderczym:

Stój, nóż nadto chłodny,
Ja ci go mojem sercem rozdartem ogrzeję!...

I musi wysłuchać, gdy, już otruta, zbliża się do trumny Zbigniewa, — jak mąż, niepohamowany w gniewie i w oburzeniu, odtrąca ją, rzucając na nią splotem słów wężowych:

A nie kładź się Waćpani tam na dziecka trumnie,
Bo ją splamisz!

Wysłuchać musi — i umierać — niepłakana, nieusprawiedliwiona, bez przebaczenia, bez łez. Smutno, gdy wicher namiętności rozerwie krzew życia i rozniesie na wszystkie strony świata, piaskiem go suchym przysypując; smutniej, gdy za błąd mały nieznaczący musimy odpokutować żałobą szczęścia na ziemi: ale najsmutniej, kiedy, potargawszy wszystkie struny własnego serca na korzyść innych, doznajemy w zamian upokorzenia, słyszymy przekleństwo, widzimy pogardę... na wieki. Amelia — to męczennica. Wyraz ten wypowiada wszystko. Zamknąć w sobie najokrutniejszą boleść; widzieć uczucia swoje sponiewierane, podeptane nogami, — i nie jęknąć, nie poskarżyć się; za całą obronę mieć tylko łzy smutku bez nadziei i rozpaczy, ciągnącej się w nieskończoność — oto jej przeznaczenie, które kończy jedynym samodzielnym czynem — otruciem się. Miłość nie dała jej rozkoszy; miłość nie włożyła na jej czoło wieńca ze ziszczonych marzeń; wiara i pobożność nie obroniła jej przed haniebnem podejrzeniem; ufność ją zawiodła; szlachetność stała się grobem szacunku, jakiego od męża wymagać miała prawo. I stoi przed oczyma naszemi tak, jak ją *po śmierci* odmalował poeta:

Patrz — blada jak płótno...
Posąg, który się trzyma strętwieniem boleści —
Jej ducha anioł teraz podnosi i pieści,
A ona mu *rozpaczy ciszą* odpowiada —

To posąg cichej rozpaczy!...

XVI.

BEATRYKS.

> Jestem jako najbielsza z gołębic,
> Co się w kałuży krwawej chciała kąpać
> I opryskała krwią całą rodzinę!...

I znowu strugami krwi zalewa nam poeta wyobraźnię. Ponury i ohydny dramat, prześcigający mityczne podanie o Cynirasie i jego córce, wystawia na pierwszy plan kobietę-dziewicę, czystości „swego ciała“ broniącą. Zmysły ojca zapałały do własnej córki; Beatryks sztyletem przecięła pasmo niepokojów. Czemu zabiła ojca — nie siebie? Pytanie to jedynie w egoizmie życia znajduje odpowiedź. Wtedy nie kochała jeszcze nikogo. A chociaż później powiada, że *„przeczuciami* dawno rozkochana w Gianim, w nim jednym, broniła *wierności;“* to wszakże przed sądem zdrowo myślącego człowieka słowa takie nie mogą być żadnem usprawiedliwieniem. Ona pragnęła żyć, a mając w żyłach krew gorącą włoską, pragnęła rozkoszy; umierać więc było dla niej niepodobieństwem. Tak przynajmniej myślała. „Hekate okropna“, ale „piękniejsza niż wszystkie marmury z grobów dobyte“, miała ona odwagę anioła mściciela; — brat jej stchórzył — ona sama ojca zabiła i nie zadrżała. Wśród chmary duchów żyje cała rodzina. Beatryks wychowała się w szkole okropności. Matka jej wyznaje: „warkocze moje pobielały; oczy wpadły do sinych dołów, wykopanych zgryzotą, strachem, zgrozą i cierpieniem“. Furye, wiedźmy dom ten przeklęty otaczają dokoła. Beatryks nabrała hartu stali i posągowości marmuru. „Jestem spokojna!“ — mówi po spełnieniu morderstwa. Kiedy zrobiono zgiełk dla utajenia zbrodni, ona jedna „nieporuszona stała i ku ziemi trzymając oczy i pochodnię — jakby *posąg przeszłości,* na którego twarzy to, co obecne, nie zostawia śladu“. Pośród zgrai lamentującej zachowała spokój i „surowe na ustach uśmiechy“. Poeta porównywa ją do sprawiedliwości „ważącej trupią

krew na swojej szali". Wyrzutów sumienia nie czuje; czyn swój uważa za zupełnie prawy. Ani jednego słowa żalu, ani jednej łzy...

Wtedy to zbudziła się w niej miłość. Spotkała oczy Gianiego w kościele, posłyszała wyrazy uwielbienia. Zatroskała się już o życie ukochanego; rozbraja brata walczącego z nim, mówiąc: „już dosyć krwi na mojej duszy". Wstyd dziewiczy walczy z ludzkiem uczuciem. „O bezwstydna! w żałobie słucham, czego nawet w bieli nie winnam słuchać" — powiada na gorące zaklęcia Gianiego. A jednak nie może się z nim rozstać bez jakiejś pamiątki: „Weź — mówi — tę gałązkę smutnego cyprysu, abyś miał ubrać w co ostygłe ciało twego przyjaciela" — którego zabił jej brat Tomaso. Odtąd już uspokoić się jej nie podobna. Wysyła zaufanego, ażeby szukał jej kochanka, którego nazwiska nawet nie znała. Każe mu powiedzieć wszystko, tak jakby sama powiedziała, gdyby ją nazwał „czystą i niewinną;" każe tylko patrzeć mu w oczy i zapisywać w sercu, co jego „czarne oczy" odpowiedzą; każe sobie kupić trucizny, jeśli Giani nie zechce uwierzyć, że „ona jest zabójczynią". Zanim on jej nie potępi, nie chce, nie może umrzeć. Wszechwładza miłości uczyniła ją już niewolnicą...

Żyć w domu okropnie; wszystko krwi barwą dla niej się pokrywa; „chust skrwawionych" dotknąć się nie chce — woli umrzeć. Ucieka więc, sama nie wiedząc dokąd; jednę tylko ma myśl wyraźną, jasną — znaleść ukochanego. Znajduje go. Ach! wtedy nie wie już co zrobić: rękami białemi targa swe włosy i oczy zakrywa; usta jej drżą; cofa się i znów niepewnym stąpa naprzód krokiem. Wszystko napróżno! — ona musi paść w jego objęcia; ona musi zawołać głosem złamanej dumy a rozszalałego serca:

Słuchaj, nie wiem, kto ty jesteś,
Ale przez twoje ręce pragnę skonać,
Ale przez twoje ręce — być zabitą,
A przez twe oczy tak smutne — płakaną,
A przez twe serce czyste — przebaczoną...
Czy ty masz sztylet? — o daj! o daj!

Sztyletu żąda, bo może w oczach Gianiego nie wyczytała miłości i przebaczenia, chociaż ją słowami o tem zapewniał...

Po tej ciągłej, wrzącej gorączce następuje strętwienie. Zwykły to objaw u natur gwałtownych. „Jestem jak kamień — powiada Beatryks — najlepiej do serca kochanka przemawia grób". Tu zadamy pytanie, dlaczego kochankowie porozumieć się nie mogli?... Czyż wina w tem jedynie popędliwego charakteru Gianiego — czy obojga tych dziwnych, namiętnych ludzi, którzy nie znają zwyczajnego kroku rozumowania — skaczą tylko lub latają po urwiskach... Pyta-

nie to stawiamy przyszłym komentatorom *całego* dramatu — dla nas ma ono podrzędne znaczenie. Idziemy dalej. Beatryks sama przyznaje się do popełnionej zbrodni; w więzieniu przecież myśląc, że uratuje rodzinę, zaprzecza jej przed sądem! „Sumienie jej bezsenne“ czuwa ciągle; marząc o kochanku, przywołuje myśli rozpierzchłe „jak gołębie w upał źródlanej wody upragnione“. Wyobraźnia stawia jej zawsze przed oczy obraz ukochanego. Beatryks mówi do Dolorydy: „Powiedz, że mię tu widziałaś *spokojną*, o nim myślącą i *pełną radości*... powiedz, że kocham go — jemu posłuszna; że czekam śmierci, ale z jego woli, z jego rozkazu, z jego osądzenia, z jego wyroku“. Obfitość słów świadczy o gwałtowności uczuć w sercu Beatryksy: o nim jednym myśli, marzy, śni i mówi — jego słowa i wola wszystkiem dla niej. „To mnie uczyni — powiada dalej — dla katów rzeczą cudzą, nietykalną i nieśmiertelną tak jak miłość moja“. Jednego lęka się tylko, gniewu Gianiego, — bo cóż ją świat obchodzi?!...

Jakże ona serdecznie, rzewnie rozstaje się w więzieniu z ukochanym:

Jestem spokojną teraz i szczęśliwą...
Pamiętaj o mnie — pamiętaj ty o mnie
Inaczej niż lud, który się lituje,
Inaczej niż Bóg, co patrzy bez żalu;
Pamiętaj o mnie jako o Rzymiance
Nieskazitelnej, strasznej, nieszczęśliwej,
Którą... splamioną... miłość oczyściła
Ze wszelkiej zmazy...
Lecz miłość przyszła późno... Słuchaj Giani!
Ty weźmiesz mego małego braciszka
I będziesz kochał — co? będziesz go kochał?
A jeśli przyjdzie do ciebie spłakany,
Że go odepchnął jaki człek zwyczajny
Przejęty zgrozą... weźmiesz go na ręce
I będziesz mu łzy ocierał — ustami.
To mój braciszek...
Zaklinam ciebie, dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą.
Lecz ta godzina jest bez drugiej dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu...
I Bóg mnie weźmie... o! tak rozpłakaną...

Długo cierpieć nie może — woli śmierć najgwałtowniejszą, ale szybką. Wystawiono w sądzie obraz zabójstwa jej ojca — wszyscy zadrżeli. Beatryks woła do rodziny: „Czy wy czekacie, aż z nas będą trupy pozabijane własnemi oczyma? Mnie samę zimny zlał pot i rozstroił tak, że nie słowa mam w ustach, lecz jęki“... Gdy umrzeć już miała, zapragnęła mieć — żądanie kobiece! —

róże. „Niech się napatrzę na kwiaty *spokojne*". Tak gorąco wzdychała do spokoju, który miał ją niezadługo utulić na wieki!...

Beatryks przed sądem wypowiada dumne zdanie, malujące całą jej duszę, korzącą się jedynie przed kochankiem i Bogiem; zdanie może dlatego tak samochwalcze, że od nikogo na świecie słowa pociechy usłyszeć się nie spodziewała. „Potępcie mię" — mówi — a

> Na miejscu, gdzie krew moję rozlejecie,
> Postawcie *ołtarz białemu wstydowi*
> I z alabastru posąg przezroczysty
> A szyję jego krwią oczerwieniwszy,
> Zakryjcie perły albo lilijami;
> *A będzie-to Bóg nowy* — w nowym Rzymie.
> I to jest całą obroną Rzymianki!...

Prawda — spółczesne zepsucie było wielkie, rodziny hodowały całe stada żmij jadowitych. Rzym potrzebował odnowienia; — ale w tym odnowionym Rzymie niepodobna znaleść miejsca na posąg dla Beatryksy — jako *Boga nowego*... Nie ma do tego żadnego prawa; nad głową jej nie unosi się gwiazda natchnienia ni czynu. Raz z bezprzytomną prawie energią błysnęła sztyletem i rzuciła go precz od siebie, stając się cieniem, „marą bladą". Odtąd widzimy w niej istotę słabą, schorzałą, niezdolną już do niczego — oprócz do kochania; była prostem igrzyskiem wypadków, a nie — istotą samodzielną. Tam zaś, gdzie ludzie do czynu się budzą, potrzeba bogów energii — nie zaś melancholijnego marzenia. Beatryks będzie dla nas jedynie przykładem fatalności ludzkiego serca i ciała, powołanej do bytu przez działanie nie odwiecznych i zwykłych czynników, lecz nader szczególnych i wyjątkowych. Co więcej, Beatryks byłaby może potworem, gdyby... nie to, że... kochała!

XVII.

ANIELA.

Piękność kobiety
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda
Lecz może, w duchu będąc, robić cuda...

Wspomnieliśmy już, że najsilniejszą bodaj miłością poety naszego była podolanka Aniela. Stała ona się wzorem do postaci kobiecej, jaką później w Beniowskim przedstawił. Aniela w rzeczywistości była dumna; laury, zdobiące głowę Juliusza, nie pochylały jej czoła ku ziemi; czuła się równą wieszczowi i chciała, żeby on równość tę uznał. Poeta, nieprzyzwyczajony do tak wyniosłych ze strony kobiet wymagań, silnie tem został podrażniony, a nie chcąc nigdy przyznać się do winy, zręcznie ją na innych przenosił. W wierszach (dwa sonety do *Anieli M.*) nazywa ją „zimną skałą" usta jej z szyderstwem „rozumnemi" mianuje, ciało — „marmurowem"; wyrzeka się jej miłości; w gwałtownem uniesieniu, które zdradza głęboko zranioną miłość własną, wypiera się, żeby kiedykolwiek jej „znak u lewej strony nosił". Dumnie atoli podnosząc głowę, nie umie pogardzić chłodno, obojętnie — ach! bo serce może po raz pierwszy w życiu dojrzałem odezwało się biciem gwałtownem, niepowstrzymanem. To też łono poety „zamknięte" wre „ogniem i *żałością*", serce swe „dzikie, smutne i szlachetne" chciałby „wyrwać z piersi i skąsać i precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną" miłością kobiety, która myślała, że on „z tem ognistem sercem" nazwie ją „kochanką i *żoną*". Wprzód nim miałaby je „*zdeptać* nogą", woli poeta rozciąć swe serce „zimnem żelazem", woli umrzeć, niż „białe marmurowe ciało" kobiety „owionąć ogniem", żyć z taką skałą, jaką jest ona!... Tak namiętnej skargi nigdy przedtem nie wypowiedział poeta; nigdy słowo jego nie miało tej siły przekleństwa, jaką daje jedynie prawdziwe uczucie, z jakiegokolwiek powodu zawiedzione i złamane. Pomimo uniesień,

pomimo niezbyt pochlebnych epitetów, czujemy, że poeta chętnieby „owionął ogniem zimną skałę“, gdyby ona tylko na to pozwoliła... Na głębi uczucia pomylić się niepodobna. Poeta został pokonany; ale do porażki swojej przyznać się nie chciał. Owinął się „w płaszcz rycerzy, którzy na bieli mają krzyż czerwony“; serce swoje złożył do trumny i... wyciągając ramiona ku lubej — przeklinał!

Taką była rzeczywistość — zobaczmy, jaki ona wpływ na poezyą wywarła.

W poemacie p. n. *„Beniowski“* Aniela występuje w dwu postaciach, które wśród zmienionych okoliczności odmienne są w szczegółach, lecz duchowo — ściśle z sobą spojone. Poeta miał widocznie przed oczyma kobietę rzeczywistą — nie zaś chimerę fantazyi. Wprawdzie zwyczajem swoim otacza ją niekiedy marzycielskim rojem zachwytów, które w realnem życiu nie mają nic sobie odpowiedniego; wprawdzie z jej przyjściem „wszystkie kwiatki młode owionęły ją zapachem, pszczółki zaczęły brzęczeć, źródła i brzozy na spoczynek ją zapraszały a gołębie pod dachem turkać głośniej zaczęły — z jej przybycia radośne“; — ale są to rzeczy już zwykłe w poezyi, która, posiadając niewyczerpane źródło życia, wszystko ruchem i czuciem obdarza. Lecz w postępowaniu Anieli, a szczególniej w jej słowach widzimy kobietę-dziewicę, prawdziwą córę społeczeństwa, wśród którego się urodziła i żyła.

Dziewczę to „z białą szyją“ — dumne i nieskazitelne. Chodziła „jako łabędź lub anieli“. Nie była „strzelną“ swemi źrenicami; jej czarne, duże oczy były „pełne iskier“, „paliły czoła“. Włosy długie, krucze „w róg zwinięte“, ręka — „piękna, maleńka i biała“, głowa miała „kształty święte i uświęcone snycerską powagą, smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte“. Pięknością „bliższa jest Afrodyty“ — taka lekka, że „na fale stawu wejść mogła i staw nierozbity nosiłby nóżki jej“. Barwy — „troszeczkę *bladawe*“...

Nie była-to atoli panienka prosta, naiwna; nie była-to gąska wiejska; bronić siebie umiała słowy i uśmiechem, znała się już na fałszywości ludzi i nie wszystkich darzyła jednakowem uczuciem; w jej sercu brzebiegłość kobieca nie stłumiła dobrych i szlachetnych popędów, ale nie dozwoliła rozrość się miłym kwiatkom bezświadomej ufności i czułostkowego zaślepienia. Pozbawiona matki, musiała być „wszystkiem w domu“ swego ojca; musiała się nauczyć światowych konwenansów i światowej obłudy. Niewiele na to moglibyśmy z poematu przytoczyć dowodów, gdyż postać Anieli pojawia się zaledwie kilka razy; zastanowimy się więc nad jednym tylko ustępem. Aniela wraca z *tajemnej* wycieczki, serce jej bije gwałtownie. Myśli o tem, „jak tę psotę“ ubierze w wymówki; różane usta przygryza zdradliwie, ze spuszczonych oczu błyski „w bok

miota"; patrzy się trochę smutnie i trochę fałszywie"; przygotowuje serdeczny uścisk dla ojca; dla guwernantki — pocałunek „podobny pokrzywie" — wreszcie jeden ukłon nizki

Dla pretendenta do obrączki ślubnej,
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej...

Widzimy tu dziewczynę przebiegłą i płochą napozór, zwłaszcza kiedy się dowiadujemy, że panna Aniela widywała się tajemnie ze Zbigniewem (Beniowskim) „jak róże, co się nad mur przegną"

I mimo czujne ogrodowe stróże
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną...

Lecz to złudzenie tylko. Dla zwyczajnych zalotników jest „jak skała" (Porównać Marylę Mickiewicza).

Albowiem nigdy nie kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Jeżeli przebiegłą była, nauczyła jej tego miłość — miłość prawdziwa, serdeczna; nie miłość „romansowa", mająca swe źródło w rozognionej wyobraźni, w dumie, w wyrachowaniu, w skrzywieniu naturalnych popędów. „Serca w miłości są uparte" — mówi Słowacki. Jest-to jedno z najprawdziwszych jego spostrzeżeń. Ono tłómaczy nam i Anielę. Kochała Zbigniewa wiernie, wytrwale, niczem się nie zrażając, chociaż była dumna. Nie mogła zrozumieć, co to przywiązanie z musu; co to ulegać fatalności wypadków. Gdy Helenka (wieśniaczka młoda) opowiadała jej, „jak to wstyd długo rumieńcem maluje, gdy *pan* obejmuje stan i pocałuje" — Aniela krzyknęła:

Co? czy nie masz noża?
Ja ci przysięgam w imię Zbawiciela,
Że, gdybym sama była śród rozdroża,
A była za mną przepaść i topiela,
Pełna gdzieś na dnie ognistego morza;
Skoczyłabym w nią prędzej, niżby kto mię...
Nie, nie — nie można żyć po takim sromie!

Wszystko poświęcić gotowa dla obrony własnej godności. Mężna, słowami rzuca na nikczemnych jak gromem. Dreszcz oburzenia przejmuje ją na wspomnienie swego konkurenta (Branickiego). Fantazya nasuwała jej obrazy pełne grozy dla jej duszy dziewiczej:

.....Ona słyszała, jak on ją wywleka
Z komnat dziewiczych; jak myśli — iaszczurce
Pozwala łazić po niej, jak ją plami,
Mówiąc o wdziękach brudnemi ustami...

To też przyjmuje go słowami pełnemi gniewu i pogardy. Gdy się raz zbliżył, nie widząc jej, a widziany, ona go pyta: „Dlaczego na mnie za drzwiami szczekasz, a gdy ja stanę w oczy, to uciekasz?" Czuje się wyższą od niego; panuje duchem... Przypomina sobie Helenkę: „Helenko — rzuć mu w oczy te pieniądze, za które wstyd swój sprzedać musiałaś". A do Branickiego:

Przyszłam ci mój próg domowy
Pokazać palcem, byś szedł precz z dziedzińca
Do twego króla-pana — bez gościńca!

Tak-to w jej piersi spoczywały gromy wulkanów, które się palą wewnątrz i tylko kiedy-niekiedy ognistą słów lawą wybuchają, treść swoję zdradzając. Lecz jeżeli ma gniew, oburzenie, pogardę, przekleństwo dla niegodnych jej miłości jako kobiety i obywatelki; to drodzy jej sercu doświadczają wszystkich radości szczerego, prawdziwego uczucia. Jest dobrą dla swego ojca, dla swej starej piastunki Diwy, dla biednej i nieszczęśliwej Helenki. Gdy tę ostatnią zabito, rozpacza jak siostra i jak matka. Przyzywa jej najczulszemi słowy, całuje i pieści, upokarza się przed Bogiem, prosząc o cud zmiłowania. A gdy wszystko napróżno, uznaje w niej równą sobie. (Trzeba przywołać do duszy obraz panny *starościanki* i *chłopki*). „Jakże ją do mnie — powiada — ta śmierć przybliżyła: zda mi się, że to moja siostra miła!..."

Ale najlepszą już była dla tego, którego ukochała. Nie można powiedzieć, żeby Zbigniew nie był jej godzien; w każdym razie nie dorósł wysokiej skali jej uczuć. Ona musiała być dla niego wszystkiem — „i siostrą i matką i służącą". Zbigniew jest biedny i z powodu swego ubóstwa nie doznaje należnego szacunku u spółobywateli. Uczucie Anieli potęguje się jeszcze:

Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce;
Lecz ja cię kocham *jedna — ja mam serce.*
Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
Majątek? ludzi sąd — ja kocham ciebie!
. . . .
Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję!
Kto nas rozdzielić chce — ten mię zabije!

Wloką ją przed ołtarze, zmuszają do nienawistnych ślubów; lecz ona ma siłę oporu; nawet bez słów pociechy ze strony kochanka ona wszystko zwycięży; sama echa wyrazów własnych słuchać będzie i pomyśli, że tak mówi

kochanek. Będzie-to zapewne złudzenie miłości — ale nie chorobliwy sentymentalizm. Ona wie, że kochanek powinien jej dodać nadziei, wesprzeć ją gorącemi słowy — a tymczasem widzi przed sobą posąg niemy. Wszystko mu przebaczyła, ale jej smutno. Boleść złamała jej giętką postawę; usteczka różane zbladły, uczuwszy „gorzkich łez piołuny"; ostatni już tylko dobył się jęk: „Kochasz mię jeszcze?" O tem jedynie upewnić się chciała — i upewniła.

Czułość atoli nie zabija w niej energii.

Zamknięta w sobie, wyrobiła w sercu swojem siłę, wyzywającą do walki świat cały. Miłość jej wielka, olbrzymia; ale i poczucie siły — olbrzymie. Beniowski przyszedł zwrócić jej słowo, bo jest biedny i bez nadziei („pół Donkichota a pół króla Lira"). W piorunowych słowach Anieli grzmi duma i... tętni miłość: Co? — rzekła głosem cichym, lecz strasznym i dzikim:

Po toś przybył i mnie z domu
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,
Abym słyszała, ja, która tak wiszę
W powietrzu, jako ta smętna kaskada,
Abym słyszała to, co teraz słyszę,
Że skała, z której ja lecę — upada!
. . . .
Więc i ty na sercu kaleka,
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje!
O!, trup ty! stój-że ode mnie zdaleka,
Bo ja się próchna i robaków boję!...

A ja go czekałam tak długo — myślała sobie Aniela — i cóż mam teraz? — Stoję jak nad przepaścią, sama jedna i opuszczona wiecznie! Więc serce moje mię zawiodło! Pokochałam trupa, którego zawsze elektryzować muszę, ażeby iskrę życia na chwilę z niego wydobyć! I nic mi już, nic nie pozostało na ziemi... Chciałam się oprzeć o puch ulatujący w powietrzu; chciałam stawiać gmach szczęścia na pajęczynie... Okropność!! Stracić wiarę w człowieka, którego się kochało, to najsroższy cios, jaki kiedykolwiek w życiu spotkać nas może, to śmierć duszy, stokroć boleśniejsza od śmierci ciała; to powolne kamienienie z całą świadomością przyszłej martwoty...

Lecz serce jest uparte. Aniela nie chce wierzyć, ażeby to, co mówił Zbigniew, pochodziło z serca, z własnego jego postanowienia. Musi być „inna jakaś, okropna przyczyna"

— bo ta sina,
Bo ta wychudła twarz, i *te łachmany,*
Na które patrząc, strach mi głos ucina, —
Są przecież ludzkie; — a ty jak szatany
Zimny, choć oczy twoje łzą zabiegą,
Masz w skrzących oczach coś nieczłowieczego!

Sili się na przypuszczenia. Może Beniowski jak anioł potępienia zbuntował się przeciwko Bogu? może wyparł się wiary?... Ach! w tej chwili strasznej, w której nie widziała nikogo, coby ją mógł pocieszyć, zmrożona milczeniem Zbigniewa, pobudzona nadzieją wydarcia z jego duszy jakiej tajemnicy. Aniela woła w uniesieniu:

Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy;
Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodząca boży
Głowie, co na twej piersi się położy:
To kiedy patrzę na świata pustkowie...
Czuję, że to jest jedyne wezgłowie
Ta pierś oblana moich łez potokiem...

Natłok tylu wzruszeń, śmiertelny zawód, jutro bez słońca, śmierć marzona w samotności: wszystko to zaległo główkę Anieli jak szarańcza — jęknęła biedna i padła zemdlona...

Na tem się kończy szereg rysów, jakie można zebrać z poematu. Pozwalają one nam wnosić, że Aniela byłaby jedną z najpiękniejszych postaci poezyi naszej, gdyby ją Słowacki wykończył i wycieniował. Widzimy tu po raz pierwszy u Słowackiego miłość prawdziwą, której źródłem — serce, a nie rozum lub wyobraźnia; widzimy duszę zahartowaną w przeciwnościach, nie poprzestającą na ogólnikach; pomimo nieszczęść — pogodną, choć smutną; potężną w słowach, któremi gromi nikczemnych i słodzi życie ukochanym; umiejącą działać stanowczo i energicznie. Ostatnia scena mogłaby wzbudzić podejrzenie, że Aniela jest czemś w rodzaju Aldony: sercem rozkrwawionem i niesamoistnem; lecz poprzedzające szczegóły, taka np. scena z Branickim, może nas przekonać, że jest-to chwila jedynie słabości. Gdy ujrzy się samą, potrafi znaleść w myśli o kraju lekarstwo na zawiedzione uczucie; potrafi żelazną wolą swoją zapanować nad bolesnemi drgnieniami serca...

XVIII.

DYANA.

Me łzy są jak perły Amfitryty — bom obrażona we łzach.

Przedstawił ją poeta w jednej tylko sytuacyi, która jest jakoby bliższem rozwinięciem owej chwili w życiu Anieli, kiedy ją ojciec przymusić chciał do wstrętnego małżeństwa. Szczegóły tylko i motywy są inne; grunt charakteru jest ten sam. Zestawiamy więc te dwie postaci, tem bardziej, że „Niepoprawnych“ napisał Słowacki prawie równocześnie z „Beniowskim“ (około r. 1841).

O zewnętrznej jej stronie wiemy niewiele: „czarne oczy“ stanowią łącznik pomiędzy Dyaną a Anielą. Że piękną być musiała, to nie może ulegać żadnej wątpliwości. Rodzice stracili majątek i jedyny ratunek widzą w zamążpójściu Dyany za bogatego hrabiego. „Nędza trupia“, pokostowana złotą farbą, zmusza ich do namawiania córki. „Cóż ty zrobisz? — mówią jej — pójdziesz-że z torbą po kawałek chleba, a nas starych dwoje ze Stellą za tobą grać po kawiarniach w Kijowie na harfie?“ Propozycyą odrzuca Dyana ze zgrozą: „To miecz — woła — trucizny dajcie! Sama nóż wyostrzę i sobie gardło poderznę po ślubie!“ To był głos serca, głos natury. Ale zemdlenie matki, rozpacz ojca, płacz Stelli (siostry młodszej) zmuszają głos ten do milczenia. „Wezmę krzyż — krzyknęła jak obłąkana — bo widzę, żem tu w domu na to rosła!“ A więc precz marzenia! Dyana jest już na sprzedaż! Drogo jednakże okupić ją musi ten, co sięgnąć po nią się waży. Majątek — to rzecz najmniejsza: gorzkie słowa sarkazmu dostaną mu się w zamian za oświadczyny. Bo Dyana ma dumę; pod ruinami gmachu stoi jak kolumna ostatnia i trzyma wysoko swe czoło!... Patrząc na aktorstwo matki i zbladłą twarz ojca, co się do ludzi uśmiecha, czuje całą okropność nędzy domowej, walczącej ze światem; czuje również, że jest na targowicy, że jest przedmiotem wymiany handlowęj. To też gdy Fantazy, ów hrabia, drwi z wszelkich form grzeczności, a miłosnej komedyi odegrywać nie my-

śli; oburza się całą dziewiczością serca, które ma swoje pamiątki gdzieś w krainie wiecznych śniegów i krzyżów mogilnych.... „Wiem — mówi — że ojciec daje *mnie* tobie; a bierze twoje pieniądze“. Okropna-to świadomość, rozdzierająca naraz wszystkie illuzye. Ale Dyana nie upada pod brzemieniem rzeczywistości. Zna swoję godność. „Wcale po kupiecku zbliżyłeś się pan po towar — mówi do Fantazego. — Gdzież łokieć i gdzie są szalki?“ Nie może mu darować tej śmiałości. Dlaczegóżby miała się poniżać? Jej posagiem jest jej ciało. Więc gdyby duszę nawet kładła naostatku, traktując tylko o siebie na funty:

To jeszczeby mi ust jasne korale
To jeszcze oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną!

Ty masz złoto, hrabio, a ja mam droższe nad wszelkie klejnoty pamiątki po przodkach: całą szlachetność i całą piękność ich myśli! Srogą ironią, poczerpniętą z głębi duszy zranionej boleśnie, nakazuje milczenie zarozumiałości i nieokiełzanej pysze:

Więc, żeś ty wzięty, — powiada —
Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty,
Jak dziwna jaka perła kałakucka,
Tem droższa, że ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako *monstrum dziwne, drogie:*
To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu jak dziecko ubogie,
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twej koszuli!...

Przeprowadziwszy hrabiego przez rózgi sarkazmu, powiada mu, że wtedy dopiero przychyli się do zamążpójścia, gdy się wszyscy mieszkańcy wioski zwrócą do niej jakby do bożego anioła; gdy już męką żadną nie będzie mogła wyratować ludu; gdy Bóg jedynie z jej nieszczęścia ofiary zażąda...

Bo wyznasz mi, hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków...
Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi

I w każdej chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze,
Modlitwą, o! tej wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrążą i padną
Do nóg jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach... to się do zamęścia
Z Panem... przychylę...

Tak, wtedy ciało moje posiędziesz; ale wara od duszy! „Duchowi memu dała w pysk i poszła!“ — wyznaje sam Fantazy.

Dyana wyratowaną została od tego okropnego losu; razem z ukochanym swym drogę życia przebiegać będzie. Ale tę stronę pozostawił Słowacki w cieniu — malować chwil pogodnych nie lubi... W Dyanie mamy pierwowzór do mnóstwa innych postaci, które powieść nasza z mniejszem lub większem powodzeniem kreśliła. Dziewica szlachetna, kochająca, postawiona pomiędzy dwiema fatalnościami, nie waha się szczęścia własnego poświęcić dla szczęścia rodziców i siostry. Jeżeli jej duma rani cierpkiemi słowy cynicznego fantastę; to oko, pełne dobroci i słodyczy, zwraca się ku ukochanemu. Wypowiedziawszy, co jej leżało na sercu, co jej nakazywała mówić prawda, milknie — i cierpi w milczeniu. Ranę zadaną okrywa szatą obojętności, by jej nie profanowały oczy ucywilizowanego gminu...

XIX.

IDALIA.

Ach! jak łatwo złączyć miłość z szaleństwem!...

Sentymentalizm XVIII wieku, który w istocie swojej był po większej części obłudą jedynie, w nowej ukazał się formie za czasów poezyi romantycznej. Wyobraźnia pełna nocnych cieni, krzyżów cmentarnych, widziadeł, czarów, duchów i księżycowych promyków, działała na serce w sposób, że tak powiem, przydatkowy, to jest nie zmieniała gruntu uczucia, ale lubiła je stroić w mniej lub więcej fantastyczne akcesorya. Bez błyszczących lub ponurych dekoracyj nie rozumiano żadnego zachwytu, nie słyszano choćby najgłośniejszego bicia serca... Taki już był charakter chwili. A chociaż sam Słowacki uległ wpływowi tych wyobrażeń i najczęściej je przedstawiał; to gdy poznał miłość prawdziwą, czysto-ludzką, zaczął je wyśmiewać... Wszakże i w szykanach owych czuć jeszcze jakby dalekie echo pewnej sympatyi; co się nader łatwo wyjaśnia poprzednią zależnością od sentymentalno-fantastycznego sposobu czucia i myślenia. Najlepszym tego przykładem jest najdoskonalsza zarazem postać z „niedokwasów serc rdzawych" zrodzona — Idalia.

Przedstawia ją nam poeta dwojako: raz słowami dawniejszego kochanka Fantazego, drugi raz własnemi wyrazami i czynami Idalii. Jest oczywiście pewna różnica pomiędzy jednem a drugiem przedstawieniem; trudno bowiem wymagać, ażeby sama Idalia nazwała się „czyscową duszą, rodzajem pani Staël t. j. machiną parową piszącą listy i t. p..." Takiej abnegacyi ze strony miłości własnej niepodobna się spodziewać. A znowu słowa Fantazego są zbyt sarkastyczne, zbyt nacechowane rozdrażnieniem, ażebyśmy ich o złośliwą przesadę posądzić nie mieli. Niesprawiedliwość jest ich podstawą, pewna lekkomyślność, lubująca się w dźwięku słów szyderczych — ich rdzeniem. Odczytując słowa Fantazego, musimy dużo z nich odtrącić na rzecz tych dwu właściwości, z któ-

remi się co krok spotykamy. Poeta sam nie chciał zapewne Idalii na zupełną śmieszność narażać, gdyż w usta kładzie jej wyrazy pełne siły, choć niekiedy paradoksalne; w poglądach zaprowadził pewne podobieństwo z bohaterką dramatu: *Dyaną;* w rzeczywistości czynów prawie żadnej komicznej strony doszukać się nie można.

Musimy ją określić słowy Fantazego: Oczy — „dwie czarne plamy atramentu na prześcieradle białem". Kto prześcieradło to sztyletem zbroczy, popełni — „wielką poezyą"; gdyż Idalii potrzeba koniecznie rany; usta jej stworzone do picia trucizny. „Jej talia jest do połowy z mgły; druga połowa bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu idąca naprzód". Najpiękniejby wyglądała, mając rozdarte serce lub sumienie... Kochała się w kwiatach i gwiazdach; modliła się „do miesięcznego blasku"; chodziła nocą po cmentarzach i pustkowiach... Czekała miłości, jak okręt na piasku czeka wód przypływu; lecz „żądane burze nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą". Zatopiona w uczuciu, w niem złożyła swą wiarę, swą przyszłość.

Fantazy opowiada o swojem zapoznaniu się z ta czułą i poetyzującą osobą:

Gdym przybył, chciała mię poznać; ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy...
Przychodzę: była zajęta ideją,
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest *wiarą,*
I jedynie się zasadza na wierze.
Na to krzyknąłem bardzo wielkie haro.
I powiedziałem mojej pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świecącą, w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony srebrniał w moich oczach —
Amiant prawdziwy!... Tu rzekłem, że widzę
Na jej *błękitno-kruczanych* warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia... Myślała, że szydzę
Z początku; ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: Ach, pan mi będziesz duszą, bratem!
Pan jeden, w jednej czucia błyskawicy

Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej druga
Z tej samej pary i z tegoż numeru...

Idalia lubi otoczenie pełne wspomnień lub fantastycznego uroku — w cieniach nocy wszystko olbrzymieje... „O jak mi dobrze było — powiada — *na pościeli granitów rzymskich* — z pochyloną głową nad nim (Fantazym), oddychać *różami Cezarów* i widzieć, jak się w tym człowieku *rodzi nowy ideał wieków, pełen czarów,* który mu całą przyszłość rozpogodzi, jeśli nie skala się tem ludzi błotem i nie zapragnie spić się moszczem wina". Nie cierpi rzeczywistości z jej prozą, obłudą, złotem, „gospodarką", która na wszystko wyznacza czas i miejsce; gniewa ją porządek, prawo, małość ludzi... Wszystko blade — powiada — każdy jest panem, paniczem i chłystkiem, każdy od kuchty swego bierze radę; a gdy co czyni, „to siebie się pyta, czy kamerdyner się tam gdzie na boku nie śmieje!..." Wzgarda, ogromna „wzgarda-błyskawica" w jej sercu dla wszystkich, co pełzają po ziemi jak robaki, nie śmiejące podnieść głowy ku gwiazdom. Niczem jest dla niej świat ze wszystkiemi jego przesądami; przekracza konwenanse, gardzi opinią parafialnych gęsi i gąsiorów — tych gadzin, co „rozsądkiem *przeciw egzaltacyi świszczą!*" Ona przywykła już do obmowy; nic jej zranić a nawet dotknąć nie może. Każdy wypadek choćby najstraszliwszy gotowa przyjąć z uśmiechem albo śmiertelną bladością... Czuje się wyższą nad te serca przedajne, dla których miłość i wiara są pustem brzmieniem, romansem; a kiedy same w romans wpadną, to ten „kawał błota" jak żyd na koniu wychudłym się kiwa! Więc miałaby zważać na ten kawał błota, ażeby się samej niem obryzgać! O! raczej samotność, głucha pustynia, rozmowa z księżycem, pocałunki ze strumykiem, uśmiechy z kwiatami, żelazne okowy, tortury!... Jedynem dla niej prawem jest serce. Tego od wszystkich się domaga. Chce tylko wiedzieć, że jest ktoś, co myśli o niej, co jej modlitwą, westchnieniem pomaga skrycie; że nie jest duchem osamotnioną. „Ludzie myślą — powiada szyderczo — że prócz sińca nic ofiarować nie można kobiecie. Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę; myśl twoję zawieś tak jako rybitwę nademną — sercem bijącą, krzykliwą!" Tem sercem powodowana, pragnęłaby cały majątek dać, ażeby tylko ochronić Dyanę od pofałszowania swego uczucia: szlachetna! dzieli się, czem może; spółczucie w duszy swej chowa dla każdego cierpiącego; i nietylko w słowach je objawia, lecz w czynach. Afront zrobiony swojej sąsiadce (porwanie przez kałmuka i kompromitacya) bierze na siebie sama, z własnej woli, bez próśb z jednej, bez wymówek z drugiej strony. Zdaje się, że na to świat ten ujrzała,

ażeby cierpieć, winy innych na siebie przyjmować i nie mieć lepszej nagrody prócz śmiechu. Zakończyła już rachunki ze wszystkiem, nawet ze swoją miłością dla Fantazego. Śmierć przyjmuje jako rzecz zwyczajną; tylko, jak zwykle, chciałaby jakiegoś gromu, błyskawicy, jakiegoś elektryzującego słowa, coby jej dodało odwagi do przeniesienia swych uczuć za grób... „O znajdź, znajdź— mówi do Fantazego — jakie słowo większej mocy, aby mię w ciemnej śmierci *rozmiłować!*“ Zawsze drga jedna i ta sama struna; nic jej umilknąć nie dozwoli; z pęknięciem jej ustanie życie... Gdy Fantazy, odjeżdżając, mówi do Idalii:

Brat twój, hrabino, — dziś do Rzymu ruszę
I sądzę, że twe serce, najłaskawsze
Z serc, po królewsku obejdzie się ze mną,
Mniej biorąc, niż dać mogę; —

ona odpowiada poprostu:

Chcę szacunku!

Rozgorączkowana, rozidealizowana, nigdy nie mogła i nie umiała mówić ni działać jak ludzie zwyczajni; wystrzelając nad nich umysłem, nie potrafiła zachować należytej granicy w ocenie swoich współbraci; posiadając duży majątek, gardziła temi, którzy dla zdobycia go *pracować* musieli; zamknięta w sobie, nie znała dobrze stosunków świata i fałszywe o nich miała wyobrażenie, poczerpnięte z pojedyńczych wypadków, wyolbrzymionych ognistą fantazyą... W każdym atoli razie była-to dusza najszlachetniejsza — fałszywie nastrojona. Napotkała człowieka, który również jak ona szukając ideału, wystawiał ją na próby, i sercem chorem chcąc odnaleść prawdę życia, chybiał i trafiał sztyletem wprost w piersi ukochanej. Cierpiała może wiele; lecz więcej daleko boleści przynosiła jej wyobraźnia! Jeżeli już nie miała żadnej nadziei, sama sobie po części była winna, że ją utraciła...

Typ podobny ze strony już czysto-humorystycznej przedstawił Słowacki w *Dafnickiej Sybilli.* Zawsze w górnych przebywając sferach, nie cierpiała ona pospolitości. Karmiąc się „książkowemi strawami“, nie rozumiała życia. Raził ją każdy wyraz nieelegancki, niesentymentalny. Tak np. książę Lubor, który „tyle miał par butów co konceptów,“ dowodził raz, że *kluski* z drugiej strony Renu zowią się *pedenony* —

Z czego ją wtrącił w taki gniew, że z miny
Piorunem była, a ze wzroku furją,

Bo to już wzięła za wyraźne drwiny,
Nie za dowcipu różę, lecz nasturją,
Kluski nazwała *larmami z faryny* [1])
A księcia... błaznem: bo sprowadził z gór ją
Wyższego tonu i tonem Polaka
Przymusił *zawsze bladą* — upiec raka.

Zwykle chodziła jak „wulkan wygasły, mając na głowie wielkie sople z lawy". Ksiądz ją spowiadał „chudy;" „mąż opasły nie miał z nią bardzo dawno żadnej sprawy!..." Jest-to sentymentalizm XVIII wieku z całą jego śmiesznością i obłudą. Wszystkie bowiem owe czułości i ekscentryczności były tylko zewnętrznym pokostem; pod spodem swobodnie się rozwija gruba, pospolita zmysłowość, płytkość duszy a oschłość serca. Kłócąc się z księciem Luborem o „larmy z faryny", szło jej głównie o skokietowanie wziętego człowieka. Lubiła z nim samotne schadzki „na wzgórzu w kaskadowym pyle i w różach..." Historya jej — zresztą bardzo krótka — kończy się ucieczką z księciem.

Jest-to jedyna może całkiem humorystycznie narysowana postać kobieca w Słowackim; wykonana sylwetkowo — odpowiednio do jej natury, która nie daje możności do obszerniejszego traktowania, gdyż niema w niej żadnego głębszego rysu. Raz na nią spojrzawszy, można było zbadać najskrytsze tajniki tej duszy wymokłej i chudej...

---

[1]) *Łzy z mąki.*

XX.

INNE KOBIETY.

Pominęliśmy kilka sylwetek lub zaledwie naszkicowanych postaci, które dla dokładności i zupełności obrazu choć wyliczyć nam wypada. Nie stracą one bynajmniej na braku bliższego określenia, jeżeli wskażemy typy główne, do których się mniej lub więcej zbliżają. Jest bowiem rzeczą godną uwagi, że Słowacki, tak obfity w stwarzaniu charakterów niewieścich, niewielki kładł nacisk na ich rozmaitość; a powtóre, że, kochając się w rysach oderwanych, które umiał świetnie przed czytelnikami rozwijać, prawie nigdy nie wykończał swoich postaci, z jednej je tylko strony ukazując. Wprawdzie sąd ten o wiele złagodzić musi ta okoliczność, że utwory Słowackiego, mianowicie pośmiertne, doszły nas w stanie ułamkowym: brakuje może scen najważniejszych, które mogłyby dać pole do głębszych nad kreacyami jego refleksyj: ale i w poematach za życia pisanych podobne niedokładności zauważyć nie trudno.

Z tych właśnie powodów niektóre postaci przedstawiamy tylko ogólnikowo. Tak np. o *Alinie,* siostrze Balladyny, cóżby się dało więcej powiedzieć nad to, że była białą, dobrą, niewinną; że kochała szczerze nie złoto ani zaszczyty, ale osobę samę, że wyrzekłaby się nawet własnego szczęścia, — oddałaby dzban malin, gdyby ją siostrzyczka ładnie poprosiła. Jest-to postać w zasadzie ta sama co Lilla, Amelia i t. p. Nie zmieniając w niczem słów, możnaby podobnież określić *Salomeę* (w dramacie *Horsztyński)* z tym tylko dodatkiem, że w niej podobieństwo do Amelii jest jeszcze większe: o ile bowiem domyślać się należy, stosunek jej do Szczęsnego był taki, jak Amelii do Zbigniewa. Kocha młodego człowieka, ale wie, co winna mężowi, chociaż niewidomemu; pobożna, unosi myśl ku niebu, błagając je o pomoc i wytrwałość na ciernistej drodze życia; dziecinna i naiwna bawi się np. obrazkiem, przedstawiającym jakąś świętą, która białą lilią uderza lwa po nosie!... Posłuszna, szczęśliwą jest, gdy mąż daje jej jakie polecenia...

W słowach znowu *Amelii* (w tymże dramacie) słyszymy dźwięk poświęcenia, szczerej pobożności, ale zarazem i dźwięk trzeźwej myśli, co ją zbliża z Dyaną albo z Anielą. Kocha brata nadewszystko. „Gdybym nie była twoją siostrą — powiada do niego — to musiałabym zostać twoją narzeczoną... albo mniszką...“ Przypatrując się jej bliżej, możebyśmy zobaczyli pewien, głęboko skrywany odcień rozpaczy bezwiednej — smutno jej, a nie widzi jasno przyczyny tego smutku, tej boleści tajemnej, jaka dręczy biedne jej serce... Ironia brata nie zraża Amelii; z pogodnem czołem słucha jego namiętnych tyrad. Miłość jest cierpliwa...

„Słaba, sucherlawa“ *Agnieszka* (w dramacie *Złota Czaszka)* jest najrealniej ze wszystkich u Słowackiego przedstawioną postacią kobiecą. Urodzona w małem miasteczku, wychowana przez rodziców bez żadnego prawie wykształcenia, nie posiada wcale idealno-romantycznych zapędów. Rysem charakterystycznym jest upór zarówno w drobnostkach jak i w rzeczach wielkiej wagi np. w sprawie zamążpójścia. Rodzice chcą ją wydać za „drewnianego człowieka w aksamicie“ — ona z całą energią dziewiczego wstrętu odrzuca niemiłego konkurenta, tembardziej, że już wybrała sobie ukochanego, z którym się potajemnie wieczorami widuje... Oto wszystko, co o niej wiemy. Zresztą jest małomówna; pamiętamy tylko te słowa proste, ale ważne: „Weż sobie mama ten kornecik z różami — ja niczego nie chcę! ani prezentów, ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! *Czy ja wasza niewolnica?* czy ja wasz *haman?* Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie!... Powiedz mama... *że ja siebie* zabiję i pana Gąskę (konkurenta) otruję!...“ Dziewczę pomimo słabości ciała miało duszę energiczną...

Nie myślę wyczerpywać całego spisu nazwisk, jakie we fragmnentach napotykamy; niepodobna atoli pominąć jednej z najśliczniej, chociaż na pół eterycznie tylko skreślonych postaci, jaką jest *Syberyna* (we fragmencie dramatu *Krakus),* dzikie dziecię przyrody, wychowane wśród śniegów i lodów. Jak człowiek pierwotny, tak i ona wszędzie widzi żywe istoty. „Tyś mi pokazał wczoraj tulipan — mówi do ojca — myślałam, że to jest duch ze złotemi oczyma, w głębi swego serca żywy; wczoraj dotknęłam się listka pokrzywy i ukąszona biłam ten kwiat ręką...“ Czysta, wstydliwa, choć ogniem miłości już przepełniona, „jak kwiat nieotwarty a pełny woni w zatulonych liściach“.

Ty mię strzegłeś,
Ojcze, od wiatru, co w północy wyje.
Żyłam śród białej, nieżywej krainy:
Przyprowadziłeś mnie teraz w doliny,
Gdzie wszystko jak ja oddycha i żyje,

Tu jest brzęk życia w powietrzu: — motyle,
Jak śniegu różnokolorowe płatki,
Lecą na ziemię; źródła szemrzą mile;
Gdy spojrzę okiem przez pień sosen rzadki,
Widzę cudowne zwierzęta w koronach,
Jak nasze reny — ale całe złote...
Czy my jesteśmy, ojcze, w jakich stronach
Zaczarowanych?... Pokaż mi istotę,
Którą ja kochać mam — bo już się kocham.
Już zakochałam się, ojcze, w kolorach,
W ciepłem powietrzu, co powiewa wonnie
I księżycowi chłód odbiera z twarzy...

Zalotność i miła do pewnego stopnia obłuda przebija się w tej niewinnej dziewicy. Ojciec, szaman, przyjechawszy do kraju Lechów, miał dla niej wybrać męża i w tym celu kazał jej udawać niewidomą. Rozkaz wypełniła z całą swobodą i wprawą, która zdziwiła samego ojca:

„Ojcze, gdzie czoło?
Gdzie drzwi? Ja, ojcze, nie widzę“ — i prosto
Patrzała w oczy mi gwiazdami dwoma
Rozwidnionemi ogniem i uśmiechem...

Od tej napół sennej, napół rzeczywistej postaci łatwe mamy przejście do istot, zaludniających świat fantastyczny poety.

XXI.

GOPLANA.

Wspomnieliśmy już o smutnem, grobowem fantazyowaniu Słowackiego, mówiąc o *Kseni*, *Eloe* i *Ellenai,* które możnaby jeszcze dopełnić obrazem wiedźm i djablic; obecnie zwracamy się do krainy blasków tęczowych i mar mglistych, ale oświeconych słońca promieńmi. Poprzestanę tu jedynie na przytoczeniu jednego najwydatniej narysowanego obrazu — państwa *Goplany*. Państwo to zaludnione tysiącem duchów złych i dobrych, które posłuszne są skinieniu królowej. Musimy cokolwiek rozkołysać fantazyą, pozwolić jej poigrać swobodnie, zapomnieć o surowych prawach rozumu — by się wtajemniczyć w ducha poety. Poznajmy jego wymarzony światek, mieszkańców i zajęcia. Będzie-to rodzaj intermezza, pełnego snów i złudzeń, pomiędzy aktami poważnego dramatu. Oto jest program robót publicznych:

W puste żołędzie
Wkładać jaja motylic — to pomagać mrówkom,
Budującym stolice i drogi umiatać
Do mrownika wiodące — to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać —
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
Czytać prawa ulowe lub rotę przysięgi
Na wierność matki pszczelnej od zrodzonej pszczółki,
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki...

i t. d. i t. d. Roboty tajemnicze, wnikające w najzawilsze prawa przyrody!... Mieszkańcy tego światka nie znają przestrzeni i czasu, wszędzie wcisnąć się mogą niewidzialni; nic dla nich jako niemożliwość się nie przedstawia. Królowa jego „lekka i gibka“ wytryska z wód Gopła.

Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopa po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.

Zakochała się. Kiedy pewnej zimy usnęła „na skrysztalonem łożu,“ światło jakieś ze snu ją ocuciło. Rybacy rąbali w jeziorze „przełomkę“ i jeden człowiek wpadł w wodę. Ten człowiek wydał się jej pięknym tak, że chciała go zatrzymać na wieki w zimnych pałacach i „nie rozwiązać z wieńca ramion i przykuć łańcuchem pocałunków“. Lecz zaczął konać — musiała go wynieść i oddać rybakom. Tęskniła i czekała wiosny. Jak każda kobieta, zaślepiona była co do swego lubego. „Kwiaty — powiada — to nic przy jego licach; gwiazdy gasną przy jego jasnych oczach. — Ach! kocham, kocham!“ Był-to Grabiec-pijak. On nazywa ja „wywiędłym schabkiem“, „głupią“, plecie niedorzeczności — a Goplana słowa jego „wonnemi“ mianuje. Zazdrosna o każdą inną kobietę, dyszy namiętnością (jeżeli może być namiętność w istocie z „mgły i galarety“) na wspomnienie, że Grabiec widuje się wieczorami z Balladyną, Grozi mu śmiercią, gotowa zwalczyć wszelkie przeszkody. „Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścionek, to ja go rozłamię!“ — woła, oświadczając zarazem, że jest fal królową. Grabiec ucieka, krzycząc: „Jezus Marya, szatana żona, chce być moją żoną“ — a Goplana w rozpaczy. „Niech słońce gaśnie, niechaj gwiazdy toną w bezdrożne niebo! niechaj róże więdną! Co mi po słońcu, po kwiatach, po gwiazdach? Wolę je stracić, niż kochanka stracić!“ Całej swej potęgi nadziemskiej używa na to, ażeby Grabca przy sobie zatrzymać. A jeśli on mnie kochać nie będzie? — pyta sama siebie w zwątpieniu —

Cała
W mgłę się rozpłynę białą i spadnę łzami
Na jaki polny kwiat i z nim uwiędnę.

Nie mogąc ukochanego przejąć dla siebie miłością, zemstę mu przynajmniej gotuje. Zmienia go w wierzbę płaczącą. Lecz cóż jej po bezdusznem drzewie? Obiecuje mu wszystko, czego tylko zapragnie. On chce być królem dzwonkowym „w koronie, z jabłkiem w lewej, z berłem na prawicy“. Goplana każe djablikom pożyczyć purpury u zorzy, pereł u róży, szafiru u chmury, złota ze świtu; a nić tęczową zawieszoną gdzieś w niebiosach pochwycić i okryć nią Grabca jak płaszczem. Wreszcie dała mu prawdziwą koronę Popielów. Ale w ciągu tej miłości zaszły plątaniny w życiu politycznem narodu, których główną i najważniejszą przyczyną była Goplana. Tak poplątała ludzkie czyny, że bogu-mścicielowi należało tylko „wziąć grom i upuścić na ludzkie dzieła i winy“.

Musi więc uciekać w okropną krainę, gdzie słońce „jak gasnący żar,“ gdzie księżyc jak twarz upiorów... Rozstaje się więc ze wszystkiemi, którym rozkazywała; oni jej towarzyszyć nie mogą; a sama żegna nas słowy:

Gdy się żórawie podniosą,
Uchwycę się szarfy końca
I w błękit polecę blada!
Blada jak miesiąc od słońca,
Lekka, jak liść, co opada.
Lecz nad mury gnieźnieńskiemi
Lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi!

Czar się rozwiał. Prysł obłok — jak w Fauście Goethego. Znikły mary — igraszka naszej wyobraźni. Chwila zabawy minęła. Obudziliśmy się ze snu dziecięcego, do którego ukołysał nas fantastyczny duch poety. Wracamy do rzeczywistości.

XXII.

KOBIETY MESYANICZNE.

Chwilę jeszcze zawieszeni będziemy nad ziemią, w krainie potęg cudownych, mar znikłych ze świata, wszechmocy i anielskości. Coś niewidzialnego wiązać nas przecież będzie z matką przyrodą, zmuszając poza fantastyczną dekoracyą domyślać się zakulis zwyczajnego życia... Drobne szczegóły musimy pomijać, ażeby nie znudzić czytelników...

Na czarnoksięski rozkaz poety zjawia się przed oczyma naszemi „róża z jerychońskiego ogrodu między obce ludy przesadzona“ — róża, obdarzona silnie rozbudzonym ruchem i wszystkiemi blaskami Wschodu. Jest to *Judyta* — żydówka i chrześcijanka, namiętna kochanka i nieubłagana furya. Czoło „wykąpane w ptasim gołębicy mleku,“ oczy „z których bije razem żar i noc i dzień,“ perły ząbków w różane usta oprawne — to mała cząstka tych przymiotów, któremi władać nad ludźmi umyśliła. Ale ma w sercu swojem moc Jehowy, co —

...Jak spojrzy -- to się góry pokłonią!
A jak błyśnie — to ślepota na ludy!
A jak zagrzmi — to się groby odsłonią,
A jak ścichnie — świat się cały odmieni,
A skrę rzuci — to świat będzie z płomieni
I w słoneczne się ognie roztrzaśnie...

Ona kieruje losami mieściny, w której się zawarła garstka bojowników: ona gromy rzuca i ognie rozpala; ona zemstą dyszy za miłość podeptaną... Wprawdzie są tam czysto-ludzkie sprężyny, wyjaśniające jej kroki; ale tak głęboko ukryte, tak owinięte w mistycznych słów przędzę, że ledwie domyślić się ich można. W duchu Judyty są „błyskawice, co świat cały mogą spalić“.

Bo oto ja tchnęła na polę — powiada —
I chorągwie zaczęły się walić
I wasz duch leży na dole
Podobny wężowej chmurze;
A ja tu stoję na górze
I podnoszę zemsty ramię
I nogami go depcę i łamię!

Jest-to coś nadziemskiego, coś niezwykłego w sercu dziewicy. Podziwiamy ją jako rzadki fenomen; ale nie czujemy najmniejszej sympatyi! Napełniona mocą boską, gardzi ona ziemskim pyłem — wierzy tylko w księdza Marka — mistyka proroka, który ją z chrześcijaństwem i chrześcijanami pogodził.

Salomea, również „udarowana mocą przez duchy“ — jest Aldoną, przemienioną w anielicę. Prosta szlachcianka, uwiedziona i opuszczona przez bogatego panicza, dostaje obłąkania i dni parę w śnie letargicznym przepędza, marząc o krainie jakiejś bezbrzeżnej, gdzie była jedna tylko „na śniegu plama — okropna, czerwona“. Obudziwszy się, widzi swego uwodziciela, który nieszczęściami i cudami przygnębiony, obiecuje jej szczęścia zaranie, biorąc ją za żonę. Ani w miłości ani w obłąkaniu Salomei nie dostrzegamy żadnych rysów nowych, któreby ją od Aldony wyróżniały — oprócz chyba tego snu tajemniczego i tych potęg niewidzialnych, jakiemi Słowacki zaludnił świat rzeczywisty. Setki prześlicznych wyrażeń i porównań, mnóstwo obrazów mglistych, przerzynanych od czasu do czasu iskrzącemi snopami światła; wytwarzają szereg nigdy prawie niekończących się wrażeń, które nawałem swoim nie dozwalają bliżej się przyjrzeć rysom przedstawionej postaci. Jakoś nam nie swojsko w tym świecie, zimno i czczo...

Nie można tego w zupełności powiedzieć o *Księżniczce,* dumnej i kapryśnej kobiecie, która wyszła tajemnie za prostego kozaka Sawę; ale nie wprzód została naprawdę jego żoną, aż przedstawił dowody swego szlacheckiego urodzenia... Wprawdzie i tu niepodobna pochwycić wszystkich uczuć falujących w sercu tej kobiety; niepodobna odgadnąć głębi jej natury, gdyż jest otoczona wpływami cudownego pochodzenia: błyskawicami, piorunami, duchami i tajemniczemi szmerami; w każdym atoli razie są w niej cechy czysto kobiece. Uparta, gdy ją ktoś błaga, wybucha suchem szyderstwem; gdy obojętnie na nią patrzy, rzuca mu się na szyję... Szlachecka duma, zabijająca ironia, lekceważenie całego swego otoczenia; groźne słowa lub milcząca pogarda — oto uczucia i czyny, któremi niezbyt powabne życie swoje urozmaica. Rzecz godna uwagi, że, podczas gdy inne osoby dramatu, zgodnie z ówczesną manierą Słowackiego, u Kalderona zapożyczoną, palą sążniste tyrady, nieraz po kilkaset wierszy, księżniczka mówi zdaniami stosunkowo dosyć krótkiemi;

co właśnie przyczynia się w znacznej części do jaśniejszego jej określenia. W powodzi bowiem słów często muszą się napotykać sprzeczności, obrazy niewyraźne, przesłonięte chmurą jakiegoś otrętwiałego marzycielstwa; w mniejszej ich liczbie łatwiej bezporównania utrzymać równowagę. *Salomea* jest mgławicą; *księżniczka* słońcem do połowy tylko zasuniętem mgłami.

Najwybitniejszą jednak postacią mesyaniczną jest *Pycha (w Królu Duchu).* Poeta wówczas nabrał siły, wyrazistości, skupienia i plastycznej werwy w wyrazach, wyrażeniach i obrazach szczegółowych. W żadnym dawniejszym poemacie niema takiej energii słowa, takiej wykończonej plastyki w przedstawieniu pojedyńczych osobistości i przedmiotów. Po większej części obrazy tu są okropne. W jednej np. *ośmiowierszowej* strofie spotykamy takie wyrażenia: „płomienne drogi“, „z mieczem i we krwi przychodzę“, „wężami związany“, „gad kuszący się w nodze“, „z ogni jasnych u kolan kajdany“, „pastwiąc się ogniem i łańcuchem“. W innej znowu: „moce istności szkaradnej“, „i ognie i gady i tych gadów twarze“, „siła zagładna zatęchła w ciała żelaznego czarze“, „krew żółcią zepsuta i zgniła“, „łzy, jady, śliny, smoły, ognie ciekły“. Doprawdy poeta przedstawił to wszystko, co „piekłem jest w kształtach natury“... Wśród takiego otoczenia, które dreszczem czytelnika przejmuje, ukazuje się płomienna postać *Pychy*, biednej wdowy po zmarłym pastuchu. Chciała się ona pozbyć wspomnień, „wieśniaczego brudu“ i stać się duchów „okropną królową“. Dążyła do sławy, potęgi; mniejsza o to, jakiemi środkami. Twarz miała „niby jakiej płomiennicy mieniącą się ciągle — to bledszą od miesiąca, to żółtą jak oliwa, to czarną „jak miedź“. Tę głowę Meduzy, „prometeanki polskiej“, jak ją poeta nazywa, przykrywał korab' złoty, udający syońską bożnicę, wznoszący się jak wieża — „znak słowiańskiej pychy“.

Gdy aniołowie przyszli do Piasta w odwiedziny, ona podsłuchiwała ich rozmowy, ciekawa „jak wąż w trawach utajony“, zarzuciwszy na ów korab' fartuch swój gruby, czerwony z krokosowego drelichu. Mąż ją zawołał. Pycha obeszła w milczeniu dom, potem niby wracała z wioski do swojej chaty, udając, że nie wie o świętych odwiedzinach. Aniołowie chcą błogosławić ich dzieci; ale sprzyjają tylko młodemu jasnowłosemu Ziemowitowi — zlewają nań ogień boży. Pycha kochała swego djabełka — Wodana; zawrzała gniewem tajonym, ujrzawszy jego upośledzenie. Powzięła zamiar zuchwały. Usiadła przy ognisku „jak upiór“ — i wosk i cynę w ogniu topiła. Potem wzięła Wodana za rękę, drżąca cała, nakryła go fartuchem. Zgasiwszy świecę, poszła do łóżka Ziemowita i przed dzieckiem własnem, „włócząc po izbie kolana“, z główki jego jasnej zgarniała ducha bożego. Żebraczka straszliwa, „ogniami wstydu na twarzy rumiana“, chciała się wypełnić światłością nadziemską; — niczem nienasycona,

im więcej bierze, tem chciwiej pożąda. Dokonała wreszcie kradzieży; uczuła się silną w duchu; wziąwszy więc Wodana za rączkę — uciekła. Niepokój nią miotał, lękała się kary bożej; w biegu nieraz obracała głowę w „powietrze mgliste“, myśląc, że kto woła. Biegła, a —

Przed nią mgła, wicher, potępienie, strata,
Los nieodzowny i czas niepowrotny;
Wrota od ludzkich chat pozamykane...
Noclegiem wieńce kurhanów ceglane.
Przed nią i za nią trzody mrą i dzieci,
Przed nią i za nią śmierć — a ona leci...

Nabiera straszliwej odwagi. Duch wzmaga jej potęgę. Wbiega na cmentarzyska opuszczone, kości „łaskocze“, a ile jeszcze ma ducha nagi szkielet, to przechodzi na własność Pychy. Więc teraz już nie sama; „świetliska grobów“ jak niewolnicy lecą za nią, same chcą więzów, ogniem rozwalają mogiły. „Tam zpod kurhanu skrzydło złote błyska, tam duch kobiecy skrzy *siarczaną różą;*“ ona te kwiaty zrywa, wiąże w słowa i leci... Urosła w dumę „jak orzeł dziki“; czuje w sobie *siłę bożą*, która światem zawładnie. Ale potrzebuje ziemskiego ramienia, nad którémby wzięła „ster ducha tajemniczy“. Świat wprawdzie stoi przed nią zlękniony; — ale sama jedna nic zrobić nie zdoła. Udaje się więc na świętą górę Zober; czarnoksięskie potęgi, tam ukryte, uznały jej moc, gdy ją ujrzały „z ogniem lub ptakiem na głowie“ wróżącą „wśród mgły i zamieci“. Zbrojna w te siły, przywołuje na pomoc cesarza Ottona, który zjawiwszy się, żąda dowodów jej władzy nadziemskiej: chce, ażeby na czas pewien całe państwo polskie skamieniało — potem odda się zupełnie pod jej kierownictwo. Pycha zgadza się: wchodzi do groty, próbując „głosów runianych“. Pieśń ciężka, podziemna, wspaniała napełnia „kamienne trzewa góry“— słowa były potężne, „ołowiane“. Nastąpił czar: wszystko w jednej chwili przemieniło się w kamień, zachowując stanowisko i pozę, przy jakich zaklęte zostało.

Nie mogę nie przytoczyć choć kilku cudownych obrazów tego skamienienia, w których poeta dowiódł takiej siły plastyczności, jakiej dotąd nigdy nie rozwinął. Są tam nawet rysy piękności kobiecej, z chwil ukochania i niewinnej swawoli, które dla malarstwa i rzeźby najwdzięczniejsze mogą stanowić temata.

Druga wchodząca w kryształowe zdroje...
Oddech w niej ustał, a zostało życie
I wstyd... bo jedną ręką srebrne stroje,
Ostatnie piersiom dziewiczym zakrycie,

Trzymała silnie ku piersiom je cisnąc,
Drugą dłoń miała na wodzie...

. . . .

Nietylko ona, lecz nawet ciekawe
Te rybki, które wszelka białość nęci,
Skrzelki czerwone i łuski złotawe
Pokazywały na dnie wód; snem zdjęci
Motyle wodni, gdy na nóżki zjawę
Lecieli, teraz do nóżki przypięci
Wstążką błyszczącą na dnie wód świecili
Jak tęcza do nóg przypięta Dziedzilji.

. . . .

A najpiękniejsza (co się nawet zdarzy
Królewnom) cała zlękniona i drżąca
Widać giermkowi pozwoliła twarzy
Na chwilę tylko — już uciekająca...
Giermek też usta, gdzie ogień się żarzy,
Przybliża... koral już w alabastr trąca
Już... wtem stwardnieli w piękność monumentu,
Ustom jednego zabrakło momentu...

. . . .

Rzekłbyś, że Dusza i Miłość [1]) zjawione
Drugi raz w głębi czerwonego dwora
Oboje w jedną pochyleni stronę:
On ku niej... ona do ucieczki skora.
Nie tak jednakże, aby usta one
Nie miały w mroku wonnego wieczora
Czuć co słodyczy: wszakże się nie nagną;
Ona ucieka — one jeszcze pragną...

. . . .

Prosimy artystów o odczytanie pierwszych 18-tu strof pieśni trzeciej z rapsodu trzeciego w *Królu Duchu.* Pomysł i szczegóły najzupełniej gotowe — idzie jedynie o wykonanie.

Ziemowit, obudzony przez anioła, idzie z lampą po kraju i wraca czucie uśpionym. Czar, rzuczony przez Pychę, znikł w jednej chwili; ona sama trzęsła się cała „w jakiemś otrupieniu"; zbladła okropnie, napróżno wołając po imieniu duchów — one jej nie odpowiedziały. Jeden anioł „globowy, rumiany" wstał i wojsko Ottona i moc Pychy w nicość obrócił. Ziemowit słyszał jęk matki w górze wśród płomieni, stanął i wołał ku niej: „Matko, gdzie jesteś?" Żadne echo nie powtórzyło słów jego; widziała tylko ciągle jasność purpurową na szczycie tajemniczej góry Zober. Szedł w ten ogień, a wtem głowa matki

[1]) *Psyche i Amor,* znane podanie greckie.

ukazała się „na prześcieradle ognistej purpury“ jak blada „trupia plama“, bez rąk i piersi:

Usta otwarte miała a z otworu
  Ust — jakby ciemność i *strach* wylatywał;
Twarz *zielonego* jak trupi *koloru*
  I oczy zmarłe, z których *strach* przeszywał.
Straszna zjawiła się nad szumem boru,
  Włosy *strach* podniósł, a wicher rozrywał;
Potem ją jasność z oczu syna zdjęła,
  Nic nie wyrzekła — *straszna* — i zniknęła...

Anioł „globowy, rumiany“ zwyciężył ducha ciemności, który jak tchórz nikczemny, *strachem* przejęty, bladł i bladł i truchlał. Prometeanka polska własnego syna się przelękła; grobowem milczeniem ukarana, zeszła ze świata — okropna, zielona...

Zachwycamy się przepyszną formą. Jest-to jedna z najsilniej wkorzenionych w sercu ludzkiem skłonności. Wielu poświęciłoby treść i ducha dla ramek, brylantami wysadzanych. My się pomiędzy nich nie wliczamy. Oddając należny pokłon językowi, wyrażeniom, obrazowaniu wogóle, pytamy z zadumą, jaka pozostanie karm' duchowa dla nas po przeczytaniu ustępów poematu, gdzie obraz Pychy został przedstawiony... Długo czekamy na odpowiedź i w końcu... nie dostajemy jej wcale. Mesyaniczna wiara Towiańszczyzny nie przemawia ani do serca ani do umysłu naszego; odbiegliśmy daleko od pojęć przez nią wygłaszanych. W życiu rzeczywistem szukamy swoich ideałów; w krwisto chmurnych sferach, boleśnie-sennem marzeniem wytworzonych, przykro nam przebywać; wprawdzie widzimy tam nietylko ducha, ale i ciało; szkoda jednakże, że trudno nam uwierzyć, ażeby w tem ciele taki właśnie duch przebywał.

XXII.

ZMYSŁOWOŚĆ. — HUDYMA. — KRYSTYNA.

I w twórcy „Anhellego“ krew grała także, jak i u ludzi zwykłych, lubo rzadziej zapewne, niż u wielu z poetów. W życiu jego zaznaczyć wypada krótkotrwałe, ale namiętne zajęcie się piękną Florentynką, którą Fornariną swoją przezwał. I z tej przelotnej miłostki zwierzył się przed matką, w słowach ostrożnych, co prawda, lecz dość wymownie malujących ten rodzaj uczucia. Było to w czasie kanikuły — osławionej pod względem swego wpływu na zmysły. Znajomość z uroczą Florentynką napełniła poetę „najprzód szałem, a potem czczością“.

W dniu 10 lipca 1838 pisze poeta do matki: „Zaczynając ten list, nie wiem jak pisać, bo się boję, abym otwartością moją nie zgrzeszył i nie obraził tej delikatności, jaka się w stosunkach listowych z tobą, droga moja, znajdować powinna; a na ten raz chciałbym, żebyś była młodym chłopcem szalonym, jak ja jestem w chwilach ekscentrycznych życia mego, wtenczas kiedy wychodzę ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz moich; kiedy wreszcie znajdę sobie jaką Fornarinę, piękniejszą od tej, którą malował Rafael; kiedy, pomimo przestróg rozumu, zakocham się z całą pasyą serca mojego, owinę moje bóstwo w idealne szaty i nareszcie z *rzeczy pospolitej bardzo* zrobię sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi.

„A tu niech się Sylka (Hersylia, siostra przyrodnia Juliusza) nie uśmiecha, bo dziewczynka, która mię teraz lubiła, odpowiedziała zupełnie pięknym, włoskim okolicom; oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, czarnemi stawały się w dzień przy słońcu, jak kamienie w powieściach wschodnich; kształtna, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od Sylki, trochę podobna do niej,

nieco zimna z charakteru, coś czystego miała w charakterze, co ją zbliżało do nimfy mitologicznej i do najady, której mieszkaniem są strumienie...

„Przeszłego wtorku wziąłem jednokonny tilbury i pojechałem z moją Forniną do Pratelino (ogród angielski pod Florencyą); lataliśmy po murawach; klomby róż między ciemną zielonością błyszczące przypomniały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać po południu do grot, w których mruczały strumienie; słowem dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą; ale koniec dnia tego nie odpowiedział początkowi; wracając koń mój w kabryolecie wziął na kieł i poniósł; widząc niebezpieczeństwo wywróciłem umyślnie i tak szczęśliwie, że zostaliśmy na ziemi, a koń z przedniemi kołami poleciał; nic złego się nie stało, ani mnie, ani mojej miłej, która na mnie upadła. Kabryolet się popsuł, koń się pokrwawił; zapłaciłem za szkodę kilka skudów i tak się skończyło dobrze, że bez żadnego przypadku, nawet bez siniaka. To mi potwierdziło, że nieszczęśliwy jestem do koni, ale, że od nich nie zginę; widzicie więc, że można w Azyi i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratelino można się spotkać z królową ostatecznych przestrachów, jak Pismo św. mówi. Niech cię tylko, droga moja, ten mały wypadek niespokojności nie nabawi, bo takie rzeczy, jeśli się źle nie kończą, uczą ostrożności. A wreszcie to mi zapewnia podróż spokojną i szczęśliwą, albowiem jest to jakby jaki dług zapłacony nieprzewidzialnym wypadkom.

„Boję się tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynie, które mię nareszcie mocy charakteru pozbawićby mogło i do jakich szaleństw przywieść, mnie, który dotąd na uwięzi trzymam serce moje i czystsze życie wiodłem jak inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy.

„Daleko więcej dręczy mię ta myśl, że Florentynka moja opuszczona może w przeznaczeniu życia mojego jest ostatnią, że reszta dni moich skazana jest na suchą nudę wdowiego życia, że może nie trzeba było tak prędko zrywać ostatniej róży...

„Natura moja jest pełna błyskawic; najwięcej dni ciemnych, lecz czasem wplatają się dni ogniste różnego koloru, które mi potem świecą w pamięci. Z tych wszystkich świateł zrobię sobie kiedyś wianek na czoło... i tak zostanę“.

W wianku tym i wspomnienie Florentynki odegrało swą rolę. Wśród przeważnej liczby postaci, nakreślonych ze strony idealnej, znajdujemy w jego utworach wyjątkowo parę kobiet przedstawionych ze strony czysto zmysłowej. Zarysowana poprzednio Violetta i Grafini były tylko bladym cieniem w porównaniu ze świeżą karnacyą, z ognistem tchnieniem, z gorączką krwi, z konwulsyjnemi drgnieniami, jakie poeta teraz odmalować zamierzył. Wprawdzie i tutaj są, jak

zwykle, sylwetki tylko, ale kontury ich jasno odznaczone: widać w nich pozę i giest. Jest to zjawisko dziwne i uderzające w Słowackim: idealista, fantastyk, lubiący przepędzać najpiękniejsze chwile w świecie urojonym, naraz staje się kompletnym realistą. To jednakże dodać potrzeba, że i tu nie potrafił się pozbyć nadzwyczajnego otoczenia i nie zgodził się na udrapowanie swoich bohaterek w szaty codziennych wypadków. Postaci jego są to wyjątki w życiu pospolitem; ale wyjątki odmalowane realnie. Jednostronność i tu również towarzyszy Słowackiemu. Wystawia zmysłowość prawie na włos nieuduchowioną. „W głębi dziewiczych ciał — powiada — są jakieś błyski, *szmery krwi, szelesty*", które się budzą „Bóg wie jak". Jedna z dziewic „łonem tak śnieży, że aż oczy mruży... świętą się zdaje, jednak myśli pali; pierś jej świecąca w *obłąkanie wprawia*, bo śniegi są na piersi, pod śniegiem opoka". W tych i w kilkunastu innych wyrażeniach streszcza się wszystko, co pod tym względem powiedział poeta; ale już stąd widzimy, jak gorąco umiał odczuwać powaby działające potężnie na zmysły i jak plastycznie potrafił je opisywać. Było to bezwątpienia natężenie chwilowe, spowodowane zwrotem do realizmu, a spotęgowane bliższem wczytaniem się w poezye wschodnie, a mianowicie w „Pieśń nad Pieśniami". Że to ostatnie twierdzenie nie jest urojeniem, sądem z wiatru poczerpniętym, przekonają się czytelnicy z dalszego ciągu. W tem miejscu przytoczyć muszę zdanie o małżeństwie, z tej właśnie epoki, które o wiele lepiej scharakteryzuje jego ówczesne usposobienie, aniżeli długie wywody:

... Małżeństwo jest jako czereśnie:
Wprzódy je wróble oskubią złodzieje;
A potem człowiek zjada nadgryzione;
Niech żyje wolna miłość!....

Zdanie to porównane z zachwytami miłości idealnej, jakie „W Szwajcaryi" czytamy, jest prawdziwem bluźnierstwem. Szekspir włożyłby je w usta Falstaffa, człowieka złożonego z mięsa i sadła... Pośpieszamy zapewnić, że jest to wyskok tylko jednorazowy — nie prowadzi on za sobą żadnych konsekwencyj!...

Pojedyńcze postaci, z których dwie są najwybitniejsze, wyjaśnią powyższy zarys ogólny.

Na koniu, na którym było także „popa liche ciało", z pistoletem i szablą, pojawia się przed nami *Hudyma*, jedna z bohaterek rzezi humańskiej. Młoda, śmiała, rumiana „jak brusznica", usta miała jak karmin, oczy czarne jak szatana, brwi także czarne „jak piórka zgubione przez kruki"; w uszach dwie wielkie pereł dynie:

Wiszą, zdaje się, że łzy rusałczane
Kapiące cicho po jagód karminie,
Zmrożone, białe, świeże i świetlane....

Piersi krągłe „a takie chłodne jakby z marmuru". Śmiechy jej były tak głośne i śpiewne, jak „w lasach kiedy jękną nimfy drzewne, a potem echo gra kaskadą dużą tonów..." Wyższa nad wszystkie „dziewice dorodne", wesoła, chociaż gotowa na mord, bo krew umiała „rozlewać jak wodę". W czerwonych butach, przy ostrogach, na wzgórzu „wydawała się wielkim dragonem". Rozbójniczką przedtem była na wielkich drogach „nad limanem", nigdy nie postała na pańskich progach i nigdy może z panem nie rozmawiała. .Dzika, szalona natura, śmiejąc się i wykrzywiając lubieżnie, zabijała. W naszych oczach jednego w pierś kulą uderza a drugiemu sięga grzbietu szablą. Śmiała się „za siebie"; pewnie w parobku jakim rozkochana — objaśnia poeta. Jak widmo czerwone zjawia się i znika, pozostawiając po sobie wrażenie rozszalałej Menady... W krwi zbroczona, wściekła, rozkoszowała się dymem, z żywych ciał ludzkich wydobytym. Straszny, ale prawdziwy obraz kobiety zezwierzęconej uciskiem, roznamiętnionej zmysłami, upojonej wolnością mordowania... Jak rozwiana wiatrem pochodnia pożogi, tak Hudyma ukazuje się wśród walki, z groźbą utoczenia krwi jasnym panom, z rozdętemi nozdrzami, chwytającemi chciwie zapach posoki świeży, gorący. Roznosząc spustoszenie, nie zastanawia się nad jej skutkami; jej miło, że burzyć, niszczyć, mordować jest w stanie. Wolność ją oszołomiła, upajając pychą dokonanych czynów i bezkarnością. Mściwą jest na podobieństwo wód, zalewających uprawne i kłosem zdobne pola; czy zniszczywszy je, sama nie umrze z głodu — nie pyta... Senna bezświadomość, ślepota powodzenia, brutalność popędów, których nic nigdy nie ułagodziło — oto pierwiastki jej duszy, które ją zamieniają poprostu w mechanizm, odbywający swą czynność nieubłaganie, fatalnie.

Więcej ogładzony, chociaż nie mniej zmysłowy obraz wystawia nam poeta w *Krystynie* — Sulamicie i Dalili zarazem. Było to za czasów Bolesława Śmiałego. Król sprawował sądy. Ukazuje się nagle cudna dziewica. Bolesław myślał, że „jakiś płacz idzie bezbronny". Oczy czarne błyszczały jak zorze; z nich szły „niby błędne, rozpalające ducha promienie". Na ustach koral z „najświeższych szkarłatów"; na licu bladość, „która mówi: więdnę, chcąc być na słońcu, a ukryta w cieniu". Włos brunatno-złoty, na samem czole „własnem zwity pętem" błyszczał „jak gwiazdą jednym dyamentem". W uszach pierścienie; szaty królewskie. W ręku niosła dwa „wianki kwiatowe", z których jeden był naturalny, a drugi „sama składała ręką", bo „tchnienie dziewicze" pomogło jej w otwie-

raniu „serc schowanych w purpurze“ i w złoceniu oblicza liliom białym. Stanęła przed królem i tak przemówiła:

Mieszczanka jestem, z kupca urodzona;
Miasto wie całe, żem *prawie szalona*,
Bom jest *odważną na nieznane czyny*.

Zadaje Bolesławowi zagadkę Salomonową: który wieniec ona zrobiła, a który uwity został z kwiatów naturalnych. „Wstyd rozczerwienił ciemną twarz“ króla; musiał szukać ratunku w pszczołach, które rojem obsiadły wieniec, zrodzony przez kurhany. Krystyna, opadnięta, przestraszona, biegła na króla „w pszczołach, niby w gwiazdach“. On wziął ją z powietrza na swoje łono „jak ogień“ i chwilę czuł, jak jej przestrach mrozi go — a „miłość płonie“. Nagle odrzucił „tę mieszczkę“ od łona jak węża i z krwią, błyskawicą w oku krzyknął: by jej znaleziono męża a dano posag; ojcu odrzucił ją omdlałą i rzekł:

Nie kupcz mi ciałem jasnem tej dziewczyny,
Bo aniołowie ci zapłacą piekłem!...

Krystyna poszła za mąż; ale nie porzuciła myśli o królu, który napróżno chciał żądzę natrętną a piekącą odegnać sumieniem i drwinami... Wśród nocnej włóczęgi, szukającego zapomnienia i spokoju, dolatuje głos „dziwnie gorący i młody“. Był to głos Krystyny.

O przyjdź — śpiewała — bo gołębi stadem
 Wysyłam na wsze wiatry ognie moje.
O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem:
 Na łonie białem złożę i upoję!
O przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem,
 A otwórz cicho, jak anioł, podwoje.
. . . .
Gwiazdy zliczyłam idące na niebie,
 A ciebie niema, mój piękny i młody...
O przyjdź! w płomieniach cała czekam ciebie!...
 Jestem pierzchliwa, jako młode źrebię;
Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody;
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem jak kwiat rajski cała wonna.

 Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała;
Lecz obiecuję, czego dusza pragnie.
 Przyjdź! a lichtarze złociste zapalę,
Zakadzę drogim, wonnym cynamonem
 A jeszcze jaśniej przez mych ust korale

I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem...
Cicho jak ogień szeptaj — bo mię strzegą....[1])

Kłamstwo było w pieśni, ogniem i burzą wewnętrzną przepełnionej, gdyż „nieszczerze jak owca i kwiat wabiła pasterza“. Lecz pomimo to „dusza“ króla „wleciała w ogród zamknięty *na małżeńskiej skale*“. Jakoż „babilońska królowa“, okradłszy męża z klejnotów (przypominamy sobie Kupca Weneckiego), schroniła się w ręce Bolesława. Wyszła z okna „w miesięczną osrebrzynę“ i prawie stanęła na dachu, rumieniąc dachówki „światłami“ swych oczu: „nogę stawiała na blaszanych smokach, jak duch na srebrnych widmach i obłokach“.

Z zakresu miłości czysto zmysłowej jest to może najgorętszy obraz, jaki w poezyi naszej oryginalnej wykazaćby się dało. Niczego tu nie brakuje: ani powabów ciała, ani wonnej, upajającej atmosfery; ani głosu syreny; ani pociągającej ponęty zakazanego owocu... Ogród zamknięty „na małżeńskiej skale“ został otwarty; wkradł się złodziej, który pozrywa wszystkie jabłuszka... Płomienie otaczają nas zewsząd; jesteśmy nad wulkaniczną przepaścią, wpadamy w nią. Nic już nie zdoła okiełznać zmysłów potęgi!...

Poznajemy w tem Słowackiego. Kocha się w ostatecznościach. Z fantastycznego idealizmu przerzuca się odrazu, bez przejścia, w krańcową zmysłowość. Nie zna stopniowania. Bolesław przeklina wprawdzie swe zaślepienie, ale go nie żałuje, bo oprzeć mu się nie potrafi. Jak elektrycznym strumieniem — związani, skrępowani jesteśmy płomiennym kolorytem poetycznego malowidła: zostajemy pod zaklęciem czaru, jak owo skamieniałe państwo Popiela... Potrzeba nam głosu „globowego anioła“, ażeby w nas równowagę uczuć przywrócił. Tym aniołem będzie budząca się w nas świadomość, że rozkiełznane podrażnienie zmysłów nie może być ideałem szczęścia na ziemi; że wymagania ducha są równie silne jak popędy ciała...

* * *

Opisaliśmy lub wyliczyliśmy 30 z górą postaci kobiecych i wiemy, że spis nie jest jeszcze zupełny. Są w utworach Słowackiego urywki, które przy bliższej i szczegółowszej rozwadze mogłyby się stać jakąś małą, ale świetną cząstką ogólnej całości. Słowacki był płodnym; kreacye jego atoli mają w sobie pewną monotonią. Ogólnie biorąc, jest on poetą *fantastycznej* strony w naturze kobiecej. Tę cechę wspólną z różnemi odcieniami: smutku, melancholii, zbrodni,

[1]) Wyrażenia i nastrój pieśni żywo przypominają „Pieśń nad pieśniami“ *(Szir Hassirim)*.

sentymentalizmu, chorobliwości, obłąkania — noszą na sobie: Kseni, Eloe, Ellenai, Aldona, Rogneda, Marya, Laura, Anna, Beatryks, Balladyna, Alina, Lilla Weneda, obie Amelie, obie Salomeje, Judyta, Idalia, Dafnicka Sybilla, Księżniczka, Pycha, wreszcie Goplana. W szczegółach są to natury różne; zarówno w stopniu natężenia namiętności, jak i w stopniu szlachetności lub nikczemności dopełnianych przez nie czynów; — w zasadzie, w sposobie przejawiania się, w tle ogólnem są jedne i te same. Najważniejszym czynnikiem w ich duszy, skłaniającym do czynów, barwiącym uczucia, nasuwającym myśli, jest *fantazya;* w niej się one kąpią jak świetlane rusałki lub w płomieniach goreją jak eumenidy. W niektórych wydostają się na wierzch jeszcze inne czynniki i te właśnie starałem się scharakteryzować przy rozbiorze pojedyńczych postaci. Skutkiem takiej organizacyi wewnętrznej w uczuciach ich panuje rozstrój, smutek, boleść albo namiętna żądza czegobądź: władzy, miłości, zadawania męczarni i t. p.; rozłamane na kawałki, nigdy harmonii w sobie znaleść nie mogą i giną nieszczęśliwe lub się niszczą powolnem cierpieniem. Panując w krainie duchów, z rzeczywistością nie mogą sobie dać rady: ulegają jej nieubłaganym prawom, pomimo szalonego niekiedy oporu. Są to cudne, chociaż trujące czasami kwiaty, połamane nagłym natury gniewem... Wpatrując się w nie, *marzymy* nieustannie, mało kiedy *zastanawiamy się.* Porywają nas, zachwycają, przejmują zapałem, unoszą w sfery niedościgłe... Wróciwszy na ziemię, przypominamy je sobie jak sen ze wszystkiemi odcieniami jego charakterystyki w różnych życia chwilach: zmęczeniem, urokiem, uśmiechem, łzą, przekleństwem... Poeta dokonał swego zamiaru: wzruszył nas, rozerwał, nie mogąc przekonać...

Takich samych doznajemy wrażeń, odczytując ustępy przepełnione zmysłowością: Violetta, Grafini, Hudyma, Krystyna, jedne mniej, drugie więcej rozpłomieniają wyobraźnię, rozbudzają namiętne pragnienia, przykuwają nas do siebie — na chwilę. Są to piękne ciała. Bachanckim uśmiechem, filuterną chmurą na czole wabią ku sobie, lub też krwawem spojrzeniem, w którem jednakże domyślać się każą ognia rozkoszy, sztyletują śmiałków sposobem teatralnym, nie odbierając nadziei życia i użycia... Przedstawiają się one albo jako pozbawione zupełnie wpływu cywilizacyi, albo też zepsute jej rozkładowemi pierwiastkami. Zdrowego życia zmysłowego i duchowego trudno się w nich dopatrzyć.

To ostatnie znajdujemy w Anieli i w Dyanie. W nich poeta ukazał walkę miłości, poświęcenia z kobiecą godnością własną. Natury stworzone do szczęścia, do spełnienia wielkich zadań społecznych, mające bogaty zasób wszystkich przymiotów, jakie ku temu celowi prowadzą, trzeźwo oceniające skalę sił swoich, rzucone są w wir życia, w chaos uczuć. Potrzeba kochania przemawia do ich

serc naglącym rozkazem; są jej posłuszne. Dla miłości poświęcają wiele: kochają całą pełnią uczucia, całą energią duszy zdrowej i silnej: ale nie mogą przenieść spokojnie podeptania swych pragnień najszlachetniejszych; i jeżeli nie czynem, to słowem energicznem, palącem, potrafią śmiało stanąć w ich obronie. Kochać umieją, poświęcić się mogą; ubliżyć sobie nie pozwolą. Wysoko podniosą głowę nawet wtedy, kiedy osamotnione zostaną; we własnej piersi zaczerpną siłę do zwalczenia głupiej zarozumiałości, nikczemnego tchórzostwa. Dla nich życie nie będzie zapewne ogrodem pełnym pachnących róż i fiołków; kolcami nieraz sobie ręce i stopy rozkrwawią; ale — nie upadną. Ten jest wielki, kto bez obcej pomocy, jeżeli nie szczęście własne, to szlachetne dążenie do urzeczywistnienia pewnych idei w życiu przeprowadzić zdoła. Ten jest wielki, co gardząc podłością ludzką, jaką na drodze życia napotyka, własnej sile zaufa...

Odosobnione stoją takie postaci jak Syberyna — dziecko lodów, i Agnieszka — dziecko małomiejskiego partykularza. Są to istoty wchodzące dopiero w życie; widzimy je tylko na chwilę; zaledwie się im jedynie przyjrzeć mogliśmy i najwydatniejsze cechy tych drobnych kwiateczków zauważyć. Uśmiechem je witamy i uśmiechem żegnamy... Życzliwość zaiste dobrego dla ludzi usposobienia towarzyszyć im może.

Wreszcie pięknie narysowana postać *Wdowy* zasługuje na wyróżnienie swoją naturalnością, swoją prostotą w poświęceniu, swoją potęgą miłości macierzyńskiej.

Jak widzimy, większość kreacyj poetycznych Słowackiego przedstawia się albo ułamkowo albo jednostronnie. Stwarzał cudne obrazy, zachwycał pysznemi barwami, zdumiewał językiem, co „lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki“, językiem, któremu równego niema w naszej literaturze, przed którym Mickiewicz musi uchylić czoła; przykuwał niekiedy naszą uwagę plastycznemi posągami swych postaci; — słowem posiadał wszystkie zalety, jakie wielkich poetów charakteryzują. Brakowało mu jednego: wykończenia i harmonii z samym sobą. Stąd tyle dysonansów, tyle niewymotywowanych skarg, tyle szyderstwa, tyle przekleństw na jednostki, na kraj, na ludzkość całą. Jako wymowny wyraz zawodów, boleści, rozpaczy, szarpiących łono mas licznych — pozostanie Słowacki wielkim i lubionym. Zapominamy o szczegółowych powodach, jakie poetę do zrozpaczenia lub do mistycznej wiary doprowadziły; patrzymy jedynie w serce własne, w serce ogółu; a znalazłszy tam mnóstwo istotnych przyczyn smutku, uwielbiamy tego, co słowem potężnem, grzmiącem jak huk piorunu lub łagodnem jak szmer liści, potrafił objawy owego smutku wyśpiewać.

Obok jednakże takiego warunkowego uznania, nie możemy zapomnieć, że poeta nasz próbował również zarysować ideał dziewicy, jako przyszłej obywatelki. Myśl ta, jakkolwiek w wykonaniu nie przeszła granic szkicu, zasługuje na podniesienie, wzbudza szczerą sympatyą, pokazując w poecie chęć wpływu w kierunku nie już czysto artystycznym, ale i społecznym. Budzenie samowiedzy w społeczeństwie, choćby się miało „do wnętrza trzew sięgnąć" i krwi serdecznej utoczyć, będzie jednym z najważniejszych, lubo czasami najboleśniejszych obowiązków, jakie utalentowana jednostka, wchodząc w życie, względem innych zaciąga. Nie powiadam, żeby Słowacki przeprowadzał podobne myśli zawsze i wszędzie; fantazya zanadto go unosiła i wywodziła na szlaki wymarzone, na których nie mógł się spotkać z poważnemi obowiązkami; — ale zwracam tylko uwagę jego nieprzyjaciół, że myśli te nie były mu obce!... Oceniając poetę i jego utwory, wszystkie zalety (jak i wady) uprzytomnić sobie wypada.



ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Jak Krasiński pojmował miłość.

„Kto się poświęcił dla dobra ludzi, powinien o ich sądzie zapomnieć“.

„W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania,
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania,
Bądź piekłem miłości!“

Excelsior! Wznosimy się na wyżyny. Duch poety jakby archanioł o skrzydłach ognistych wzlatuje w krainę świetlanej przyszłości, pociągając nas za sobą siłą wielką, magnetyczną. Na niedościgłych prawie wysokościach zastawia nam ucztę wśród błyskawic, gromów, ulewnego deszczu i wschodu różanej jutrzenki. Powinniśmy zapomnieć na chwilę o naszych bólach i radościach jednostkowych, o naszych sprawach drobnych, codziennych — bo przed nami są kwestye społeczeństwa lub świata całego. Dzieje narodów i wielkich grup socyalnych z całą świętością powagi i z całą natarczywością rzeczy koniecznych wdzierają się w nasz umysł, ogarniają serce, owładają duchem.

Chcąc zrozumieć poetę, potrzeba się wyanielić — zrzucić szychowe świecidła dumy i zarozumiałości, pychy i samochwalstwa, zatargów i sporów dziecinnych, niechęci i nienawiści stronniczych; — a ubrać się w anielskie szaty miłości, przebaczenia, poświęcenia i ofiary, gdyż „z bólu zmartwychwstaje duch; z podłości tylko zmartwychwstania niemasz“. W takim nastroju potrzeba się wczytywać w głoski tęczowych myśli naszego poety, jeżeli go odczuć i zrozumieć pragniemy. Kiedy chłodny z wyziębionem sercem weźmiesz do ręki karty ogniste; spalą cię swoim żarem, będziesz zmuszony upuścić je bezwładnie na ziemię. Nie dotykaj ich lepiej, może przyjdzie kiedyś i na ciebie chwila taka, w której znudzony jednostajnością i bladością wrażeń, zbolały w duszy, zawiedziony w nadziejach, zechcesz zaczerpnąć sił nowych w rozważaniu promiennej przyszłości... Wtedy możesz otworzyć księgę i czytać. Pójdziesz w tem za na-

turalnym rozwojem myśli poety, wtajemniczając się w fazy jego twórczości. Bo i on cierpiał i on doznawał zawodu i on „jak Dante przeszedł przez piekło“ — a jednak nie zrozpaczył, nie przeklął, nie znienawidził ludzi; lecz tem silniej i goręcej ich ukochał, marząc o uszczęśliwieniu ich bytu, o wyprorokowaniu im przyszłości.

Z ogólnemi zadaniami społecznemi i politycznemi zaznajamiał się nasz poeta bardzo wcześnie, w latach swoich dziecinnych i młodzieńczych, w arystokratycznym domu rodziców. Salon ich był miejscem zetknięcia wielu znakomitości owoczesnych zarówno w sferze praktycznego wykonywania ustaw społecznych, jak i w sferze teoretycznej propagandy. Pobyt w Warszawie właśnie w chwili podejmowania spraw, które dotykając pojedyńcze społeczeństwo, pobudzały do głębokiego zastanowienia się nad ogólnym ustrojem socyalnym, nad prawami, przynależnemi ludzkości — przyniósł może Krasińskiemu (mającemu naówczas lat 12—16) choć dalekie dźwięki, niezrozumiałe w części, które później wróciły do umysłu jego jako wspomnień echo, zolbrzymione gwarem politycznych i społecznych ruchów, zdobywających sobie prawo bytu na Zachodzie, gwarem, któremu Krasiński z blizka mógł się przysłuchiwać. Upadek Napoleona i jego następstwo: reakcya w sferze pojęć moralnych, religijnych i politycznych (tak zwana „Restauracya“) nastręczały gotowy temat do burzliwych rozpraw, którym krajowe interesa, ściśle z powyższemi faktami związane, szczególniejszego dodawały zajęcia.

Były to chwile najszczęśliwsze w życiu naszego bolejącego poety. Potem nastąpił smutek straszny. Ojciec był jego sprawcą. Zniewaga, której doznał (z pewnością niesłusznie) będąc w uniwersytecie, stała się okropnych cierpień moralnych, a potem i fizycznych początkiem. Nielubiony był jako arystokrata, nielubiony był jako syn hr. Wincentego. Musiał wyjechać za granicę. Zniewaga położyła piętno boleści na wszystkich tworach Krasińskiego. Jedynym faktem późniejszego życia był ból — jak się wyraził sam poeta. Chociaż przebaczył, pamiętał o zniewadze długo; uwiecznił ją w pismach. W *Niedokończonym Poemacie* czytamy: „Harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach. — Przechodziłem wśród nich wszystkich (t. j. kolegów uniwersyteckich) z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą; lecz czemu — nieświadom! Krzyczą: panicz, panicz! — jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło: — oni ciągną mię na dół za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje...“ Ale anioł jego — lepsza strona usposobienia — kazała mu przebaczyć i „kochać“ napastników „w czynach“.

Cierpienia fizyczne stały się dla niego łożem Prokrusta. Zmuszony ciągle się leczyć, przejeżdżać z jednych wód zagranicznych do drugich, mieszkać daleko — w krajach ciepłych, gdzie rosną „cyprysy i mirty", nigdy nie zaznał spokoju. Potężny „serca męką", ze „smętną jakąś nieszczęść sławą", żył „wielkim, cichym, dumnym smutkiem", zaledwie się skarżąc. W duszy miał „próżnię grobową" — a jednak nigdy jej w pismach swoich nie wyjawiał. Przepędzał chwile jak pustelnik — z myślami swojemi. W roku np. 1837 pisał do hr. Ankwiczowej: „Cóż mam więcej donieść pani? nikogo nie znam, nikogo nie widuję; na wieczory, na bale nie chodzę. Oczy mnie mocno bolą, często nic nie robię, wkrótce *przestanę myśleć*... cały długi wieczór przeleżeć muszę na kanapie". Skarży się na brak myśli, a frazesów pustych „gadać" nie chce. Robi przypuszczenia jak najsmutniejsze: to że mnichem zostanie, to znów, że zmarnieje. „Toby był bardzo ozdobny koniec mojego znakomitego zawodu" — dodaje ironicznie. W r. 1842 pisał do Henryetty Sołtykowej (Ankwiczówny z domu, niegdyś przez Mickiewicza kochanej): „Niech się pani nie dziwi tym potwornym głoskom. Tak się pisze, gdy się 19 lutego, w sam dzień i chwilę urodzin (*niestety* 30-ty raz powtórzonych) miało dwa rzuty apoplektyczne krwi do mózgu. Głowa leżała już w grobie — i to na długo. Krwi puszczenie znów światło blade rzuciło w te ciemności — ale dotąd ręka tak pisać musi i każde *pisanie męką*"...

A przecie ten człowiek schorowany, zbolały, zmęczony życiem, które piołuny same do czary mu wciskało, które moralnej pociechy nigdy mu prawie nie dało — nie jęczał, nie narzekał, nie krwawił ran własnych, obnażając je przed czytelnikami. On miał siłę wyśpiewać słowa *pociechy* (sam niepocieszony), słowa zachęty, on odważył się pierwszy może zawołać:

Dość już długo, dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą:
W czynów stal.

Nie uznawał prawa bytu dla melancholijnego liryzmu, lubującego się w malowaniu serc pękniętych i zrozpaczonych; chociażby go okoliczności życia najzupełniej w naszych oczach usprawiedliwiały, gdybyśmy słowa skargi od niego posłyszeli. W duszy tej był nadziemski niemal hart wytrwania, było wszechwładne panowanie ducha nad kaprysami i bólami ciała.

Zasadniczą myślą jego utworów było: przez miłość, w czynach się ujawniającą, zgotować świt błogiego żywota na ziemi. Stąd też pojęcie miłości ma u niego znaczenie głębokie i wielkie: jast łańcuchem opasującym wszechświat,

jest elektrycznym strumieniem wstrząsającym dusze jednostek i społeczeństw, jest tronem szczęścia dla tych, którzy w szlachetności żyją. Z tak pojętą miłością łączy się u Krasińskiego najściślej pobożność, to jest zjednoczenie duchowe ze Stwórcą wszechrzeczy. Nie jest to jednak ani suchy obserwantyzm bigotki, ani zapalczywość dogmatycznego fanatyka. Pobożność jego polegała na uznaniu i przejęciu się wszechmądrością i wszechmocą Boga. Formułki, ceremonie, zewnętrzność były to rzeczy dla niego zupełnie obojętne. Wszakże przejęty główną ideą swoją, opowiada w „Legendzie“ upadek kościoła św. Piotra a zapanowanie na ziemi kościoła św. Jana — apostoła miłości. Nie przywiązywał się więc ślepo do tradycyi kościelnej, nie zabraniał swobody ruchu w zakresie pojęć religijnych.

Wygłaszając atoli płodność idei Boga w rozwoju społecznym, nie wykluczał on bynajmniej spółdziałania człowieka; nie zalecał bezwładnie i bezczynnie wyczekiwać zmiłowania bożego, nie „przemieniał ziemskiej doli w żywot ducha na księżycu“ — jak to o nim niesłusznie napisał przyjaciel niegdyś serdeczny, Juliusz Słowacki, w chwili rozdrażnienia. Krasiński powiada wyraźnie: „Ani osobnikowi, ani narodom, ani ludzkości Łaska wiekuista *nie zdała się na nic,* jeśli aż pod same niebiosa rąk nie podniosą ku niej: *bo połową stworzenia — wola stworzonych*“. Nie jest to więc zachęta do snu gnuśnego — ale pobudka do czynu, wychodzącego z głębin rozmiłowanej duszy. Roztkliwienie i rozmarzenie osłabia duszę, czyni ją lękliwą i niezdolną do energicznego wyjawiania się w działaniu. Krasiński też surowo karci tych, co sieją „łzy marne na nicestwa roli“. „Będziesz-że mi jeszcze błąkał się po manowcach za ognikami — powiada w *Niedokończonym poemacie* — będziesz mi kwiatki zbierał po gajach i tracił czas i trwonił moc, kiedy... iść trzeba po skale, w górę, śród mgły... krwią się własną przytrzymując u głazów, by nie odpaść w dół!“ Miłość u Krasińskiego nie rzuca na duszę całunu melancholii, powabnego jako draperya, ale nie mającego żadnej głębszej wartości. Miłość u niego jest czynna, powściągliwa, poświęcająca się, cicha, pokorna przed Bogiem, dumna wobec ludzi. Jeśli cierpi, cierpi świadomie, mając cel jakiś wielki na oku, nie dla zadowolenia uczucia próżności i popisu przed światem, nie dla wystawy szat żałobnych.

Przy całem bowiem ukochaniu rodu ludzkiego, przy całej pełni miłości namiętnej, Krasiński nie łudził się, nie postępował jak dziecko naiwne, któreby wszystkich za aniołów poczytywało, któreby żadnej nie dostrzegło skazy na ulubionym przedmiocie. Owszem w jaskrawych nieraz barwach przedstawia podłość i nikczemność ludzi. „Wiek mój — powiada — był wiekiem przejścia i złego“. Świat cały jest „giełdą bez Boga“. W gmachu tej giełdy była „wy-

stawa z marmuru czarnego, wschodami wiodąca aż tam. gdzie górowały trony świecące. Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń Wschodu, w długich szatach, z siwemi brody, z purpurową przepaską na czole, a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszcu...". W tych worach dusze kupców ukryte i spętane — płaczą. A w miarę „jak się nieszczęsne coraz bardziej skarżyły, wzrastał gniew siedzących i gniotąc stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich".

W innem znów miejscu powiada:

Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota!
Świat ten jak wieczna każdemu Golgota...

A pomimo to wszystko świat ten był przez niego kochany! Miłość pojęta szeroko ogarniała wszystkich:

Dla podłych tylko i faryzeuszów
Bądź groźbą, gniewem — lub świętem milczeniem;
Dla wszystkich innych, bądź *anielskiem tchnieniem!*

Oto przykazanie miłości, jak je Krasiński sformułował. Nie było w niem ani marzeń fantastycznych, ani sztucznych obsłon, ani czułostkowej galarety... tych właśnie wad, jakie on sam zarzuca i w części bardzo słusznie Juliuszowi Słowackiemu, kiedy w odpowiedzi na jego gryzące słowa mówi:

Ach! nie wziąłeś ran przed ciosem
W pierś twą *magnetycznie!*
Aleś jednym wciąż piał głosem
Tylko *fantastycznie!*

Miłość jego jaśniała światłem czystem, ciepłem i ożywczem. Choć cierpiał — przebaczał, choć widział podłość — nie przeklinał. W duszy jego chmur nie było — tylko blaski same. Ludzkość, społeczeństwo stawały przed jego oczyma jako Magdalena pokutująca: grzeszna, ale godna kochania. Przyciskał ją do serca, oblewał łzami spółczucia i błogosławił na — przyszłość czynu.

Wobec tak szerokich horyzontów, jakież mogła mieć znaczenie miłość jednostkowa, miłość ziemska? Prawie żadnego. Kobieta jest albo echem mężczyzny, samodzielnego życia nie posiadając wcale, albo też poświęca się na ofiarę Bogu lub społeczeństwu. Są naturalnie chwile w jej życiu, w których zadrga zwykłe ludzkie serce; przytłumia jednakże prędko jego bicie, ażeby nie stawało na przeszkodzie jego dążności do wykonania jakichś czynów wielkich; albo też zagłusza je na wieki —, wraz z życiem. Tęskne spojrzenie, echo wspomnienia jednej razem z kochankiem przebytej „nocy letniej", kilka westchnień, po-

całunek — oto wszystko, co dla ziemi uczynić może lub powinna. Wszystko — wraz z potęgą ducha kochającego — przenosi w krainę pozaświatową, w otchłań niespełnionych nadziei, w bezbrzeżny ocean niewidzialności. Tam, gdy ziemskie więzy opadną, dusze połączą się nierozerwalnie... na wieki. Miłość to święta, czysta, nieskalana, anielska. Kału ziemskiego napróżnobyś w niej szukał. Na tym padole płaczu niczego domagać się nie można; wszystko przekazać należy niebu. Tu do spełnienia są inne, ważniejsze sprawy, w których kobieta może być środkiem, pomocą lub przeszkodą — ale nie samoistną pracownicą. Rola jej całkiem bierna ogranicza się na wykonaniu tego, co mężczyzna postanowi. Jednego tylko dokonać zdolna: i siebie i ukochanego zaprowadzić pomiędzy cienie umarłych. Przeznaczeniem jej cierpieć i poświęcać się... w milczeniu.

Aczkolwiek takie jest ogólne wrażenie, jakie z rozczytywania się w utworach naszego poety odbieramy, są tam jednakże jeszcze wzmianki, których pominąć w żaden sposób się nie godzi. Krasiński przeczuwał, że w przyszłości inne być musi powołanie kobiety i że miłość jej inaczej uzewnętrzniać się powinna. Jedna z kobiet powiada: „Otóż ja umrę, głośno wołając: Duszę-m miała, duszę mam, a na ziemi *ciało* mi tylko przyznali“. To znaczy, że poczucie samoistności już się w niej przebudziło; potrzeba je tylko wzmocnić, rozświetlić i na szerszą życia widownię wprowadzić.

Krasiński, zajmując się zagadnieniami przyszłości, nie mógł pominąć całej połowy rodu ludzkiego, z którą miłość jakby się zrosła od dzieciństwa. Malując obraz świata udoskonalonego, woła, że w nim

Niema także podrzędnicy!
Bo niewieście w końcu serce
Po lat długich poniewierce
Błysło z pączka tajemnicy.
Dawne *pany* biorą sami
Swe, za dłonie, *niewolnice,*
By jak duchy iść z duchami
I wstępować na stolicę!
Przemieniony ten planeta
Już zapomniał, co kobieta,
Wie, co bracia i siostrzyce!

Posłannictwo takiej kobiety będzie wielkie; przerodzi ona społeczeństwo, reformując obyczaje, wlewając w życie pierwiastki nowe:

Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta;
Lecz przyjdą czasy, lecz kiedyś się zjawi
Córka człowieka i Boga — niewiasta!
I męskie serca od śmierci wybawi!

Lecz są-to wzmianki, cenne bezwątpienia, ale urywkowe, niezwiązane jeszcze w system, nieprzeprowadzone w całkowitych kreacyach, któreby uwydatniły bliżej rysy owej „niewiasty“. Nie można w nich dopatrzeć się idei równouprawnienia w tem znaczeniu, jakie obecnie do tego wyrazu przywiązujemy: działalność niewiasty i jej samodzielne stanowisko wypływa tu z uczucia miłości, ogarniającej wszystko; a myśl wypowiedziana powtarza jedynie to, co przed dziewiętnastu wiekami wyrzekł św. Paweł: „Niemasz Żyda ani Greka, niemasz niewolnika ani wolnego, niemasz *mężczyzny i niewiasty,* albowiem wszyscy *jednem jesteście* w Jezusie Chrystusie“. W każdym razie idea-to była płodna, kiedy do takich wniosków doprowadziła.

Miłość u Krasińskiego nie ma ciała — i w tem postaci jego kobiece podobne są do większej części utworów Słowackiego. Zewnętrzności poeta nie opisuje. Wzrok ognisty, sploty długich włosów, bladość cierpiącego lica, kibić powiewna — oto wszystko, co wiemy o fizycznej stronie jego kobiet. Taki sposób traktowania poetycznych tworów nie wynikał oczywiście z niemożności artystycznej lub nieświadomości, ale jedynie z ogólnego nastroju duchowego. Za młodu bowiem umiał poeta opisywać miłość zmysłową, gorącą, wulkaniczną, wraz z powabami ciała i zawrotem głowy. Później usunął obrazy tego rodzaju na plan ostatni, wskazując nam zdala to krwią zbryzgane, rozpustne bachantki demagogiczne, to płoche zalotnice, za świecącym kruszcem ofiarą swego ciała goniące. Malować ich szczegółowo nie chciał, bo zbrudziłyby mu jasny, promienny koloryt utworów.

Krasiński był w wysokim stopniu idealistą. Duch panował u niego nad ciałem, treść nad formą. W obserwacyą się nie bawił, rzeczywistością mało się zajmował. Uczucie swoje wyidealizował w nieszczęściu, w silnem przejęciu się klęskami ogólnemi, wobec których nikły jego bóle indywidualne. Tem się właśnie wyróżnia od Słowackiego, w którym na pierwszym względzie zawsze stała własna jego osobistość; to nadaje cechę dodatniości wszystkim Krasińskiego poezyom. Nie kierował się wrażeniami chwili, rzadko poddawał się kaprysom rozdrażnionej namiętności. Stąd znów wynika brak rozmaitości w jego kreacyach. Skamieniałość bólu, promieniami dalekо wschodzącej jutrzenki oblaną, odnajdujemy wszędzie. Skamieniałość ta atoli przedstawia się raczej w masie, aniżeli w kształtach, misternie a dokładnie rzeźbionych. Potęga myśli, dla której trudno było znaleść „konchę glinianą“ — nie dozwala rozwinąć się plastyczności rysów i ruchów. Giestów mało, akcyi nie widać, wszystko zastępują słowa. Ale i te nie stawiają marmurowych pomników dla formy, są jedynie wiernem tłómaczeniem *snów* duszy zbolałej a wierzącej! Miłość, na wszechświat rozprowadzona, zatarła w sobie pojedyncze rysy, które tylko w jednostkach uwydatnić się dadzą. Głębia

uczucia tego jest niezaprzeczona; szczerość — widoczna; anielskość — zgodna z ogólnym stanem duszy poety, który skarżył się na to żałośnie, że więcej jest na ziemi wątrób, aniżeli serc... Wystawiając miłość jako panaceum na wszystkie choroby ludzkości, musiał zostawić na boku rozum, którego wprawdzie nie wyklina, ale też i nie podnosi, chociaż niepodobna mu o nim nic nie wspomnieć. Natarczywie się on domagał uwzględnienia; poeta utrzymuje, że ci, co miłości nie mają, są chorzy na podłość albo na *bezrozum*.

A czy wy wiecie, wy, na podłość chorzy
Lub na bezrozum, gdzie ten piorun boży?
On w piersi ludzkiej drga — i zwie się miłość...
I on rozcina tu losu zawiłość!

Poeta, który tak gorąco i tak bezwarunkowo wierzył w potęgę miłości, zasłużył sobie niezaprzeczenie, żebyśmy go całem sercem kochali i utwory jego ducha oceniali nie podług niziuchnej skali ciasnego egoizmu lub lekceważącego posądzenia o niedorzeczny mistycyzm i fanatyzm religijny; ale podług skali tych wzniosłych uczuć, jakiemi podnieść nas ku sobie usiłował.

* * *

Przez długi czas prywatna, że tak powiem, strona wewnętrznego rozwoju poety szczupłej tylko garstce przyjaciół i krewnych była znana. Od niedawna dopiero wydana część korespondencyi Krasińskiego odsłoniła niektóre ciekawe i charakterystyczne cechy jego umysłu i serca. Dawniej znane listy przedstawiały nam autora Irydyona zawsze tylko zadumanego o najwyższych zagadnieniach ludzkich, zawsze przemawiającego tonem podniosłym a niekiedy i bombastycznym. Listy do Edwarda Jaroszyńskiego, Konstantego Gaszyńskiego, Stanisława Małachowskiego i Adama Sołtana, ogłoszone w ostatnich latach, nie zacierając tego wrażenia, dają nam poznać poetę ze strony poufnej, jakim był w życiu codziennem, nie dostarczającem ustawicznie wielkich zachwytów i nie rodzącem co godzina olbrzymich pomysłów.

Tu się pokazuje, że poeta pomimo swego europejskiego wykształcenia, pomimo arystokratycznych nawyknień, jest przecież w gruncie rzeczy prawdziwym Polakiem nietylko w tem, co istotę usposobienia narodowego stanowi, ale nawet w niektórych zewnętrznych tego usposobienia objawach: jest rubasznym a nawet trywialnym w wyrażeniach, lubi dosadne określniki stosowane do ludzi i rzeczy (bałwan, błazen, dureń i t. p.). „Uroczysty, majestatyczny styl Irydyona — mówi Tarnowski — kiedy schodzi z wysokości, nie przestaje na tem, że jest

potocznym, ale nabiera czasem takiej energii wyrażeń, że huzar zawahałby się nieraz, zanimby podobnych użył z piórem w ręku... A kiedy go oburzy człowiek podły albo kobieta nikczemna, to wtedy otwartość jego stylu posuwa się do wyrażeń tak mało parlamentarnych, że ich żadną miarą nawet z zastrzeżeniem: *uczciwszy uszy* powtórzyć nie można".

Powtóre, okazuje się Krasiński w tych listach amatorem drobiazgów życiowych, ma skłonność do pewnego plotkarstwa, do jowialnych dykteryjek: bawi go jakaś śmieszność, jakieś głupstwo, jakaś niezgrabność towarzyska lub jakaś romansowa intryga. Tego rysu w jego usposobieniu niktby zapewne z pism jego nie wywnioskował; a przecież do wytworzenia sobie dokładnego pojęcia o człowieku, jeżeli już nie o poecie, jest on bardzo potrzebny.

Listy do Sołtana i Jaroszyńskiego są jeszcze ważne z tego względu, że nam o indywidualnej miłości Krasińskiego mówią, a mówią otwarcie, bez obsłonek. I ten punkt naszych wiadomości rozświetlił się ogromnie; poznajemy tu duszę namiętną, żądną wrażeń, niedbającą o zwykłe konwenanse ani też o zwykłą moralność, ale bądź co bądź szlachetną i idei uznanego *przez siebie* obowiązku oddaną — przynajmniej na pewien przeciąg czasu.

Znamy dotychczas dwie z tych miłości i to z opowiadania samego poety. Pierwsza z nich sięga wczesnej młodości i ciągnie się przez lat kilka, dopóki nie ustąpiła drugiej, choć poeta się bronił, jak mógł, przeciw tej „niewierności" czy niestałości. Pierwsza ta miłość rozpoczęła się najprawdopodobniej w końcu roku 1833 w Rzymie; dowiadujemy się o niej jako o fakcie już istniejącym w roku 1834, gdy poeta zaczął rok 23, gdy jest we Włoszech w towarzystwie dwu ukochanych przyjaciół: Danielewicza i Jaroszyńskiego. Oddalony od swej ukochanej niepokoi się, trwoży, szuka pociechy wszędzie, nawet we wróżbiarstwie i brak mu równowagi wewnętrznej, którą stara się napróżno marzeniem zastąpić. „Wciąż słaby jestem na duchu — pisze do swego przyjaciela Gaszyńskiego w dniu 29 listopada 1834 r. — roją mi się fantazmata w sercu i w mózgu, nieskończone żądze, niewymowne pragnienia, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało. Są chwile, w których upadam na łóżko i leżę jak martwy, ale są i takie, w których myśli duszy mojej wytężam, gdyby ramion tysiąc, w które objąć chcę świat cały, wszystkie piękności ziemi i nieba... O, gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę. Ponieważ jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą. I nie byłby to posąg Pigmaliona, ale *ona,* utworzona z żebra duszy mojej. Poznałaby mnie; byłaby mną i sobą zarazem. O, wtedy sam na sam ukląkłbym przed jej śnieżnem ciałem. Nie byłaby to Wenus grecka, owszem w jej urodzie przebijałaby się powaga Apollina Belwederskiego; ale ta

uroda wzniosła, ta duma wzroku, to panowanie nad wszystkimi w łzyby się rozpłynęło nade mną... Ale nie ma, nie ma jej; więc pięść gryzę jak niedźwiedź litewski".

Karnawał rzymski z 1834 r. zbliżył podobno najwięcej poetę ze starszą od niego o lat trzy kobietą, gdyż wspomnienie tego karnawału niejednokrotnie w późniejszych latach przychodzi na myśl Krasińskiemu, gdy szczęście młodości przeciwstawia szarocie starszego wieku. Potem spotykali się zazwyczaj na krótko w różnych miejscowościach kąpielowych. Gdy się w Ischl zjechali w połowie lipca, pisał z uniesieniem do Adama Sołtana: „Zastałem ją dwa razy tyle kochającą mnie co dawniej. W życiu mojem zapewne już takich dni szczęśliwych nie doznam więcej. Może ci miło będzie wiedzieć, że ten, który cię kocha, dostał się do raju i z raju do ciebie pisze".

Niebawem wszakże następują przykrości różne: list jakiś do Zygmunta od ukochanej pisany dostał się na poczcie do rąk awanturnika, co nosił to samo nazwisko a haniebnie tego przypadku nadużył; otworzył bowiem list, poznał treść, odczytywał go ludziom, chwalił się nim jakoby do siebie pisanym; — ludzie zaczęli się nad kobietą przez poetę kochaną znęcać i szarpać jej sławę. „Zastałem ją w najokropniejszym stanie — pisze do Sołtana w roku 1835 — i raj mój niebieski prysł odrazu. Polki, pani G... i drugie były w Ischl. Niema potwarzy, szyderstwa, złości, którąby nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G... zlepiona z żółci i mułu, wysoka, szkieletowata, rozpaczająca za znikłemi wdzięki, wściekła, że kto inny piękny i kochany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca! Dni tam spędzone były mi piekłem. Dopiero wieczorem odpoczywałem, kiedy wszyscy posnęli: w tym salonie na wieki pamiętnym, wśród krzewów hortensyj, przy półświetle lamp, przy blasku jej łzawych oczu. Tam jej cała dusza tyle szlachetna i dobra na łzy roztapiała się przede mną, tam ją umęczoną za to, że kocha, pokochałem jeszcze więcej niż wprzódy... Nigdym nie kochał, nie wiedział, co to kochanie; dziś dopiero, zstąpiwszy do piekieł z niebios, to poznałem. Dziś dopiero chodzę po spiekłym bruku tego miasta (Tryestu) i chciałbym się położyć i skonać na nim, tak mi dolega każda chwila bez niej. Jeżeli były jakie błędy, Bóg je nam przebaczy. Trudno tyle walczyć co ona a tyle kochać i szanować i czuć co ja".

Ażeby ocenić położenie, trzeba wiedzieć, że tą ukochaną Zygmunta była kobieta zamężna, mająca dzieci (Joanna Marya Bobrowa), odznaczająca się wysokiemi przymiotami umysłu, wykształceniem, subtelnym smakiem artystycznym i głębokiem uczuciem; w życiu małżeńskiem nie znalazła szczęścia, nie była rozumianą i ocenioną według swojej wartości. Walki, jakie stoczyć ze sobą

musiała, zanim się całą duszą oddała poecie, niewątpliwie kosztowały ją wiele. Jej natura nerwowa, namiętna, chorobliwa trochę miała urok niezwykłości i pociągała do siebie Zygmunta, który silnych wrażeń potrzebował, niemi się do pewnego stopnia upajał i życie swoje w poemat zamieniał. Oto np. opis rozstania się z roku 1835, po miesięcznym blizko spólnym pobycie w Wenecyi: „Ona wyjeżdża za dni dziesięć. Ja zaraz potem. Ile wycierpiałem, nie masz wyobrażenia. Ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto wiedzieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej niż sił przysparza. Co mi najmilszego z tego wszystkiego zostało, to to wyobrażenie, że szlachetniejszej kobiety niema na ziemi, to to przekonanie, że takiego serca daremno-bym już szukał w życiu. Ach! co mi życie zatruwa, to że ona uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obowiązek uważa odwieźć dzieci mężowi i cierpieć. W tem rodzaj ekspiacyi widzi. Ale sił nie będzie miała i umrze... Już teraz po kilka razy na dzień mdleje, blada jak trup lub rozgorączkowana jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka! Ludzie to zowią błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż jeśli ten błąd już w samym sobie swoje piekło zawiera? Jeśli kwiat przez to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć i umierać musi? Biedny-to świat, w którym jedyne szczęście przezwali zbrodnią; biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać musi... Za kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa bytu: *rozum,* jak mówią ludzie, *rozsądek!* co u niektórych znaczy *podłość,* u niektórych *głupstwo,* a u bardzo mało *cnotę*".

Poznajmy teraz jego sarkarm i chęć dramatyzowania swego życia: „W tych dniach los mojej duszy się rozstrzygnie. Albo zbudzę w niej iskrę, albo zebrawszy wszystkie siły, stworzę sobie jakąś postać do kochania idealnie i ubiorę ją w kształt, albo też przekonam się, żem głupi na wieki i każę sobie zrobić maleńki sarkofag z szyldkretu z napisem dnia, w którym pożegnałem ją, a pod spodem będzie: *dzień śmierci rozumu mojego.* Ale potem co zrobię? Czy świnie paść będę, czy strzydz owce, czy się wykieruję na dobosza, czy, jak mój stryj, garnków fabrykę założę? Tyle dróg przede mną, a ja się waham? Nie, nie. Sprawię sobie portki à la général Alexandre i płaszcz duży i będę z niego bułki sypał wiedeńskim łazarzom. Albo... ożenię się z panną Henryettą (Ankwiczówną), która mnie tak wiernie kocha, osiądę w Rzymie, kaczki z Galicyi sprowadzę do Kolizeum i będę przepisywał elegie mojej żony nad niemi".

Rok 1835 był kulminacyjnym w tej miłości punktem, ale przez rok 1836 i 1837 trwa ona ciągle i odzywa się nieraz rzewnie, czasami namiętnie, zawsze smutno; raz jeden znać w słowach poety jakiś rodzaj żalu czy gniewu do oddalonej kochanki. Moc jednak miłości zmniejsza się widocznie; wprawdzie

odrzuca dobrą partyą, do której nakłaniał go ojciec; odrzuca ją, choć panna była „piękna jak anioł, ślicznie ułożona“, choć wszystko w niej zapowiadało dobrą żonę: „i tok umysłu i przyroda i wychowanie“. W motywach wszakże tego opornego stanowiska, wypisanych przyjacielowi, przebija się raczej skrupuł delikatnej duszy, aniżeli nieprzeparty urok silnej miłości. „Bądź moim sędzią — mówi do Sołtana — wiesz, ile *kochałem* tamtę i wszystkie koleje z nią przebyte. Ona całą przeszłość moję zagarnęła, ale w niej *niema dla mnie żadnej przyszłości*. To wiedziałem zawsze; ona to czuła równie jak ja. Ale *dla niej* ja jestem wszystkiem, choć oddalony, choć w niczem codziennem, praktycznem nie dotykający jej okręgów; wszystkiem, bom ją przed ludźmi i przed własnem jej sumieniem pozbawił pokoju, bom wygnał ją moralnie z progów domowych, bo mi ona wszystko poświęciła i dziś jest nieszczęśliwą, bez dawnej posady (!) wśród znajomych, bez dawnego przywiązania do życia, któremu była przywykła, bez dawnej spokojności serca i rozumu... Teraz jedyną jej ulgą, pociechą jest myśl, że ja jej nie uwiodłem, ale że ją kochałem; myśl, że poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić. *Gdybym z drugą się ożenił, pchnąłbym ją w serce na wieki.* Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną kobietę, a zostać jej *przyjacielem, bratem* i kochać ją sercem, *wdzięcznością*. Gdybym się ożenił, wydałoby się jej, że straciła dobrą sławę i może duszy swej zbawienie dla igraszki przewrotnego człowieka...“.

Na wiadomość, że ma się z nią znowu widzieć, przejmuje go jakaś obawa; powiada, że ona go męczy ciągłemi przeskokami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności, że miłość nic nie warta, że tylko przyjaźń nie podlega zmianom, że kobieta owa jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą nawet od niego samego.

„Smutek ogromny i poważny objął duszę moję — pisał do Sołtana 24 lipca 1837 — prawda jest świętsza nad wszystkie względy; *niema miłości na świecie!...* Miłość, prócz myśli, idei, wymaga jeszcze tego, co najszczytniejszem i najtrudniejszem jest na świecie: sztuki, kształtu, widomej piękności, pewnego rodzaju katolicyzmu... Bo zważ to dobrze, że dla katolicyzmu, jak dla miłości, trzeba pojednania harmonijnego najszczytniejszych moralnych ofiar z najbardziej nęcącemi, pięknemi materyi kształtami... Teraz wybierz się w drogę i szukaj żyjącej kobiety, którąby dorównała ideałowi miłości. Znajdź taką, w którejby boskim składzie forma była kwiatem materyi, dusza — kwiatem ducha; taką, któraby w objęciach twoich czystą została, a w podniosłości ducha jednak twoją była; taką jednem słowem, którejby czyny nie popsuły ideału, a którejby ideał nie popsuł rozkoszy czynów. Jeszcze Bóg córki nie miał; dotąd syna jego widzieliśmy tylko!...“.

Za widzeniem się w roku 1837 we Frankfurcie wybuchła na chwilę zpod popiołów iskra przywiązania a może tylko litości... „Widziałem ją przez trzy dni; co się z tego widzenia w sercu mojem zostało, reszty mego życia będzie towarzyszem: zgryzota, smutek, przywiązanie... Powiem ci, żebyś jej nie poznał; smutek i choroba tak ją przetworzyły. Tem droższa dla mnie. Oczy jej z błękitnych w ciemne przygasłe się zmieniły; piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała, a w duszy nic prócz bólu ciągłego, mąk ciągłych i miłości dla mnie. Chcę przestać o tem mówić a nie mogę". W rok potem jeszcze po widzeniu się w Salzbrunn poeta usiłuje wmówić w siebie, że się miłość jego nie zmieniła. „Nie kochać jej nie jest w mojej mocy. Im słabsza, im smutniejsza, im coraz bardziej tracąca piękność dawną, tem mocniej lgnie moje serce do niej... Dzień cały minął mi z nią jak sen pełen tęsknoty... Czasem kiedy się zamyśli i spojrzy Bóg wie gdzie i marzy Bóg wie co, rzekłbyś, że letarg ciemnego obłąkania się zaczyna. Wtedy serce mi się kraje, wtedy całuję jej ręce prosząc, by przemówiła, a łzy czuję w duszy, choć ich nie mam w oku. A za dwa dni muszę ją zostawić samą, samą na świecie... O Adamie! nieszczęsny ten, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności targnął się na cudze prawa, żonę od męża oderwał, matkę od dzieci... Ja to-m uczynił myśląc szalony, że na tej drodze poezya i wiosna; teraz *głęboko-m poniżony sam przed sobą* a ona przed światem... Bądź co bądź ty nie rzucisz ni na nią ni na mnie kamieniem".

Nareszcie w tym 1838 roku stosunek ten miał się zerwać stanowczo. Krasiński na żądanie ojca przybył do Opinogóry; tu prośbą i groźbą, płaczem i rozkazem usiłowano go skłonić do zaprzestania wszelkich związków z ukochaną; poeta odmówił. Stosunek z ojcem był oczywiście wielce naprężony. „Ileż razy na dzień — pisze poeta do Jaroszyńskiego — spojrzeniem lub słowem nieznaczącem ojciec mi objawia, żem jego nadzieje zniszczył i że oba samotni jesteśmy na ziemi". Zygmunt tedy najczęściej przebywał wieczory sam w swoim pokoju. „Świeca gdzieś za parawanem tleje — pisze do tegoż — myśli moje snują się bez końca, ale nieskończonością goryczy, smutku, wstrętu". Tak upłynęło trzy tygodnie. „Po trzech tygodniach nic na mnie wymódz nie mogąc — pisze Krasiński — ojciec udał się do niej i prosił ją o to samo. Pojmiesz znowu, że tak jak ja nie mogłem przystać, tak ona nie mogła nie przystać. Wrócił mój ojciec przywożąc mi kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych, w których mówi, że musiała zgodzić się na to, by ostatni raz te kilka słów napisać do mnie".

Odtąd Krasiński już tylko pośrednio przez ludzi dowiadywał się o swojej lubej. Wspomnienie o niej długo się jeszcze w duszy jego przechowało; uwiecznił je w *Niedokończonym poemacie,* przedstawiając żonę Rahogi; a nadto w jej

imieniu napisał piękny wiersz (w końcu roku 1838), w którym między innemi czytamy:

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi:
Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi.
Teraz w ich stronę moje serce leci!
Gdzie ich kolebka? gdzie śliczne wejrzenie?
Gdzie jasne pukle moich biednych dzieci?
Choć głos twój dźwięczny i boskie natchnienie,
On tyle szczęścia w sercu mi nie wznieci,
Co sen ich niemy lub jedno westchnienie!

Daj mi twą rękę! Słuchaj: w tych dolinach
Ty mnie pochowasz przy Rzymu ruinach,
A grób mój będzie otoczon wzgórzami,
Zakryty zewsząd bluszczem i głogami,
I ty wyryjesz na białym kamieniu
Prośbę do Boga, by w cyprysów cieniu
Ten kamień za mnie modlił się w milczeniu.

Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś,
A która była ci więcej niż żona,
Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Któremi ludzie kochanie przezwali...
Bo ludzie nigdy kochania nie znali.

Ja wiem, co miłość, co długa tęsknota,
Co bój zacięty z myślą o kochanym,
Co szczęście niebios, co piekieł zgryzota,
I brak łzy cichej w oku wypłakaném.
Daj mi twą rękę, niech czuję, żeś blizki;
Tyś wielki, piękny, ty masz wzrok anioła,
Gdy plama pychy nie kazi ci czoła,
A same prawdy zdobią go połyski!

Patrz! ja być mogłam tak czysta, tak święta,
A teraz będę na wieki przeklęta
I dzieciom moim ojciec nie odpowie,
Gdy się spytają: jak się matka zowie!
Tak gorzko, zimno, tak ciemno mi w duszy,
Że czasem myślę, iż płacz mój poruszy
Serce aniołów. Lecz nie; już godzina
Śmierci nadciąga i wkrótce uderzy,
Już ból konania w tych piersiach się wszczyna,
Już palec Boga na tem czole leży. [1])
. . . .

[1]) Najszczegółowiej i najpiękniej dzieje tej miłości opowiedział Ferdynand Hösick w swojej *nowelli* historyczno-literackiej p. t. „Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego“.

Zaledwie stosunek ten się skończył, zaledwie mu Zygmunt poetycki wystawił grobowiec, w sercu jego rozkwitł kwiat nowej miłości.

W zimie roku 1838/1839 był Krasiński we Włoszech. Wśród rodzin polskich, bawiących tam wówczas, wybitne miejsce zajmowała rodzina pp. Komarów z Podola, która prowadziła dom otwarty i wszelakie znakomitości w salonach swoich ugaszczała. Z trzech, podobno bardzo pięknych i wykształconych córek, największą na siebie zwracała uwagę najstarsza Delfina. Dzieckiem jeszcze prawie wydana za hr. Potockiego, dziedzica jednego z najarystokratyczniejszych imion i największych w kraju majątków, musiała po kilku latach pożycia rozstać się z nim nazawsze. Zamieszkała wtedy przy rodzicach i oddała się uprawie uzdolnień artystycznych, ażeby próżnię życia zapełnić i głód wrażeń zaspokoić. Wielka znajomość świata, wielki wdzięk w postępowaniu, a przytem usposobienie uczuciowe, smętne, marzycielskie, tak zgodne z ówczesnym nastrojem romantycznym, ściągały ku pięknej rozwódce mnóstwo wielbicieli.

Krasiński zaraz po jej poznaniu w Neapolu odmalował ją w liście do Sołtana ostro i szorstko.

Zapoznając przyjaciela z domem pp. Komarów, powiada o Delfinie: „Ale wśród nich wszystkich jest dziwna istota, która stoi już za przepaścią, istota, której duszę żywą i silną i prawdziwie wszystkiemi dary, któremi Bóg Polki obdarzył, do najwyższego stopnia obrzuconą, przepsuł Paryż i Londyn, książę d'Orléans, Flahaut, mąż niegodny i próżność fashionu, najnędzniejsza z próżności. Mimo to jednak zostały w tej duszy iskry podobne wybuchom wulkanu, kiedy wspomnienie jakie lub nadto silna boleść je rozdmucha; została żądza długa, namiętna, długa jak nuta włoska przeciągniona przez doskonałą śpiewaczkę, żądza wyższego stanu rzeczy, piękniejszej sfery dla ducha, spokoju jakiegoś promiennego po tylu i obłędach i prawdziwych nieszczęściach. Kiedy zaś te iskry gasną lub drzemią, nieznośna to kapryśnica, nie mogąca dwóch słów poważnych wyrzec, potrzebująca śmiać się i żartować, by uniknąć strasznej nudy, która ją toczy; podobna znarowionemu dziecku, źle wychowanej dziewczynie, lub Don Juanowi w spodnicy, który wszystkiego doznał i teraz krzyczy: Dajcie mi księżyc, chcę skosztować, czy z księżyca dobry marcypan, bo na ziemi już nic niema... Literatura francuska dzisiejsza zna takie kobiety, cywilizacya dzisiejsza takie płodzi twory... Widzę nieutuloną rozpacz w niej, nieudolność do uczucia jakiegokolwiek szczęścia — i ta przekwitłość serca wywiera silniejsze wrażenie na mnie, niż świeżość młodociana, niż szczęście, zdrowie, przyszłość, kwitnące razem na panieńskiem licu... Gdy na czyjem czole ujrzę

Znajduje się ona obecnie w zbiorze studyów tego pisarza „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu" (Kraków, 1895).

ślad żałobny, wyciśniony kolejami życia; wtedy marzy mi się, że moje słowo lub przyjaźń lub ręki uścisk może w tych piersiach obudzić nanowo życie. Co do kobiet, mylę się zapewnie, bo one zmartwychwstawać nie umieją; ale złudzenie jest mocnem i łudzę się“.

Poeta przyznaje się przyjacielowi, że czuje dla niej litość, że Delfina jest dla niego „jakoby zwierciadło“, w którem widzi „czasem przechodzące widmo tej“, którą kochał. „Zrazu — powiada dalej — kłóciliśmy się okropnie, bo nie chciałem szyi zgiąć przed jej zewnętrznym fashionem, tak się nawet kłóciliśmy, że ona mnie, ja jej dziwnie przykre powiedziałem rzeczy. Ale dopiero kiedy ton swój paryski odmieniła i szczerze mówić zaczęła, i ja ton odmieniłem. I teraz w wieczór ona smutno, żałobnie opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę“.

Następnie do litości przybyła wdzięczność.

„Leżałem w ciężkiej gorączce — pisze w lutym 1839 r. — cieszyłem się myślą, że na tamten świat się przerzucę, ale znać jeszcze-m tu do parady potrzebny. Nie mogę ci opisać, o ile przez ten czas choroby mojej pani D. była dobra, prawdziwie, szczerze dobra dla mnie.. Gdybym miał siostrę, od siostry niczego więcej żądać-bym nie mógł. Z całej duszy jej wdzięczny jestem tembardziej, iż wiem, że to prosta, dobra przyjaźń“.

Otóż mamy już i przyjaźń, która z dniem każdym stawała się coraz gorętszą; 20 lutego już pisze do Sołtana: „Nie chcę listowi powierzać rzeczy, na której zrozumienie i ocenienie trzeba albo dziesięć arkuszy napisać, albo być z tobą razem i tylko ścisnąć ci rękę — ale to pewna, że w dziwnej jestem kryzys moralnej: razem gorący i zimny, młody i stary, obojętny i nie. To jednak doskonale czuję, że co lat kilka, jak piasek w klepsydrze, tak życie o kilka stopni opada w piersi naszej. Co niegdyś byłoby nas przejęło szałem, dziś tylko słodyczą; kto wie, co lepsze: czy szał, czy tkliwa słodycz rozlewająca się po duszy jak ciepłe, wonne wiatru powianie?...“. A w wierszu z tegoż czasu p. n. *Pożegnanie* mówi wyraźnie:

Ledwie-m cię poznał, już cię żegnać muszę;
A żegnać ciebie, jak gdybym przez wieki
Żył z tobą razem i kochał twą duszę,
A teraz jechał w jakiś kraj daleki
I nie miał nigdy już zobaczyć ciebie,
Chyba gdzieś kędyś po śmierci tam w niebie...

Toż samo, ale już prozą w liście do przyjaciela wyznaje w marcu: „Tobie przyszło przez myśl, żem ja się w jakiej pannie zakochał. Nie, Adamie, nie.. Zresztą niech Bóg mię osądzi. Zapewne, że nie jestem na najprostszej drodze,.

ale kto wymiarkuje drogi serca? kto rzuci kamień na drugiego? Przynajmniej niech mi go nie rzuca nigdy dłoń przyjaciela. *Ledwo pisać mogę*. Pomieszały się wszystkie wyobrażenia i wiary moje, jestem jako ślepy i obłąkany... Proszę cię, nie potępiaj, ale żałuj, bo ty wiesz, że ja ją *szczerze kocham i na zawsze*. Błędy moje, szały moje niechaj twego serca nie odwracają ode mnie, bo ty na nich nigdy nic z duszy mojej i przywiązania stracić nie możesz. Ty sam wiesz, że są tak gwałtowne, tak porywające uczucia, że rozum przeciwko nim jest tylko przedrzeźniającym bufonem, ale nie zaradczym lekarzem. Otóż jestem w takiem położeniu; a jak się ono wyrobiło, ile walk zniosłem, jak powoli giąłem się pod tą fatalnością, jak darłem się z samym sobą i rozdarłem siebie; to niech mnie i Bogu wiadomem pozostanie".

Odtąd korespondencya Krasińskiego nie dostarcza nam szczegółów rozwoju tej miłości; wspomina on często o pani Delfinie, ale nie mówi już o uczuciu swojem. Przypuszczają, że milczenie to objaśnić można chyba tem, iż samo uczucie było silniejszem i głębszem aniżeli to, jakiego dla pierwszej kochanki doznawał; a jeśli zważymy, że jeden z najpiękniejszych utworów swoich „Przedświt" opromienił wspomnieniem swej miłości dla Delfiny, którą *Beatrice* nazwał, to z przypuszczeniem tem zgodzić się wypadnie. Przebieg atoli uczucia w rysach głównych poznać możemy z kilku wierszy, przed kilkunastu laty razem ogłoszonych p. n. *Moja Beatrice.* Jest tu wiele zwykłych w romantycznej miłości epizodów: wiele smutku i melancholii, wiele krótkotrwałych zachwytów i długiego omdlenia, wiele przechadzek i przejażdżek księżycowych... Zaznaczę tylko główniejsze fazy.

Poeta zwyczajem wszystkich wrażliwych i namiętnych natur tylko uczucie w danej chwili władnące sercem jego nazywa prawdziwem i jedynem, zapominając o wszystkich, co je poprzedziły:

> Nie znałem duszy, coby mię pojęła,
> Anim jej szukał, aż spotkałem ciebie,
> Równie samotną...
> Znów czuję Boga, który mnie porywa;
> Sen śmierci znika, a w obszarach świata
> Hymn wniebowstąpień zewsząd się odzywa.

Uczuć swych dla tej, co „jak anioł siadła przy sterze jego łodzi", nie chce profanować nazwiskiem:

> Temu, co czuję, nie szukaj imienia,
> Na co słowami kazić świętość myśli?...

Wie wszakże poeta, że to, co czuje, jest wielkiem, potężnem i trwałem:

Ta chwila nigdy już dla mnie nie minie,
Ten dzień w mej duszy nigdy nie upłynie,
Bo w świecie ducha niema pożegnania!

Przez rok 1839 i początek 1840 przebywał ciągle z Delfiną, uczucia jego potęgowały się coraz bardziej. W lipcu roku 1840 odjeżdża do Monachium i z tego samego miejsca, w którem Mickiewicz nie mógł się rozstać ze wspomnieniem Maryli, ze Splügen w Alpach, posyła lubej swoje „Pożegnanie Italii“, gdzie zestawia Włochy ze swoją kochanką:

O ziemio włoska! dziś mi żal jest ciebie
Za to, żeś smętną przeszłości królową;
Nieszczęsną duchów nieśmiertelnych wdową,
Żyjącą dzisiaj o żebraczym chlebie;
Że z twoich wzgórzów, jak bogi żałoby,
Płaczą nad tobą mężów twoich groby!
Bo myślą tylko a nie sercem całem
Jam pojął odblask zmarłych twych wielkości,
A wyższą piękność od twojej piękności
Jam sercem poznał i odtąd kochałem!
Nie kuta z głazu, ani malowana,
Choćby nadziemskim pędzlem Rafaela,
Lecz dusza żywa, z pośród duchów wiela
W twarz *anielicy* od Boga ubrana
I cierpieć — kochać — na świat ten posłana...

W miesiąc potem, jeszcze ze Splügen, pisał do Delfiny wiersz: „Co mi się marzy“, wzywał, żeby podała mu rękę i jak siostra z bratem poszła precz od ludzi, w puszczę wielkie, gdzie chyba słowik siądzie wiosną, chyba konwalie zakwitną i błyskawica się przedrze. Na ten wiersz odpowiedziała Delfina czterema dość niefortunnemi strofami, które tu, jako zabytek pozostały po niej a malujący nam jej sentymentalne usposobienie, przytaczam:

Kiedy kwiaty przyszłą wiosną
Tam na wzgórzu znów porosną,
Tam po wzgórzu zmierzchnią dobą
Ja nie wrócę błądzić z tobą.

Kiedy księżyc nocą ciemną
Błyśnie srebrem na wód *grobie,*
Będziesz wołać nadaremno,
Nie odpowiem ja już tobie!

Więc nie wołaj po imieniu
Tej, co z tobą nigdy razem
Już nie będzie, lecz w milczeniu
Pójdź *do grobu,* siądź *nad głazem.*

Tam wspominaj gorzką dolę
Życia mego zatrutego
I *nabożnie* moje bole
Złóż w pamięci serca twego...

Poecie wszakże wiersz ten wydał się pięknym i wywołał odpowiedź zapewniającą kochankę, że ją kochał z serca, choć gorzko, zawsze i wszędzie.

Jaśniejsza, lubo bardzo krótka chwila tej miłości zabłysła w Monachium, gdzie Zygmunt zjechał się z Delfiną. W tej chwili powstał cudny wiersz „Do duchów przy świetle księżyca", w którym poeta wyznaje, że jest szczęśliwym:

Ja was wyzywam, duchy czy anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie,
Coście na wieki z czoła smutek zdjęli:
Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,

Niż wy w niebiosach. Nie lękam się wzroków
Waszych tęczanych i skrzydeł z płomienia;
Jak wy dziś płynę wśród światła potoków,
Jak wy wznieść mogę nieśmiertelne pienia.

Tę, którą kocham, płaczącą widziałem:
Łzą rozrzewnienia powrót mój witała.
Odtąd sam cały nazawsze skonałem,
Bom zlał się z duszą tej, która płakała.

W jesieni roku 1840 wrócili do Włoch; na północy robili spólne wycieczki i odbywali przejażdżki po jeziorach... Potem Zygmunt jedzie sam do Neapolu i w wierszach tam pisanych wyraża swoje smutki i tęsknoty. To marzy o śmierci i chce do ukochanej duchem przylecieć, być dla niej gwiazdką, falą, listkiem lub błyskawicą wśród burzy; to znowu mówi, że chciałby na jej ręku skonać a następnie spoczywać nie pod dusznem sklepieniem murów klasztornych, ale na polu otwartem i zielonem, pod błękitem niebios...

Rok 1841 cały prawie przeszedł znowuż we Włoszech czasem samotnie, najczęściej w towarzystwie Delfiny. Stan ducha poety, szczególniej w marcu i kwietniu, był straszny. Opętał go „szatan melancholii". Donosząc o tem Sołtanowi, powiada (21 maja): „Tak-em zmarniał i zniszczał na duchu, że ani myśli mi już ani słów nie staje na opisanie wewnętrznej tęsknoty, coraz gorzej mną owładającej i rugującej z rzędu ludzi do *trzody kretynów...* Wiele trosk i niepokojów, tej zimy doznanych, przyłożyło się do wprowadzenia mnie w tę głupotę i nicość; męczyłem się, męczyłem, póki sił stało, wreszcie siły opuściły i zostałem na wzór szkieletu umysłowego, porzuconego w przestrzeni ducha". A w miesiąc potem, opowiedziawszy Sołtanowi o rozbiciu się okrętu Polluks, dodaje: „Gdym się o tem rozbiciu dowiedział, żałowałem szczerze, żem nie

wypłynął z Polluksem, tak jak zamyślałem, i żem nie był właśnie tym jednym, co się tej nocy utopił. Sądź po tem wyznaniu, jak mi różowo w duszy i lekko na sercu! Choroba straszna mnie pochyliła, zgarbiła do ziemi, uczyniła rzeczą martwą a smętną... Doszedłem do takiego stanu, że mi świat, jako szeroki, wydaje się pustynią, a światło słoneczne — krzywdą, obrazą, pośmiewiskiem... Od lat dziesięciu, od kiedym począł być młodym, ciągle czułem się w podwyższonej drażliwości nienaturalnym stanie. Żyłem, jak galwanizowane trupy, życiem zzewnątrz zaciągnionem, bo wewnątrz *zawsze* śmierć była, śmierć mi znana, dotykalna dla mnie, a drugim niewidoma, ukryta przed niemi maską żywości, której elektryczne nurty w końcu się przebrały, i teraz niema nade mnie nędzniejszego stworzenia! Reszty życia mego, przyszłości mojej nienawidzę. Bóg mnie do niej nie stworzył, a ludzie mnie w nią wpychają. Brak mi zupełny cnoty, największej wśród chrześcijańskich cnót, rezygnacyi; pod tym względem poganin jest ze mnie, i zbliża się jak pogrom chwila, w której właśnie, przez brak takowej pokory i submisyi, będę musiał się rozbić, zaginąć, jak ów biedny Polluks...".

Dopiero w jesieni tego roku Zygmunt wyjeżdża do Monachium wezwany przez chorego ciężko Danielewicza, który umarł w kilka miesięcy potem (27 marca 1842 r.). Pod świeżem wrażeniem tej straty napisał poeta wiersz *Fryburg,* w którym pamięć ukochanego druha zjednoczył z myślą o Beatrycy. Po rzewnym hołdzie oddanym zmarłemu, następują tu entuzyastyczne wyrazy pod adresem Delfiny:

Aniele niewieści,
Tyś przy mnie dotąd, nie odeszłaś jeszcze!
Ja w twych spojrzeniach rozkosz moję pieszczę...
Tyś anioł piękna, tyś seraf pokoju,
Dłoń twa ze śniegu nie krwawi się w boju!
W dzień sądny zemsty, ty wśród twego ludu
Nie staniesz przy mnie...
Lecz nim ta chwila nadejdzie, — a może
Nie przyjdzie nigdy — tyś mojem zbawieniem,
Tęczą jedyną w zaćmionym przestworze,
Miłości mojej tyś ostatniem pieniem!

Potem nastąpiły jeszcze chwile szczęścia acz krótkie, pobyt kilkomiesięczny w Nizzy. „Na wieki dni te w Nicei mnie pozostaną błękitnem wspomnieniem — pisze poeta do Gaszyńskiego. — Jeździliśmy konno po tych górach. Śliczne było niebo i w duszy błogo, spokojnie, wzniośle, bo ciągle mówiliśmy o świecie idei, o świecie ducha, o świecie przyszłości".

Ten atoli świat przyszłości niebawem nie tak błękitnie miał się przedstawić.

Krasiński pod naciskiem rodziny postanowił wejść w krainę straszną, „gdzie miłości niema“, miał się ożenić z panną, która pomimo swoich przymiotów poetycznemu ideałowi nie odpowiadała. Krasiński, jak sam wyznaje, miał pewien wstręt do panien. Więc chociaż „z nadziei i szczęścia wyzuty“, chce „siostrze powierzonej sobie na wieki“ stać się pociechą i osłodą, nadzieją przyszłą i przeszłem wspomnieniem, do dawnej zaś kochanki zwraca się z prośbą, ażeby się zań modliła:

Módl ty się za mnie, gdy z rozpaczy zginę
Za winę ojców i za własną winę;
Módl ty się za mnie, by mnie w moim grobie
Nie opiekielnił żal wieczny po tobie...
Módl ty się za mnie; ja ciebie się trzymam,
Bo na tej ziemi prócz ciebie nic nie mam.
I nic prócz ciebie nie marzę za światem,
Tylko to marzę, by z mą duszą biedną
Twoja spłynęła w nieśmiertelność jedną;
Więc módl się za mną, bo ja twoim bratem!

Działo się to w połowie r. 1843. Wkrótce potem nastąpił ślub Zygmunta Krasińskiego z panną Elżbietą Branicką. Po ślubie stosunek z panią Delfiną nie zerwał się wprawdzie, ale uległ zmianie... Krasińscy bywali w domu Delfiny, a ona u nich... W końcu podobno Zygmunt „przestał odpieczętowywać listy pani Delfiny, których po śmierci jego znaleziono całe stosy; w ostatniej chorobie nie chciał jej widzieć i raz jeden tylko, na usilne prośby żony, pozwolił pani Delfinie zbliżyć się do łoża, z którego już nie miał się podnieść; później wszystkie prośby były daremne; pani Delfina mogła otrzymywać wiadomości o stanie zdrowia chorego w taki tylko sposób, że przychodzącej codziennie do przedsionka domu, w którym mieszkał poeta, Zygmuntowa Krasińska przynosiła biuletyn lekarski wraz ze słowami współczucia i pociechy“.

Delfina znacznie przeżyła poetę i umarła dopiero w roku 1879. Czy go kochała naprawdę, czy też z próżności tylko, że wielki poeta jest jej wielbicielem, trudno rozstrzygnąć; ci, co znali Delfinę, twierdzą, że w tym miłosnym stosunku jej wyobraźnia jedynie grała rolę główną; serce zaś jej jak przed poznaniem Zygmunta tak i po rozstaniu się z nim łatwo pocieszyć się umiało, bo się łatwo do różnych ludzi przychylić potrafiło... [1]).

[1]) Dosyć prawdopodobną jest rzeczą, iż stosunek Krasińskiego do Delfiny posłużył Słowackiemu do osnucia swych „Niepoprawnych“, w których tak cudnie narysował postaci Fantazego i Idalii, ironicznie patrząc na nie. Zob. ładny szkic Jana Gnatowskiego p. t. *Moja Beatrice* w „Niwie“ 1879, tom II.

I.

MARYNA.

„Ty i róża obie nie macie duszy, jedno wasze barwy i zapachy mózg zawracają ludziom; a kiedy zwiędniejecie, nikt nie troszczy się o was na ziemi ni w niebie“.

Błąkamy się po błoniach przeszłości... Żyjemy w czasie awanturniczych wypraw, rozbojów, rzezi, rabunków. Tam w dali widać jaskrawe czerwone płomienie palących się wiosek, czuć dymy gryzące, które jak mgła unoszą się ku niebu, słychać jęki matek i przekleństwa ojców. Tam znów het, na Czarnem morzu szarzeją żagle rozdarte od burzy, w odłamkach padające, a człowiek jakiś z jańczarką w prawej a lontem w lewej ręce, szybko pomyka się w łodzi, nucąc pieśń dziką, żarłocznemi odbrzmiewającą instynktami. Gdzieindziej cisza więzienna. Długa, ciasna, ciemna izba „po złoczyńcach i Tatarach“ o jednem oknie wybitem w górze, okratowanem. Rzędem na ścianie widać kółka, do których rabusie przykuci doczekali się zgonu; wokoło znać ślady ich paznogci, ich palców, które „w szaleństwie długie lata pracując, wydrążyły dołeczki *na jednę kroplę wilgoci,* na schowanie dla jednego pająka“. U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda „siedzi sobie wśród grona kości, osypanych prochami“. Albo też znajdujemy się nagle wśród natury, która pozazdrościła zapewne okropności czynom ludzkiego okrucieństwa. Pustynia przylgnęła zda się do nieba; wzgórza i skały nagie, „chude“, bez drzew „jakby szkielety olbrzymów, których ród wyginął a skamieniały kości“. Manowce i bezdroża sprawiają zamęt pierwotny w umyśle człowieka; czernieją się paszcze jaskiń, z których „snuje się para zjadliwa“; granitowe słupy w nieskończoność się ciągną jakby pomniki grobowe po walce jakiejś nadludzkiej; pomiędzy niemi wznoszą się kopce ze śniegu; lody „jako blachy przykuły się do grzbietów

Ł. WYCZÓŁKOWSKI.



MARYNA MNISZCHÓWNA.

i do piersi skał; wąwozy idą naprzód, obracają się wprawo i w lewo, to długim łukiem wracają wstecz i kręcą się bezustanku"...

Atmosfera obrzuca nas albo lawą żaru albo lodu bryłami... I w duszy ludzkiej tak samo. W jednych bucha namiętność jak ogień we wnętrzu miedzianego Molocha, nie dozwalając o niczem myśleć nazimno, rozważnie, ciało przejmując nerwowym dreszczem, który się potęguje i wzmaga, skoro zadowolnienia nie znajduje. Po mózgu przesuwają się płomienne wężyki, które do krwi kąsają, w szał ukąszonego wprawiając. Myśli jego otacza wieniec pokus, drażniąc się z nieszczęśliwym. „Nie mógłżem — powiada Agaj-Han — zbliżyć się i ręką ślizgać po twej sennej piersi, rozpiąć cichaczem zawoje szat twoich, a nasyciwszy wzrok, z zawrotem głowy rzucić się na ciebie. Budząc się, poczułabyś pierścienie potężnego węża, okręcone wokoło kibici. Wgryzłbym się gwałtem w twe usta, oddechem przepaliłbym ci gardło, pocałunkami podziurawił lica, włosów twych gęstwinę zarzuciłbym na siebie. Ha! co chwila cisnę cię mocniej. Zwyciężam. Tyś moja! Tyś moja! Każda żyła twa bije w zgodzie z każdą żyłą moją, palce, co twarz mi kaleczyły, teraz już w obłąkaniu igrają z mojemi włosy"... Piekło w duszy człowieka — ze wszystkiemi tradycyjnemi mękami!

Inni znów chłodni, lodowaci, głusi na namiętne wybuchy. Nic ich męczarnie zmysłów i serca nie obchodzą; dążą dalej, depcząc po rozgorączkowanych ciałach i rozszalałych umysłach ze spokojem kamiennego posągu, któremuby wróżka udzieliła władzy ruchu. Litości nie znają, spółczucia mieć nie mogą. Czoła ich otaczają dyademy róż kolczastych albo też... cierni; nikomu zbliżyć się nie wolno, dopóki tego dyademu nie złożą i nie okażą się w zwykłej ludzkiej postaci. A zdarza się to bardzo, bardzo rzadko!...

Wśród takiego otoczenia zjawia się przed nami *Maryna* Mniszchówna, sławna w dziejach naszych awanturnica, która po trupach kilku mężów wstępowała na stopnie tronu. W sercu jej odzywa się głośno jedno tylko pragnienie, jedna żądza, którą bądź co bądź zadowolnić musiała. Ambicya, sięgająca do wyżyn królewskich, rozwielmożniając się wszechwładnie, zabija w niej prawie wszystkie inne uczucia. Kiedy po śmierci drugiego już męża (żyda podobno) przyjechała na pole bitwy, żeby urwać pierścień królewski choćby z palcem zabitego, wydała krzyk; jednakże był to krzyk — dodaje poeta — „królowej na ruinach swojego pałacu, wojownika na polu przegranej, *ale nie żony nad ciałem męża*"... Jej o pierścień chodziło, nie o człowieka, którego była i nazywała się drugą połową. Stąd też gdy później widzimy ją słuchającą z zadumą na czole i miłosnem spojrzeniem w oku opowiadania Zaruckiego o jego czynach bohaterskich, rozczulenie jej i zachwyt przypisujemy raczej dźwiękom oddalonej

muzyki, zapachowi wschodnich aromatów, wprawiających w rozkoszne omdlenie, słowem upojeniu zmysłów, aniżeli istotnej duchowej miłości, której odczuwać już nie mogła. Bo i jakże było nie pochylić czoła na dzielne ramię wojownika, kiedy „sułtańskie sofy i wezgłowia, kobierce seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły naokoło“ błyszczały; kiedy paliły się światła w wazonach z przejrzystego alabastru i „barwę rozkoszy“ po ścianach rozwodziły!... Jakże oku nie było błyszczeć radością zadowolnionej dumy, kiedy makaty tkane w kwiaty ze złota i srebra kształtnie się fałdowały u okien i u drzwi; kiedy „z piór ptasich u sufitu rozwieszona była tęcza“; kiedy u stóp Maryny walały się porozrzucane po jedwabiu i atłasach „korale, wachlarze, naramienniki i muszle“... Jakże nie było roztulić ust do pocałunku, kiedy w cieniu róż i jaśminów, zapełniających oddechem swym salę, stały „napoje azyatyckie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, archipelagu wina“, a po kątach paliły się w misach „pustyni balsamy!...“. Upojenie tą gorącą wschodnią atmosferą musiało się objawić w namiętnym uścisku, w szale zmysłów; spokojną i chłodną i dumną jak zwykle Maryna pozostać nie mogła. Wybuchowi jej pragnień towarzyszy oddalony dźwięk muzyki, której tony — „jak ostatnie fale u brzegu zwolna pluskając“ — umierały w jej i Zaruckiego uszach. W tych tonach drżała siła ukryta, co powoli — „jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje“ — wsiąkała w mózg i w piersi... „Przy nich — dodaje poeta — dziecko płakać przestanie i uśnie, a wojownik szablę upuści na ziemię; przy nich pamiątki przerabiają się w poezyą, chwila teraźniejsza staje się wszystkiem a o przyszłość się nie dba; bo gdzież już szukać milszej nadziei nad to, czem teraz napawa się serce? aż wreszcie człowiekowi zacznie się marzyć o harfach aniołów i zechce się konać“... Któż się takim powabom oprzeć zdoła, kto? chociażby mu jak i Marynie „z czoła i pychy na niem“ wyczytać można było imię męża „o dużem ramieniu!...“.

W każdym innym atoli razie Maryna jest dumną i zimną. Płomieni Agaj-Hana nie odczuwa; pamięta o swej wielkości, pomiata nim jak niewolnikiem, jednem słowem, jednem skinieniem umie dumę jego na proch zetrzeć. — „Dobrze waszmości grać na cymbałach i kotłach gwoli naszej zabawie; ale waszmość pamiętaj, kto jesteś a kto ja“. „I ja kiedyś byłem wielkim — wyznaje Zarucki — i mnie dnie pychy się zdarzały: ale nigdym czy w złych czy w dobrych losach *twej nie zrównał duszy*“. Będąc już w mocy Agaj-Hana, ani na włos nie zmniejsza swej dumy. „Losem wojny — mówi surowo — w ręce sługi swego dostała się pani; ale nie przeto znikł rozdział między carową a giermkiem“. — „Sama jesteś wśród hufców moich“ — robi uwagę Agaj. — „Wiem o tem, że sama, i dlatego *na śmierć się gotuję*“ — odpowiada dumnie Maryna. Przypo-

mnieniem dobroci swojej nie wzrusza się wcale; myśli wciąż o jednem — o władzy. Agaj-Han chcąc ją rozczulić, opowiada, jak raz podczas biesiady „na śnieg obrusu“ spadł motyl przed jej puharem, ona do ust go przytuliła, oddechem obwiała, głosem nęciła, by ożył. „Zważ sama — dodaje — owadowi miłosierna, nad człowiekiem nie chcesz mieć litości!...“. Maryna odpowiada mu chłodno: „Waszmości w pamięci motyl, a z pamięci wypadło, żeśmy otoczeni wrogami i że Igor Zarucki czeka na mnie za temi bramy“...

Ufna w piękność swoję i skry oczu, które chyba wraz z życiem zagasną, niczem się nie zraża, *na nic się nie skarży*. Raz tylko jeden widzimy ją rozczuloną — wśród nędzy — śmiercią dziecka. Pieczara za Jaikiem. Na łożu „z mchu“ ciśnie Maryna dziecię do piersi. „Sklepienie jaskini zakrąża się nad nią, tu i owdzie draśnięte blaskami płomienia, dogorywającego na szerokiem ognisku, zasypanem popiołami, zasianem węglami“. Rysy ma wyniszczone chorobą ciała i duszy, jednak uroda ociąga się, „nie chce opuścić twarzy, którą tak długo krasiła“. Dziecię umarło. Uklękła. Cichą modlitwą wzniosła się ku niebu. Potem je troskliwie drogą suknią (ostatniemi już łachmanami) okrywa, lękając się, by „piasek nie zaleciał między fałdy, by żwir gdzie nie gniótł dziecięcia i własną ręką wygładza dół grobu“. A potem... odwróciła oczy, zatkała uszy i głośno modliła się do Boga...

Takie uczucia napotykamy wszędzie. Jako kochanka i pani może być statuą pięknego ciała, ożywianego niekiedy ogniami zmysłów; jako matka — jest kobietą, która wraz z dzieckiem traci wszystko, co ją do ludzi podobną czyniło. Jest-to zapewne jedna chwila tylko — ale ta chwila jest usprawiedliwieniem kobiety — budzi w nas dla niej spółczucie. Spółczucie takie, słusznie czy niesłusznie, starał się dla Maryny wyjednać Krasiński. Historycznie nie możemy kwestyi słuszności rozstrzygnąć; poetycznie — musimy i to na korzyść poety. Uczucie matki każe nam zapomnieć przy końcu przynajmniej powieści a raczej poematu — o jej chłodzie, o jej pysze, o podeptaniu wszystkich innych serca porywów, które się bezpośrednio do zadowolnienia jej ambicyi, okrutnej i bezpłodnej, nie przyczyniały. Przechodząc przez czyściec naszych sądów, może *warunkowo* na nieśmiertelność zasłużyć.

II.

ŻONA (Marya).

Dobrze mi, bo umieram przy tobie...

Skarb uczuć najserdeczniejszych, w ramki konwenansów oprawny, staje się ciężarem życia, grobem miłości, niepokojem duszy i niekonsekwencyą myśli. Oto kobieta, która kocha męża jak kraj, jak Boga; dla niego wszystko poświęca: przekonania, zasady, uczucia, rozum wreszcie, a otrzymuje w zamian lekceważenie, szydercze słowa, okrutne odstępstwo. A przyczyna? Przyczyna leży głęboko — w wychowaniu. Kobieta nie umiała się wznieść na wyżyny orlich lotów mężczyzny — została nudną i obojętną żoną. Mąż latał po niebios stropie, w sferach gwiaździstych, poił się kwiatów poezyą — a ona mówiła o drobnostkach, o torcie czekoladowym, o przyjęciu gości, o ojcu Benjaminie, martwiła się głównie tem, że *może zbrzydła*. Po roku pożycia Henryk (mąż) wypowiada z goryczą słowa zbyt namiętne może i samolubne, ale w każdym razie nader niekorzystnie świadczące o umysłowej stronie swej żony: „Od dnia ślubu mojego — powiada — spałem snem otrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce; świat cały jakoś zasnął wokoło mnie na podobieństwo moje“... Zobojętniał też dla niej, odwracał się, kiedy wchodziła, i zakrywał oczy, kiedy siedziała blizko; a na jej serdeczne wymówki, znajdował tylko chłodne słowa: „czuję, że *powinienem* cię kochać“. Okropny wyraz *(powinienem)* dla uszu rozkochanej. „Lepiej — odpowiada mu — wstań i powiedz: nie kocham; przynajmniej już będę wiedziała wszystko, wszystko“. Pomimo to gotowa się poświęcić nawet na gniew jego, byleby jej i dziecka nie opuszczał. Napróżno! Kto raz choćby myślą wyjrzał za domowe progi, już się nie wróci, chyba opuszczony i zawiedziony. Zjawia się *dziewica,* która żonie wydaje się trupem cuchnącym siarką i zaduchem grobowym — a mężowi —

zjawiskiem świetlanem, obiecującem szczęście i błogosławieństwo wieczne „w świecie świeżym, bez końca, bez nocy“. Dziewica ta ciągnie ku sobie Henryka, zowiąc miłość jego żony liściem, „co ginie wśród tysiąca zeschłych“, a ją samę — złudzeniem. Pokusa była silna, bo odpowiadała wewnętrznemu nastrojowi Henryka; rzuca więc na pożegnanie słowa pogardy: „Kobieto z gliny i z błota, nie zazdrość, nie potwarzaj, nie bluźń; patrz — to myśl pierwsza (wskazuje na *dziewicę)* Boga o tobie; ale tyś poszła za radą węża i stałaś się, czem jesteś“ — i odchodzi, prowadzony syrenim głosem przewodniczki po górach i przepaściach nad morzem... Kraino złudzeń i mar tęczowych! wzdychają do ciebie poeci: a kiedy nie odpowiesz ich życzeniom, kiedy, rozkoszami twojemi obezwładnieni, w rzeczywistości zakrwawią sobie ręce — skaczą w przepaść, wołając: „Poezyo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki!...“ Kraino złudzeń! niema w tobie zbawienia...

Po odejściu Henryka żona omdlewa i traci zmysły. Miłość ją zabiła. Żyła tylko obecnością męża, jego myślą, jego słowami. Odtąd już nie istnieje. Przemieniła się w dalekie, głuche echo pragnień Henryka. Prosiła Boga, gromnicę przystawiwszy do piersi, by na nią spuścił ducha poezyi. Marzy, że została poetką. W głowie, jak powiada, ktoś jej lampę zawiesił, a lampa kołysze się nieznośnie... Przy chrzcie błogosławi synowi pod tym jedynie warunkiem, że będzie poetą, bo zdoła przebłagać ojca, który dla syna *przebaczy matce;* w razie przeciwnym — przeklina. Mówi o przebaczeniu jakby o rzeczy zwyczajnej, jakby nie ona była ofiarą... Miłość prawdziwa! Czoło jej, „na którem zawsze myśl spokojna, witająca, uprzejma przezierała, teraz pochylone; myśl jej poleciała gdzieś w nieznane obszary; marzy o mężu „i błąka się biedna i płacze“; dusza opuściła jej ciało i „wstąpiła do głowy“. Chciała się zrównać z mężem — oszalała. Teraz wszystko już pojmuje, rozumie, — wygra, wyśpiewa, wypowie. Morze, gwiazdy, burza, — oto zwykli towarzysze jej napowietrznych podróży po krainie myślenia. W jej duchu zrobił się przewrót okropny. Marzy o tem, coby było, gdyby Bóg oszalał: „Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy: ja bogiem — i co chwila jeden po drugim konają; gasną komety i słońca. Chrystus nas już nie zbawi, krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań“... Cieszy się, że synowi skrzydła przypięła, że go „posłała między światy, by się napoił wszystkiem, co piękne i straszne i wyniosłe“. Do zupełnego szczęścia, do wszechwładztwa w poezyi, brakuje jeszcze jednego: nie zna bitwy. Pragnęłaby jej się przypatrzeć — ujrzeć i opisać. Na samę myśl tłoczą się do ust wyrazy: trup, całun, krew, fala, rosa, trumna.

Słowa jej jednakże smutne, bo w sercu jasności, światła niema. „Kto jest

poetą, ten nie żyje długo" — powiada głosem pełnym przeczuć grobowych, wśród których ciągle przebywa. Losowi swemu poddaje się spokojnie, z rezygnacyą, bez wybuchów gwałtownych, bez narzekania:

> Nieskończoność mnie obleje;
> I jak ptak w nieskończoności
> Błękit skrzydłami rozwieję
> I lecąc się rozemdleję
> *W czarnej nicości.*

„Czarna" jednakże nicość nie przejmuje jej strachem; wstępuje w nią śmiało; ostatniem tchnieniem zwracając się do Henryka, który powrócił. „Dobrze mi, bo umieram przy tobie" — oto ostatnie jej słowa, streszczające w sobie cały ducha jej obszar, wszystkie pragnienia życiowe, wszystkie myśli, wszystkie pobudki jej postępowania. Cieniem była za życia, cieniem błąka się w naszych wspomnieniach!... A jakkolwiek moglibyśmy surowo osądzić Henryka za jego samolubstwo, za gonienie mar niepochwytnych, za brak uznania dla głębin serca żony, przecież trudno nie wyznać, że przy tak wysoko nastrojonem usposobieniu, jakie posiadał, przy dysharmonii akordów umysłowych obojga, inny stosunek mało przedstawiałby cech prawdopodobieństwa. Żona z całą serdecznością swoją, z całą szczerością i poddaniem się, nie posiadała jednej wielkiej zalety charakteru, któraby mogła sprowadzić pewną równowagę w pożyciu — nie posiadała energii. Jak księżyc żyła blaskiem pożyczanym. Światła własnego, światła duszy — nie miała. Zawód, wielki bezwątpienia, ale nie stanowczy, pozbawia ją zmysłów, przekształca całą naturę wewnętrzną. Ta łatwość wynicowania duszy świadczy przeciwko niej. Jest-to typ miłości bezbrzeżnej, ale i bezrozumnej.

III.

ELSINOE.

„Ja pójdę stopy wikłać z gadem, co nieustannie pląsa naokoło“.

Córa kapłanki giermańskiej Grimhildy i Greka Hermesa Amfilocha, jasnowłosa Elsinoe, z pogodnym wzrokiem lazurowych oczu „jak wieczór, co zwolna nocą się objawia, a jeszcze purpury słońca nie zatracił“, z wieńcem cyprysowym na głowie, w śnieżnej zasłonie „ze wstęgami z purpury, któremi obwiązane ma piersi“, staje przed nami w blasku wallenrodycznego męczeństwa, jak „widmo nieszczęścia“ i bezgranicznego cierpienia. Przepojona gorzkiemi słowy, zwiastującemi jej groźną przyszłość, lubi się uciekać do wspomnień nieświadomego dzieciństwa, kiedy, igrając na trawnikach Chiary, skronie brata swego wieńczyła różami i mirtem; chciałaby jak najdłużej zwlekać ofiarę, w której będzie musiała „wieniec swój święty, nieskażony“ cisnąć między popioły rodzinnego ogniska, by pójść tam, gdzie ją czeka zawczesna starość w nagrodę upodlenia, gdzie „konwulsya wstrętu“ zginać będzie jej ciało w ohydne przegięcia. Radaby nawet — w ostatnim razie — pożegnać wszystko; sztyletem „przyśpieszyć sobie nicość“ — niżeli zatruć serce fałszem, używać bezwstydnie wdzięków swego ciała, podobnego do Afrodyty wstającej z błękitnego oceanu „pośród łez piany morskiej, pośród woni zefirów“ — jako środka do wyssania z serca nienawistnego człowieka całego jego życia... do wpuszczenia w jego arterye jadu niemocy i bezwładności... Poświęcona bóstwu śmierci („bogom Manom“), z cichą skargą na ustach: „Biada, biada sierocie!“ idzie na męczarnie stokroć okropniejsze niż konwulsye konania. Zabroniła sobie myśleć o szczęściu, bo ojciec ją skazał i brat ją skazał. Do matki zwraca się z błaganiem: „Matko! do Odyna w prośby za córą twoją... Śpiesz się, matko... *nie proś o długie życie*“...

Ale raz już przestąpiwszy próg szatana, wiedząc, „że dzieci śmiertelnych pierś jej nigdy nie wyda“, podnosi dumnie głowę, słowa swe staluje nieugiętością, serce zamyka na poszepty miłe a złudne, pomna, że *„przyszłość* poczynać się będzie w jej łonie“. Władcę Rzymu i świata całego zmusza do czołgania się u stóp swoich, do całowania palców u nóg swoich białych, rozkazując spojrzeniem, upokarzając giestem, zabijając słowy. „Tak, śpij — mówi do Heliogabala — dopóki nie przyjdzie centuryon i nie zamorduje cezara. Nieszczęśliwy, powiedz mi, gdzie zbroja twoja? Nieszczęśliwy, temi *palcami z wosku* tej rękojeści miecza utrzymać nie potrafisz... Nędzny, gdyby ci przyszło wsiąść na kark bałwanom i jeździć po nich jak na koniu bez wędzidła, ażebyś musiał leżeć na śniegu otoczony stadami kruków i całą noc patrzeć w lodowate oko księżyca — biedny ty z purpurą twoją i bogami twemi!“ Zmiażdżywszy go szyderczemi słowy, odsłania mu rąbek nadziei w przyszłości — w bracie swoim Irydyonie, synu Amfilocha Greka. Drażniąc go czarem swoich powabów, do zdziecinnienia przyprowadza. Heliogabal zaprzestaje uczt; wygania dworskie kobiety. Z nią tylko jedną być pragnie, ją obsypać bogactwy, otoczyć władzą. Elsinoe przyjmuje wszystko jako rzecz sobie należną; ale zanadto zbliżyć się nie dozwala. I z całą otwartością duszy niewinnej na wołanie jego: „Elsi, Elsi *moja*“ może odpowiedzieć: „Ach, córa Grimhildy nigdy *twoją* nie była!“ Spychając go z jednego upodlenia w drugie, zabijając w nim siłę i energię, elektryzować chce trupa, gdy woła gniewnie, bezlitośnie: „Nie konaj przed zgonem; wstawaj, każ przywołać Eutychiana i straż twoję. Bratu mojemu daj władzę, a on ci da zwycięstwo“. Wie o tem doskonale, że słowa podobne nie przedrą się do głębi serca, które zalewa zgnilizna; doniosłości postępowania swego jest najzupełniej świadoma. Po wyrazach powyższych dodaje: „Stało się. Szaleństwo mu dałam za ostatniego towarzysza u brzegu wód piekielnych, nad którcmi stoi teraz“.

I sama atoli tem okropnem życiem zmęczona, pragnie jak najprędszego zakończenia dramatu, „bo pierś nie zechce dłużej cierpieć i wzgardzi powietrzem“. Szczęście poświęciła wykonaniu zemsty; wydaje więc wyrok zagłady na tego, kto był jej narzędziem. „Niechaj zgasną oczy, pod któremi zwiędłam; niech ramiona, co opełzły szyję moję, opadną jak dwie starte żmije. Usta, co pierwsze ust moich się dotknęły, niech znikną w popiołach“... Mowa o Heliogabalu. Taki jest pierwszy poryw gniewu dziewicy. Lecz później pomyślała jeszcze, przypomniała sobie *innego,* i wyrok zmieniła.

Ach! bo i ona musiała pokochać. Na dworze cezara ujrzała młodzieńca, o którym była przepowiednia, że zrówna kiedyś boskiemu Aureliuszowi [1]).

[1]) Marek Aureliusz, znany z cnót swoich cesarz rzymski z II. wieku po Chrystusie.

Nazywał się Aleksander (Sewerus). Spotkała go Elsinoe w przysionku Dejaniry. Zatrzymał się i spojrzał: „pierwszy wzrok był niepewny, drżący; drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy". Jednakże nie pogardził zupełnie. Przeczuwał może, że w położeniu Elsinoi na dworze kryje się jakaś tajemnica. Wyczytał to z jej dumnego czoła. Oto jak o niej opowiadał: „Stanęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, poszanowania nam nie złożyła. Zrazu miała schyloną głowę; ale wnet podniosła kibić i czoło, wnet spojrzała ognistemi oczyma, gdyby pani, na wszystkich. Cezar zawołał ją bliżej — ani postąpić, ani odpowiedzieć raczyła — wtedy skinął na nas i wyszliśmy wszyscy". Nie obojętnym był na jej wdzięki — nigdy jednakże z sobą nie mówili. Elsinoe w ciszy świątyń, przy posągu Dyany marzyła błogo czas krótki o tej męskiej postawie, o orlem spojrzeniu, które jak oddalona gdzieś błyskawica zajaśniało jaskrawo i znikło. Czuje w sercu jakieś nowe pierwiastki, jakieś drgnienia niezwykłe: „O ja-bym mogła była kochać jak ona (to jest Dyana), kiedy wśród cichej nocy, oparta na łuku złotym, spuszczała się przez fale błękitu, by marzyć nad sennym Endymionem". Miłość jej była marzeniem. W marzeniu kochała Aleksandra. Wszystkie burze, nad jej głową zrywające się, pragnęłaby zażegnać choćby ostatniem swojem westchnieniem. Kiedy Irydyon oświadcza stanowczo, że i on również (t. j. Aleksander) przeznaczony zagubie, Elsinoe woła wysiłkiem głosu: „Precz, precz; ja nie żądałam zemsty — odwołaj, odwołaj!" i omdlewa. Po chwili przychodzi jej na pamięć ofiara, którą poprzysięgła; prosi brata o przebaczenie („Daruj, nie do takich żalów powołały mię bogi"); — ale pomimo to w głębi jej duszy pozostało pragnienie niczem niezwalczone — ocalenia Aleksandra, pragnienie, które musiało zarazem wydobyć się na jaw. Kiedy godzina walki nadeszła; kiedy płomienie miały Rzym ze wszech stron ogarnąć; kiedy miecz zemsty wisiał nad głową winnych: ona błaga brata powtórnie: „Oszczędzaj Aleksandra na polu bitwy; nie zarzucaj śmiertelnych cieni na to greckie czoło"... Co więcej, dla wyproszenia go od śmierci przebacza wszystkim: „Pamiętaj — mówi do Irydyona — krwi niczyjej Elsinoe nie żądała od ciebie. Żyjcie wszyscy — wszyscy — *i on, Syryjczyk, on przemierzły, niech żyje*". Tak, nawet ów Heliogabal nikczemny, którego nienawidziła szałem człowieka, pozbawionego wszystkich jasnych życia promieni; i ten zniedołężniały rozpustnik, którego usta na spalenie przeznaczała niedawno, dla Aleksandra miał być zachowany, aby zgnił w brudach własnej duszy. Elsinoe podaje niby przyczynę ogólną tak litościwego usposobienia: „Pod koniec ofiary — powiada — rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi dziewica"; ale my wiemy, że miłość dla Aleksandra, myśl, że i on ocaleje wraz z pozostawieniem przy życiu Heliogabala, włożyła w jej usta wyrazy pełne przeba-

czenia i wzniosłej ofiary. Ta jedna myśl łagodzi jej męczarnie, ducha utrzymuje w spokoju, dodaje odwagi, czyni cierpliwą i łagodną. Cienie grobowe łączą się z blaskami miłości, wywołują nanowo w duszy wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. „Raz jeszcze — mówi do brata — siostrę przyciśnij do łona! — czujesz-li, jak to serce pracuje? nim wrócisz, ono pęknie. Ty bądź szczęśliwym i wielkim — a jeśli kiedy przepływać będziesz po egiejskich wodach, garstkę popiołów moich rzuć *na brzegi Chiary*". Dniem i nocą jej sny, jej żądze, jej wiosna paliły się na zgliszczach! Dymy z niej tylko w powietrzu — ale godzina już blizka i ciało się odwiąże „jak koturny taśmy", wiązka piołunu tylko zalegnie na ziemi i „duch stanie się cieniem".

Teraz już nie omdlewa, patrzy jasno na życie ubiegłe, dopełniła przysięgi. Kiedy Aleksander Sewerus, zwycięsca, wchodził do sypialni Heliogabala, wołając z sił całych: „Kto dotknie się Greczynki, temu nie żyć jutro" — ona sama, odchylając z piersi purpurową zasłonę, pchnęła się sztyletem. Umierając i padając w objęcia Aleksandra, wyszeptała: „Irydyonie! wroga twego nie będę kochała". Dumną była w ofierze tak jak w pogardzie. Miłość swoję stłumiła, widząc, że Aleksander żyje i jest zwycięscą; chciała się poświęcić cała, bez podziału, bez rozdarcia swych uczuć na dwie połowy. Gdyby słowo „kocham" w ostatniej chwili wyszeptała, za nic-by już uważała życia całego zasługi.

Występuje ona całkiem biernie! Nie z przekonania, nie z własnego pomysłu, żyła wśród hańby i upodlenia; ale dlatego tylko, że tak przysięgła w chwilach nieświadomości, że tak kazał ojciec i brat. Spełniła to, co spełnić mogła. Zwalczyła wszystko w sobie, co jej na przeszkodzie stawało, co było krzykiem oburzenia, wstrętu, pogardy — albo też szeptem nieszczęśliwej, lubo podzielanej miłości. Nie cenimy więc w niej samodzielnego postępowania; ale uwielbiamy drugi wielki przymiot, który rzadko napotykać się daje: świadomość czynów spełnianych z natchnienia, wprawdzie obcego, ale z własnem przyzwoleniem. Nie jest-to więc ofiara, której ojcem byłby przypadek, los, okoliczności nieubłagane, niezaradność, słabość ducha lub t. p. — lecz ofiara pojęta, zrozumiana i wykonana przez dziewicę, mającą siłę wytrwania na raz *wskazanej* drodze.

Serce nasze oddajemy jej całe — na chwilę, bo życie z samych poświęceń składać się nie może i nie powinno. Przypatrzmy się dobrze temu cudnemu ciału, które spoczywa na wzniesionem łożu, w białych szatach, osypane gałązkami cyprysu. Podnieśmy wraz z innemi kropielnicę cyprysową i rzućmy na zmarłą kilka kropel wody lustralnej. Za chwil kilka płomienie stosu zwęglą to ciało, które było celem zazdrości, a duch uniesie się — jak mówi chór — tam, kędy się wiją roje umarłych, jako dymy ciężkie. „Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe jak skrzydła, uniosą cię dalej.

Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu[1]), ognistą, siedem razy wokół Tartaru[1]) okręconą rzekę przelecisz i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje... Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju letejskiego[2]) czeka na ciebie i cienie dziewic, co jako ty zniknęły przed czasem, *kwiatów ściętych ocalone liście*". Siostra nieszczęśliwych, w dniach smutku będzie miłą i wielbioną marzeń towarzyszką...

---

[1]) *Ereb* i *Tartar* — świat podziemny starożytnych, siedziba cieniów zmarłych.

[2]) *Lete,* rzeka w kraju podziemnym według wyobrażenia starożytnych, której woda sprawiała ten skutek, że zmarli o wszystkich troskach życia *zapominali.*

IV.

KORNELIA METELLA.

„Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich, niech je odbija i ciska naokół bez pojęcia, bez czucia, ale siłą, co w piersiach męża góruje porwana i zniszczona“.

Kornelia, ostatnia ze starożytnego rodu Metellów, nazywana błogosławioną i świętą, z okiem czarnem „jak węgiel“, błyszczącem „jak żary“, żyła w kontemplacyi rozkrzyżowanego ciała, w zachwycie nad temi bolesnemi rysami, które zgasły, jak sądziła, w zwycięstwie miłości. Piękność jej „wyłudzona u boleści“ nie da się ująć nawet wszechmocnem dłutem Fidyasza, nie da się skreślić słowami. Jakiś blask mistyczny okala jej skronie, jakiś ogień nadziemski rozpłomienia jej lice, wpatrzone w Chrystusa. Rozkochana w Bogu, nigdy nie spuściła oczu ku śmiertelnym twarzom. Przepędzając większą część czasu w podziemiach rzymskich, zwanych katakumbami, w których ukrywali się chrześcijanie przez pierwsze trzy wieki, pośród grobów, w atmosferze pochodni i kadzideł, wycieńczona postami i umartwieniem, miała wyobraźnię pełną widm ognistych, pełną urzeczywistnionych, ale w jej tylko umyśle, przepowiedni apokaliptycznych. Marzyła ciągle o rzeczach zaziemskich. Miała widzenia święte. Doznawała poważania nietylko od wiernych, ale od kapłanów i biskupów, którzy ją ukochaną córą kościoła nazywali.

Irydyon, chcąc zwolenników dla swojej myśli zemsty nad Rzymem pomiędzy chrześcijanami także pozyskać, potrzebował takiej kobiety, dla której mógłby się stać Bogiem. Bo koniec końców Kornelia była kobietą, nie żyła jeszcze w krainie anielstwa. Mogła porzucić umarłego Chrystusa dla żyjącego i potężnego Irydyona. Co więcej, mogła go uważać za Chrystusa, który powtórnie przyszedł na ziemię. Odbywać się to będzie stopniowo; ale nie jest

bynajmniej niemożliwem. Owczesne wyobrażenia religijne silnie takiemu sposobowi czucia i myślenia dopomagały.

Chrześcijanie, opierając się na niektórych wyrażeniach Jezusa i na proroctwach, w Objawieniu ś-go Jana zawartych, spodziewali się rychłego przyjścia Syna Bożego „w chwale i majestacie", przyjścia, które miało położyć kres bezbożnemu ich dręczeniu przez zniewieściałych, ale okrutnych cezarów. Nadzieję tę odkładali z roku na rok, z jednego dziesiątka lat na drugi — lecz spodziewali się ciągle, ufni w nieskończoną miłość Wszechmocnego i prawdziwość słów jego wysłańca. Rzecz naturalna, że wyobrażenia podobne najwięcej znajdowały wiary u kobiet, zawsze pochopnych do złudzeń, których urzeczywistnienie mało cech prawdopodobieństwa przedstawia. Kornelia w halucynacyjnem naprężeniu ducha miewała zapewne nieraz widzenia nawet najwyraźniejsze: i krzyża ognistego na niebie i aniołów trąbami powołujących trupy do życia nowego, wiekuistego... W ówczesnym stanie wiadomości jeograficznych koniec świata równoznaczny być musiał z końcem istnienia państwa rzymskiego, którego rozprzężenie każdemu już w oczy wpadało; a scena sądu ostatecznego rozegrać się przedewszystkiem powinna była już po zburzeniu stolicy zgnilizny — Rzymu. Kto więc dążył do obalenia władzy cezarów; kto chciał po cegiełce rozbierać gmach zbudowany wiekami: łatwo mógł uchodzić za zesłańca opatrznościowego.

Irydyon więc miał pole do działania przygotowane. Potrzeba było pozyskać rozgłos jakimkolwiek sposobem. Wybrał kobietę. Kobieta ta była czczona i szanowana. Jeżeliby ona uwierzyła, mógł liczyć na znaczne masy. Nietrudno było zachwycić rozgorączkowaną wyobraźnię. Irydyon opowiadał Kornelii o poświęceniu dla myśli, której cały dom jego na bezinteresowne oddał się posługi. Mówił jej o ojcu swoim, o matce, o siostrze. Kręgami światła opasał jej głowę; ognistemi źrenicami wdarł się do mózgu. Kornelia ujrzała w oczach jego jaśniejący „ogień wiekuisty, ogień cherubów"; na dźwięk jego głosu „dreszcz jak łuska gadu" przesuwał się po niej. Stanął przed nią „jako prorok i jako święty i jako archanioł". Słuchała go chciwie i pragnęłaby skonać. Napróżno chce go z początku nawrócić; łaską „uwiośnić" jego duszę, prosząc Boga o zmiłowanie; napróżno upadając na siłach, tarza się w kurzu i woła rozpaczliwie: „Ach! co ja mówię, gdzie jestem? wszak ślubowałam ci, Panie, całe serce moje. Jakże tu ponuro! pierwszy raz strach umarłych mnie napada"... Ona stała się już zupełnie własnością kochanka. Pociesza się jeszcze biedna marnemi słów dźwiękami („Ja wiem, żem się urodziła, żeby ciebie zbawić"); ale dusza jej już cała przeszła do kogo innego. Kiedy Irydyon powiada: „Ostatni raz może mówię do

ciebie" — ona te tylko słowa zapamiętała i powtarza je jak echo: „ty ostatni raz do mnie mówisz" [1]).

Modlitwa, moc duszy, oddanej Bogu, rozmiłowanie się w Chrystusie nic już nie pomaga. Zdradzają to słowa jej modłów: „Serce biedne, *nie moje, nieznane serce,* ty, co bijesz tak rozdzierająco, módl się do Chrystusa. Panie, Panie, odpowiedz słudze twojej". Inna teraz u niej logika, inny kodeks moralności. Ażeby ukryć swoje widzenie się z Irydyonem, ażeby usunąć wszelkie podejrzenie, używa po raz pierwszy w życiu podstępu. Przepyszna-to scena! *Biskup,* przystąpiwszy do Kornelii, w oczach której pali się gorączka, dawniej niewidziana, pyta jej: „Czy przynajmniej *modliłaś się* tutaj w uczestnictwie nas wszystkich? *Kornelia* odpowiada: *Modlę się,* ojcze. *Bis.:* Czy sama tu *byłaś?*... *Kor.:* Ojcze, sama *jestem. Bis.:* Drżysz jak światło gasnące; co tobie się stało, Metello? *Kor.:* Szukam Pana Boga mego i znaleść go nie mogę". I nie znajdzie go tak prędko.

Zmysły długo uśpione rozszalały. Coś się rozprzęgło w jej duszy, coś się usunęło w jej głowie, coś pękło w jej sercu. W ciemności, wśród zimnych grobów, dusza jej drżała jak listek, posłyszawszy „lekkie stopy kusiciela, pięknego jak anioł". Kornelia obejmuje sarkofag ramionami i prosi popiołów świętych, aby jej strzegły tej nocy. Ale czuje, że coś „nieśmiertelnego" ją opasało: było-to dotknięcie ręki Irydyona, który zrywa welon z jej czoła i chwyta ją w objęcia, wołając: „Usta, zostawcie na tem bladem czole obietnicę lepszego losu!" Kornelia, krzyknąwszy: „Ach, wraz z tobą na wieki potępioną jestem" — omdlewa. Przyszedłszy do przytomności, uznaje w Irydyonie tego, który miał przyjść i pokonać dumnych.

Odtąd się stała prorokinią, z włosami rozwianemi, które wśród głów i pochodni „podskakują jak fala"... „Widzę nareszcie, widzę ciebie — woła. — Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej — płoniesz cały blaskami żelaza. Panie, gdzie rany twoje, niech je obleję łzami!... Wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych przy boku twoim!" Na rozkaz Irydyona powołuje wszystkich do broni, opowiadając straszne widziadła, w które bezwątpienia w tej chwili najzupełniej wierzyła. „W gromy zbrojnego widziałam; szedł zdobywając, by zdobywać dalej i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego. Nic mu się nie oprze. Strzała jego cięciwy ziemię odmierzy w przelocie. Strachem otoczył się jak zwojami królewskiego płaszcza i śmierć blada posuwa się za nim"... W Irydyonie widzi Boga, Syna Bożego, wybawiciela chrześcijan od długoletnich prześladowań i męczarni. Chwałę jego opowiadać uważa za swój najświętszy i w największe

[1]) Por. podobną scenę u Mickiewicza (Aldona): *jedziesz!*

zasługi obfitujący obowiązek. Szał ten wprawdzie trwa krótko; ale powrót do zdrowych zmysłów przypłaca Kornelia utratą życia.

Poeta nie umotywował dostatecznie tej nowej fazy w duchowych kataklizmach kobiety. Modlitwa i woda święcona, które wypędziły niby z Metelli ducha ciemności, w poemacie jako dziele sztuki mogą mieć jedynie symboliczne znaczenie jakiegoś potężnego wpływu ze strony osoby działającej w sprawie nawrócenia. Wpływu tego poeta nie uwydatnił; owszem poprzednio, kiedy biskup rozkazywał jej ukorzyć się „przed krwią pańską", ona odpowiadała dumnie, wskazując na Irydyona: „Ukorzę się przed Panem".

Bądź co bądź sen przeszedł. Kornelia jakby coś przypominała sobie bardzo dawnego. Głos jego echem oddalonem się odzywa: „Czyj-to głos? — mówi w odpowiedzi na słowa Irydyona — słyszałam go tyle razy. Ach, ona (tak siebie nazywa) była prosta i szczera — ona kochała ciebie *przed laty*"... Myśli już teraz tylko o połączeniu się z Bogiem. „Sąd pański — powiada — dopełnił się nade mną, umieram, ale w Panu umieram". Przebacza Irydyonowi, błagając go, żeby „się modlił do Chrystusa". Umiera ze słowami: „Czuję woń rosy i kwiatów": — był-to przedsmak raju, a raczej chłód powiewający od grobów na rozgorączkowaną głowę kobiety; chwila zimniejszego zastanowienia się po ustąpieniu szału zmysłów. W niebie modlić się będzie o zbawienie Irydyona, dlatego że kochał Grecyą...

Kornelia obok historycznego znaczenia, jako obraz pewnych usposobień w pierwotnych czasach chrześcijaństwa, ma jeszcze wagę i dla nas — tylko już nie ze względu na Irydyonów, ale na zwykłych śmiertelników. Niestety! gorączka zbawiania ludzi a szczególniej kobiet za pomocą mistycznych środków zdarza się jeszcze nieraz na ziemi naszej — wywołując często niepokoje i rozterki w rodzinach. Są tacy, co umieją nadużywać zapału dla królestwa niebieskiego, zakładając małe fanatyczno-mistyczne państewka na ziemi. Nizkie ukształcenie umysłowe, brak równowagi moralnej, bunt zmysłów — oto pierwiastki wyradzające fermentacyą w duszach może skądinąd szlachetnych, dobrych, ale niewiedzących, gdzie szukać drogi prawdziwej. Dusze takie stają się częstokroć pastwą nie wielkich, wzniosłych — lecz dość powszednich jednostek.

V.

ONA.

„Ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi“...

I znowu ofiara i znowu łzy straszne, piekące, które spadają na serca ludzi kamienne. Rozgrywa się przed oczyma naszemi dramat, przypominający, jako harfy echo dalekie, okropne tortury Dyany z „Niepoprawnych“ Słowackiego. I tu ojciec zmusza córkę swoję jedyną do wstrętnego zamęścia — tylko z innego powodu. Położenie jej stokroć gorsze, bo zabijają w niej ducha. Nie rozkaz wprawdzie, nie przekleństwo ojca zmusza ją do poświęcenia swej miłości, swego ukochanego, do zgodzenia się na oddanie ręki obcemu, nienawistnemu człowiekowi; — potężniejsze argumenta na wolę jej uderzyły i starły ją na miazgę. Na niej kończył się ród starożytny, sławny w dziejach. Książę, z obcego plemienia, zięć przyszły, obiecywał przybrać imię narzeczonej, przyprowadził tysiąc rycerzy pod zamek i wołał do ojca: „oto będą twoi!“ Ojciec zachwiany w zasadach, namiętnie pragnący przedłużenia swego rodu, ukląkł przed córką i dłoń jej na swoich siwych włosach położył. Krew rozrywała mu skronie; na czole jego widny był konający sen życia całego, mara wielkości i panowania... wzdychał i skarżył się na jedyne dziecię, że go strąca do grobu. Córka zdobyła się na straszliwą odwagę: wyrzekła słowo przyzwolenia.

Odtąd staje się już tylko cieniem przeszłości. Myśli o swym ukochanym, jego wygląda, jego się spodziewa. Nawet, kiedy szła przed ołtarz, by zaprzysiądz wiarę nienawistnemu, „szukała go myślą naokoło, bo oczy nie służyły“; nawet po ślubie wyczekiwała go jeszcze, wierząc, że „nie wszelka zniknęła otucha“. Wszystko, co się do ukochanego nie odnosiło, było dla niej nieznośnem, bo „niecierpiany każdy, kto twoich oczu nie ma, twoim głosem nie mówi i twoją myślą nie oddycha“ — jak mówi do kochanka. Smutną była i bladą, „w jej

źrenicach niejasno przebijał promień duszy", jej kibić bezsilna, znękana. Czasami wzdychała „jak owi nieprzytomni sobie, co już nie myślą o doznanych bólach; czują je tylko — sami stali się bólem!"

Cierpiąc atoli, nie chciałaby, ażeby ojciec to cierpienie widział. Po ślubie np. siedziała z oczyma spuszczonemi „ku wiązce róż, leżącej na kolanie i odrywała ich listki, marząc o czem innem"; pozostały jej w ręku same ciernie. Ojciec nadszedł i powiedział: „Biedna matka twoja, jakżeby *dziś* szczęśliwą była!" Szyderstwo okropne, w egoizmie ojca wyjaśnienie znajdujące. Ona „drżąc" ścisnęła mimowolnie pozostałe w ręku ciernie; potem w pomieszaniu przypiąć je chciała napowrót do sukni. „Czepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadraśniętych świeże". — „Czemu płaczesz, jedynaczko moja? — zapytał ojciec — ach, tyś się skaleczyła, córko". — „O, nie to mię boli, ojcze" — ale natychmiast się spostrzegła i dodała: „owszem to, nic innego, ojcze" — i zamilkła... Pozwala nawet ojcu przypuszczać, że jest szczęśliwą. Jednej tylko rzeczy broni z całą odwagą dziewiczą, z całym zapasem niezmarnowanej energii — swego ukochanego. Kiedy ojciec odezwał się o nim ubliżająco, kiedy i ją chciał przekląć, jeśliby o nim myślała; — ona podniosła się dumnie i odparła „zimno i stanowczo: kochałam go, ojcze!"... Nie można było odpowiedzieć wymowniej.

Czy była-to istota bezświadoma, bezmyślna, która w milczeniu przyjmowała cierpienia dlatego, że ich następstw późniejszych nie przewidywała? Zgodzenie się na wolę ojca — poślubienie księcia — okrywało ją hańbą, przekleństwem... Czyż tego nie rozumiała? Cóż znaczyło owo wyczekiwanie ukochanego w dzień ślubu, a nawet po ślubie? Byłżeby-to sen obłąkania lub naiwnego marzycielstwa, które przypuszcza, że wszystko, co się stało, łatwo odwołać jednem myśli skinieniem? Przypuszczenie podobne ubliżałoby gieniuszowi poety.

Ona czekała na kochanka, by mu powiedzieć wszystko i — umrzeć. Uciekać z nim nie mogła, bo „dopóki jest na ziemi, dopóty jest żoną innego człowieka". Poczucie moralne, silnie w niej rozwinięte, sfałszować się nie da ułudnemi sofizmatami bezbrzeżnej miłości. Przysięgła — musi dotrzymać. Ale z drugiej strony niepodobna od niej wymagać, ażeby *żyła* z tym, którego nienawidzieć musiała. Kiedy ukochany chce ją opuścić, ona go powstrzymuje namiętnym wybuchem i dosadnemi słowy kreśli hańbę położenia swojego w przyszłości i pyta go, czy na to może, czy powinien zezwolić. W tym celu ucieka się nawet do maleńkiej obłudy, którą podobno najniewinniejsze dziewice mają w pogotowiu, jeżeli tylko zajdzie konieczna tego potrzeba. Powiada ona: *„czas*, uczuć morderca, *czas*, róż świeżych na dawnych gruzach *przemierzły ogrodnik*, może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja". Była-to

groźba zręcznie obrachowana na miłość kochanka a na zgubę swoję, bo za tem przypuszczeniem idzie obraz przyszłości: „Patrz — mówi dalej — na jego czole (męża) słowo: hańba, sadzone dyamenty; w oczach piekło błyszczy a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze, dotknęły mię, opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach, i z serca mego jak z czary krew moję czystą, krew moję świętą piją!“ Czyż obraz ten nie mógł wstrząsnąć do głębi duszy kochanka, czyż nie mógł zdecydować śmierci lubej, którą zapewne uwolnić trzeba było od syku żmii... Wszak ona sama go błaga o śmierć jak o zbawienie. Tyś mnie przyszedł wyzwolić — woła do niego — pchnij mnie w serce, wyrwij mnie potworowi; a sam żyj jak najdłużej dla dobra społeczeństwa; ja czekać na ciebie będę w czyscu „cierpliwa i tęskna“; tylko czasami rzuć na grób mój „pióra z hełmu lub pierścień z kolczugi“. Żąda wspomnień, jak Aldona Mickiewicza, nic więcej. Miłość swoję za grób świata przeniosła; bo na ziemi kochać nie wolno jej było. Już na śmierć gotowa. Jedno jeszcze tylko: obrączka ślubna. Zdziera ją z palca, składa na wezgłowiu, zwraca się ku wodzowi: „Teraz tyś pan i mąż mój na wieki“ [1]). Zewnętrzne formy jak zawsze nawet u najidealniejszej kobiety wielką odgrywają rolę; bez ich spełnienia nie miałaby spokoju.

I stanęli oboje na progach krużganka. Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili przesunęły się przed ich oczyma: „w pobliżu zaraz szmer i błysk fontan, wdzięczne kształty filarów, kwieciem umajone krzewy! — dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki, las gęsty w dole; za lasem już otwarte pola; — a dalej jeszcze w odbłyskach zorzy wolnych wierzchołki gór! Zpośród ich szczytów wejść miała dla bohatera kiedyś gwiazda chwały — a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! Ona ze schyloną głową ciśnie się k'niemu wzywając *czy prędszego zgonu, czy spojrzenia miłości*“. Jedno i drugie zlało się widocznie w harmonijną całość. Osłabła, zarówno czuwaniem jak troskami, nie poznawała już siebie samej, bo wyciągając ręce ku zwierciadłu, krzyknęła: „czy widzisz, jaki piękny anioł mój!“ — „Ach, piękny“ — powtórzył ukochany z głuchym jękiem i upadając przycisnął ją do piersi. Słychać było zbliżające się kroki — to pan młody śpieszył do żony... Ukochany wzniósł śmiertelne żelazo... „Męka śmierci lekką im była wśród zachwytu ducha“...

Siedmiu starców, co napróżno oczekiwali powrotu jej ukochanego, nazwali ją „*szyderczem imieniem: kobieta*“. Pomimo oburzenia poety na tę żelazną konsekwencyą życiową, musimy w części przywtórzyć słowom starców, choć serce

[1]) Por. zdjęcie korony i obrączki przez Maryą Stuart (u Słowackiego).

nasze rwie się do tej białej, czystej postaci, której „zawadzały skrzydła", choć jej aureoli męczeństwa nie odmawiamy. Cóż bowiem straszne jej poświęcenie zdziałało? Czy ukochanego do nowego życia, pełnego chwały popchnęło? Czy wybawiło jej ojca od zgryzot, od śmierci przedwczesnej? Czy jej samej ubłogosławienie szczęścia przyniosło? Z żalem odpowiedzieć musimy na te pytania — przecząco. Są powikłania losowe, w których dla szlachetnego człowieka wybór sposobu ich rozwiązania jest trudny. W walce życia wielu poledz musi, ażeby ustąpić miejsca dla szczęścia innych. W przedstawionym dopiero co dramacie mogły się rozwinąć dwa życia silne, błyszczące nadzieją przyszłości, gdyby na zawadzie nie stanęło życie trzecie — starca o spróchniałych arystokratycznych pojęciach. Córka, ulegając łzom ojca, zrobiła poświęcenie ze szczęścia własnego; ale, ażeby poświęcenie przyniosło dobroczynne owoce, potrzeba było, iżby *żyła* z nikczemnikiem, iżby się zhańbiła. Pozostawał wybór pomiędzy hańbą a śmiercią. Córka wybrała śmierć — i tym sposobem poświęcenie swoje w niwecz obróciła — zabiła ojca. Gdyby wybrała hańbę, ojciecby żył; ale jej własna dusza byłaby zbezczeszczona... W obu wypadkach poświęcenie przedstawiłoby się jako rzecz bezpłodna. Córka była kobietą; jedynym kierownikiem jej czynów było serce — zbłądziła...

VI.

CZARNA PANI.

Podobna do losu tej bezimiennej była dola innej również bezimiennej, którą poznajemy w drugiej części „Niedokończonego poematu“, jako „czarną panią“. Dzieje swego bolesnego żywota opowiada ona na zaklęcie Aligiera-Danta:

„Urodziłam się w ziemi mlekiem i miodem płynącej, którą zwą dziś ziemią mogił i krzyżów, zwą też i ziemią niedoli... Zrazu zwali mnie rodzice niewinną, śliczną, szczęśliwą; później nazwano mnie inaczej: niewolnicą! Bo obyczajem świata, mnie dzieckiem jeszcze, mnie bezmiłosną wydano czy sprzedano za mąż. O! zapłaczcie nade mną i nad temi wszystkiemi siostry mojemi, które nic jeszcze nie wiedząc, ni czując, idą bezwolnie ciało i ducha oddać tym, co wszystko wiedzą i wszystko już czuli — ale którym wiedza nie przyniosła anielskiej jasności, jedno dała chytrość zgrzybiałą szatanów!

„Wszystko zniosłam, bo wszystko znieść można na tej smutnej ziemi, prócz jednego uczucia: pogardy! Kiedy ten sztylet wpadnie pomiędzy dusz dwoje, rękojeścią w sercu jednej, ostrzem w sercu drugiej utopion, jakżeż im dalej iść razem po drodze życia? jakżeż codzień ten sam chleb łamać, czekając, aż śmierć wreszcie pobłogosławi, rozdzieli?... Musiałam pogardzać...

„Jakby dziś, widzę ten pałac, tę ulicę lip rozwonionych i za gałęźmi słońce zachodzące. Czuję się pod temi drzewami, przechadzam się jakby w letargu. Wszak mówili tych dni wszystkich, że się coś gotuje na ziemi naszej? W powietrzu śród zapachu sianożęci pływało jakieś przeczucie, jak kiedy zaraza ma uderzyć, jak kiedy wielu ludzi ma... walczyć i zginąć... A mąż mój wysmukły i biały jak niewiasta, przechadza się także i czeka na coś, na kogoś. Ach! czeka z uśmiechem nigdy niezapomnialnym!... Z różnych stron do ogrodu wsuwają się ludzie; znam i tego i owego i wszystkich — to krewni, przyjaciele,

sąsiedzi! On im ściska dłonie, coś obiecuje, przysięga... Gdy słońce zaszło, prosi, by odpasali broń i siedli raz ostatni się naradzić. Każden broń odpasał, usiadł na murawie. On klasnął, znak dał; — do syku węża podobny był gwizd jego. Żołnierze zewsząd, żołnierze, żołnierze... Nie pytajcie mnie; jam imię tego człowieka nosiła; jam mu była przysięgła na wierność do grobu — ja go wam nie wydam, jak on wrogom braci swoich...

„A teraz oto trzecie imię moje na ziemi: zhańbiona! Wiecież wy za co, o ludzie? Za to, że rozpacz rozerwała mi serce, a przyszedł dzień, w którym ukochaną zostałam; za to, że w tym dniu uwierzyłam w piękność i dobroć i rozum na ziemi; za to, żem umarłą podniosła głowę, żem krzyknęła: o, jakże z trumny dobrze w niebo róść; — za to, żem święcie kochała“...

Krótkie były chwile upojenia. Ten, którego ukochała i który ją kochał, także odszedł tam, „gdzie go jego męskie losy zagnały“. Wyrwawszy ją z „samotności serca“, pozostawił w „ducha samotności“. Odtąd żyła już tylko ciałem, gdy dusza jej, „w własne skrzydła obwinięta“, spoczęła w grobie. Przywdziawszy szatę żałobną, klękała pod krucyfiksem i modliła się nie za siebie tylko, ale i za cały ten tłum niewiast, co to „chodziły w promieniach słońca“, dopóki „ciało nadobne“ miały, a potem gdy zwiędły jak kwiaty, w ciemnym pogrążały się mroku [1]).

Bolała nad tym losem okropnym i pytała z głębi cierpiącego serca: czy tak z kobietami na wieki będzie.

I usłyszała odpowiedź Aligiera-Danta, która jest zarazem ostatecznym w tej sprawie poglądem Krasińskiego:

„Wyście dotąd były jak lilie boże, co rosną nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. Oto idzie dzień, w którym się każda z was na *myślącą różę* przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn i przejdą w dłonie wasze. Oni do stóp wam pochyleni błagać was będą o jednę pieśń osłody, o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności; bo ich dola — trudów nieznośnych i twardych czynów wtedy dolą będzie. Lecz wy zapatrzone w Boga, nie spojrzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków!... Tak będzie, aż przyjdzie na was *wtórej przemiany* godzina — i znów podacie im ręce i serce ich konające zbawicie miłością i nazawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie... Nie lękaj się... gdyby co zaginąć mogło, prędzejby w sądach Pana olśnęła męska gwiazda chwały, niż wyschła napróżno łza nieszczęśliwej“.

Pociecha-to dla przyszłych pokoleń; ale „czarnej pani“ przeznaczeniem —

[1]) Dzieje „czarnej pani“ są poetycznem przetworzeniem dziejów Delfiny Potockiej.

umrzeć „w ciemnościach", bo czas ubłogosławienia kobiety „idzie dopiero, lecz nie nadszedł dotąd".

Dzisiaj, gdy kobiety wołają: „sprawiedliwości! sprawiedliwości!" tłukąc się w pierś, szlochając, przeklinając; gdy strugi ich łez spływają na włosy ich długie, a z włosów kapią na ziemię „z głuchym szelestem dżdżu jesiennego"; to społeczeństwo wysyła na ich spotkanie „starców w czarnych, długich szatach, z kropielnicą w ręku, rzucających wodę na te wszystkie głowy i śpiewających głosem ponurym". Wówczas jedne z niewiast spuszczają czoło, inne „przykląkłszy całują tych starców w ręce i szepcą przed nimi nieskończone żale"; niekiedy tylko grzmi głos rozpacznego protestu zwrócony do starców-kapłanów: „Tam na powierzchni świata mężczyźni już nie słuchają was, ale rzekli wam: Idźcie, bądźcie szpiegami kobiet umierających! Gdy dusze ich od ciał się odrywają, uciszajcie ich skargi! Gdy klną nas, zamykajcie im usta, bo ich jęki niemiłe nam! Czasem z przepaści gdy wzniosą się razem, psują nam porę biesiady lub godzinę targów! A wy poszli, zstąpili, przyszli. Wy nas uczycie, jak cicho umierać". Atoli głos protestu milknie, a zrozpaczone kobiety, co go podniosły, giną...

* * *

Smutnem pokrewieństwem poświęcenia łączą się z sobą *Elsinoe* i *Ona* z tą jednakże różnicą, że czyn pierwszej mógłby przynieść pewną, może wielką nawet dla społeczeństwa korzyść, gdyby mu towarzyszyło powodzenie skądinąd; czyn zaś drugiej w żadnym wypadku użytecznym być nie mógł. Życie ich zniknęło jak „dym kadzideł", spalonych na cześć uczucia w części jednostkowego, w części ogólniejszego. Istoty te mają namiętności i słabostki; spragnione są świeżego powiewu łąk i pól ziemskich; ale raz się już poświęciwszy, nie chcą cofać ofiary i z nieśmiałą skargą na ustach, „ze śniadą bladością" na marmurowem czole dążą w dal nieskończoną, w wieczność zapomnienia. Nie mogąc być dla nas przewodniczkami na drodze zwykłego, codziennego życia, podnoszą ducha naszego do sfer szlachetnego marzenia i stawiają zagadkę trudną do rozstrzygnięcia. Namysł, rozwaga, jaką postaci ich w nas obudzają, są wystarczającym dowodem, że w duszy ich była głębia i treść wielka, wzniosła...

Kornelia Metella — to kobieta, zawieszona pomiędzy niebem i ziemią, wśród uczty zmysłów wzywająca Chrystusa, by ją wyrwał ze szponów kusiciela. Długie szamotanie się, podtrzymywane obustronną potęgą czynników na nią działających, wyczerpuje jej siły i rzuca pomrokę śmierci na jej piękne, rzymskie rysy.

Marya jest ostatecznym wyrazem niesamoistności kobiety. Żyje dla męża i przez męża. Jego sąd jest jej sądem; jego pragnienia — jej pragnieniami. Chcąc się przypodobać mężowi, usiłuje zostać poetką — zostaje obłąkaną.

Czarna pani — to jedna z wielkiej liczby ofiar zależnego i biernego stanowiska kobiet w społeczeństwie. Nie kochając, musi być żoną człowieka nikczemnego, zdrajcy narodu; a gdy pokochała duszę sobie pokrewną, imię jej tysiąc języków splugawiło. Opuszczona przez ukochanego, żyje już tylko cieniem życia w cieśni i pomroku, w których mężczyzna jednej chwili nawet wytrwać-by nie mógł, bo zdawałoby mu się, że „powietrze umyka się zewsząd, odpływa od niego", że „ciężar jakiś niewidomy głowę mu przygniata", że „w piersiach krew mu już stygnie".

Maryna wreszcie — to z jednej strony kamienny posąg kroczący po trupach, ażeby obalić żyjących, z drugiej zaś piękne ciało z uczuciem macierzyńskiej miłości. Brak połączenia dwu tych czynników rodzi jakąś niepewność, jakieś wahanie się w naszych dla niej uczuciach. Z początku obojętni, pod koniec poematu musimy ją otoczyć sympatyą. Gdy sobie przypominamy historyczną rzeczywistość, unikamy jej wspomnienia...

W postaciach tych brak równowagi duchowej, brak harmonii. Rozdrażnieni, roznamiętnieni, rozegzaltowani, uniesieni wysoko nad ziemię — nie wiemy, co począć ze sobą, gdzie złożyć głowę rozgorączkowaną. Miłe, urocze, czarodziejskie nawet dźwięki upajają nas, rozczulają i zamykają przed nami bramy zimniejszej rozwagi. Sympatyczne słowa, wysokie, święte uczucia niemal o oszołomienie nas przyprawiają; „święty szał" nas porywa — jak mówili Grecy. Stąd tak nam trudno, tak przykro formułować zdanie krytyczne — a jednakże musimy.

Kobiety Krasińskiego — to wyjątki nieszczęśliwe, powołane do życia strasznem położeniem narodu, rozstrojem stosunków, zamętem wyobrażeń, rozgorączkowaniem uczuć, brakiem myśli przewodniej w postępkach życia codziennego. Żyjąc wysoko podniesionem życiem duchowem, są szlachetne po większej części i wielkie względnie, ale właśnie dlatego, że usiłowały zerwać z naturalnym uczuć rozwojem, popełniały niekonsekwencye, a nieszczęścia na siebie i innych ściągały.

IDEAŁY.

Hej, bracia orły, do lotu!

Gwar życia ogłusza nas. Różnorodność jego objawów, najczęściej poważna, czasami śmieszna, niekiedy okropna, szarpie nas na wszystkie strony, nie dając odpoczynku, niezawsze kołysząc pieśnią szczęścia wzburzone i stroskane serce nasze. Miło jest zamknąć okna, przez które wdziera się nieproszona rzeczywistość, zasłonić je grubemi firankami, zapalić bengalskie ognie na kominku, rozwiesić tęczę wyobraźni wzdłuż zacisznego pokoiku, rozmarzyć serce i głowę wyśnionemi obrazami i puścić się w wędrówkę po tej krainie, gdzie się przechadzają aniołowie i duchy, gdzie miłosne zachwyty kończą się niedosłyszanym pocałunkiem, a jęk rozpaczy rozlega się jedynie w echu niepochwytnem. Miło śnić i dumać, bez bolesnego wołania o chleb powszedni, bez ciężkich rozpraw o pracy organicznej, bez stawiania zapory swoim ulubionym zachceniom. Pomyślimy wtedy o ideale doskonałości i piękna — o kochanej kobiecie, o szczęśliwem pożyciu we dwoje, o wesołej przechadzce po kwiecistych alejach... złudzeń. O wszystkiem zapominamy: o świecie, o ludziach, o prawach loiki, o urządzeniach społecznych i przewrotach politycznych... zanurzamy się całkiem w kąpiel miłą, usypiającą, za którą się wcale nie płaci. Troski, zmartwienia, kłopoty, nieszczęścia przeszłe — znikły jak w sali sztuk magicznych; jaśniejemy radością, kochamy ludzkość, zapalamy się niekiedy do czynów wielkich, chcielibyśmy się poświęcić, dać ukrzyżować i to bez żadnej nagrody, bez pochwały nawet — zastrzegamy sobie tylko, żeby nas wspominano... Ach! bo nadzieja wspomnienia stanowi ogień ożywczy naszego zapału!

Chodziliśmy po takiej krainie wraz z naszymi poetami. Zasiana ona była

już-to kwiatami naszej prostej przyrody, już też egzotycznemi roślinami krajów, w których gorące słońce do ruchliwszego i bujniejszego życia pobudza. W takiem otoczeniu na rozkaz naszych przewodników zjawiały się przed nami wypieszczone ich ideały. Przypatrywaliśmy się ich twarzom, staraliśmy się zajrzeć w głąb' ich duszy, śledząc w poruszeniach, giestach i mowie znaków wewnętrznego nastroju i usposobienia.

Po większej części dostrzegaliśmy w nich smutek głęboki, rozpacz krwawą, poświęcenie bezsilne. Niekiedy wprawdzie przedstawiła się nam młodziutka twarzyczka uśmiechnięta radośnie, bezwiednie, jak kwiatek, do którego przyrównać ją było można; niekiedy energią słowa i czynu dała nam poznać duszę głęboką i silną, dobrze uposażoną na życie. To była chwila tylko — jakby dla podtrzymania w nas nadziei, słabnącej na widok postaci omroczonych smutkiem, chodzących w żałobie. Boleść, rozczarowanie, nieszczęścia, ofiary, od których wyprosić się niepodobna — oto są najgłówniejsze rysy duchowej istoty tych kobiet, które poeci przed oczy nasze przyprowadzili. Wśród pięknej, zawsze jednakowej przyrody usposobienia ponure, mroczne, łzami zalane zdziwiły nas. Pytaliśmy się naszych poetów, czy-to tak zawsze na ziemi, czy tak być musi, czy tak być powinno?... A jeden z nich podnosząc wzrok ku niebu, odpowiedział: „Nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi". Drugi zaś w rozżaleniu uśmiechnął się szyderczo, choć mu łzy paliły powiekę, i odrzekł:

> Tak... to los mój na grobowcach siadać
> I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych;
> To los mój — senne królestwa posiadać,
> Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
> Albo umarłych...

Jeden tylko w milczeniu wskazał na dziewczynę w sukience zielonej „jak ruta pozioma", opartą na ramieniu hożego ułana, która, uśmiechając się, mówiła szczebiotliwie: *„Pracy* też nie lękam się, bom *młoda* i *zdrowa"*... Spojrzeliśmy: dziewczyna wyglądała na lat piętnaście: uśmiechnęliśmy się jak i ona... ale nie nabraliśmy jeszcze przekonania, że owe płacze i smutki i zawody różanemi swemi usty zażegna...

Smutno nam było; ale smutek ten, dopókiśmy się znajdowali w raju poezyi, podobny był do zamyślenia rozkochanej dziewicy, śniącej o kochanku; przyszedł kochanek, powiedział słówko: dziewica w różę się zmieniła. Rolę kochanka względem nas odgrywali poeci. Jak czarnoksiężnicy kazali nam przypatrywać się swoim obrazom i nie oglądać się poza siebie. Obrazy były tak cudowne: tyle sympatycznego ciepła rozlanego było w kolorycie, tyle wybornych

rysów w postaciach, tyle czarodziejstwa w otoczeniu, żeśmy zapominali o rzeczywistości i oddawali się całkiem rozkoszy artystycznej.

Teraz się budzimy. Przypominamy sobie wszystko, cośmy widzieli, i spostrzegamy, żeśmy mieli przed sobą prawie same patologiczne objawy życia kobiecego. Ilekroć pojawiły się strony dodatnie, pełne szczęścia, ruchu, energii i samodzielności — przedstawiały się one albo ułamkowo, albo w pierwszym, bezświadomym niemal okresie wędrówki życiowej. Jakaż tego przyczyna?

Łatwo możemy przypuścić, że kobiet samodzielnie występujących, ufnych we własny rozum i czynów dzielność, nie było jeszcze za czasów, kiedy poeci nasi nad społeczeństwem spostrzeżenia swe robili; przypuszczamy tak mianowicie dlatego, że kwestya usamowolnienia kobiety wtedy była dopiero w samych początkach w Europie nawet — nie mówiąc już o naszym kraju. Zwolennikami więc i przedstawicielami tego kierunku poeci nasi być nie mogli. Krasiński go przeczuwał, ale bliżej nie określił; Mickiewicz luźne tylko myśli, i to w okresie towiańszczyzny, w listach prywatnych, o samoistności kobiety pozostawił; Juliusz Słowacki zaś był przeciwnikiem ruchu kobiecego. Wnosimy to z szyderczych wzmianek o pani Staël i Tańskiej. Do pierwszej, jak wiemy, przyrównał Idalię; o drugiej w listach jego spotykamy takie wyrażenie (list z *Paryża* 9 listopada 1832): „Jest tu panna Tańska. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — *literatura kobieca, garbata trochę* — literatura kłótliwa trochę, paszkwilowa!“... A po jej śmierci te słowa napisał do matki (15 października 1845): „Umarła tu nam autorka nasza dla dzieci niegdyś pisząca. Odpoczynek jej, ale nie pokój, bo jeszcze wiele czynić pozostaje, nawet ona sama wiele z tego, co uczyniła, sama wywrócić musi... tamy przeciwko egzaltacyi kładzione... serca przez nią na kluczyk od śpiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć nanowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują niż na nogach... Nie wiedząc, a sprotestantyzowała kobiety. Nie miej mi za złe; bo prawdę mówić muszę nawet o umarłych, abym w prawdziwych umarłych rozkochał żywych“.

Nic więc dziwnego, że kobiety samoistnej, dodatnio a świadomie na społeczeństwo wpływającej, nie znajdujemy w utworach naszych wieszczów.

Ale niepodobna przypuścić, ażeby spółcześnie nie było zacnych kobiet-obywatelek, pojmujących swoje obowiązki nietylko w rodzinie, ale i w społeczeństwie.

Ażeby brak ich w poezyi naszej wytłómaczyć, trzeba zważyć dwie ważne okoliczności. Pierwsza, że najwięksi nasi poeci bawili w kraju przez czas bardzo krótki, t. j. dziecinny i młodzieńczy. Mając lat dwadzieścia lub dwadzieścia

kilka wyjeżdżali za granicę, gdzie większą część życia swego spędzali. To, co zaobserwować mogli przez czas swego pobytu w kraju, odnosiło się przeważnie do strony uczuciowej, do dziejów serca — zwykle zawiedzionego. Na inne kwestye nie zwracali wówczas uwagi. Najdłużej stosunkowo bawił w kraju Mickiewicz; to przyczyniło się, obok usposobienia naturalnego, do wyrobienia jaśniejszego na sprawy poglądu, do stworzenia charakterów wesołych, zadowolnionych, obiecujących coś na przyszłość. Jednakże i on nie zdołał wystawić kobiety-obywatelki w całej pełni rozwoju.

Drugą okolicznością jest fakt nieszczęść, doświadczanych w życiu jednostkowem i ogólnem. Żyli bez nadziei. Żadnej gwiazdy na niebie przyszłości. Dużo zawodów, dużo rozczarowań, dużo kłótni i swarów. Nieszczęśliwi są po większej części niesprawiedliwymi. Patrząc przez pryzmat rozpaczy, nigdzie nie zobaczymy krainy wesołej, napełnionej zgodnym gwarem samodzielnych i spójnie występujących jednostek. Marzenia, wyszydzone ostro przez rzeczywistość, mściły się na niej, odbierając jej wszelkie zalety i zasługi. W takim stanie rzeczy jedni zapatrzą się w dawno minioną przeszłość i w jej wspomnieniu ukojenia szukać będą; drudzy ukażą nam poświęcenie milczące jako jedyny ideał, ku któremu zdążać mamy; inni przeklną wszystko, na co patrzyli, wołając głosem rozpaczy:

...Wiem, jak trudno ruch obudzić *w bryłach*
I kazać w niebo iść *ściętemu drzewu*
I z tęczami się połączyć na niebie...
Ja — co nie mogłem wskrzesić — nawet siebie! —

Jakże wtedy myśleć o harmonii, o równowadze wszystkich duchowych czynników, które są potrzebne na stworzenie ideałów wogóle, a dodatniego ideału kobiety wszczególności... Potrzeba szczęścia, potrzeba spokoju, ażeby lubować się w życiu rzeczywistem — a jeżeli już szczęścia niema, potrzeba mieć siłę wytrwania i możność szczegółowej obserwacyi. A przecież uwydatnienie moralnego rozstroju było rzeczą konieczną — stanowi to niejako pomnik rzeźbiarski nieszczęścia. Poeci nasi pomnik taki z swych dzieł nieśmiertelnych wystawili.

Lecz kwilenie dziecka i skargi nadgrobne długo trwać nie mogą. Otrząsnęliśmy się już po części z nieruchomości zwątpienia, z bezwładności rozpaczy. Z wdzięcznością i czcią wspominając imiona wielkich poetow, idziemy dalej!

Czas zmienia nasze ideały, to jest coś z dawniejszych cech ujmuje i coś do nich nowego dodaje. Wybuchać namiętnemi słowy wyrzutu i potępienia — jest to zapewne zdobywać sobie laury krasomówcze; bo człowiek wtedy jest najwymowniejszy, kiedy swe nieszczęścia przed innymi w żywych barwach

maluje. Postępowanie takie atoli prowadzi jedynie do coraz większej drażliwości, która rozumnym czynom bynajmniej nie sprzyja. Potrzeba nam teraz wszystkiemi siłami starać się o wystawienie dodatnich ideałów. W ich rzędzie ideał kobiety zająć musi jedno z miejsc najpierwszych. Poezya musi wejść w najściślejszy sojusz z dążnościami lepszych usposobień ogółu, musi być wyrazem jego pragnień i popularną wskazówką drogi, po której on ma postępować. Nienawistnego rozbratu pomiędzy poezyą a rzeczywistością nie przyjmujemy. Poezya, jeżeli chce zachować nadal wpływ swój dawniejszy, musi śledzić bacznie wszystkie zmiany kierunków w umysłach, do których ma przemawiać, musi je zaznaczać, wyjaśniać lub prostować w sposób najodpowiedniejszy wymaganiom estetycznym. Jakie są te kierunki i jakie zaszły w nich zmiany — nie tu miejsce opowiadać. Szerokie pole zadań społecznych rozwija się z rokiem każdym, coraz większe obejmując widnokręgi; publicystyka na tem polu ma pracę olbrzymią.

Ja chciałbym tu tylko zaznaczyć stanowisko kobiety w stosunku do poezyi. Na początku tego studyum nakreśliłem je tak, jak je dotychczasowa poezya wogóle uwzględniała. W dalszym ciągu rozwinąłem szereg obrazów, szereg postaci kobiecych, przedstawionych nam przez poetów dawniejszych, i postawiłem pytanie: czy dla nas spółczesnych nic już do zrobienia nie pozostaje? Przychodzę do wniosku (przypuszczam, że i czytelnik wraz ze mną), iż poezya nasza, zgodnie z naturą rzeczy, malowała nam kobiety złamane nieszczęściem, łudzące się pozorami życia w sferze chorobliwego marzycielstwa — zostawiając na drugim planie istoty zdrowe, silne, mogące działać z powodzeniem na widowni rzeczywistości. Czas przyniósł nam zagadnienia poważne — wskazał siły ukryte, niespożytkowane, powołał do działania kobiety.

Dotychczas, śmiało to można twierdzić, istniało u kobiet tylko *poczucie* pewnych obowiązków względem społeczeństwa. Poczucie to, jak wogóle każde uczucie, łatwo może przechodzić w krańcowość, wyradzać się w wadę. Kobiety są skłonne do krańcowości. Jeżeli są pobożne, to bez trudu popadną w dewocyą; jeżeli nie są pobożne, to wszystkie rzeczy święte i nieświęte biorą powierzchownie, ceniąc je z formy, z pozoru, z takiego lub owakiego zwyczaju, który ma szczęście cieszyć się popularnością, który jest modny. Jeżeli są przejęte ważnością jakiegoś przedsięwzięcia, to nie rozumiejąc go należycie, mogą zarówno do dobrych jak do najfatalniejszych w skutku pobudzić czynów.

Poczucie może dać niewątpliwie pochop do spełnienia rzeczy wielce chwalebnych, znakomitych nawet, ale stałego charakteru, działającego podług pewnych niewzruszonych zasad nie wyrobi wcale. Wielkie czyny w życiu kobiet

są zazwyczaj wynikiem chwilowych wzruszeń i potężnej namiętności, ale nie wypływają z raz powziętego planu...

Jest-to rzeczą bardzo naturalną z tego mianowicie powodu, że kobiety rzadko kiedy wyrabiają sobie stałe przekonania. Mają one pospolicie uprzedzenia tylko dobre lub złe, ale nie zdają z nich sobie rachunku. Wszelkie ich twierdzenia i zapewnienia opierają się zazwyczaj na sympatyi lub antypatyi, jaką czują względem pewnego człowieka lub przedmiotu; nie zaś na rozumnej ocenie dowodów za i przeciw. Dowcip zastępuje u nich rozwagę; dobre serce starczy za postępowanie podług zasad. Można znaleść dosyć mężczyzn, którzy postanowili nigdy nie skłamać, choćby im to przynieść miało szkodę materyalną lub narazić na śmieszność; a prawie napewno można powiedzieć, że żadna kobieta takiego postanowienia nie zrobiła, a tem mniej, że je wykonała.

Poczucie samo może wskazać piękny cel, ku któremu dążyć należy, ale nie bada środków, za pomocą których cel ten najłatwiej, najszybciej i najzgodniej z wielkiemi zasadami moralności da się urzeczywistnić. Dlatego też poczucie może zaprowadzić i prowadzi nieraz na manowce; chociaż niekiedy istotnie bardzo szybko do celu zawiedzie: jest-to zatem przypadkowość, na którą nigdy z niezachwianą pewnością liczyć nie można; jest-to los na loteryi, mogący zarówno smutek jak radość do serc naszych sprowadzić. A czyż przypadkowości, ślepemu losowi należy się powierzać? Nikt zapewne nie odpowie na to pytanie twierdząco; w praktyce jednakże losowi takiemu powierzamy się nieraz wbrew własnemu zdaniu i przekonaniu. Losowi temu najczęściej ufają kobiety. One tak mało mają do czynienia z cyframi, że wszelkie rozważne obliczanie środków mających urzeczywistnić plan pewien, wydaje się im wyrachowaniem, brakiem dobrego i poświęcającego się serca; człowiek, który wszystko na raz ryzykuje bez względu na okoliczności uboczne, bez rozwagi i zastanowienia, z brawurą i ostentacyą, częstokroć staje się ich ideałem...

Z drugiej strony bardzo długo panowało w społeczeństwie to przekonanie, że kobieta nie potrzebuje znać spraw społecznych tak dobrze jak mężczyzna, gdyż niema po temu ani dostatecznej siły umysłu, ażeby je zrozumiała dokładnie, ani dostatecznej siły charakteru, ażeby w nich udział brać mogła. Według tego przekonania, za kobietę myśleć i działać w tym zakresie powinien mężczyzna.

Byłoby-to może arcy-szlachetnie ze strony mężczyzn przyjmować wszelkie ciężary i obowiązki życia na siebie; aleby to upośledzało kobiety. Wszystko, co stanowi podstawę bytu ludzkiego wśród społeczeństwa, miałożby być obce całej połowie ludności, toż społeczeństwo składającej? Czyż kobiety nie powinny mieć głosu tam, gdzie idzie o ich dolę, o ich przyszłość? Przecież w ręku kobiet spoczywa pierwsze, najważniejsze zdaniem wszystkich pedagogów, wychowanie

dzieci. Matka, choćby najserdeczniejsza, najtkliwsza, najtroskliwsza, bez odpowiednich wiadomości i bez hartu woli nie zdoła wpłynąć dobrze na dziecko, nie może w umysł jego przelać tego, czego sama nie posiada. A tyleż innych wypadków, w których kobieta sama radzić musi nietylko sobie, ale i dzieciom osierociałym, czyż nie wskazuje dobitnie potrzeby zaznajomienia jej ze wszystkiemi interesami, ze wszystkiemi zadaniami społeczeństwa, wśród którego walczyć musi o utrzymanie siebie i swoich najdroższych? Wiemy, że w wielu podobnych wypadkach kobiety nasze godnie odpowiedziały obowiązkom, które dobrowolnie na się przyjęły, ale komuż nie wiadomo także, iż wiele a wiele upadło na duchu pod naciskiem zbyt trudnych okoliczności... Fakta tego rodzaju są znane; każdy łatwo przywiedzie sobie na pamięć przykłady blizkich i dalekich znajomych, łamiących się z biedą, ubóstwem, a nawet nędzą lub spodleniem... Przykłady te niejednemu zapewne podszepnęły myśl, że gdyby kobiety wcześnie do prowadzenia interesów wprawiano; gdyby im praktycznie dano poznać ważność tychże i wskazano drogi i sposoby zaradzenia biedzie: nie byłyby one nieraz narażone na tysiące bolesnych zawodów i kosztowne wyręczycielstwo przez mężczyzn.

Ale nie o praktyczną tylko biegłość w interesach jednostkowych nam idzie; jeszcze większy nacisk położyć musimy na znajomość spraw ogólnych. Wiadomo, że zazwyczaj kiedy mężczyzni zaczynają rozprawiać „o rzeczach poważnych“, kobiety milkną albo zawiązują pomiędzy sobą rozmowę całkiem odmiennej treści... Czyż to, co zajmuje ojców i synów, nie powinno w równym stopniu zajmować matki i córki? Czyż one nie powinny interesować się objawami wszelkiego ruchu na polu naukowem i społecznem? Dziwnem byłoby zaiste, gdyby jedna połowa obywateli kraju przestawała w zupełnie innych dziedzinach myśli aniżeli druga...

Błyszczeć dowcipem i powieściowem oczytaniem nie znaczy to jeszcze mieć gruntowne zasady: a zasady jedynie mogą przemienić poczucie w przekonanie, wrażliwość — w charakter, bystrość umysłu — w rozwagę. Te przymioty są konieczne dla każdego człowieka, a więc i dla kobiety; te przymioty są podstawą rozumnego działania wśród społeczeństwa, a takie działanie jest obowiązkiem każdego obywatela kraju a więc i kobiety.

O tem, że się jest obywatelem kraju, zapomina się bardzo często. Brzmi to jak paradoks, a jednak jest prawdą. Człowiek pamięta przedewszystkiem o swoich własnych potrzebach, o swoich własnych interesach, o swojej własnej doli i niedoli. O tem zaś, co jest po nad nim, o ogóle, do którego jako cząstka należy, przypomina sobie rzadko, w chwilach naprężonego uczucia i naprężonych stosunków. Gdy chwile te miną, wraca spokojnie do ciasnej skorupki swego egoizmu. Kobiety tutaj oczywiście wyjątku nie stanowią, tembardziej gdy ku

innemu sposobowi myślenia i działania nie były wdrożone od dzieciństwa. Wszakże prawda, że w młodości bardzo mało o obowiązkach swoich obywatelskich słyszeć zwykły. Gdyby rodziny nasze więcej o tych sprawach ogólnych pamiętały; gdyby dzieciom swoim o ich obowiązkach w przyszłości mówiły; gdyby nauki swe przykładem własnym wspierały: mielibyśmy więcej obywateli i obywatelek z przekonaniem i charakterem.

Ujmuję wywód swój w najkrótsze zdania.

Kobieta musi być samodzielną, ażeby zostać towarzyszką istotną nie zaś cieniem ukochanego młodzieńca; kobieta musi być samodzielną, ażeby zdobyć sobie niezależne stanowisko ekonomiczne; kobieta musi być samodzielną, ażeby nie paść ofiarą egoizmu mężczyzny ni też stawać się dla niego ciężarem. Przy wyrobieniu takiego charakteru, obok wielu innych czynników, niezmiernie ważną gra rolę nietylko poczucie, ale świadomość obywatelstwa. Kobieta powinna owładnąć myślą, interesować się i przejmować wszystkiemi sprawami dotyczącemi ogółu, naprzód, jeżeli chce w nim stanowić rzeczywistą jednostkę ważącą coś na szali; powtóre, jeżeli chce być matką prawdziwą.

W streszczeniu, taki jest szkic ideału kobiety. Rozprawy społeczne rozświetlają ten ideał w sposób naukowy, ściśle rozumowany: poezya powinna go przyoblec w szaty piękna.

> Miejmy odwagę!... nie tę jednodniową,
> Co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska,
> Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
> Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.
>
> Miejmy pogardę dla rzekomej sławy
> I dla bezprawia potęgi zwodniczéj;
> Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwawy
> I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy...
>
> Przestańmy własną pieścić się boleścią,
> Przestańmy ciągłym lamentem się poić...
> Lecz nie przestajmy czcić świętości swojej
> I przechowywać ideałów czystość.
> Do nas należy dać im moc i zbroję,
> By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość, —

śpiewa najznakomitszy z poetów naszych młodszego pokolenia. W słowach tych jest cząstka naszych pragnień. Ale to dopiero program. Wykonania jeszcze nie mamy; bo nie ustaliły się pojęcia i, co ważniejsza, przekonania nie przeszły jeszcze w dziedzinę czynu, nie wytworzyły odpowiednich charakterów. Tenże sam poeta, natura subtelna i niezmiernie wrażliwa, niejednokrotnie opiewał uczucia i poglądy sprzeczne z programem, który własnemi wypowiedział usty.

Wieszczowie nasi! wielcy poprzednicy zostawili wam szerokie miejsce do działania; powinno to być dla was pociechą i wskazówką. Jeszcze kopalnia poezyi nie wyeksploatowana: stoi dla was otworem. Nie zamykajcie się w ciasnem kółku czczego naśladownictwa boleści, których sami już może nie odczuwacie, w tym stopniu przynajmniej co owi poprzednicy, bo staniecie się bezmyślnemi papugami... Nie bujajcie po sferach nadobłocznych, bo na ziemi wielka czeka was praca. Niech postaci wasze nie świecą pożyczanym, księżycowym blaskiem; nie zawieszajcie sobie nad skroniami kręgów fosforycznego światełka; lecz ciepłem słonecznem, zwykłem, ale ożywczem, ogrzejcie swe piersi i stwórzcie ideał — spółczesnej kobiety. Geniusze żyć będą w panteonie naszych wspomnień najdroższych; wy żyć będziecie w spółczesnej rzeczywistości...

KONIEC.

TREŚĆ.

Pisma autora tej książki:

1. Geneza fantazyi, szkic psychologiczny. Warszawa 1873.
2. Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens. Lipsk 1874.
3. Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno. Warszawa 1874.
4. Książka do czytania. Warszawa 1874.
5. Rousseau w setną rocznicę zgonu. Warszawa 1878.
6. Poezya w wychowaniu. Wilno 1881.
7. Zarys literatury polskiej z ostatnich lat, 1-sze wyd. Wilno 1881 (wyczerpane 3-cie wyd. Kraków 1895.
8. A. Mickiewicza Odczyty w Lozannie. Warszawa 1885.
9. Autorki polskie wieku XIX. Warszawa 1885.
10. Adam Mickiewicz; zarys biograficzno-literacki, 2 tomy; Warszawa 1886.
11. Studya i szkice z dziejów literatury polskiej, 2 serye. Kraków 1886.
12. Nasi powieściopisarze, serya pierwsza. Kraków 1887.
13. Józef Ignacy Kraszewski. Kraków 1888.
14. Nasi powieściopisarze, serya druga. Kraków 1895.
15. Przekłady Horacego (w „Bibliotece Warszawskiej" 1869).
16. Przekłady Cycerona (w „Bibliotece Warszawskiej" 1870).
17. Przekłady Sofoklesa (w „Ateneum" 1876).
18. Nowa próba tłómaczenia Iliady (w „Ateneum" 1877).
19. Przekłady Eurypidesa (w „Ateneum" 1883).
20. Goethe, zarys biograficzno-literacki (w „Ateneum" 1878).
21. Listy A. E. Odyńca z podróży (w „Ateneum" 1878).
22. Debiuty powieściopisarskie (w „Ateneum" 1883, 1884 i 1886).
23. Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (w „Ateneum" 1883).
24. Filozof w pętach reakcyi (w „Ateneum" 1888).
25. Kaczkowski i Sienkiewicz (w „Ateneum" 1889).
26. Choroba woli (w „Ateneum" 1890).
27. Wojciech Bystrzonowski (w „Encyklopedyi wychowawczej" 1880).

28. Leon Borowski (w „Encyklopedyi wychowawczej“ 1880).
29. Tadeusz Czacki (w Encyklopedyi wychowawczej“ 1881).
30. Czasopisma dla młodego wieku (w „Encyklopedyi wychowawczej“ 1881).
31. Tomasz Dziekoński (w „Encyklopedyi wychowawczej“ 1881).
32. F. N. Golański (w „Encyklopedyi wychowawczej“ 1891).
33. Towarzystwo Szubrawców (w „Tygodniku illustrowanym“ 1878).
34. Żywioł mieszczański w poezyach M. Romanowskiego (w „Tygodniku illustrowanym“ 1886).
35. Kobiece postacie w komedyach Fredry (w „Tygodniku illustrowanym“ 1893).
36. Literatka polska przed półwiekiem (w „Tygodniku illustrowanym“ 1894).
37. Dziesięć lat z dziejów wychowania w Polsce (w „Bluszczu“ 1877).
38. Pierwsza w Polsce książka o wychowaniu (w „Bluszczu“ 1878).
39. Zbigniew, Marya Sadowska (w „Opiekunie domowym“ 1873).
40. Pierwszy uczeń A. Comte'a w Polsce (w „Niwie“ 1874).
41. Kremer i Taine o sztuce w Grecyi (w „Niwie“ 1875).
42. Józef Kremer (w „Niwie“ 1875).
43. Karol Libelt (w „Gazecie polskiej“ 1875).
44. Wojciech Bogusławski w Wilnie (w „Echu muzycznem teatralnem“ 1883).
45. Szkice z dziejów dramatu w Polsce (w „Echu muzycznem i teatralnem“ 1884).
46. Franciszek Zabłocki (w „Echu muzycznem“ 1887).
47. Kazimierz Zalewski (w „Echu muzycznem“ 1894).
48. Józef Bliziński (w „Wieku“ 1893).
49. Eliza Orzeszkowa (wstęp do powieści „Bene nati“ 1893).
50. Miłość w powieściach E. Orzeszkowej (w „Świecie“ 1893).

